

David Morrell

Fenomen

The Shimmer

NOTA AUTORA

Zjawiska opisane w tej książce występują często nocami w pobliżu miasteczka Marfa w zachodnim Teksasie. Obserwowano je już w czasach, kiedy te tereny zamieszkiwali tylko rdzenni Amerykanie. Nikt nigdy nie wyjaśnił ich w zadowalający sposób.

*Czyż nie krótkie są dni mego życia?
Odwróć Twój wzrok, niech trochę rozjaśnię oblicze,
nim pójdę, by nigdy nie wrócić,
do kraju pełnego ciemności,
do ziemi czarnej jak noc,
do cienia chaosu i śmierci,
gdzie świecą jedynie mroki.*

Księga Hioba (10,20–22)*

* Wszystkie cytaty z Biblii pochodzą z: Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 2003.

I WEZWANIE

1

Z wysokości tysiąca pięciuset stóp błękitny pick-up wyglądał jak zabawka. Powinien wtopić się w ruch uliczny, ale tego pogodnego wtorkowego popołudnia na początku czerwca pilot obserwował, jak pick-up wyprzedza inne pojazdy i ciągle zmienia pasy, kiedy kierowca szukał kawałka wolnego miejsca.

Samolot, cessna 172, był jednosilnikowym gómolotem. Pilotował go czterdziestoletni oficer policji Dan Page. Wiedział, że kierowca samochodu jest mężczyzną, ponieważ monitorował przez słuchawki policyjne radio i słyszał, że dziesięć minut wcześniej ten człowiek zastrzelił innego w kłótni pomiędzy dealerami narkotykowymi w Fort Marcy Park. Strzelaninę zobaczył przejeżdżający policjant. Kiedy z dużą szybkością wjechał do parku, zabójca strzelił do niego przez przednią szybę i zabił go. Pracownicy parkowi, którzy widzieli morderstwa, jednogłośnie opisali zabójcę jako chudego Anglosasa około dwudziestki, z ogoloną głową i w białym podkoszulku z krótkim rękawem, odsłaniającym duży tatuaż na lewym ramieniu.

Page miał wolny dzień. Jako prywatny pilot lubił wylecieć swoją cessną z małego lotniska w Santa Fe i, jak to określał, „wznieść się ponad to wszystko”. Ale kiedy jego policyjne radio przekazało wiadomość o pościgu, skrzył nad czteromilowej szerokości miastem do miejsca, gdzie ostatnio widziano pick-up, licząc, że wypatrzy go wśród niskich zabudowań Santa Fe i udzieli wskazówek kolegom policjantom w ścigających radiowozach. Pięć minut później miał półciężarówkę w zasięgu wzroku. Jej chaotyczna, szaleńcza trasa była trudna do wyśledzenia z ziemi, ale dobrze widoczna z powietrza.

— Jedzie na wschód po Peralta — powiedział Page do mikrofonu w zestawie słuchawkowym.
— Teraz skręca w prawo w Guadalupe, w stronę śródmieścia.

— Jestem pięć przecznic przed nim — odpowiedział szybko głos innego policjanta. — Mogę mu przeciąć drogę.

— Czekaj. Teraz skręca w Agua Fria.

Page patrzył bezradnie, jak nadjeżdżający samochód gwałtownym skrzętem ominął półciężarówkę, z rozpędu wpadł na chodnik i walnął w ścianę domu. Kaskada suszonych na słońcu cegieł runęła na maskę. Pilot wyobraził sobie huk zderzenia; z daleka katastrofa wydawała się jakby większa.

— Wrócił na Saint Francis Drive — ostrzegł Page.

— Jeśli kieruje się na międzystanową, mamy zablokowane wjazdy — odpowiedział przejęty głos.

Pick-up znowu nagle zmienił kierunek.

— Skręca w prawo, w Cerrillos Road — krzyknął Page.

— Przetnę mu drogę w Cordova! — odezwał się inny głos. Spoglądając w dół na chodnik, Page zobaczył, że przechodnie uskakują przed półciężarówką. Jakiś samochód został zepchnięty z jezdni.

— Za późno! Minał Cordova!

— Ustawimy blokadę na Saint Michael's Drive.

— Lepiej na Rodeo Road! On jedzie tak szybko, że nie zdążycie na Saint Michael's!

Istotnie, półciężarówka połykała przestrzeń w zdumiewającym tempie. Pozostałe pojazdy na Cerrillos Road jakby stały w miejscu.

Mój Boże, on pewnie wali ponad setkę, pomyślał Page.

Inni kierowcy widocznie widzieli pędzącą półciężarówkę w lusterkach wstecznych albo może uciekinier trąbił klaksonem. W każdym razie wszyscy zjeżdżali mu z drogi.

— Mamy zamknięte skrzyżowanie Cerrillos z Rodeo Road! — krzyknął jakiś głos.

Pick-up natychmiast skręcił ostro w boczną uliczkę. Page wreszcie zrozumiał prawidłowość.

— On chyba ma policyjne radio!

— Co?

— Zmienia kierunek za każdym razem, kiedy mi mówicie, że zablokowaliście jakąś ulicę! Na pewno nas słucha! Teraz skręca na parking Lowe's!

Klienci wychodzący z wielkiego sklepu z artykułami żelaznymi rozpięchli się na boki, kiedy pick-up pomknął do kina na końcu parkingu. Zniknął w parkingowym garażu.

Page krążył w górze i czekał, aż mężczyzna w białym podkoszulku wyjdzie z garażu i spróbuje uciekać na piechotę. Ale w czerwcu wielu mężczyzn nosiło podkoszulki, a z tej wysokości prawie nie dawało się rozróżnić kolorów ubrań. Co więcej, kolor mógł nic nie znaczyć — kierowca mógł zabrać komuś w garażu podkoszulek innej barwy, po czym wymknąć się niepostrzeżenie.

Page dalej krążył.

Z garażu wyjechał samochód.

Małe figurki pieszych zmierzały w stronę wejścia do kina. Page wypatrywał kogoś, kto szedłby przyspieszonym krokiem.

Z garażu wyjechał SUV.

On może zmienić samochód równie łatwo jak podkoszulek, uświadomił sobie Page.

Z garażu wyjechał sportowy samochód.

Page śledził z góry wszystkie trzy samochody i opisał je policjantom na ziemi. Pierwszy dotarł do alejki wyjazdowej i skierował się w lewo, w stronę Cerrillos Road. SUV dotarł do tego samego wyjazdu i skręcił w prawo, w boczną uliczkę. Sportowy wóz podjechał na parking przed sklepem żelaznym.

Trzy różne kierunki.

Tymczasem radiowozy otoczyły cały teren. Page widział błyskające koguty na dachach i wyobrażał sobie zawodzenie syren.

Żaden inny pojazd nie wyjechał z garażu. Na parkingu przed sklepem żelaznym radiowóz zatrzymał sportowe auto. Page przeniósł wzrok na samochód, który pierwszy wyjechał z garażu. Utknął przy wjeździe na Cerrillos Road, daremnie czekając na przerwę w ruchu. Natomiast SUV bez przeszkód jechał powoli w przeciwnym kierunku, po pasie prowadzącym do skrzyżowania z boczną uliczką.

Page'a coś tknęło i uległ przeczuciu. Opuścił się sto stóp niżej, nie robiąc nic drastycznego, nic, czemu sprzeciwiłaby się kontrola lotów, ale przy tym ruchu w dół silnik samolotu zawarczał głośniejsze.

SUV jakby trochę przyspieszył.

Page opadł następne sto stóp, jego silnik zaryczał jeszcze głośniejsze.

SUV nabrał szybkości.

— On jest podę mną, w SUV-ie! — wrzasnął Page do mikrofonu.

Dla sprawdzenia swojej teorii opadł następne sto stóp, żeby sprowokować jakąś reakcję. Udało mu się. Samochód skoczył do przodu i wypadł na boczną uliczkę.

— Kieruje się na Airport Road!

SUV wyjechał na wielopasmową szosę i pomknął zygzakiem z tak niebezpieczną szybkością, że inne samochody skręcały, żeby ustąpić mu z drogi. Dwa się zderzyły. Za każdym razem, kiedy pojazd gwałtownie zmieniał pas, zataczał się lekko — nic był tak stabilny jak pick-up.

Page spojrzął dalej na Airport Road, zauważył cysternę z benzyną wyjeżdżającą ze stacji serwisowej. O mój Boże...

SUV znowu zmienił pas i przechylił się pod wpływem nagłego ruchu. Zamiast się przewrócić, zdołał opaść z powrotem na cztery koła. Lecz kiedy kierowca szukał wolnego miejsca na drugim pasie, widocznie niechętny szarpnął kierownicą. Pojazd przechylił się jeszcze mocniej, przez chwilę balansował na dwóch kołach, stracił równowagę i runął na bok.

Sunął po jezdni w deszczu iskier.

Nie!

SUV uderzył w cysternę, wyrwał dziurę w dnie i buchnął płomieniem, kiedy iskry zapaliły benzynę wylewającą się kaskadą ze zbiornika.

Kula ognia wzbijała się w niebo. Uciekając przed nią w górę, Page poczuł falę uderzeniową. Upłynęła dłuższa chwila, zanim odzyskał głos i wezwał przez radio ekipę ratunkową. Wokół niego dryfowały kłęby czarnego dymu.

2

Salą odpraw wypełniały rzędy metalowych krzeseł ustawionych przed tablicą. Światłówki na suficie bzyczały. W tym świetle wszyscy wyglądali blado, kiedy szef policji słuchał ich raportów. Page wyjrzał przez okno i zobaczył na policyjnym parkingu kilka furgonetek stacji telewizyjnych.

— Okay, powiedzieliście mi, co zrobiliście dobrze. Może teraz powiecie, co zrobiliście źle? — warknął szef. — Konferencja prasowa jest za piętnaście minut. Nie chcę żadnych niespodzianek.

— Nie ścigaliśmy go — upierał się jeden z policjantów, Angelo. — Nie naraziliśmy żadnych cywilów. My tylko próbowaliśmy go wyprzedzić i przeciąć mu drogę.

— Właśnie — potwierdził drugi policjant, Rafael. — Nie przekroczyliśmy granicy, chociaż ten drań zastrzelił Bobby'ego.

— Jechał sto mil na godzinę — dodała policjantka Vera. — Cud, że zabił tylko tego biednego faceta za kierownicą cysterny.

Szef spojrzął na Page'a.

— A co z tobą?

Page próbował sobie nie wyobrażać agonii kierowcy cysterny.

— Helikopter policji stanowej był w hangarze na przeglądzie technicznym, więc tylko mój samolot był do dyspozycji policji. Ostrzegłem kontrolera ruchu powietrznego, żeby nie kierował innych samolotów nad miasto. Utrzymywałem minimalną dopuszczalną wysokość. Nie złamałem żadnych przepisów FAA*. Nikogo nie naraziłem na niebezpieczeństwo.

Spojrzenie szefa przesunęło się po grupie.

— Ktoś chce coś jeszcze dodać? Powinienem wiedzieć o jakiejś wpadce?

Grupa milczała.

— Więc jestem gotowy do rozmowy z reporterami.

* FAA, (Federal Aviation Association) — Federalny Zarząd Lotnictwa Cywilnego.

Policjanci odetchnęli z ulgą.

Page został z tyłu, kiedy wszyscy wstali i zaczęli wychodzić.

— Idziesz z nami na piwo? — zapytał Angelo.

— Jak tylko powiem żonie, że ze mną wszystko w porządku — odparł Page.

Nie musiał pytać, dokąd idą. Zawsze spotykali się w tym samym miejscu: w sportowym barze przy Cerrillos Road.

Kiedy został sam w sali odpraw, zadzwonił do domu z telefonu komórkowego. Dzwonił po raz czwarty, odkąd wyłądownął — i po raz czwarty usłyszał własny głos: „Proszę zostawić wiadomość”.

Spróbował zadzwonić na komórkę Tori i po raz czwarty usłyszał jej głos: „Proszę zostawić wiadomość”.

Jednak znowu powiedział do telefonu:

— Cześć, to ja. Zadzwon, kiedy to odsłuchasz.

Spojrzał na zegarek, cyfrowy wyświetlacz pokazywał 7:23. Gdzie ona się podziewa? — zadawał sobie pytanie.

3

Wjeżdżając na podjazd swojego parterowego domu, Page nacisnął pilota do drzwi garażu, przymocowanego do osłony przeciwsłonecznej. Drzwi podjechały do góry i zobaczył, że w środku nie ma saturna należącego do Tori. Wjechał do garażu, wyłączył silnik, wysiadł ze swojego grand cherokee i zamknął drzwi.

Wchodząc do zacienionej kuchni, zauważył, jaki cichy wydawał się dom.

Na stole leżała kartka.

Pojechałam do matki.

Page zmarszczył brwi, ponieważ matka Tori mieszkała w San Antonio w Teksasie, osiemset mil od nich, a Tori nie wspomniała wcześniej ani słowem o planowanej wizycie. Co ją napadło, żeby tak nagle wyjechać? — zastanawiał się.

Jedyne wyjaśnienie, jakie mu przyszło do głowy: nagły wypadek. Otrzymała jakąś straszną wiadomość od matki... nie, straszną wiadomość o matce, więc kupiła bilet na samolot last minute i natychmiast pojechała do Albuquerque.

Jedyne duże lotnisko stanowe znajdowało się w Albuquerque. Droga z Santa Fe zajmowała godzinę i piętnaście minut. Zwykle Page i Tori korzystali z jego samolotu, kiedy odwiedzali jej matkę. Ale ponieważ akurat latał i nie mógł odebrać komórki, Tori nie mogła go zawiadomić, co się stało.

Jasne. To ma sens, pomyślał Page.

Niemniej ciągle skrobał się w głowę.

Nawet jeśli nie mógł odebrać telefonu, nic jej nie przeszkadzało zostawić wiadomości.

Telefon kuchenny wisiał na ścianie obok lodówki. Page podszedł do niego, spojrzał na spis przyklejony z boku, znalazł potrzebny numer i nacisnął klawisze. Spodziewał się automatycznej sekretarki, ale odebrał starczy głos.

— Halo?

— Margaret? To ty?

Page rzadko rozmawiał z matką Tori, ale rozpoznała jego głos.

— Oczywiście, że ja, Dan. Czemu się tak dziwisz?

— Nie myślałem, że odbierzesz. Zakładałem, że jesteś chora... albo coś.

— Chora? Skąd ten pomysł?

— Wróciłem do domu i znalazłem kartkę od Tori, że pojechała do ciebie. To taka nagła decyzja... to znaczy kiedy inno wychodziłem, nie wspomniała o tym ani słowem... zakładałem, że stało się coś poważnego. Że miałaś wypadek albo coś w tym rodzaju. Na pewno nic ci nie jest?

— No, jestem zmęczona, bo całe popołudnie pracowałam w ogrodzie. Poza tym czuję się dobrze. Kiedy Tori zadzwoniła, że przyjeżdża, zdziwiłam się tak samo jak ty.

Page mocniej ścisnął słuchawkę.

— Zadzwoniła do ciebie? Kiedy?

— Dzisiaj rano, około dziesiątej.

Ody tylko pojechałem na lotnisko, pomyślał. Tori była agentką nieruchomości. Często spędzała poranki w domu, pisząc oferty albo telefonując.

Page dokonał szybkich obliczeń. Pomiędzy Albuquerque a San Antonio nie było bezpośredniego lotniczego połączenia. Tori musiała przesiąść się na drugi samolot w Dallas. Cała podróż od drzwi do drzwi zwykle zajmowała siedem godzin. W zależności od tego, kiedy wyleciała, powinna już być w San Antonio.

Ona tam jest? Chcę z nią porozmawiać.

— Nie, nie spodziewam się jej jeszcze przez parę godzin — odpowiedział starczy głos. — Może dopiero jutro.

— Jutro? — Page nic nie rozumiał i zaczęła go boleć głowa. Widocznie miała bardzo późno samolot.

— Nie poleciała samolotem...

Coś tu nie pasowało.

— Nie poleciała? Więc jak... Chcesz mi powiedzieć, że pojechała samochodem?!

— Tak mi powiedziała. Dla mnie to też nie miało sensu. Osiemset mil... ale upierała się, że tak zrobi. Naprawdę nic o tym nie wiedziałeś?

— Nic. Ni cholery.

— Zapytałam ją, dlaczego jedzie samochodem. Odpowiedziała, że chce pooglądać krajobrazy i pomyśleć. Ale nie wyjaśniła o czym. Dan, nie wiem, jak inaczej o to zapytać. Czy między tobą a Tori wszystko w porządku?

W pierwszym odruchu chciał palnąć: absolutnie. Wszystko się świetnie układa. Nie może być lepiej. Ale słowa uwięzły mu w gardle. Wydusił z siebie inną odpowiedź:

— Wystarczyło, żeby mi powiedziała, że chce cię odwiedzić. Mógłbym nawet z nią pojechać. Nie musiała tego trzymać w sekrecie. Jeśli nie będzie robiła postojów i przyjedzie jeszcze dzisiaj w nocy, powiedz, żeby od razu do mnie zadzwoniła. Bez względu na porę.

— Możesz na mnie liczyć. Powiem jej.

— To za mało, Margaret. Proszę, dopilnuj, żeby do mnie zadzwoniła. Włóż jej słuchawkę do ręki i upewnij się, że wybrała mój numer.

4

Odłożywszy słuchawkę, Page rozejrzał się po kuchni. Tori schowała naczynia po śniadaniu. Kuchenne blaty były puste, wszystko stało na swoim miejscu, zupełnie jak w domu przygotowanym do pokazania ewentualnym nabywcom.

Przeszedł do pokoju dziennego. Czasopisma, zwykle rozrzucone na stoliku do kawy, leżały złożone w schludny stosik. Poduszki, które pozostawili w nieładzie, kiedy poprzedniego wieczoru oglądali telewizję, teraz leżały z powrotem na miejscu. Przypomnił sobie, że Tori niezbyt długo oglądała telewizję, że wcześniej poszła do łóżka, mówiąc, że chce poczytać.

Przeszedł przez korytarz i zajrzał do gabinetu Tori. Jej laptop zniknął. Na pustym blacie biurka stała tylko lampa.

Wszedł do sypialni. Łóżko było zaścielone, wszystko idealnie uporządkowane. Zajrzał do szafy i odkrył, że zniknęły dwie walizki. Obejrzał puste wieszaki i wywnioskował, że Tori zabrała większość codziennych ubrań, ale żadnych oficjalnych strojów. Sprawdził szuflady komody i stwierdził, że spakowała wszystkie skarpetki i bieliznę. Zerknął na jej stronę łóżka. Jako zapalona czytelniczka, zwykle trzymała tam pół tuzina książek.

Książki również zniknęły.

Page przez długą chwilę stał bez ruchu. Kiedy uświadomił sobie, że za oknem robi się ciemno, wrócił do salonu i usiadł, nie zapalając światła.

5

Ocknąwszy się gwałtownie w środę rano, Page odwrócił się w stronę okropnej pustki po drugiej stronie łóżka. Przez kilka męczących chwil wpatrywał się w to miejsce. Potem szybko naciągnął dzinsy, wyszedł z domu i podniósł gazetę z chodnika.

Pospieszenie wrócił do środka, żeby nie przegapić dzwonka telefonu. Ale telefon milczał.

Nagłówek na pierwszej stronie gazety oznajmiał: SKUTKI STRZELANINY: POŚCIG I WYBUCH CYSTERNY. Poniżej zamieszczono zdjęcie Bobby'ego w mundurze. Na drugim widniał kierowca cysterny. Trzecie pokazywało skręcony metal pick-upu i cysterny na benzynę, które straszliwy żar stopił w jedno.

Page przerzucił stronę, żeby zakryć fotografie.

Nie mógł już dłużej czekać. Podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer.

— Margaret, tu Dan.

Odpowiedziała bez zwykłych uprzejmości:

— Tori jeszcze nie ma.

Page'owi nagle zaschło w gardle. Przełknął ślinę.

— Na pewno się zmęczyła i przenocowała gdzieś w motelu — powiedział.

Sam nie wierzył we własne słowa.

— Więc dlaczego nie zadzwoniła do mnie, żebym się nie martwiła? Bo właśnie się martwię. — Starczy głos zadrżał. — A jeśli miała wypadek?

— Mało prawdopodobne, inaczej by mnie zawiadomili. — Page silił się na przekonujący ton. — Ale spróbuję się czegoś dowiedzieć.

* * *

Trzy godziny później, w trakcie śledztwa dotyczącego pchnięcia nożem w szkole średniej, odebrał telefon od oficera dyżurnego z posterunku policji.

— Nie mamy żadnych doniesień o wypadku Tori ani w Nowym Meksyku, ani w Teksasie, i nie przyjęto jej do żadnego szpitala na trasie jej podróży.

Page odetchnął z ulgą, ale rozumiał, co to znaczy i co teraz musi zrobić — nie widział innego wyjścia.

— Zgłoś ją jako osobę zaginioną.

6

W czwartek wcześniej rano zadzwonił telefon. Page odstawił kubek z kawą i chwycił słuchawkę.

— Halo?

— Dan Page? — zapytał męski głos z południowym akcentem, chrapliwy, jakby należał do palacza.

— Przy telefonie. — Page uświadomił sobie, że z całej siły ściska słuchawkę.

— Mówi szef policji Roger Costigan z Rostova w Teksasie.

— Gdzie?! — Page miał zamęt w głowie. Sięgnął po ołówek.

— Rostov w Teksasie. Na południowy wschód od El Paso, jakieś pięćdziesiąt mil od meksykańskiej granicy. Page poczuł ściskanie w żołądku.

— Znaleźliście moją żonę?

— Victoria Page — wyrecytował głos, jakby czytał z listy. — Rasa kaukaska. Pięć stóp sześć cali. Sto dwadzieścia funtów. Rude włosy. Zielone oczy. Prowadzi granatowego saturna outluok z dwa tysiące ósmego roku. — Głos podał numer rejestracyjny.

— To ona. — Zimny pot wystąpił Page'owi na czoło.

— Jeden z moich funkcjonariuszy zauważył jej samochód na poboczu drogi dzisiaj wcześniej rano. Znalazł ją w pobliżu.

Page wstrzymał oddech.

— Czy ona...?

— Nic jej nie jest. Pod tym względem nie musi pan się martwić. Nie doznała żadnych obrażeń. Nic jej nie grozi.

— Nie miała wypadku?

— Nie, proszę pana.

— Nie została ranna?

— Zgadza się, panie Page. Jest cała i zdrowa.

Dzięki Bogu, pomyślał Page. Ale natychmiast zalała go fala niepokojących pytań.

— Jeśli nie jest ranna, dlaczego jej samochód stał na poboczu?

— To trudno wyjaśnić.

— Nie rozumiem. Ona tam jest? Może ją pan dać do telefonu?

— Nie, proszę pana. Nie ma jej ze mną.

— Więc jak mogę z nią porozmawiać?

— To chyba zależy od niej — odparł głos. — Powiedzieliśmy jej, że pan jej szuka, ale nie zareagowała.

— Pan mówi bez sensu. Czy ona jest sama?

— O ile mi wiadomo.

— Więc co ona, na litość boską, robi w... — Page spojrzął na nazwę, którą zapisał — ...Rostovie w Teksasie?

— To trochę skomplikowane. Lepiej pan zrozumie, jeśli powiem panu osobiście. Najważniejsze, że nie złamano żadnych praw. Ona jest tutaj z własnej woli.

- Lepiej, jeśli powie mi pan osobiście?
- Może raczej pokażę panu.
- Dlaczego jest pan taki cholernie tajemniczy, szefie?
- Wcale się nie staram. Proszę mi wierzyć, to niezwykła sytuacja. Niestety, nie potrafię tego wyjaśnić przez telefon. Musi pan to zobaczyć na własne oczy.
- Cokolwiek tam się dzieje, będzie pan mógł mi pokazać dziś po południu.
- Panie Page, obawiam się, że potrzebuje pan znacznie więcej czasu, żeby tutaj dotrzeć. Jest pan w Santa Fe, zgadza się?
- Tak.
- No więc najbliższe nas duże lotnisko jest w El Paso, a stamtąd jest jeszcze paręset mil. Nie ma mowy, żeby pan dojechał dziś po południu.
- Nie macie w ogóle żadnego lotniska?
- Mamy takie małe, z którego korzystają ranczerzy, ale...
- Więc zobaczymy się o piątej po południu.

7

Page zadzwonił na posterunek i zawiadomił oficera dyżurnego, że dzisiaj nie może przyjść do pracy i raczej nie pokaże się przed poniedziałkiem. Spakował walizkę, chwycił torbę lotniczą i pojechał na małe lotnisko w Santa Fe. Zaniósł swój bagaż do recepcji i przywitał się z młodą kobietą za kontuarem. Miała przed sobą na blacie gazetę, zanim jednak zdążyła wspomnieć o artykule z pierwszej strony, Page skreślił już w lewo, do sali komputerowej, gdzie sprawdził prognozy pogody w Nowym Meksyku i Teksasie. Zapowiadano burze z piorunami za kilka dni, ale żadnych problemów w najbliższym czasie.

Osatnie, co zawsze robił, to szukał ogłoszeń o obszarach zamkniętych. Ostrzegaly pilotów przed naruszeniem zakazanej przestrzeni powietrznej, często niedostępnej ze względów bezpieczeństwa. Pilot, który wtargnął w zabroniony obszar, narażał się na otoczenie przez myśliwce odrzutowe i gniewne rozkazy, żeby wylądował na najbliższym lotnisku.

W Nowym Meksyku nie istniały żadne ograniczenia lotów, ale Page ze zdziwieniem odkrył, że obejmowały okolice Rostova w Teksasie. Zaintrygowany nacisnął klawisz, żeby uzyskać więcej informacji, i dowiedział się, że zakaz dotyczył kompleksu radioteleskopów ulokowanych dwadzieścia mil na północny zachód od miasta. Nie chodziło o bezpieczeństwo narodowe. Obserwatorium było niedostępne raczej dlatego, że samoloty przelatujące nad czaszami anten mogły wywoływać interferencje, które uniemożliwiały odbieranie sygnałów radiowych towarzyszących rozbłyskom na Słońcu czy emitowanych przez galaktyki spiralne.

Świetnie, będą się trzymał z daleka, pomyślał Page.

Wyciągnął mapy ze swojej torby lotniczej i szybko wykreślił trasę do Rostova. Jak mówił szef Costigan, miasteczko leżało kilkaset mil na południowy wschód od El Paso. W całkiem innym kierunku niż San Antonio.

Z zamętem w głowie Page wyszedł na lotniskową płytę postojową. Tam w ciepłym słońcu stały liczne małe samoloty, przymocowane do betonu linami przywiązanymi do skrzydeł i ogonów. Wśród nich była cessna Page'a. Czując, że czas nagli, zmusił się do powolnej inspekcji samolotu z zewnątrz. Po każdym locie zawsze kazał napełniać zbiorniki paliwa. Teraz spuścił trochę paliwa do kubka, żeby sprawdzić, czy nie zawierało bąbelków wody lub innych zanieczyszczeń.

Skup się, powiedział sobie.

Odwiązał samolot, wsiadł do środka, przypiął mapy i plan lotu do podkładki umocowanej na udzie i odetchnął głęboko.

Uważaj, pomyślał. Nieważne, jak bardzo chcesz dotrzeć do Tori, teraz liczy się samolot. Skup się na prowadzeniu maszyny.

Ponownie odetchnął głęboko i przeszedł przedstartową listę kontrolną.

Co, na Boga, Tori robi w Rostovie w Teksasie?

Przez radio poprosił kontrolera naziemnego o pozwolenie im przełożenie na pas startowy. Pięć minut później — niecałe dwie godziny po odebraniu telefonu od szefa Costigana — znalazł się w powietrzu i leciał do Teksasu.

8

Człowiek z karabinkiem automatycznym M4 stał w cieniu małego betonowego budynku i ze smakiem dopalał papierosa. Panowała przyjemna, sucha pogoda, temperatura wynosiła trzydzieści stopni Celsjusza, ale po dwóch turach służby w Iraku człowiek z karabinkiem zachował przyzwyczajenie, żeby w miarę możliwości unikać słońca.

Ponieważ był późny ranek i słońce znajdowało się po drugiej Mionie baraku, Earl Halloway nie mógł podziwiać surowego majestatu gór Davis na północy. Zamiast tego miał przed oczami niekończące się kępy rzadkiej brązowej trawy.

Wędrownie chwasty przyczepiły się do ogrodzenia z siatki, stojącego pięćdziesiąt jardów dalej. Ogrodzenie miało dwanaście stóp wysokości i zwieńczone było drutem kolczastym. Tablice zawieszane na nim ostrzegały:

TEREN BADAŃ NAUKOWYCH WSTĘP WZBRONIONY

Na lewo od Hallowaya dziewięć wielkich czasz radioteleskopów celowało w różne miejsca na niebie, a jedna została przechylona do poziomu. Obok niej stały ciężarówka, rusztowanie i niewielki dźwig, jakby talerz przechodził naprawę. Czasze były widoczne ze sporej odległości, rażące naruszenie krajobrazu.

Dziesięć mil dalej na drodze podobną tablicę przymocowano do zamkniętej bramy, blokującej wjazd. Ludzie, którzy zatrzymywali samochody, żeby pogapić się na odległe czasze radioteleskopów, zwykle zwlekali tylko przez krótki czas, zanim znudzenie kazało im jechać dalej.

Ogrodzenie z siatki, jedno z trzech wokół anten, nie było pod napięciem — nikt z kompleksu nie chciał się handryczyć z farmerami, gdyby ich krowy zawędrowały pod siatkę i się upiekły. Pomimo to nigdy się nie zdarzyło, żeby jakiś głupek próbował przez nie przełazić. Drugie ogrodzenie skonstruowano w całości z drutu kolczastego, a trzecie było pod napięciem, o czym ostrzegały liczne wyraźne znaki: UWAGA! WYSOKIE NAPIĘCIE!

Halloway mógł siedzieć w klimatyzowanym pomieszczeniu ochrony i obserwować monitory, które pokazałyby każdego intruza daremnie próbującego pokonać trzecie ogrodzenie. Gdyby taki się znalazł, Halloway i inni strażnicy wyszliby potem posprzątać bałagan. W sterylnym kompleksie obowiązywał zakaz palenia, więc Halloway wychodził na zewnątrz tylko na papierosa. Usprawiedliwiał swój nałóg, wmawiając sobie, że kamery i monitory nie zastąpią

osobistego obejrzenia terenu i sprawdzenia na własne oczy, czy wszystko rzeczywiście jest w porządku. Ostatecznie jeden z jego kumpli w komandosach w Iraku był snajperem i potrafił się tak dobrze zamaskować, że nieprzyjaciel mógł przejść przez pole i zauważyć go dopiero wtedy, kiedy na niego nadepnął.

Takie myśli sprawiały, że Holloway czuł się nieswojo. Chciał tylko spokojnie zakurzyć, a teraz przypomnieli mu się snajperzy. Czas wracać do środka, zdecydował. Po raz ostatni zaciągnął się z satysfakcją, rzucił niedopałek na ziemię, zgniótł butem i obrzucił pożegnalnym spojrzeniem ponury krajobraz.

Dwadzieścia mil na południowy wschód znajdowało się miasteczko o nazwie Rostov, ale nigdy tam nie był — nikt z ośrodka nigdy tam nie był. To było surowo zakazane. „Nie chcemy, żeby o nas myśleli”, powiedziano mu stanowczo, kiedy się zatrudnił w tej na pozór łatwej pracy.

Ale po trzech miesiącach zamknięcia w ośrodku Holloway nie mógł się doczekać przyjazdu zmiennika — co miało nastąpić już za dwa tygodnie. Jasne, żarcie było lepsze niż to, co dostawał w Iraku. No i w kompleksie mieli alkohol, którego nie mógł dostać w Iraku. Nie narzekał też na ściągane z Internetu najnowsze filmy, niektóre jeszcze niedostępne na DVD.

Ale tak naprawdę brakowało mu bzykania.

Znowu rozmyślając o snajperach, wstukał kod bezpieczeństwa na klawiszach panelu obok drzwi. Kiedy usłyszał brzęczyk sygnalizujący zwolnienie zamka, otworzył metalowe drzwi i wszedł do środka. Natychmiast otoczyło go sterylne, schłodzone, przefiltrowane powietrze obserwatorium. Pchnął ciężkie drzwi z powrotem na miejsce i sprawdził, że elektroniczny zamek zaskoczył. Potem otworzył drugie drzwi, przekroczył próg, zamknął również te drzwi i wszedł po metalowych utopili uch na długi korytarz, oświetlony rzędem sufitowych lump.

9

Podziemny obiekt był wielki. Wypełniała go subtelna wibracja.

Kiedy Holloway tu przyjechał przed trzema miesiącami, nie zwracał uwagi na tę wibrację, lecz z upływem kolejnych dni stawał się coraz bardziej wyczulony na słaby, wszechobecny szum, który, jak podejrzewał, miał coś wspólnego z generatorem elektrycznym — albo z aktywnością wielkich radioteleskopów. Nikt inny jakoś tego nie zauważał, ale Hollowaya to drażniło tak mocno, że chociaż zaczął używać zatyczek do uszu, kiedy kładł się spać, nie mógł się porządnie wyspać.

Minał dwoje drzwi po lewej stronie i skręcił w prawo, do dużego pokoju, wypełnionego licznymi monitorami telewizji przemysłowej, które pokazywały całe otoczenie obiektu. Obrazy były w kolorze i w wysokiej rozdzielczości. Nocą przybierały zielonkawy odcień, kiedy czujniki termiczne rejestrowały różnicę pomiędzy szybko stygnącą prerią a stałą temperaturą zwierząt i ludzi.

Jego partner na tej zmianie, mężczyzna z dużymi, silnymi rękami, siedział na metalowym krześle i kartkował magazyn sportowy, od czasu do czasu zerkając na ekrany. To świadczyło o rozluźnieniu dyscypliny, ale po miesiącach bezczynności Holloway rozumiał, jak trudno się wgapiać w te cholerne monitory.

— Palenie szkodzi zdrowiu — rzucił mężczyzna, nie podnosząc wzroku. Nazywał się Taggard.

— Kulka w łeb też szkodzi. Myślałem, że bardziej od papierosów.

— To nie Irak.

— Dzięki za lekcję geografii. Nadwaga też jest szkodliwa, ile to cię nie powstrzymuje od wsuwania tych batoników, które trzymasz w szufladzie. Ile zjadasz dziennie? Dziesięć? Piętnaście?

Taggard zachichotał. Mając tak niewiele do roboty, nieustannie docinali sobie nawzajem.

— Taa, powinienem poćwiczyć na stairmasterze, zamiast czytać te pisma. Zacznę jutro z samego rana.

— Idę się odlać — oznajmił Halioway.

— Potem może ty trochę posiedzisz, a ja się przejdę.

Teraz z kolei Halloway zachichotał.

Wyszedł z pokoju i ruszył dalej korytarzem. Dotarł do otwartych drzwi po lewej stronie, oznakowanych napisem ANALIZA DANYCH. Zza drzwi dobiegały trzaski zakłóceń. Zajrzał do środka i zobaczył łysego znudzonego naukowca w okularach, wpatzonego w ekran komputera. Na półkach pod ścianami stały wszelkiego rodzaju elektroniczne urządzenia. Świeciły czerwone diody wskaźników, drgały igły. Jedno urządzenie przedstawiało zakłócenia w postaci wizualnej, co wyglądało jak chaotycznie przemieszczające się kropki. Ostre, trzeszczące dźwięki przypominały Hallowayowi radio szukające trudnej do złapania stacji.

I właściwie na tym to polega, stwierdził w duchu.

Subtelna wibracja przybrała na sile, wywołując u Hallowaya początki migreny.

— Brzmi trochę inaczej niż wczoraj — zauważył.

Mężczyzna w okularach podniósł wzrok.

— Cześć, Earl — powiedział. — Tak, aktywność jest większa i robi się głośniejsze. Przez cały tydzień obserwujemy ogólny wzrost.

— Jak myślisz, co się dzieje?

— Pewnie nic. Czasami zakłócenia jakby narastały w jakimś kierunku. Potem się cofają. Według komputera ten rytm się powtarza, odkąd zbudowano obserwatorium piętnaście lat temu. — Naukowiec odwrócił się do szeregu pokręteł. — Przetawię czasę i zobaczę, czy wyłoni się jakiś wyraźniejszy wzór. Monitorowanie miejscowych wyładowań elektrycznych w otoczeniu to dobry sposób na sprawdzenie, czy sprzęt działa prawidłowo.

Halloway wiedział, że naukowiec ma na myśli czasę przechyloną w stronę horyzontu, jakby przechodziła remont. Nie wątpił jednak, że skierowano ją dokładnie tam, gdzie należało — na południowy wschód, w stronę miejsca niedaleko Rostova.

Teoretycznie radioteleskopy wychwytywały impulsy radiowe z dalekiego kosmosu i wyznaczały położenie ich źródeł. Mnóstwo ciał niebieskich generowało takie impulsy, wyjaśnił naukowiec, i wiele wciąż stanowiło echa Wielkiego Wybuchu. Skomplikowany program komputerowy przekładał te sygnały na obrazy, które wyglądały jak fotografie przedstawiające mgławice, nowe czarne dziury i inne astronomiczne cuda.

Halloway nie miał o tym wszystkim pojęcia, kiedy przed trzema miesiącami zjawił się w kompleksie, ale monotonna codzienna rutyna znudziła naukowca do tego stopnia, że chętnie wyjaśniał działanie radioobserwatorium. Pomimo tych wyjaśnień Halloway nie miał złudzeń co do tego, czym tu się naprawdę zajmują. Obserwatorium, astronomiczne nie potrzebowałoby drutów kolczastych i ogrodzenia pod napięciem. M4, w które wyposażono jego i innych strażników, należały do najlepszych karabinków szturmowych, miały wyrzutnię granatów raketowych i celownik laserowy. Cholemnie dużo środków bezpieczeństwa, żeby chronić obiekt badający czarne dziury.

Zdaniem Hallowaya to wyglądało raczej na szpiegowską operację niż na projekt Krajowej Fundacji Nauki. Nabrał takich podejrzeń, zanim jeszcze przewieziono go helikopterem do tego odległego miejsca w zachodnim Teksasie. Po kilku dniach na miejscu zobaczył dosyć, żeby na

swoim laptopie sprawdzić w Google, jak agencje wywiadowcze mogą wykorzystywać radioobserwatoria. Doszedł do wniosku, że czasie nad tym ogromnym bunkrem wcale nie były skierowane w stronę mgławic, nowych i czarnych dziur. Wycelowano je w satelity, które zbierały sygnały radiowe z atmosfery.

Celowały również w Księżyc. Sygnały radiowe z całego świata „wyciekały” w kosmos, jak się dowiedział z Internetu. Księżyc jednakże przechwytywał wiele z nich i odpowiednio ustawione radioobserwatorium mogło je odbierać, kiedy odbijały się z powrotem ku Ziemi. Sortując częstotliwości i wybierając te najchętniej używane przez główne organizacje terrorystyczne albo rządy państw wrogich Stanom Zjednoczonym, obserwatorium mogło przekazywać cenne informacje analitykom wywiadu w takich miejscach, jak Fort Meade w pobliżu Waszyngtonu.

Hallowayowi nie przypadkiem nasunęła się ta nazwa. Wiedział, że w Fort Meade mieści się centrala Agencji Bezpieczeństwu Narodowego, NSA. Tak, to była cholerna szpiegowska operacja, na pewno, ale jeśli technik — który nazywał się Gordon — zamierzał dalej kłamać i udawać, że to projekt naukowy badań kosmicznych, Hallowayowi to nie przeszkadzało. Mała gierka, którą rozgrywali między sobą, stanowiła jedyne interesujące urozmaicenie codziennej rutyny. No i zagadka, dlaczego jedna czasza była ustawiona horyzontalnie w stronę Rostova. Technik mógł sobie głądzić o „monitorowaniu miejscowych wyładowań elektrycznych”.

Nie wciskaj mi kitu, pomyślał Halloway. Coś się dzieje koło Rostova, a oni wykorzystują sporo tych kosztujących miliardy urządzeń, żeby to zbadać.

10

Page wylądował w połowie pasa na lotnisku pod Roswell w Nowym Meksyku. W tej spieczonej słońcem okolicy rozpoczęła się w 1947 roku amerykańska gorączka UFO, kiedy pewien ranczer znalazł szczątki dużego latającego obiektu, który wojsko opisało najpierw jako latający dysk, a potem jako balon meteorologiczny. Te dwa różne wyjaśnienia mogły po prostu wynikać z wadliwej komunikacji, jednak zwolennicy teorii konspiracji uczepili się tych różnic, żeby oskarżyć rząd o tuszowanie faktów. Od tamtej pory Roswell stało się nieoficjalną światową stolicą UFO, do tego stopnia, że co roku podczas obchodów święta Czwartego Lipca w miasteczku odbywał się festiwal UFO, gdzie sceptycy prowadzili debaty z tak zwanymi ekspertami, podczas gdy aktorzy z filmów fantastycznonaukowych rozdawali autografy, a entuzjaści przebierali się za „małe zielone ludziki”.

Kilka lat wcześniej Page i Tori polecili na festiwal i bawili się w karnawałowej atmosferze, oglądając parady, konkurs kostiumów i koncerty, między innymi zespołu interpretującego muzykę z albumu Pink Floydów *The Dark Side of the Moon*. Rzadko mieli okazję spędzać razem wakacje — praca Page’a była zbyt wymagająca; pamiętał, jak Tori się śmiała, kiedy grupa „Klingonów” uroczyście odprawiała ceremonię ślubną.

To gorzko-słodkie wspomnienia sprawiły, że jeszcze bardziej chciał odnaleźć Tori. Patrzył, jak cysterna z paliwem napełnia zbiorniki jego samolotu. Sprawdził, czy paliwo ma właściwy kolor — błękitny — i czy nie zawiera żadnych zanieczyszczeń. Pulem znowu wspiął się do kabiny, wystartował i poleciał dalej na południowy wschód.

Starannie wybrana trasa umożliwiła mu przelot korytarzem pomiędzy dużymi terenami wojskowymi na północy, wschodem, południu i zachodzie. Oznakowano je wyraźnie na jego mapie lotniczej i wskazano miejsca, gdzie myśliwce odrzutowe ćwiczą manewry bojowe. Dalej na zachodzie znajdowała się jeszcze ściślej chroniona wojskowa przestrzeń powietrzna nad

poligonem raketowym White Sands, dawniej znanym jako poligon bombowy i artyleryjski Alamogordo, gdzie zdetonowało pierwszą bombę atomową w 1945 roku.

Poszarpany krajobraz zapierał dech. Niepiloci często zakładali, że ludzi ciągną do latania piękne widoki. Page jednak został pilotem, ponieważ uwielbiał wrażenie poruszania się w trzech wymiarach. Tak naprawdę utrzymywanie wysokości i szybkości, utrzymywanie kursu, monitorowanie transmisji milowych i porównywanie wycinkowych map z punktami orientacyjnymi na ziemi wymagało takiej koncentracji, że pilot miał niewiele czasu na podziwianie widoków.

Latanie miało w sobie coś jeszcze, porównywalnego z upijaniem się dla odprężenia po służbie w towarzystwie innych policjantów. Page lubił latać, ponieważ to mu pomagało zapomnieć o straszliwych cierpieniach, jakie ludzie zadawali sobie nawzajem. Zbyt często widział życie zniszczone przez broń palną: noże, butelki po piwie, śrubokręty, kije bejsbolowe i nawet pistolety do wstrzeliwania gwoździ. Przed sześcioma miesiącami jako pierwszy policjant zjawiał się przy wypadku samochodowym, gdzie pijany kierowca zderzył się z nadjeżdżającym pojazdem i zabił pięcioro dzieci oraz kobietę, która wiozła je na przyjęcie urodzinowe. Było tyle krwi, że ciągle jeszcze mu się śniła w koszmarach.

Przyjaciele myśleli, że żartuje, kiedy mówił, że latanie pozwala mu „wznieść się ponad to wszystko”, ale on mówił poważnie. Pilotowanie samolotu wymagało takiego skupienia, że wypierało z jego myśli to, o czym wołał nie pamiętać.

Teraz również mu pomogło. Konsternacja, zniecierpliwienie, potrzeba znalezienia odpowiedzi — na ziemi te emocje wytrąciły go z równowagi, lecz gdy tylko znalazł się w powietrzu, dyscyplina konieczna przy prowadzeniu cessny narzuciła mu spokój. Na pogodnym niebie, przy monotonnym, stłumionym warkocie silnika samolot jakby płynął. Page rozkoszował się tym uczuciem, nie mógł jednak odpędzić obawy, co odkryje na ziemi.

* * *

Kiedy wleciał do Teksasu, po lewej stronie jak okiem sięgnąć ciągnęły się góry Davis. Nietypowe dla reszty stanu, w rzeczywistości przypominały mu porośnięte sosnami i osikami szczyty, jakie przywykł oglądać w Nowym Meksyku.

Prowadził nasłuch radiowy na częstotliwości lotniska w Rostovie. Przed startem dowiedział się, że nie było tam wieży kontrolnej i że musiał podawać swoje namiary bezpośrednio wszystkim jednostkom latającym znajdującym się w pobliżu, żeby korytarze lotów się nie przecięły. Podczas długiego podejścia nawiązał łączność tylko z jednym pilotem, kobietą mówiącą z silnym teksaskim akcentem, która zameldowała, że kieruje się w przeciwną stronę.

Mapa lotnicza wyraźnie określała położenie zakazanej przestrzeni powietrznej nad obserwatorium, ale nawet bez mapy Page nie mógłby przegapić tego obiektu. Wielkie białe czasze radioteleskopów, błyszczące w słońcu, robiły wrażenie. Wyglądały jak gigantyczne wersje anteny satelitarnej na dachu jego domu w Santa Fe. Niepasujące do płaskiego pejzażu, promieniowały czystą potęgą i nawet z daleka wydawały się ogromne.

Page zdziwił się, że obserwatorium ulokowano na stosunkowo niskim terenie, zwłaszcza w porównaniu z odległymi górami. Czy obserwatorium nie powinno się budować na możliwie największej wysokości nad poziomem morza? Ale jego rozmyślenia dobiegły końca, kiedy praktyczne kwestie związane z lotem zepchnęły ciekawość na dalszy plan. Starannie omijając radioteleskopy, leciał dalej swoim kursem w stronę Rostova.

Małe miejscowości zwykle trudno wypatrzeć z powietrza i Rostov nie stanowiło wyjątku. Miasteczko ginęło wśród pozornie nieskończonych terenów uprawnych. Przez chwilę Page miał

niesamowite wrażenie, że był tu już wcześniej, że przelatywał dokładnie nad tym miejscem i widział te same krowy rozproszone na pastwisku. Szczególnie uderzył go widok malowniczego wiatraka obok stawu, w którym poiono bydło, coś, co na pewno już widział. Ale jeszcze nigdy nie był w tej części Teksasu.

To po prostu przypadkiem wygląda jak inne miejsce, nad którym kiedyś przelatywałeś, powiedział sobie. Skup się na tym, co robisz.

Mapa pokazywała tory kolejowe i drogę przecinającą Rostov. Lecąc wzdłuż drogi — którą łatwiej wypatrzył — wkrótce dostrzegł przed sobą niewielką grupkę niskich budynków.

Z mapy wynikało, że lotnisko znajduje się trzy mile na północny wschód od miasta, lecz kiedy się pojawiło i Page przygotował się do zwrotu w tamtym kierunku, ze zdumieniem ujrzał drugi pas startowy po przeciwnej stronie miasteczka, na południowym wschodzie. Nie był zaznaczony na mapie. Lecąc teraz niżej, Page mógł przyjrzeć się z bliska i zobaczył, że pas jest popękany i wyboisty, zasypany śmieciami, porośnięty nieregularnymi kępami chwastów i kaktusów. Obok wznosiły się zrujnowane szkielety hangarów. Mnóstwo hangarów, spostrzegł z zaciekawieniem. Przed wielu laty to był spory obiekt.

Co się z nim stało? — zastanawiał się Page.

Zauważył coś jeszcze: niezwykłą cechę terenu rozciągającego się za zniszczonym pasem startowym. Rozległą połąć ziemi pokrywało coś, co przypominało grube bryły czarnego tufu, kontrastujące z brązową wystrzępioną trawą, widomy dowód aktywności wulkanicznej, która przed eonami wypchnęła podziemne śmiecie na powierzchnię. Tuf tworzył krawędź krateru wulkanicznego, który z czasem uległ takiej erozji, że pozostała widoczna tylko połowa, ledwie wystająca ponad powierzchnię ziemi.

Erupcja, która nastąpiła tak dawno temu, rozrzuciła odłamki wszędzie dookoła. Page widywał podobne tereny, kiedy latał nad Arizoną. Ogólnie nazywano je *badlands*, nazwa pasująca do takich ponurych, jałowych miejsc. Mimo woli pomyślał, że to konkretne miejsce pasuje również do jego nastroju.

Coraz bardziej niespokojny o Tori, przeleciał znad zniszczonego, nieoznaczonego na mapie lotniska do oficjalnego lądowiska. I znowu musiał się skupić na precyzyjnym wykonaniu niezbędnych czynności. Zgłosivszy przez radio zamiar liniowania i sprawdzivszy, w którą stronę jest skierowany rękaw lotniskowy, zredukował obroty silnika i poszybował w dół. Kiedy środkowa linia pasa znalazła się pomiędzy końcami skrzydeł, wyrównał lot, poczuł, że samolot płynie, że zaczyna osiadać, lekko odchylił do tyłu wolant i delikatnie dotknął ziemi dwoma głównymi kołami, pozwalając, żeby przednie koło samo opadło, chroniąc wspierającą je goleń podwozia.

Dokołował na płycie postojową obok budynku, który wyglądał jak stara stacja benzynowa, tyle że bez pomp. Zamiast tego paliwo trzymano w małej cysternie. Pospieszenie odepchnął od siebie wspomnienie cysterny, której eksplozję widział w Santa Fe przed kilkoma dniami. Przez otwarte drzwi hangaru dostrzegł helikopter i learjeta. Te maszyny w małej osadzie mogłyby zdziwić, gdyby nie fakt, że to był Teksas, kraina bydła. Na stojance stały przywiązane cztery śmigłowce, wszystkie mocniejsze i kosztowniejsze od cessny Page'a, następny wskaźnik bogactwa.

Page wygramolił się z kokpitu, zabezpieczył samolot i wyciągnął bagaże z tylnego siedzenia, po czym odkrył, że nie może chodzić. Mięśnie miał jakby sparaliżowane. Z chwilą gdy zakończył obowiązki pilota, wszystkie splątane emocje wyrwały się z ciasnego mentalnego więzienia, gdzie zdołał je zamknąć. Nie był już ponad wszystkim. Nie musiał wykonywać dziesięciu czynności naraz. Natychmiast powróciło napięcie, które dręczyło go od dwóch dni.

Dlaczego Tori wyjechała bez uprzedzenia?

Co ona tu robi?

Co się dzieje, do cholery?

Pomimo narastającego niepokoju Page zmusił nogi do pracy i przeniósł torby po rozgrzanym chodniku. Budynek, który przypominał mu stacją benzynową, miał ściany z cegły suszonej na słońcu i dach z blachy falistej, zardzewiały ze starości.

Page otworzył skrzypiące siatkowe drzwi i wszedł do małej recepcji, wyposażonej w poobijany drewniany stół i odrapaną skórzaną sofę. Automat ze słodyczami i chłodziarka do wody stały obok telefonu wiszącego na ścianie. Następne drzwi prowadziły do biura po prawej, skąd wyjrzał masywny siwowłosy mężczyzna około sześćdziesiątki. Nosił wystrzępiony kombinezon mechanika i szmatą wycierał smar z palców. Page postawił bagaże i uściśnął dłoń mężczyzny, nie zważając na smar; wiedział, że dzięki temu zdobył trochę szacunku.

— Dzwoniłem dzisiaj rano z Santa Fe w sprawie wypożyczenia samochodu.

— Pan jesteś Dan Page?

— To ja. Nie wiem, jak długo zostanę, ale chciałbym otworzyć rachunek na kartę kredytową, żeby pan mnie obciążył za postojowe. I jeszcze potrzebuję napełnić zbiorniki setką niskoolowiową.

Większość maszyn o napędzie śmigłowym używała tego rodzaju paliwa, jednego z nielicznych ołowiowych nadal sprzedawanych w Stanach Zjednoczonych.

— W porządku... samochód jest za budynkiem — oznajmił mechanik. — Mam dla pana gotowe dokumenty do podpisania.

Starannie ukrywając wzburzone emocje, Page podał swoje prawo jazdy i kartę kredytową.

— Niewielu obcych tutaj przylatuje — dodał mechanik, w uprzejmy teksaski sposób pytając, po co Page przybył do miasta. Page'a zdziwiła własna odpowiedź.

Mam problemy małżeńskie do rozwiązania.

11

Samochodem była czerwona toyota celica. Fala żaru buchnęła z wnętrza, kiedy Page otworzył drzwi po stronie kierowcy, zostawił drzwi otwarte, dopóki nie załadował toreb do bagażnika, ale kiedy usiadł za kierownicą, fotel i kierownica wciąż parzyły. Uruchomił silnik i włączył klimatyzację. W strumieniu chłodnego powietrza odetchnął głęboko i spróbował się uspokoić. Potem wyjechał z lotniska na polną drogę, która prowadziła tylko w jednym kierunku i łączyła się z brukowaną szosą przecinającą Rostov.

Wieża ciśnień górowała nad niskimi zabudowaniami. Po prawej stronie wzdłuż torów kolejowych ciągnęły się zagrody dla bydła. Na przedmieściach Rostova ulica zrobiła się dwukrotnie szersza, co prawdopodobnie stanowiło pozostałość z pionierskich czasów, kiedy bydło przepędzano przez miasteczko.

Page minął skład paszy i ziarna, sklep siodlarski i przedstawicielstwo Forda, które chyba specjalizowało się w pick-upach. Dotarł do kwartału domów pomalowanych na kolory ziemi, od piaskowego poprzez płowy do ciemnego brązu. Z fasadami kontrastowały frontowe drzwi, zielone, czerwone lub niebieskie. Przed parterowymi domkami pyszniły się barwne kwiatowe ogródki.

Na skrzyżowaniu szerokich ulic stały wyłącznie budynki użyteczności publicznej — restauracja, bank, hotel, biuro sprzedaży nieruchomości (Page przypomniał sobie Tori) i sklep odzieżowy. Tutaj również kolory przyciągały wzrok. Jeden budynek był czerwony, drugi fioletowy, trzeci żółty, następny zielony — w obrębie całego kwartału nie znalazłoby się dwóch

jednakowych odcieni. Lecz pomimo świeżego wyglądu budynków Page odniósł wrażenie, że większość z nich ma swoje lata i że niegdyś o mało się nie zawaliły. Wyczuł coś jeszcze: że już widział te budynki, nie w obecnej kolorowej wersji, ale takie jak dawniej, podobnie jak zdawało mu się, że już widział pastwiska z krowami na obrzeżach miasteczka, chociaż był tutaj po raz pierwszy.

Nie było dużego ruchu. Kobieta popychała wózek dziecięcy. Młody mężczyzna siedział na ławce i grał na organkach, Page ledwie go słyszał przez szczelnie zamknięte okna samochodu. Na końcu ulicy po prawej stronie zauważył staroświecki dworzec kolejowy. Po lewej widział kościół i plac zabaw. Naprzeciwko wznosił się budynek z kopulastą wieżą, wyglądający na gmach sądu.

12

Wytarta posadzka z ciemnego marmuru. Po lewej stronie drzwi z taflą mlecznego szkła, na której czarne litery głosiły. DEPARTAMENT POLICJI.

W środku siedziała za kontuarem starsza kobieta w skórzanej kamizelce. Podniosła wzrok na Page'a i uśmiechnęła się.

— Słucham pana?

— Nazywam się Dan Page. Jestem umówiony z szefem Costiganem. Mówiłem, że będę o piątej.

— I przyszedł pan punktualnie — powiedział chrapliwy głos. Page rozpoznał głos, który słyszał tego ranka w telefonie.

Odwrócił się w stronę drzwi biura, gdzie stał tyczkowaty mężczyzna. Twarz miał chudą i pomarszczoną, z szarawą cerą, typową dla palacza. Miał wąsy i krótko przycięte szpakowate włosy, i małą bliznę na podbródku. Nosił jasnobrązowy mundur. Chociaż przy jego służbowym pasie wisiał nowoczesny pistolet Glock, Page nie zdziwił się, widząc na jego nogach kowbojskie buty.

— Zaciekawilo mnie to, co pan mówił o lotnisku, więc poprosiłem Harry'ego stamtąd, żeby pana wypatrywał. Zadzwoił, żeby mnie zawiadomić o pana przylocie. Ma pan własny samolot?

— Cessnę sto siedemdziesiąt dwa.

— Ja się denerwuję w samolotach. — Costigan wskazał swój gabinet. — Proszę wejść.

Podali sobie ręce, kiedy Page przekroczył próg.

— Nie znam żadnych policjantów, których stać na samolot. — Costigan usiadł za zabytkowym drewnianym biurkiem. Obrotowy fotel głośno zaskrzypiał.

— Odziedziczyłem go po ojcu. Był mechanikiem w Siłach Powietrznych. Proszę pana, chyba pan się nie obrazi, jeśli darujemy sobie towarzyskie pogawędki. Chcę się dowiedzieć czegoś o żonie. Mówił pan, że jeden z pana zastępców znalazł jej samochód dzisiaj wcześniej rano. — Page ze wszystkich sił starał się panować nad emocjami.

— Tak jest. Na poboczu drogi. Dokładnie pod platformą obserwacyjną.

— Platformą obserwacyjną?

— To jedna z tych rzeczy, które moim zdaniem lepiej pan zrozumie, jeśli panu pokażę, zamiast opowiadać.

Page czekał na dalszy ciąg, ale Costigan nie rozwinął swojej wypowiedzi.

— Słuchaj pan, nic z tego nie rozumiem — oświadczył ostro Page. — Na pewno mojej żonie nic się nie stało?

— Z całą pewnością.

— I ona nie jest z nikim?

— Jest sama. Zatrzymała się tu w motelu... Koniec Szlaku. Zabiorę pana do niej, gdy tu skończymy. — Costigan pochylił się do przodu, wpatrując się w rozmówcę. — Jak długo pan pracuje w policji?

— Piętnaście lat.

Costigan skupił spojrzenie po prawej stronie paska Page'a, gdzie wytarte miejsce świadczyło o częstym noszeniu kabury.

— Zawsze czuję się niepewnie, kiedy nie mam broni. Zabrał pan broń ze sobą?

— A zna pan jakiegoś policjanta, który zostawia broń w domu? Czy pan sam w ogóle wychodzi gdzieś bez broni, nawet po służbie?

Costigan ciągle wpatrywał się w gościa.

— To nie jest broń służbowa. To moja własna — dodał Page. — Mam zezwolenie na noszenie ukrytej broni. Teksas i Nowy Meksyk mają obustronne porozumienie.

— Znam prawo, panie Page. Ale pan nie odpowiedział na moje pytanie.

— Moja broń jest w walizce, bezpiecznie zamknięta w wynajętym samochodzie. Dlaczego pan pyta?

— W tych okolicznościach chyba lepiej, żeby tam została.

— W jakich okolicznościach? — Page czuł się zbity z tropu, dopóki nie zrozumiał, do czego zmierza Costigan. — Jezu, chyba pan nie myśli, że stanowią zagrożenie dla żony?

— Domowe kłótnie i broń nie są dobrym połączeniem.

— To nie jest żadna domowa kłótnia. — Page starał się nie podnosić głosu.

— Naprawdę? Więc czemu pan pytał, czy ona z kimś jest? Czemu powiedziała matce, że wybiera się do niej do San Antonio, ale nie zawiadomiła pana przed wyjazdem?

Page milczał przez chwilę. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Potem bezradnie rozłożył ręce, siłąc się na spokój.

— Okay, prawda jest taka, że nie potrafię tego wytłumaczyć. Nie mam pojęcia, dlaczego wyjechała i nic mi nie powiedziała, i z pewnością nie mam zielonego pojęcia, co ona robi w Rostovie.

— Dlaczego tu przyjechała... zrozumie pan wieczorem. A co się dzieje między wami...

— Obiecał pan zabrać mnie do niej. — Page wstał. — Tracimy czas. Chodźmy.

— Nie skończyliśmy rozmowy. Niech pan siada. Opowiem panu historię.

— Historię? — Page zagapił się na mężczyznę za biurkiem. — Co za idiotyczne...

— Tak, historię. Niech mi pan nie odmawia. To o moim ojcu. Był kiedyś szefem policji tu w Rostovie.

— Co to ma wspólnego...

— Jeszcze pan nie usiadł, panie Page.

Siła spojrzenia Costigana sprawiła, że Page się zawahał.

— A potem zabiorę pana do żony.

Page usiadł zniecierpliwiony.

— Niech pan opowiada swoją historię.

— Pewnego wieczoru ojciec odebrał telefon od przerażonego chłopca, który powiedział, że jego tata bije mamę. Kiedy chłopiec się przedstawił, ojciec nie od razu skojarzył nazwisko. Ta rodzina przeprowadziła się tutaj z Fort Worth kilka miesięcy wcześniej. Mąż był bezrobotny i jego krewny, który tu mieszkał, znalazł mu pracę w zagrodach dla bydła. Po pracy mąż lubił zaglądać do miejscowego baru, upijać się i wszczynać burdy. Dawno nie pamiętano takiego gorącego września, ale żona zawsze nosiła bluzki z długim rękawem, zapięte pod szyję. Później

się okazało, że robiła to, żeby ukryć sińce. Chłopiec był cichy w szkole i zawsze nerwowy, jakby się bał, że popełni błąd i zostanie ukarany. Tamtego wieczoru, kiedy chłopiec zadzwonił, przestraszony, że jego tata zabije mamę, mój ojciec wsiadł do radiowozu i pojechał tam. Dom stał w pobliżu zagrody dla bydła, zniszczony budynek z cegły suszonej na słońcu, z tynkiem odpadającym ze ścian. Światła się paliły. Kiedy mój ojciec usłyszał krzyki i szlochy, zapukał do drzwi i przedstawił się jako oficer policji. Przynajmniej tak sobie wyobrażam. Odgrywałem to w myślach sam nie wiem ile razy. Krzyki ucichły. Ojciec znowu zapukał i ze środka padł strzał z dubeltówki, który rozerwał drzwi na pół. Ojca również rozerwał na pół. Wątpię, czy ojciec żył tak długo, żeby poczuć uderzenie o ziemię.

Page wychylił się do przodu w krześle.

— Kiedy ojciec nie zameldował się pół godziny później, zastępca podjechał pod ten dom i znalazł mojego ojca rozciągniętego na ziemi. Najpierw zwymiotował, potem opanował się na tyle, żeby wezwać karetkę. Wtedy nie było w mieście innych policjantów. Zastępca mógł tylko skontaktować się z drogówką, ale powiedzieli, że dojadą najwcześniej za pół godziny, więc zastępca wziął się w garść, wyciągnął broń i wszedł do domu. Żona leżała w pokoju dziennym, z odstrzeloną głową. Krew była wszędzie. Zastępca wszedł do kuchni. Nikogo. Wszedł do głównej sypialni. Pusto. Wszedł do mniejszej sypialni, pokoju chłopca, i zobaczył otwarte okno. Ojciec widocznie usłyszał, że chłopiec wyskoczył przez okno. Następnego dnia ekipa śledcza ustaliła, że ojciec ścigał syna przez drogę i na pole. Jak pan myśli, dlaczego tak postąpił?

Page powoli wciągnął powietrze.

— Taki człowiek obwinia rodzinę za swoje niepowodzenia. Wszystko to przez nich i trzeba ich ukarać.

— Chodził pan na kursy psychologii?

— Podwyższają zaszerogowanie.

Costigan spojrział w przestrzeń, jakby przypominał sobie noc, kiedy się dowiedział, że jego ojciec został zastrzelony z dubeltówki. Ponownie skupił wzrok.

— Mówi pan całkiem sensownie. Ale mam inne wyjaśnienie. Niektórzy ludzie są źle poskładani. Zadawanie bólu leży w ich naturze. Mają w sobie taką ciemność, że można ich opisać tylko jednym słowem: „źli”.

— Tak, spotykałem takich ludzi — przyznał Page. — Zbyt wielu.

— Następnego ranka ekipa poszukiwaczy znalazła ciało chłopca w chwastach, pół mili od domu. Ojciec leżał obok niego. Zabił syna, a potem włożył lufę do ust i nacisnął spust. Zanim znaleziono ciała, dobrały się do nich kojoty.

Page poczuł w ustach znajomy kwaśny posmak. Przypominał sobie samochód, z którym zderzył się pijany kierowca, pięcioro dzieci i kobietę w środku, zabitych na miejscu. Pomyślał o handlarzu narkotyków, który zaledwie przed dwoma dniami zastrzelił jego przyjaciela Bobby'ego.

— Przykro mi z powodu pańskiego ojca.

— Nie ma dnia, żebym go nie wspominał. Nigdy nie będę taki jak on. Ale nie był doskonały, czego dowodzi tamta noc. Nie powinien był do tego dopuścić. Jaka sytuacja jest najbardziej niebezpieczna dla policjanta?

— Kłótnia rodzinna.

— Właśnie. Bo są takie emocjonalne i nieprzewidywalne. Kiedy mój ojciec zapukał, powinien odsunąć się na bok, jak najdalej od drzwi i okien. Albo jeszcze lepiej, powinien zostać przy samochodzie i przez megafon rozkazać mężowi, żeby wyszedł z domu. Gdyby facet wyszedł z dubeltówką, ojciec przynajmniej miałby szanse się obronić. To nie musiało tak się potoczyć. Ale

ojciec miał pewną słabość. Nie znosił łobuzów znęcających się nad słabszymi. — Costigan spojrział prosto na Page'a. — Zwłaszcza nad kobietami.

— Okay — powiedział Page. — Zrozumiałem. Ale powtarzam, nie pokłóciłem się z żoną. To nie jest rodzinna kłótnia.

— Pan tak mówi. Ale dopóki się nie upewnię, że pan jej nie zagraża, zobaczy się pan z nią tylko w mojej obecności.

13

Chociaż słońce opadało w stronę horyzontu, świeciło nie zwykle jasno. W radiowozie na fotelu pasażera Page nałożył ciemne okulary. Wyciągnął telefon komórkowy i zadzwonił do Margaret, żeby ją zawiadomić, że Tori nic się nie stało i że właśnie do niej jedzie. Przyrzekł, że Tori zadzwoni do matki, ale nie wiedział, czy zdoła dotrzymać tej obietnicy.

Kiedy przejeżdżali przez Rostov, zauważył za oknem sklep z częściami samochodowymi i restaurację o nazwie Pałac Żeberek. Dalej, na skraju miasta, szyld głosił: MOTEL KONIEC SZLAKU. Rzędy brzydkich parterowych domków tworzyły literę U, z recepcją w środku.

— Pana żona mieszka pod jedenastką — oznajmił Costigan, kiedy samochód wjechał z chrzęstem na żwirowany parking, wzbijając chmurę kurzu.

Ale kiedy dotarli do numeru 11, miejsce parkingowe było puste.

Page również poczuł pustkę w środku, kiedy wysiadał z radiowozu. Zasłony były zaciągnięte i nie widział, czy w środku są bagaże.

Przeszli po żwirze, otwarli skrzypiące siatkowe drzwi i weszli do recepcji wyposażonej w automat z napojami i mały telewizor stojący w kącie. Na ekranie sprawozdawca podawał wyniki sportowe.

— Jake — zwrócił się szef policji do młodego, chuderlawego recepcjonisty za kontuarem — czy pani z jedenastki się wymeldowała?

— Nie. Zapłaciła do końca tygodnia. Widziałem, jak wyjeżdżała dwadzieścia minut temu.

Costigan kiwnął głową, potem wskazał Page'a.

— Lepiej zatrzymaj pokój dla tego pana.

— Nie trzeba — sprzeciwił się zirytowany Page. — Zamieszkać z żoną.

— O ile się zgodzi, ale jeśli nie, zarezerwuj dla niego pokój, Jake.

Siatkowe drzwi ponownie zaskrzypiały, kiedy Costigan je otworzył. Na zewnątrz rozmyślał przez chwilę, odwracając twarz od zachodzącego słońca.

— Ona ma przed sobą długą noc.

Cokolwiek to znaczy, pomyślał Page.

— Mówił pan, że zastępca znalazł ją wcześniej rano. Co robiła do tamtej pory?

— Sam pan musi zobaczyć.

— Szefie, mam już tego dosyć.

Costigan jakby nie słyszał.

— Może pojechała coś zjeść. Sprawdźmy w Pałacu Żeberek.

Wrócili do restauracji, ale terenówka Tori nie stała na parkingu. Page zauważył, że większość klienteli jeździła pick-upami. Na nalegania szefa weszli do środka. Tori nie było wśród wieczornego tłumu.

— Fred — zagadnął Costigan mężczyznę w fartuchu za ladą — czy jakieś dwadzieścia minut temu weszła tutaj rudowłosa kobieta i kupiła jedzenie na wynos?

— Jasne. Kanapkę z indykiem i serem plus mrożoną herbatę: Nie mamy dużego popytu na indyka. Poszczyło jej się, że akurat trochę mieliśmy.

— Chyba powinieneś zrobić większy zapas. Mam przeczucie, że ona wróci. Daj nam kilka hamburgerów i frytki na wynos. — Costigan spojrział na Page'a. — Mam nadzieję, że pan nie jest wegetarianinem.

Page tylko na niego popatrzył.

— Hamburgery mogą być — mruknął. — Ja stawiam.

Wypchana papierowa torba miała tłustą plamę po jednej stronie. Page zaniósł ją do radiowozu. Wsiedli i ruszyli na wschód. We wszystkich kierunkach ciągnęły się splachetki brązowej trawy. Krowy pasły się w zapadającym zmierzchu.

Po prawej stronie pojawiło się ogrodzenie z drutu kolczastego, za którym wznosiły się przerdzewiałe ruiny rozwalonych metalowych baraków. Na płocie w regularnych odstępach wisiały tablice:

WŁASNOŚĆ ARMII STANÓW ZJEDNOCZONYCH
NIEBEZPIECZEŃSTWO
TRUJĄCE CHEMIKALIA
NIEWYBUCHY ARTYLERYJSKIE

— Tu był kiedyś poligon wojskowy — wyjaśnił Costigan. — W latach czterdziestych.

— Widziałem go z samolotu. Zastanawiałem się, co się z nim stało.

— Zamknęli go w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym i zostawili. Od tamtego czasu niszczeje.

Trochę dalej, za jakąś tablicą historyczną, Page zobaczył niską drewnianą budowlę z płaskim dachem. Przypominała przydrożne stragany, na jakich sprzedaje się warzywa. Tutaj jednak konstrukcja była zamknięta od strony drogi, natomiast otwarta część wychodziła na ogrodzenie i trawiastą równinę. Page za nic nie potrafił odgadnąć, do czego to służy.

Obok budowli parkował błękitny saturn Tori.

— Taak, przyjechała wcześniej — powiedział Costigan. Zjechali z drogi i zatrzymali się obok saturna. Boczna ściana nie pozwoliła Page'owi sprawdzić, czy Tori jest w środku. Jednocześnie zasłaniała Tori widok radiowozu.

— Pewnie sobie wykombinowała, że lepiej czekać tutaj niż w pokoju motelowym — stwierdził Costigan.

— To jest ta platforma obserwacyjna, o której pan wspominał?

— Tak, tutaj ją znalazł mój zastępca.

Page wyciągnął rękę, żeby otworzyć drzwi radiowozu.

— Czekaj pan — powiedział Costigan. — To już niedługo. Słońce prawie zaszło. Zrozumie pan, gdy tylko się ściemni.

Page wbił w niego spojrzenie.

— Dlaczego miałbym...

— Jak dotąd mi pan ustępował. Czy dziesięć minut więcej zrobi różnicę?

— Dlaczego to takie cholernie ważne, żeby zaszło słońce?

— Niech pan zje burgera, zanim wystygnie. Proszę mi wierzyć, to będzie długa noc.

Earl Holloway siedział w klimatyzowanym pomieszczeniu kontrolnym, spoglądając na liczne monitory telewizji przemysłowej, które pokazywały teren wokół obserwatorium. Taggard siedział obok niego i żuł batonik. Zachodzące słońce barwiło pomarańczowym odcieniem czasze radioteleskopów wznoszące się nad ziemią. Za chwilę, kiedy zapadnie ciemność, obrazy zrobią się zielone, ponieważ aktywują się czujniki termiczne w kamerach. Zwierzęta czy ludzie staną się wyraźnie widoczni jako świecące plamy, chociaż na razie nie pokazała się tani ani jedna krowa czy choćby królik.

Holloway sięgnął po magazyn sportowy, który Taggard wcześniej czytał. Co minutę zerkał na monitory. Na zewnątrz nic się nie działo. Na zewnątrz nigdy nic się nie działo. Oczywiście to dobrze, zwłaszcza w porównaniu z bombardowaniami i zasadzkami, które Holloway przeżył w Iraku. Ale jaki ten przydział był nudny, Boże Wszechmogący! Holloway usłyszał, że w korytarzu zamknęły się drzwi.

— Zaraz wracam — powiedział do partnera. Taggard kiwnął głową i ugryzł następny kęs batona. Holloway wyszedł z dyżurki i przeszedł korytarzem do drzwi, których zamykanie usłyszał. Wiedział, które to drzwi, ponieważ co wieczór zamykały się zawsze te same, oznakowane tabliczką ANALIZA DANYCH.

W ciągu dnia Gordon zostawia drzwi otwarte, ale na noc zawsze je zamyka, pomyślał Holloway. Dlaczego? Co on ukrywa?

Nowa fala nudy kazała Hollowayowi sięgnąć do klamki i otworzyć drzwi. Pomieszczenie wypełniał delikatny szum wszystkich elektronicznych urządzeń ustawionych pod ścianami — i jeszcze delikatniejsza wibracja, którą Holloway wyczuwał na terenie całego obiektu, która przeszkadzała mu spać i przyprowadzała o nieustanny lekki ból głowy.

Gordon miał słuchawki na tysej głowie. Siedząc przy biurku odwróconym od drzwi, studiował szeregi cyfr pojawiających się na ekranie komputera.

Holloway podszedł bliżej. Gordon wyczuł ruch i spojrzał w jego stronę. Zdumiony, zdjął słuchawki i podsunął okulary wyżej na nosie.

— Nie zamknąłem drzwi na klucz? Myślałem, że zamknąłem.

— Tylko sprawdzam, czy wszystko w porządku.

— Oczywiście, że tak. Dlaczego by nie miało być w porządku? — zapytał Gordon obronnym tonem.

— Płacą mi za to, żeby się dowiedzieć.

Holloway usłyszał hałas dochodzący ze słuchawek, które Gordon położył na blacie. Dźwięk był słaby, nie jak po południu, kiedy dochodził z głośników. Niemniej dało się zauważyć, że brzmiał całkiem inaczej, już nie uporczywe trzaski, tylko serie drżących tonów różnej wysokości, niektóre wznoszące się, inne opadające, wiele łączących się w niskie i wysokie unisono.

W tych dźwiękach wyczuwało się subtelne, zmysłowe drzenie. Powolny, podniecający rytm sprawił, że Holloway postąpił krok do przodu.

— Brzmi jak muzyka — zauważył.

— Nie chcę być niegrzeczny, ale musisz stąd wyjść — odparł Gordon. — Mam robotę.

Holloway podniósł ręce.

— Jasne. Przepraszam, że ci przeszkodziłem, Gordon. Jak mówiłem, tylko sprawdzałem.

Kiedy się cofnął, dźwięki ze słuchawek znowu się zmieniły. Stanowczo brzmiały jak muzyka. Ale nie przypominały żadnej muzyki, jaką dotąd słyszał.

Jako nastolatek marzył, że zostanie gwiazdorem rocka. Założył garażową kapelę i ciągle jeszcze cholernie dobrze grał na gitarze elektrycznej. Znał tonację majorową i minorową, takt na trzy czwarte i na cztery czwarte. Ale w tej muzyce nie rozpoznał żadnej tonacji i z pewnością żadnego wyraźnego taktu. Chociaż tak słaba, płynęła i szybowała, wznosiła się i opadała. Nuty łączyły się i rozdzielały w rytmie przypominającym niemal rytm jego oddechu, kiedy miał urlop i leżał na plaży w Meksyku, rozkoszując się słonym zapachem powietrza i ciepłem słońca.

— Nie wiem, co to jest, ale nigdy nic słyszałem czegoś tak pięknego.

Gordon zdjął okulary i ku zdumieniu Hollowaya przestał protestować. Zamiast tego, kiedy znowu się odezwał, mówił jakby z ulgą, że może się z kimś podzielić swoim odkryciem.

— Rzeczywiście jest piękne — powiedział.

— Dlaczego tego nie słyszeliśmy po południu? — zapytał Holloway.

— Nie mam pojęcia. Cokolwiek to jest, występuje tylko po zachodzie słońca.

— I słyszysz to co noc?

— Nie. Nie w ten sposób. Do przedwczorajszej nocy było zawsze słabe i niewyraźne, jakby ukryte za zakłóceniami. Musiałem zastosować mnóstwo elektronicznych filtrów, żeby wyłapać to brzmienie.

— A co się stało przedwczoraj w nocy?

— Wiem tyle co i ty. Ale ni stąd, ni zowąd zacząłem to słyszeć.

— Ja tego nie słyszę za dobrze — powiedział Holloway. — Możesz włączyć głośniki?

Gordon zawahał się, widocznie z obawy przed pogwałceniem rozkazów. Ale potem wzruszył ramionami, jakby mówił: „A co tam, nie mogę dłużej tego trzymać w sekrecie”, i przerzucił przełącznik.

Natychmiast falująca, szybująca, nieważka muzyka wypełniła pokój. Holloway poczuł się tak, jakby stał na poduszce powietrznej. Instrumenty — nieznane — miały brzmienie jak z syntezatora, które nie pozwalało ich zidentyfikować. Może tylko to sobie wyobraził, ale płynne tony wsączały mu się do uszu niczym podniecający szept przytulonej do niego kobiety.

— Mój Boże, to piękne — powtórzył. — Skąd się bierze?”

— Próbujemy to ustalić, odkąd zbudowano ten obiekt — odparł Gordon. Po chwili dodał: — I podobno dużo dłużej.

Ostatnie słowa brzmiały enigmatycznie, ale zanim Holloway zdążył poprosić o wyjaśnienie, w drzwiach pokazał się Taggard.

— Co to za stacja radiowa? Nigdy nie słyszałem czegoś takiego. Jest w Internecie? Jak mogę ściągnąć taką muzykę?

— Jeśli spróbujesz ją nagrać, ktoś będzie musiał cię zastrzelić — oświadczył Gordon.

Taggard zrobił zdziwioną minę.

— Ja nie żartuję — dodał Gordon.

Holloway prawie nie zwracał na nich uwagi. Czuł, że muzyka go opływa, a potem wpływa do środka, staje się jego częścią. Poduszka powietrzna, na której dryfował, zrobiła się bardziej i miękka. Jednocześnie ból głowy, dotąd tłumiony, w końcu wyrwał się spod kontroli niczym stan zapalny, którego nie można dłużej ignorować.

Ból był piękny.

Dowództwo Wywiadu i Bezpieczeństwa Armii Stanów Zjednoczonych, w skrócie INSCOM*, to jedna z nielicznych amerykańskich instytucji wojskowych stanowiących również część cywilnej organizacji, konkretnie Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, największej światowej służby elektronicznego wywiadu. Choć INSCOM utrzymuje kilka baz, ta związana z NSA znajduje się w Fort Meade w Marylandzie, razem z centralą NSA.

Z okna swojego gabinetu pułkownik Warren Raleigh miał widok na odległą o milę centralę NSA, kompleks wysokich budynków zwieńczonych lasem anten i czasz mikrofalowych. Nad całą grupą dominowały dwie masywne czarne konstrukcje. W ciągu dnia w ich lśniących czarnych oknach odbijało się pięć tysięcy samochodów, stojących dookoła na rozległych parkingach.

Raleigh pomyślał, że to odpowiedni widok. Pracownicy NSA mogli wyglądać na zewnątrz, ale nikt nie mógł zajrzeć do środka. Tajny charakter agencji przejawiał się nie tylko w ten sposób — chociaż budynki były ogromne, pod ziemią kryły się jeszcze większe kompleksy.

Biuro Warrena Raleigha znajdowało się w dwupiętrowym budynku, zaprojektowanym tak, żeby wyglądał zwyczajnie i niepozornie. Metalowa plakietka przy wejściu głosiła: INSTYTUT BADAN ENERGII SŁONECZNEJ I WIATROWEJ, sugerując, że w środku pracowano nad wykorzystaniem źródeł lądowej, odnawialnej energii na potrzeby rządu i armii. W rzeczywistości plakietka stanowiła jeden z żartów Raleigha. Sam pomyślał, że rząd i wojsko interesują się ekologicznymi albo energooszczędnymi rozwiązaniami, był śmieszny. E, S i W w Energii Słonecznej i Wiatrowej oznaczały w rzeczywistości Eksperymentalne Strategie Wojenne.

Wiele projektów opracowywanych w tym budynku miało tylko marginalny związek z nadrzędnym zadaniem NSA, czyli szpiegostwem elektronicznym, niektóre jednak — jak próby stworzenia promieni śmierci z wiązek mikrofal emitowanych przez SMS-y w telefonach komórkowych — stanowiły logiczne rozwinięcie działalności NSA. Podobnie jak eksperymenty mające na celu przystosowanie satelitów komunikacyjnych do strzelania wiązkami laserowymi w pozycje wroga.

Lecz osobiście Raleigh uważał, że nic nie może się równać z bronią palną. Drugi z pięciu podziemnych poziomów budynku przeznaczono na rozległą strzelnicę, której część zamieniono w tak zwany dom strzelniczy z labiryntem zaprojektowanym tak, żeby przypominał korytarze i pokoje w zwykłym domu mieszkalnym albo biurze. W każdym korytarzu i w każdym pokoju czaiły się niewidzialne zagrożenia. Znienacka wyskakiwały tarcze naturalnej wielkości, a obiekt musiał prawidłowo je rozpoznać i wyeliminować uzbrojonych przeciwników, nie raniąc niewinnych przypadkowych świadków. I należało to zrobić w możliwie najkrótszym czasie, zwykle nie dłuższym niż dwie minuty.

Tego czwartku na początku czerwca, o dziewiątej wieczorem Raleigh zamierzał pobić własny rekord.

— Za pozwoleniem, panie pułkowniku.

— Róbcie swoje, sierzancie.

— Tak jest.

Sierżant Lockhart, kawał chłopca, potrząsnął gwałtownie pułkownikiem i zakreślił nim.

— Stać was na więcej, sierzancie!

— Tak jest!

Sierżant potrząsnął Raleighem tak mocno, że pułkownikowi zęby zaszczekały. Potem określił go brutalnie jak w centryfudze. Pułkownik przez chwilę się zastanawiał, czy sierżant nie za bardzo lubi swoją pracę.

* Intelligence and Security Command.

Nagle Lockhart puścił go, wcisnął mu do rąk M4 i wepchnij go do domu strzelniczego.

Sierżant rzeczywiście się postarał. Raleigh był kompletnie zdezorientowany. Miał wrażenie, że ściany się przechylają a podłoga faluje. Serce mu waliło, wzrok się mącił.

Za każdym razem, kiedy Raleigh urządzał sobie sprawdzian w domu strzelniczym, Lockhart przestawiał ściany działowe i zmieniał rozkład pomieszczeń w nieprzewidziany sposób. Raleigh mógł być pewien tylko jednego: znanej broni w rękach. Podczas dwudziestopięcioletniej kariery używał jej poprzednika, M16, w licznych walkach na całym świecie. Potrafił rozłożyć i złożyć z powrotem M16 w absolutnej ciemności i z zadziwiającą szybkością. Poznał jego kształty i sekretne zakamarki równie dobrze jak ciało kochanki. Strzelał z tej szacownej zabójczej broni niezwykle celnie, nawet kiedy była nastawiona na pełny ogień automatyczny.

M16 miał jednak wady, zwłaszcza długość lufy, nieporęcznej w ograniczonej przestrzeni podczas walk miejskich, opracowano więc krótszy, lżejszy karabinek M4. Jako oficer wojsk lądowych Raleigh miał pewne zatargi z piechotą morską, jednak zdecydowanie popierał ich rozsądne żądanie, żeby wszyscy oficerowie zamienili broń boczną na M4.

W głębi serca wszyscy kochamy strzelać, pomyślał Raleigh.

Posuwając się ostrożnie ciemnym korytarzem, sprawdził, że selektor M4 jest nastawiony na serie trzystrzałowe. Siłą woli opanował zawroty głowy i słabość w nogach. Dzięki dobrze przećwiczonym technikom biologicznego sprzężenia zwrotnego spowolnił tempo oddychania i poskromił rozszalały puls.

Z drzwi przed nim wyskoczył cel.

Raleigh wycelował i wstrzymał ogień. Cel był starszym mężczyzną, z podniesionymi rękami.

Raleigh zajrzał do pomieszczenia, które okazało się puste, i ruszył dalej korytarzem, ale natychmiast hałas z tyłu kazał mu się odwrócić. Następny cel wypadł z pokoju. Jakimś sposobem wcześniej się tam ukrył. Był to mężczyzna z karabinem, ale zanim się zatrzymał, Raieigh pociągnął za spust i wpakował mu trzy kule w głowę. Następne trzy pociski posłał w głowę staruszka, zakładając, że stary drań był w zмовie z napastnikiem i w prawdziwej walce pewnie podniósłby karabin zabitego, gdy tylko Raieigh odwróci się plecami.

Raieigh szybko zlustrował korytarz. Z bronią gotową do strzału ruszył przez gęstniejące cienie. Sztuczka polegała na tym, żeby zachować równowagę, nigdy nie stawiać jednej nogi za daleko przed drugą. Szurając nogami, posuwał się sprawnie naprzód, w każdej chwili przygotowany na zrekompensowanie odrzutu M4.

Następny cel wyskoczył z drzwi. Raieigh prawie strzelił, zanim zobaczył, że to była kobieta z dzieckiem na ręku. Ale potem spostrzegł, że dziecko to tylko lalka, spod której wystaje kolba pistoletu. Pociągnął za spust i trzy pociski trafiły w głowę kobiety.

Gęsty zapach prochu wypełnił korytarz. Chociaż Raleigh nosił w uszach ochronne zatyczki, zmysły miał tak wyostrzone, że niemal słyszał brzęk pustych łusek spadających na betonową podłogę.

Ile czasu minęło? Jak długo tutaj przebywał?

Nie myśl o tym! Po prostu rób swoje!

Korytarz skręcał w prawo. Raleigh wszedł do recepcji z kontuarem, przed którym stały drewniane krzesła. Bez ostrzeżenia zza kontuaru podniósł się cel. Mężczyzna z bronią!

Kiedy Raleigh strzelił, z drzwi biura wyskoczyła następna postać — kobieta w białym lekarskim kitlu. Podniosła ręce, a w polu widzenia pojawił się kolejny cel, wysunięty z innych drzwi, mężczyzna zamierzający rzucić granat.

Raleigh zastrzelił go, potem trafił w cel wyskakujący z drzwi w głębi, kobietę z karabinem, później zastrzelił dwóch rewolwerowców, którzy wyłonili się z korytarza po drugiej stronie recepcji.

Okręcił się i rozejrzał czujnie, przygotowany na kolejne ataki.

W ustach mu zaschło. Ręce pochyliły się na M4.

Serce waliło tak mocno, że czuł pulsowanie w żyłach na szyi. Oddychając głęboko, ale nie szybko, omiótł wzrokiem scenę przed sobą. Czy wyeliminował wszystkie zagrożenia?

Nie. Kobieta w białym lekarskim fartuchu dalej stała przed nim. Bez broni, z podniesionymi rękami.

Czy ten sierżant mnie wystawia? — pomyślał Raleigh. Czy w kieszeni fartucha jest broń?

Przestawił selektor M4 na pełną automatykę i opróżnił do końca magazynek. Kule rozerwały na strzepy białą postać z dykty.

Przez zatyczki usłyszał ostry elektroniczny gwizd, sygnał, że ćwiczenia się skończyły. Wyciągnął zatyczki i odwrócił się strone sierżanta Lockharta, który pojawił się w korytarzu.

— Skończyłem przed limitem dziewięćdziesięciu sekund — oznajmił Raleigh. — Pobitem własny rekord, zgadza się?

— Tak jest — odparł Lockhart, ale w jego głosie brzmiało zwątpienie.

Obejrzał się za siebie i na pewno pomyślał o kulach w celu przedstawiającym staruszka. Potem spojrział na zniszczoną postać kobiety w białym fartuchu.

— Kolaboranci — wyjaśnił Raleigh. — Przy pierwszej okazji zwróciliby się przeciwko mnie.

— Oczywiście, panie pułkowniku. — Lockhart wciąż miał powątpiewającą minę.

— Sierżancie, nie odpowiada wam ten przydział?

— Panie pułkowniku, bardzo się z niego cieszę.

— Mogę pana wysłać w jakieś miejsce, które daje więcej możliwości, żeby się wykazać. Na przykład do strefy wojennej.

— Wolałbym nie, panie pułkowniku.

— Walka wyrabia charakter, wiecie.

— Panie pułkowniku, ja byłem w walce. Z całym szacunkiem, nie uważam, żebym potrzebował więcej charakteru.

— Więc oszczędzę wam powtórek. Ale skoro byliście pod ogniem, zakładałem, że nauczyliście się jednej przydatnej rzeczy.

— Tak jest. Jakiej rzeczy?

Pułkownik wskazał rozwaloną figurę kobiety w białym lekarskim fartuchu.

— Nie pożyjecie długo, jeśli będziecie się martwić o niewinnych przechodniów, zwłaszcza w ogniu walki. Jasne, może jakiś mięczakowaty reporter oskarży was o zbrodnie wojenne, może armia ugnie się przed zrządzeniem bandy polityków i postawi was pod sąd. Ale przeżyjecie, a dziesięć lat ciężkich robót to lepsze, niż zginąć od kuli rzekomo niewinnego przechodnia, który myśli, że jesteście głupi, bo go nie zastrzeliliście. Albo jej. Ona mogła chować pod fartuchem bombę.

— Tak jest.

— Nikt tak łatwo nie pobije mojego nowego rekordu.

— Tak jest — zapewnił go sierżant.

Zabrzęczała komórka Raleigha. Odczepił ją od pasa i przemówił do niej władcym głosem:

— Tu Raleigh.

To, co usłyszał, sprawiło, że zacisnął zęby.

— Idę.

Dziwne dźwięki przesączały się przez zamknięte drzwi centrum dowodzenia, jeden poziom pod podziemną strzelnicą. Raleigh usłyszał je, gdy tylko wybiegł z windy. Minął uzbrojonego strażnika, wcisnął cyfry na klawiaturze zamka i pchnął drzwi.

Zalała go nawałnica dźwięków. Kilkunastu cywilnych pracowników wpatrywało się w rozmaite elektroniczne displaye, oceniało, mierzyło, obliczało. Nigdy jeszcze nie widział swoich naukowców tak zaaferowanych. Wśród mrowia błyskających instrumentów i pulsujących liczników zamknął pospiesznie drzwi i próbował zidentyfikować to, co słyszy. Przypominało muzykę, ale jeszcze nigdy nie słyszał takich tonów. Jasne, były przetworzone przez komputerowy program syntezatora, ale znał muzykę z syntezatora i wcale nie wywoływała takich wyraźnych uczuć jak te dźwięki.

Po pierwsze rytm przenikał go na wylot. Dryfował, tak hipnotyczny, że równoważył coraz szybsze bicie serca. Po drugie nuty wibrowały w taki sposób, że kolory w pokoju wydawały się intensywniejsze. Po trzecie melodia — w której nie potrafił wykryć żadnego wzorca — sprawiała, że w ustach czuł smak, jakby właśnie wypił...

— Czuje pan smak soku pomarańczowego, prawda, panie pułkowniku?

Podniósł wzrok, zaskoczony. Któryś naukowiec zauważył jak przesuwiał językiem po wargach.

— Zgadza się. Skąd pan wie?

— Wszyscy czujemy. Czy kolory też wydają się mocniejsze? — Oczy mężczyzny błyszcząły ciekawością.

Raleigh przytaknął, mrużąc oczy przed nagłym blaskiem monitorów.

— Prawie pan czuje muzykę, nie tylko słyszy — ciągnął naukowiec.

— Tak. Fale ciepła na skórze.

— To się nazywa synestezja.

Raleigh miał encyklopedyczną pamięć. Szybko skojarzył to słowo.

— Proces, w którym pobudzenie jednego zmysłu w jaki sposób prowadzi do pobudzenia również innych zmysłów.

— Właśnie — potwierdził naukowiec. — W tym przypadku nie tylko słyszymy te dźwięki, ale również je widzimy, czujemy ich dotyk i smak.

Raleigh przenosił wzrok z jednego naukowca na drugiego. Myślał o projektach, nad którymi pracował jego zespół. Do jego ulubionych należała metoda transmisji fal dźwiękowych o bardzo niskiej częstotliwości, które wpływały na fizyczne i psychiczne samopoczucie przeciwnika. Przeciwnik nie mógł nic słyszeć, więc nie zdawałby sobie sprawy z dźwiękowego bombardowania. Ale skutki byłyby spektakularne. W latach dziewięćdziesiątych XX wieku wypróbowano wczesną wersję; na izolowanej społeczności Taos w północnym Nowym Meksyku. Przez całe miesiące zalewano dolinę dźwiękami o niskimi częstotliwości, które w teorii powinny znajdować się poniżej progu słyszalności ludzi i zwierząt, w praktyce jednak okazały się ledwie słyszalne. Miejscowi, którzy pod wpływem tych dźwięków zmienili się w nerwowe wraki, nazwali je „szum Taos”. Psy i koty okazywały widoczny ból i drapały się w uszy aż do krwi. Usterka została naprawiona i teraz żaden człowiek ani zwierzę nie mogli słyszeć niskiej wibracji. Raleigh rozkoszował się poczuciem władzy — zwykłym przekręceniem przełącznika mógł wprawić ludzi w takie rozdrażnienie, że tracili panowanie nad sobą i nawet atakowali innych.

Lecz żaden projekt nie zapowiadał się tak intrygująco jak właśnie ten. Pracowano nad nim od dziesiątków lat, zanim jeszcze Raleigh odpowiednio pokierował swoją karierą i objął jego

kierownictwo w 1995 roku. Datował się wstecz do czasów przed powstaniem INSCOM w 1977 roku i nawet przed utworzeniem samej Agencji Bezpieczeństwa Narodowego w 1952 roku. Oto nastąpiła kulminacja tego, co fascynowało Raleigha od dzieciństwa, oto otrzymał szansę zrealizowania swoich życiowych ambicji.

W końcu przyszła moja kolej, pomyślał.

Pochyliwszy się nad konsolą, wpatrując się w mrugające światelka, skierował następne pytanie do całego zespołu.

— Zwykle dostajemy tylko zakłócenia. Dlaczego nagle tak się dzieje?

— To nie tylko Rostov — mruknęła jakaś kobieta, kręcąc głową, jakby chciała się uwolnić od tej dziwnej muzyki.

Raleigh odwrócił się do dużego ekranu komputerowego, na którym widniała mapa świata z czterema czerwonymi kropkami, rozmieszczonymi w dużych odległościach. Każda kropka pulsowała.

— Rostov zaczęło pierwsze — odezwał się mężczyzna w grubych okularach. — Ale potem inne zrobiły to samo. Zakłócenia znikły i... — Mężczyzna bezradnie rozłożył ręce. I usłyszeliśmy to.

— Inne?

Wciąż smakując sok pomarańczowy, Raleigh podszedł bliżej do mapy na ekranie. Jeden z migających punktów znajdował się w zachodnim Teksasie. Pułkownik zwykle odruchowo spoglądał na to miejsce, ponieważ tam od dawna koncentrowały się badania. Teraz jednak popatrzył na inne lokalizacje: Norwegia, Australia i Tajlandia — wszędzie tam występowały takie same zjawiska jak w zachodnim Teksasie.

— Teraz słyszymy to z Australii — ciągnęła kobieta.

— Ale tamte miejsca są jeszcze bardziej na uboczu im Rostov — zaprotestował Raleigh. — Cholera, to w Tajlandii jest na brzegu rzeki w dżungli. To w Australii leży setki mil w głębi buszu. I nie mamy tam w pobliżu żadnego sprzętu obserwacyjnego, nie mówiąc już o obserwatorium radiowym jak w zachodnim Teksasie.

— W tym przypadku nie potrzebujemy sprzętu — wyjaśnił okularnik. — Sygnały są tak potężne, że przebijają się do atmosfery. Wyłapujemy je na specjalnych częstotliwościach z naszych satelitów.

— Mówicie, że Rostov zaczęło pierwsze?

— Tak. Potem uaktywniły się pozostałe.

Raleigh odczepił od paska telefon komórkowy i szybko wystukał numer.

— Sierżancie, zbierzcie oddział. Cywilne tożsamości. Ukryta broń. O świcie wyruszamy do zachodniego Teksasu.

17

— Już jest dostatecznie ciemno — powiedział Costigan, niewyraźna sylwetka w policyjnym samochodzie. Żaden z nich nie odzywał się tak długo, że te słowa zabrzmiały dziwnie głośno.

— W końcu — burknął Page. — Najwyższy czas, żebym otrzymał obiecane odpowiedzi.

— Nie obiecywałem odpowiedzi — sprostował szef policji. — Obiecałem tylko, że pan zrozumie.

Page gniewnie pokręcił głową, otworzył drzwi po stronie pasażera i wysiadł na zwirowany parking. Przeciągnął się, żeby rozluźnić napięte mięśnie nóg i ramion. Jego towarzysz przeszedł na tył radiowozu, otworzył bagażnik i coś stamtąd wyciągnął.

— Proszę. — Costigan podał wiatrówkę. — Przyda się panu za kilka godzin. Tutaj robi się zimno.

— Za kilka godzin?!

Zaskoczony Page wziął wiatrówkę, ale jej nie nałożył. W zapadającym zmierzchu wszystko poszarzało. Na bocznej ścianie platformy obserwacyjnej zamontowano lampę, która jednak dawała niewiele światła. Ostatnie blaski zachodzącego słońca znikły za horyzontem.

Mijając saturna Tori i podchodząc do platformy obserwacyjnej, Page usłyszał za plecami nadjeżdżający samochód. Obejrzał się i zobaczył przednie światła kempingowego volkswagena, który zjechał z szosy i zatrzymał się niedaleko radiowozu. Zdziwiony, przystanął, żeby zobaczyć, kto przyjechał. Przednie światła volkswagena zgasły. Potem zapaliło się wewnętrzne oświetlenie, kiedy drzwi się otworzyły. Page dostrzegł sylwetki kobiety i mężczyzny w średnim wieku. Oboje wysiedli i rozprostowali ramiona, zeszywniałe po najwyraźniej długiej podróży.

— Lepiej, żeby było warto — rzucił mężczyzna z irytacją. Nadłożyliśmy sto pięćdziesiąt mil.

— Mówiłeś, że chcesz przejść na wcześniejszą emeryturę i zwiedzać ciekawe miejsca — odparła kobieta.

Mężczyzna rozejrzał się po ciemnym, niegościnnym pustkowiu.

— I jesteśmy w cholernie ciekawym miejscu. Ten radiowóz pewnie pilnuje, żeby tu nikogo nie obrabowali. No dobra, chodź, miejmy to z głowy.

Para zamknęła drzwi, gasząc wewnętrzne oświetlenie kempingowego samochodu. Z chrzęstem żwiru ruszyli w stronę platformy obserwacyjnej.

Page poszedł za ich przykładem. Costigan zboczył z drogi, żeby wyrzucić zgniecioną torbę z resztkami hamburgerów i frytek do kosza na śmiecie, po czym dołączył do Page'a. Zanim przeszli następne dziesięć stóp, Page usłyszał drugi nadjeżdżający samochód, potem trzeci. Oba wjechały na parking, światła ich reflektorów przesunęły się po drewnianej konstrukcji, ale tym razem Page się nie obejrzał.

Okrążył boczną ścianę i zobaczył wiatę długości około trzydziestu stóp i szerokości dziesięciu. Miała drewnianą podłogę, dach i wbudowaną ławę biegnącą przez całą długość pod tylną ścianą. Każdy, kto tam siedział, miał widok na trawiastą równinę za ogrodzeniem.

Pośrodku siedziała samotna postać, spoglądając w stronę ciemnego horyzontu.

Kobieta. Ubrana w tenisówki, dzinsy i sweter. Nie zwracała uwagi na ciemne postacie mężczyzny i kobiety w średnim wieku, którzy podeszli do ogrodzenia i wpatrywali się w noc.

Page skupił się na samotnej kobiecie, próbując zrozumieć.

— Nic nie widzę — poskarżył się starszy mężczyzna.

— Przecież dopiero przyjechaliśmy. Daj im szansę.

Przed platformę wyszła czteroosobowa rodzina — chłopczyk i dziewczynka ciągnęli rodziców za ręce.

— Zanim dojedziemy do motelu, już dawno minie pora, kiedy powinny leżeć w łóżkach — powiedziała matka.

— Hej, skoro już tędy przejeżdżamy, nie szkodzi się zatrzymać. Przecież nie zbaczamy z drogi — odparł ojciec.

— Ale robi się zimno. Dzieciaki się przeziębą.

Kobieta na ławce nie zwróciła uwagi również na rodzinę. Ani na Page'a. Dalej wpatrywała się w noc.

Poczuł dym z papierosa i obejrzał się przez ramię. Chuda, wysoka sylwetka Costigana opierała się o słup podtrzymujący dach platformy. Szef policji nałożył kowbojski kapelusz i podniósł do ust rozżarzonego papierosa. Kobieta jego też nie zaszczyciła uwagą.

Zbity z tropu Page skierował wzrok w tę samą stronę co ona. Ponad horyzontem ujrzał nieprzebraną mnogość gwiazd i ciągle pokazywały się nowe, w miarę jak gasły resztki słonecznego światła. Rozejrzał się po ciemnej, rozległej prerii, i czterdzieści pięć stopni na prawo dostrzegł odległe punkciki świateł kilku samochodów, które zbliżały się do Rostova od meksykańskiej granicy, odległej o pięćdziesiąt mil.

No i co mam zrozumieć, do cholery? — zapytał sam siebie. Zaczynał się czuć jak ofiara niewybrednego żartu, chociaż nie potrafił sobie wyobrazić, na czym miałyby polegać ten dowcip.

Przy ogrodzeniu mężczyzna w średnim wieku znowu się odezwał, niczym echo jego myśli.

— Mówiłem ci. Tu nic nie ma. Jakaś pułapka na turystów. Dziwne, że nie próbują nam niczego sprzedać.

— Naprawdę nie wiem, dokąd się tak spieszysz — odparła kobieta. — Zaczekaj jeszcze chwilę.

Tymczasem przy innej części ogrodzenia dwójka dzieci coraz mocniej szarpała rodziców za ręce.

— Tato, ja nic nie widzę — poskarżyła się dziewczynki!

— Chodź, wezmę cię na ręce — zaproponował ojciec.

— Mnie też — nalegał chłopczyk.

— Musisz poczekać na swoją kolej. Nie mogę podnieść was obojga naraz.

— Ja cię podniosę. — Matka wzięła synka na ręce.

— Dalej nic nie widzę — narzekała dziewczynka. — Tato, boję się tych ciemności.

— Mamo, jestem głodny — zajęczał chłopczyk.

— Okay — ustąpił ojciec, pokonany. — Chyba jednak lepiej jedźmy. Tu i tak nic nie ma. Jutro rano może zobaczymy gdzie kręcili ten film z Jamesem Deaconem. Gdzieś tutaj jest ten plener i słyszałem, że ten wielki dom ranczerski jeszcze stoi.

Kiedy rodzice nieśli rozgrymaszone dzieci do samochodu podjechały jeszcze dwa pojazdy. Z pierwszego, pick-upu wysiadło troje nastolatków. Drugi wóz ku irytacji Page'a okazał się autobusem oznakowanym TEKSAS WYCIECZKI, z którego wysypało się około trzydziestu osób. Podniósł się gwar, jakby przybysze koniecznie musieli wypowiedzieć na głos wszystko, co im przyszło do głowy.

Kim są ci ludzie? — zastanawiał się Page. Przyjechał tutaj w nadziei, że porozmawia z żoną i dowie się, co ją napadło, że tak nagle wyjechała. Z każdym nowym przybyszem zmniejszała się szansa na spokojną rozmowę.

Jednakże dla kobiety na ławce inni ludzie jakby nie istnieli. Ciągle wpatrywała się w horyzont i ani razu nie odwróciła głowy w stronę narastającego zamieszania.

Page uświadomił sobie, że się waha, że chociaż przyleciał tu jak na skrzydłach i niecierpliwiał się, kiedy Costigan kazał mu czekać, w gruncie rzeczy boi się otrzymać odpowiedź.

Wziął się w garść i ruszył przez ciemność w stronę żony.

Głowę miała odchylną do tyłu, opartą o drewnianą ścianę. Patrzyła prosto przed siebie. Page podszedł z boku i spojrzął na nią.

— Tori.

Nic odpowiedziała.

W tle rozbrzmiewała hałaśliwa paplanina turystów, którzy wysiedli z autobusu.

Może mnie nie słyszała, pomyślał Page.

— Tori? — powtórzył.

Wciąż wpatrywała się w horyzont.

Podszedł bliżej. W blasku reflektorów następnego samochodu zobaczył, że oczy miała szeroko otwarte i chyba nawet nie mrugała. Zupełnie jakby ktoś rzucił na nią czar.

Ponownie odwrócił się w kierunku, gdzie patrzyła, ale zobaczył tylko ciemną trawiastą równinę, mrowie roziskrzonych gwiazd i następne światła samochodu po prawej, na drodze z Meksyku.

— Tori, na co patrzysz?

Brak odpowiedzi.

Page stanął w odległości pięciu stóp od żony. Kątem oka zauważył, że Costigan przysunął się bliżej, gotów jej bronić i oparł się o następny słup. Dym z jego papierosa dryfował w powietrzu.

Nagle Page usłyszał jej głos.

— Czyż nie są piękne? — zapytała.

— Co? — Page odwrócił się w stronę ciemnej prerii i wyteżył wzrok. — Co tam widzisz?

— Ty ich nie widzisz?

— Nie.

Irytujący gwar rozmów prawie zagłuszył następne słowa Tori.

— Więc nie powinieneś przyjeżdżać.

Zbity z tropu Page usiadł obok niej. Costigan znowu się poruszył. Wciąż na niego nie patrzyła.

— Czego się po mnie spodziewałaś? — zapytał Page, siląc się na spokojny ton. — Wyjeżdżasz bez uprzedzenia. Znikasz na całe dwa dni. Bałem się, że coś ci się stało. Kiedy się dowiedziałem, że tu jesteś, chyba nie myślałaś, że zostanę w domu.

Kilka osób weszło na platformę obserwacyjną, łomocząc nogami po drewnie, ich głosy huczały w ograniczonej przestrzeni.

— Nic nie widzę — powiedział jeden z nich. — Ale kicha.

— Czekajcie! — krzyknął ktoś w tłumie przy ogrodzeniu. — Tam!

— Gdzie?

— Tam! Patrzcie! Cztery!

— Tak! — wykrzyknęła jakaś kobieta.

— Ni cholery nic widzę — burknął nastolatek.

— Tam! — zawołał ktoś.

Z każdym okrzykiem tłum poruszał się i przesuwał. Gwar przycichał, kiedy ludzie wyteżali uwagę, potem znowu narastał, kiedy niektórzy — wśród nich Page — niczego nie widzieli.

— Robicie ze mnie wała. Tam nic nie ma — narzekał drugi nastolatek.

Tłum wygłaszał rozmaite komentarze. Niektórzy byli oczarowani, inni rozczarowani. Kilka osób wpadło w złość. Page usłyszał obok siebie głos Tori.

— Przerwy trwają kilka godzin — powiedziała.

Spojrzał na nią zaskoczony. Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Widzowie zaczęli odjeżdżać i reflektory samochodów odbijały się w jej oczach wpatrzonych w ciemność. Rude włosy miała zaczesane do tyłu za uszy, co podkreślało atrakcyjne linie twarzy. Chciał dotknąć jej policzka.

— Potem robi się spokojnie — podjęła — i można naprawdę je podziwiać.

— Może posiedzę tutaj i zaczekamy, aż wszyscy sobie pójda? Wtedy mi pokażesz.

— Tak.

Page poczuł ból w klatce piersiowej. Głowę wypełniały mu pytania, które do niczego nie prowadziły.

Costigan, oparty o najbliższy słup, rzucił papierosa i zgniół butem, wciąż obserwując ich uważnie.

— Kiedy miałam dziesięć lat, rodzice zabrali mnie na wycieczkę samochodem — powiedziała Tori, spoglądając w ciemność. Jej głos odpłynął.

Page nie rozumiał, dlaczego mu to mówiła.

— Mieszkaliśmy wtedy w Austin i dopiero po zmroku dojechaliśmy do tej części zachodniego Teksasu. — Przechyliła głowę w stronę czegoś odległego. — Ojciec chciał odwiedzić kuzyna, który właśnie dostał w okolicy pracę na ranchu. Kuzyn miał tutaj zostać tylko przez kilka miesięcy. — Tori znowu zamilkła, a potem jakby sobie przypomniała, co chce mu powiedzieć. — Jak wiesz, wszyscy krewni mojego ojca byli wędrowcami.

Włącznie z nim, pomyślał Page, ale przeczornie wołał nie przerywać. Jej ojciec porzucił rodzinę, kiedy Tori miała szesnaście lat.

— W każdym razie przyjechaliśmy tutaj — ciągnęła Tori.

Okrzyki zachwytu w tłumie kontrastowały z narzekaniami na zimno i narastającym zniecierpliwieniem osób, które nie widziały tego, co inni rzekomo widzieli. W tym hałasie Page ledwie słyszał Tori, ale nie ośmielił się jej poprosić, żeby mówiła głośniej, z obawy przed wywołaniem odwrotnego skutku.

— Musiałam iść do łazienki. Nawet wtedy w tym okręgu były publiczne toalety. Kiedy je zobaczyłam w światłach samochodu, krzyknęłam do ojca, żeby się zatrzymał, ale on się spieszył na spotkanie z kuzynem. Nie zatrzymałby się, gdyby matka go nie zmusiła. Pobiegłam do toalety, a kiedy wyszłam, ojciec czekał niecierpliwie obok samochodu. Coś kazało mi spojrzeć w stronę prerii i zobaczyłam je.

— Co zobaczyłaś?

Tori jakby nie usłyszała pytania.

— Podeszłam do ogrodzenia i patrzyłam, nie mogłam się powstrzymać. Matka zawsze zabierała mnie w niedzielę do kościoła i pomyślałam, że kiedy pastor opowiadał nam o niebie, mówił właśnie o tym. Ojciec kazał mi wsiadać do samochodu, ale nie mogłam. Nie mogłam przestać patrzeć. Zapytał, co tam takiego widzę, do cholery. Próbowałam wyjaśnić, ale on tylko burknął coś o wymysłach głupich bachorów. Pamiętam, że próbowałam go odepchnąć, kiedy mnie wziął na ręce i zaniósł do samochodu. Krzyczałam i biłam go pięściami. Dosłownie wrzucił mnie na tylne siedzenie.

— Przykro mi — powiedział Page. — Może jednak dobrze się stało, że on odszedł.

Tori milczała i Page pożałował, że jej przerwał, ale potem zorientował się, że ona zamilkła, ponieważ znowu skupiła uwagę na ciemnościach.

— Tam! — krzyknęła kobieta przy ogrodzeniu.

— Tak! — przyłączył się do niej jakiś mężczyzna.

Inna kobieta pokazała:

— Jest ich pięć!

— Nic nie widzę!

Zdegustowane nastolatki wsiadły z powrotem do pick-upu i odjechały. Kilka osób ruszyło do autobusu, ale zadziwiająco dużo zostało i dalej wpatrywało się w ciemność.

— Jest jedno po lewej! — ktoś krzyknął.

— Na co ja mam patrzeć? — zapytał ktoś inny.

Page zadawał sobie to samo pytanie.

Tori znowu się odezwała, wciąż nie patrząc na niego:

— Zapomniałam o tym miejscu aż do przedwczoraj.

— Kiedy pojechałaś do matki — powiedział Page. O mało nie użył słów: „Kiedy mnie opuściłaś”.

— Dojechałam kawałek za El Paso. Była szósta wieczorem. Siedziałam na postoju ciężarówek, oglądałam mapę samochodową i piłam kawę. Miałam jeszcze kawał drogi do San Antonio i zastanawiałam się, czy nie zatrzymać się gdzieś na noc. Dziesiąta międzystanowa prowadzi na południowy wschód wzdłuż granicy z Meksykiem, aż do miasteczka Esperanza, gdzie odchodzi autostrada prosto na wschód do San Antonio. Pomyślałam, że Esperanza to dobre miejsce na nocleg. — Przerwała. — Interesująca nazwa dla miasta.

— Esperanza? — Page dostatecznie długo mieszkał na południowym zachodzie, żeby wiedzieć, że to znaczy po hiszpańsku „nadzieja”.

Tori uśmiechnęła się do czegoś w mroku. Page czekał i zaczynał się bać. Po minucie podjęła opowieść. Głos miała tak spokojny, jakby czytała dziecku bajkę na dobranoc.

— Spojrzałam na dół mapy, żeby znaleźć skalę w calacli na mile i obliczyć, ile jeszcze muszę jechać. Ale kiedy przesuwalam wzrokiem po nazwach miejscowości, jedna przykuła moją uwagę: Rostov. Widocznie przez te wszystkie lata tkwiła w mojej pamięci. Niesamowite. Nagle tamten wieczór powrócił tak wyraźnie, jakby zdarzył się wczoraj. Przypomniałam sobie, że przydrożna toaleta miała na drzwiach napis: „Własność okręgu Rostov”. Przypomniałam sobie, jak wyszłam z toalety i zobaczyłam to w ciemności za ogrodzeniem. Przypomniałam sobie, jak się rozzłościł ojciec, kiedy nie zrozumiał, o czym mówię, i wrzucił mnie do samochodu. Czułam łzy w oczach i pamiętałam, jak je ocierałam i wyglądałam przez tylną szybę w ciemność, kiedy odjeżdżaliśmy, aż nic już nie widziałam. Jechaliśmy tak długo, że w końcu zasnęłam na tylnym siedzeniu. Ale nawet wtedy o nich śniłam.

— Tam! — zawołał ktoś przy ogrodzeniu, pokazując palcem.

— Więc dokończyłam kawę, złożyłam mapę i wsiadłam do samochodu — ciągnęła Tori. — Kiedy dotarłam do Esperanzy, zamiast zatrzymać się na noc, jechałam dalej, ale nie skręciłam na wschód w dziesiątą między stanową, żeby pojechać do San Antonio. Zamiast tego pojechałam lokalną drogą na południowy wschód wzdłuż granicy. Słońce zaszło, ale ja wciąż jechałam, aż dotarłam tutaj. Przed laty nie było tej platformy obserwacyjnej, tylko toalety. Bałam się odkryć, że pamięć mnie zawiodła, że to, co widziałam tamtej nocy, rzeczywiście było tylko wymysłem głupiego bachora, jak twierdził ojciec.

— Jest jeszcze jedno! — krzyknął ktoś.

Tori posłała uśmiech w stronę wskazywaną przez tego człowieka i znowu zamilkła. Po chwili podjęła:

— Było późno. Prawie nikogo w pobliżu. Nie potrafię opisać swojej ulgi, kiedy wysiadłam z samochodu i spojrzałam przez ogrodzenie, i zobaczyłam, że to, co zapamiętałam... o czym śniłam przez te wszystkie lata... jest prawdziwe. Podeszłam i usiadłam na tej ławce, w tym samym miejscu, gdzie siedzę teraz i gdzie siedziałam wczoraj, i nie chciałam niczego więcej, niż tylko siedzieć tu przez resztę nocy i patrzeć na to, co widziałam, kiedy miałam dziesięć lat. Moje życie mogło wyglądać zupełnie inaczej, gdyby tylko ojciec pozwolił mi wtedy dłużej popatrzeć.

— Inaczej? — zapytał Page. — Jak?

Tori nie odpowiedziała. Jej milczenie sprawiło, że przeszył go dreszcz, który nie miał nic wspólnego z nocnym chłodem.

— Patrz, ile zechcesz — powiedział.

— Taki mam zamiar.

— Nie przyjechałem, żeby cię powstrzymać — próbował ją zapewnić.

— Wiem. Poza tym nie mógłbyś.

Page obejrzał się na Costigana, który nadal opierał się czujnie o najbliższy słup. Szef rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć: „Już pan zaczyna rozumieć?”. Ale Page nic nie rozumiał, nic a nic. Był zdezorientowany i przestraszony. Bał się, że Tori przeżywa jakieś załamanie nerwowe.

Jeśli tak, pomyślał, rozglądając się ukradkiem, najwyraźniej wiele osób przeżywa takie samo załamanie.

— Tori...

Nadal uśmiechała się tęsknie do ciemności.

— Kocham cię — powiedział.

Te słowa wyrwały mu się jakby mimo woli. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz je wypowiedział. Nie wywołały żadnej reakcji.

— Tori, powiedz mi, co widzisz. Pomóż mi też to zobaczyć.

— Chyba nie możesz — odparła.

— Ale skąd wiesz?

— Właśnie dlatego wyjechałam.

Brutalne potwierdzenie tego, czego się obawiał, z całą siłą uderzyło Page'a. Milczał przez kilka długich minut, próbując odzyskać równowagę. Próbując coś wymyślić, żeby naprawić sytuację.

— Nauczę się, jeśli mną pokierujesz — powiedział. — Cokolwiek złego zrobiłem, poprawię się.

— Nie zrobiłeś nic złego. To nie twoja wina, że jesteś tym, kim jesteś. I nie moja wina, że jestem, jaka jestem.

Page odwrócił się w stronę ciemności, rozpaczliwie próbując zrozumieć, o czym mówi Tori. Chociaż wiele osób w tłumie pokazywało palcami, on widział tylko prerię okrytą mrokiem, rozgwieżdżone niebo i samotne światła samochodu na drodze z prawej strony.

Kto tu zwariował? — zastanawiał się.

Wyteżył wzrok, usiłując przebić spojrzeniem gęstą ciemność. Przypomniawszy sobie, że kiedy miał piętnaście lat, ojciec coś mu pokazał. Ponieważ ojciec pracował jako mechanik w Siłach Powietrznych, rodzina przez lata przenosiła się z jednej bazy wojskowej do drugiej, także w Niemczech, w Korei Południowej i na Filipinach. Między innymi trafili do Bazy Sił Powietrznych McDill w Tampie na Florydzie.

Pewnej wrześnie niedzieli ojciec Page'a zdobył się na rzadki wysiłek, żeby spędzić trochę czasu z rodziną. Zabrał Page'a i jego matkę do słynnego akwarium w Tampie. Wędrowali od zbiornika do zbiornika, oglądając przez grube szkło rozmaite okazy: rekiny, manty, mureny — ojciec lubił wszystko, co niebezpieczne — oraz ławice jaskrawo ubarwionych egzotycznych gatunków ryb. Ale za jedną szybą zbiornik wydawał się pusty, tylko woda, piasek, kamienie, rośliny wodne i replika szczątków zatopionego statku.

— Pewnie przygotowują to akwarium dla jakichś okazji — stwierdził Page i odwrócił się szybko, znudzony.

— Nie, tam już są okazy — odparł ojciec.

— Jakie? Tam się nic nie rusza. Pusto.

— Och, tam jest mnóstwo życia.

— Chodzi ci o rośliny.

— Nie. Chodzi mi o mątwy.

— Mątwy?

— Należą do rodziny kałamarnic.

— Mątwy?! — powtórzył Page.

— Z mackami, które wysuwają do przodu. Bywają małe jak twój palec albo długie jak całe ramię, nawet większe.

— Tam nie ma żadnych ryb długich jak moje ramię. — Page się zaśmiał.

— Mątw — poprawił go ojciec.

— Okay, tam nie ma żadnych mątw długich jak moje ramię.

— Jest ich tam pewnie z tuzin.

— Żartujesz, no nie?

Ojciec wskazał szybę.

— Przyjrzyj się dobrze. Naprawdę uważnie.

Page już dawno się przekonał, że jego ojciec szczeni się zdumiewającymi zasobami wiedzy z najrozmaitszych niezwykłych dziedzin. Kiedy ojciec mówił takim autorytatywnym tonem, rozmowa mogła się skończyć tylko jednym. Więc Page skupił się na wodzie w wielkim zbiorniku.

— Czasami widzimy tylko to, co spodziewamy się zobaczyć — wyjaśnił ojciec. — Czasami musimy się nauczyć patrzeć w nowy sposób.

To miało jeszcze mniej sensu niż wymyślone mątwy.

— Nie wiem, co ty...

I wtedy jeden kamień jakby odrobinę się poruszył. Ledwie zauważalnie. Przesunął się o ułamek cala. Lecz Page był pewien, że dostrzegł ruch. Podeszedł bliżej do szyby.

— Ach — powiedział ojciec, wyczuwając nagle zainteresowanie syna. — Chyba zaczynasz chwytac.

— Ten kamień. On...

— Ale to nie jest kamień — oświadczył z naciskiem ojciec. Przedmiot przesunął się o następny ułamek cala i Page uświadomił sobie, że ojciec ma rację — to nie jest kamień.

Zobaczył głowę i mackę, potem następną. Nie żeby przedmiot się poruszał w bardziej dostrzegalny sposób. Ale zmienił się sposób patrzenia Page'a — czy raczej jego umysł się przestawił.

Ojciec powtórzył:

— Czasami widzimy tylko to, co spodziewamy się zobaczyć.

Page zaczynał rozumieć. Jeżeli widać było tylko piasek, kamienie, podwodne rośliny i replikę szczątków zatopionego statku, jego umysł przyjmował te rzeczy za oczywiste i nie fatygował się rozpoznawaniem tego, co widziały oczy.

Zadziwiająco: poruszył się następny kamień. Również wzgórek piasku odrobinę się przemieścił. Część wraku przekręciła się na bok, a jedna roślina zaczęła wędrować po dnie zbiornika. Sterczące z niej zielone kolce okazały się mackami. Po latach, kiedy Page szkolił się w akademii policyjnej w Nowym Meksyku, wracał myślami do tamtego popołudnia, kiedy zrozumiał, że istnieje ogromna różnica pomiędzy tym, co widzą oczy, a prawdziwym obrazem rzeczy, że świat nie zawsze jest taki, jaki się wydaje. Niestety, później odkrył, że zbyt często prawdziwym obrazem rzeczy jest brzydota.

Ale nie tamtego popołudnia. Z przejściem zaczął liczyć istoty, które nagle zauważył. Zdawało się, że są wszędzie.

— Jedna, dwie, trzy.

— Cztery, pięć, sześć — dodał ojciec.

— Siedem, osiem, dziewięć — włączyła się matka ze śmiechem. Dopiero pod koniec tego lata zdiagnozowano u niej raka piersi, który miał ją zabić.

Ojciec twierdził, że w zbiorniku jest tuzin mątw, ale Page naliczył w sumie osiemnaście dziwnych, brzydkich stworzeń, które nauczyły się ukrywać swoją brzydotę i w końcu wydały

mu się piękne. Po kilku minutach nie widział już piasku, kamieni, podwodnych roślin ani repliki wraku, ponieważ zasłaniały je liczne mątwy.

— Jak one się ukrywają? — zapytał ojca, szczerząc zęby w zachwycie.

— Nikt nie wie. Kameleony słyną z tego, że potrafią przybierać barwę otoczenia. Pająki też to potrafią. Ale żadne stworzenie nie robi tego tak dobrze... i tak szybko... jak mątwy.

— Magia — powiedział Page.

— Natura — poprawił go ojciec.

19

Page wspominał tamto dawno minione popołudnie, wbijają wzrok w ciemność za ogrodzeniem, podczas gdy obcy ludzie zachwycali się czymś, czego on nie widział. Niektórzy narzekali, że nie pojmują, o co tyle hałasu, i Page rozumiał ich frustracji; Czyżby był świadkiem masowej halucynacji, jakiegoś grupowego urojenia, kiedy ludzie przekonywali się nawzajem, że widzą nieistniejące rzeczy?

Ale Tori nie należała do żadnej grupy, kiedy po raz pierwszy to zobaczyła i kiedy później przyjechała tu sama, po tylu latach śnienia i wspomniania. Jeśli cierpiała na urojenia, to tylko własne.

Albo to ja mam urojenia, pomyślał Page. Cholera, przez tyle lat małżeństwa nawet nie podzieliła się ze mną czymś na tyle ważnym, że sprowadziło ją na to zadupie.

Ale musiał zachować spokój.

Pamiętaj o mątwach, powiedział sobie. Pamiętaj, co ci mówił ojciec. „Czasami widzimy tylko to, co spodziewamy się zobaczyć. Czasami musimy się nauczyć patrzeć w nowy sposób”.

Ja na pewno muszę się nauczyć patrzeć w nowy sposób.

Rzeczywistość, jaką znał Page, wywróciła się na lewą stronę. Małżeństwo, które uważał za udane, życie, które sobie cenił — nic nie było takie, jakie się wydawało.

Dlaczego?! — krzyczał w duchu Page. Jak mogłem tego nie widzieć?

Wstał z ławki i przeszedł na skraj platformy obserwacyjnej. Ledwie świadom obecności Costigana opierającego się o słup, spojrzał ponad głowami podnieconego tłumu i skupił się na ciemności.

Ponownie zauważył dalekie punkciki świateł samochodu, nadjeżdżającego drogą od strony Meksyku. Ale przecież nie tym entuzjasmowali się ludzie. Pokazywali w całkiem inną stronę.

Popatrzył na roziskrzone krocie gwiazd, znacznie jaśniejszych i liczniejszych, niż przywykł oglądać w Santa Fe słynącym z czystości nocnego nieba. Może dlatego rząd właśnie tutaj zbudował radioteleskopy. Ale ludzie w tłumie nie wskazywali na gwiazdy — całą wyteżoną uwagę skupili na horyzoncie.

Co im się zdaje, że widzą? — zadawał sobie pytanie.

Pamiętaj o mątwach, napomniął się.

Skupił się na ciemności nad prerią.

I ujrzał niemal niedostrzegalny ruch, prawie nie do zauważenia...

Jednak był pewien, że coś zauważył. Albo wzrok mu się przystosował, albo umysł. Dostrzegł nie tylko ruch — również zmianę w ciemności.

Bez ostrzeżenia pojawiły się maleńkie światełka. Kilka z tych, które wcześniej wziął za gwiazdy, nie świeciły na niebie — unosiły się nad prerią. Na początku podejrzewał, że to odległe

robaczki świętojańskie, około tuzina, ale świeciły jaśniej niż robaczki świętojańskie i kiedy na nie patrzył, rosły w oczach.

Mogły się znajdować w odległości mili, a jednak wydawały się tak bliskie, jakby mógł ich dosięgnąć ręką, więc spróbował. Dopiero wtedy zrozumiał, że ludzie w tłumie nie tylko pokazywali — oni też wyciągali ręce.

Pod jego wzrokiem odległe światełka nabrały barw, pojawiła się czerwień, zieleń, błękit, żółć i inne, wszystkie odcienie, które widział na domach w miasteczku. Łączyły się w pary. zlewały się ze sobą, robiły się większe i jaśniejsze. Wznosiły się i opadały. Jednocześnie przepływały tam i z powrotem nad horyzontem, jakby niesione łagodnym prądem. Obracały się i kiwały hipnotycznie.

Co ja widzę?

Zmieszany Page obejrzał się na Costigana, szukając potwierdzenia, że wzrok go nie myli, ale szef policji tylko ponownie rozłożył ręce.

Page z powrotem przeniósł uwagę na to, co widział — albo zdawało mu się, że widział — nad horyzontem. Niektóre ze światełek rozbiegały się, podczas gdy inne nadal się zlewały. Migotały łagodnie i kojąco, niemal przyzywały.

Nigdy nie widziałem czegoś takiego, pomyślał. Co to jest? Nagle ogarnęło go zwątpienie. Dlaczego ich nie widziałem przed chwilą? To pewnie złudzenie optyczne.

Albo może tak się starałem coś zobaczyć, że wyteżalem wzrok, aż zobaczyłem mroczki przed oczami. Albo tak się skupilem, że je sobie wyobraziłem. Skąd mam wiedzieć, że Tori widzi to samo... albo myśli, że widzi?

I co widzą inni?

Nie tylko widzą, uświadomił sobie. Ze światełkami było związane coś jeszcze, czego nie potrafił do końca określić. Drżało tuż za progiem percepcji, dźwięk oscylujący na granicy słyszalności.

Page zszedł z platformy, zamierzając zagadnąć nastolatkę, która wskazywała z zachwytem na prerię za ogrodzeniem, wtedy zauważył, że w tłumie wybuchło zamieszanie. Pojedynczy głos wznosił się ponad inne.

— Czy nie widzicie, jakie one są złe?! — wołał ktoś.

Page przystanął i próbował określić, skąd dobiegał ten głos. Silny, głęboki męski głos. Pełen gniewu.

— Nie rozumiecie, co one wam robią?

Po prawej stronie Page spostrzegł nagły ruch. Wysoki, masywny mężczyzna przepychał się przez tłum, roztrącając ludzi na boki.

— Nie pchaj się! — skarcił go ktoś.

— Zabieraj łapy ode mnie! — zaprotestował ktoś inny.

Głos zabrzmiał jeszcze większym gniewem.

— Nie rozumiecie, że wszyscy pójdziecie do piekła?

— Broń! — wrzasnęła jakaś kobieta. — Mój Boże, on ma broń!

Tłm zafalował, zaalarmowany tą informacją. Page zareagował natychmiast i przykucnął. Sięgając po pistolet, który nosił prawie zawsze, przypomniał sobie z przerażeniem, że Costigan namówił go do zostawienia broni w walizce w wynajętym samochodzie, zaparkowanym przed gmachem sądu.

Dłonie mu się spociły.

Kucnął niżej, czując łomotanie pulsu, rozejrzał się po spanikowanym tłumie i wzdrygnął się na głośny, rozdzierający uszy huk karabinu. Pomiędzy ciałami uciekających ludzi zobaczył błysk z wylotu lufy, kontury zabójczej broni.

Trzask. Mężczyzna znowu wystrzelił, celując ponad ogrodzeniem. Błysk z lufy skierował się w stronę horyzontu, w stronę tego, co tam było, co Page chyba widział.

— Wracajcie do piekła, skąd przyszłyście! — krzyknął mężczyzna w mrok i dalej strzelał.

Page zdołał rozpoznać zakrzywiony magazynek amunicji wystający pod spodem. To był AK-47.

Szybko obejrzał się na Costigana i zobaczył, że szef policji wyciągnął pistolet i również przykucnął w gotowości.

Uciekający w popłochu ludzie przesłonili teraz mężczyznę z karabinem i Page na chwilę stracił go z oczu.

Trzask. Następny błysk skierowany w ciemność.

— Wszyscy jesteście potępieni!

Ale strzelec nie wrzeszczał już na zjawy za ogrodzeniem. Zamiast tego odwrócił się i zaczął wrzeszczeć na tłum. Page z mdlącym strachem zrozumiał, co się stanie.

Nie!

Mężczyzna strzelił prosto w tłum. Ludzie krzyczeli i wpadali na siebie w rozpaczliwej ucieczce.

Jakiś mężczyzna się potknął.

Jakaś kobieta zapiszczała.

Potem Page zrozumiał, że mężczyzna wcale się nie potknął. Przewrócił się trafiony kulą.

Człowiek z karabinem znowu strzelił.

Page rzadko czuł się taki bezradny. Nawet gdyby miał pistolet, ciemność i zamieszanie uniemożliwiłyby trafienie w człowieka z karabinem.

Trzask. Upadła kobieta.

Trzask. Przewrócił się nastoletni chłopiec. Krzyki przerażenia brzmiały tak głośno, że Page prawie nie słyszał wystrzałów. Zobaczył, że lufa kieruje się w jego stronę.

Tori! — pomyślał ze zgrozą. Obrócił się i pobiegł w stronę platformy obserwacyjnej. Nie widział nigdzie Costigana, ale nie miał czasu sprawdzać, co robi szef policji.

Tori!

Stała wyprostowana, tak oszołomiona, że zabrakło jej przytomności umysłu, żeby zareagować. Page nauczył ją obchodzić się z bronią i prosił, żeby nosiła pistolet w torebce. Martwił się, gdy zabierała klientów w odległe miejsca, gdzie była z nimi sama. Tori jednak nigdy nie nosiła broni, którą jej dał. W gruncie rzeczy, chociaż była żoną policjanta, miała do tych spraw podejście cywila.

Otoczył ją ramieniem, objął mocno i ściągnął z platformy. Za jego plecami kula uderzyła o deskę w tylnej ścianie. Tori krzyknęła ze strachu. Przygiął jej głowę w dół i zmusił, żeby się pochylila, kiedy biegiem prowadził ją za róg. Costigan zaparkował radiowóz po drugiej stronie, ale Page z ulgą zobaczył, że tu również stały zaparkowane pojazdy. Wepchnął żonę za ciemny pick-up.

— Nic ci nie jest? — zapytał, oglądając ją w świetle gwiazd.

Nie odpowiedziała, półprzytomna.

Spoza platformy obserwacyjnej dobiegło echo wystrzału.

— Tori, odpowiedz. Jesteś ranna?

Ostry ton jego głosu sprawił, że drgnęła i oprzytomniała.

— Ja... nie, nic mi nie jest. Nie trafił mnie.

— Dzięki Bogu. Zostań tu. Schowaj się za silnikiem. Kule przebiją drzwi samochodu, ale nie silnik. Jeśli zobaczysz, że strzelający idzie w tę stronę, padnij i udawaj nieżywą.

Patrzyła na niego w mroku.

— Tori, powiedz mi, że zrozumiałaś.

Za platformą obserwacyjną dwa strzały poprzedziły krzyk.

Zamrugła kilkakrotnie.

— Schować się za silnikiem — powiedziała, przetykając ślinę. — Jeśli on tu przyjdzie, mam upaść i udawać nieżywą.

Trzask. Karabin znowu wystrzelił.

— Nic mogę zostać z tobą — powiedział Page. — Muszę pomóc go powstrzymać.

— Dlaczego on to robi?!

— Nie wiem, dlaczego ludzie robią różne rzeczy.

Następny strzał, który usłyszał Page, brzmiał raczej jak donośne pyknięcie niż trzask. Pistolet. Widocznie Costigan odpowiedział ogniem, pomyślał.

Ścisnął ramię Tori i wybiegł zza osłony ciężarówki. Natychmiast usłyszał następny strzał pistoletowy, a potem trzask karabinu.

I jęk. Chrapliwy ton głosu nie pozostawiał wątpliwości, że jęczał Costigan.

20

Szybki łomot serca kontrastował z powolnymi ruchami, które sobie narzucił, kiedy dotarł do narożnika ściany. Ręce mu drżały. Usiłował nad tym zapanować.

Drewniane deski nie mogły go ochronić przed pociskiem dużej mocy, ale przynajmniej ukryły go przed strzelającym. Przykucnął, żeby zejść z linii jego wzroku, i wyrzwał zza rogu.

W słabym świetle padającym z drugiej strony platformy ujrzał koszmar. Wszędzie leżały ciała. Niektóre drgały, ale większość spoczywała nieruchomo.

Wśród nich przechadzał się człowiek z karabinem.

— Przyszedeś z piekła! — Strzelił komuś w głowę, błysk z lufy obrysował go groteskowym światłocieniem. — Wracaj do piekła!

Gdzie jest Costigan? — zastanawiał się gorączkowo Page.

Gwałtownie wciągnął powietrze, kiedy zobaczył ciało szefa policji rozciągnięte na ziemi, w połowie drogi pomiędzy platformą obserwacyjną a tłumem. Pistolet Costigana leżał obok jego wyciągniętej prawej ręki.

Człowiek z karabinem strzelił do drgającego ciała, rozbłysk z lufy oświetlił fontannę krwi. Strzelec wyrzucił pusty magazynek i włożył nowy tak szybko, że Page nie zdążył nawet pomyśleć, żeby zaszarżować przez parking i go obezwładnić.

Mężczyzna wycelował w dół, gotów strzelić do następnego wijącego się ciała, nagle jednak wyprostował się i podniósł karabin. Odwrócił się, jakby coś przyciągnęło jego uwagę. Page powiódł wzrokiem za jego spojrzeniem.

To, na co patrzył, rzucało się w oczy nawet w ciemnościach. Było białe, tak wielkie, że nie dało się ukryć. W środku ludzie jęczeli i skomleli.

Autobus wycieczkowy.

Mój Boże, uświadomił sobie Page, zanim facet zaczął strzelać, niektórzy pasażerowie wrócili na swoje miejsca.

Człowiek z karabinem ruszył w tamtą stronę. Odwrócony plecami do Page'a, zajrzał w ciemne okna autobusu. Wyprostował się jakby w przepływie energii i długimi krokami przestępując przez ciała, zbliżył się do nowego celu. Kiedy obszedł przód pojazdu i znikł z drugiej strony, zmierzając do drzwi, Page miał ochotę wyskoczyć z platformy obserwacyjnej, żeby dostać się

do pistoletu Costigana. Ale odgłos kroków na żwirze niemal na pewno zwróciłby uwagę. Page miał niewielkie szanse, że zdąży dotrzeć do pistoletu, zanim człowiek z karabinem wyjdzie z autobusu i zacznie strzelać.

Pięść załomotała w drzwi po drugiej stronie autobusu.

— Otwierać! — zażądał człowiek z karabinem.

Page cofnął się wzdłuż bocznej ściany platformy obserwacyjnej i ruszył w stronę ciemnej drogi.

— Otwierać te cholerne drzwi!

Page wyszedł na jezdnię i pobiegł bezgłośnie w tenisówkach po asfalcie.

Pociski zadzwęczały o metal. Człowiek z karabinem strzelał w bok autobusu. Kule z kałasznikowa mogły przebić metalową ścianę, przeciąć kabinę i wylecieć po drugiej stronie. Ciało ludzkie nie stanowiło dla nich prawie żadnej przeszkody.

Po następnym strzale w bok autobusu ktoś krzyknął.

Page zmniejszył prędkość, zbliżając się do autobusu z tyłu.

Po kolejnym strzale rozległ się okrzyk bólu. Kule roztrzaskały okna. Jęki przerażenia brzmiały coraz głośniejsze.

Page zaniepokoił się innym dźwiękiem: ciurkaniem płynu wyciekającego na żwir.

— Z piekła przybywacie! — wrzasnął mężczyzna.

Zapach benzyny dotarł do nozdrzy Page'a.

— Wracajcie tam!

Podczas szkolenia Page dowiedział się, że tylko na filmach strzał w bak samochodu wywołuje pożar, nie mówiąc już o eksplozji. Ten facet mógł strzelać do zbiornika w autobusie przez całą noc, ale dopóki nie miał pocisków zapalających, robił tylko mnóstwo dziur.

I zwiększał wyciek paliwa. Opary benzyny gęstniały.

Page posuwał się ostrożnie, licząc, że ciemność ukryje jego sylwetkę. Wyrzał z tyłu autobusu i zobaczył człowieka z karabinem, tak skupionego na strzelaniu do baku, że nie widział nic więcej. Wyszedł z kałuży benzyny, rozlewającej się na żwirze.

O Boże... on chyba nie zamierza...

Mężczyzna odłożył karabin i wyjął z kieszeni koszułki książeczkę zapalek.

Page rzucił się do ataku.

Mężczyzna wyrwał zapalną z książeczki i potarł o draskę. Zapalnik zapłonął.

Potem usłyszał kroki Page'a i odwrócił się. Płomyk zapalnika rzeźbił cienie na jego twarzy, podkreślał ostre kąty, odbijał się w oczach, nabierając intensywności.

Mężczyzna zapalił całą książeczkę.

Page przyspieszył, wrzeszcząc przekleństwa na cały głos, żeby wytrącić tamtego z równowagi, powstrzymać go przed zrobieniem tego, co tamten zamierzał.

Mężczyzna upuścił płonące zapalnik tuż przedtem, zanim Page się z nim zderzył. Kiedy upadły na żwir, Page mógł tylko się modlić, żeby zgasły, ale natychmiast usłyszał za plecami głośny syk. Płomień przegnały ciemność. W plecy dmuchnęło żarem.

Rozwścieczony Page walnął głową mężczyzny o żwir. Kość zazgrzytała o kamień. Ale mężczyzna tylko ryknął i machnął ramieniem z taką siłą, że odrzucił Page'a na bok. Nawet uwzględniając jego wzrost i masywną budowę, okazał się niezwykle silny. Widocznie zażył jakiś narkotyk wywołujący psychozę.

Huczące płomień ogarnęły tył autobusu. Page odpełznął do tyłu, żeby uciec przed ogniem.

Rozległy się trzaski.

Okna popękały od gorąca. Ludzie uwięzieni w środku zaczęli histerycznie wrzeszczeć. Widząc, że mężczyzna sięga po karabin, Page podniósł się i znowu zaatakował. Uderzył z takim impetem, że odepchnął przeciwnika od autobusu.

Upadli na żwir i przejechali kawałek po ziemi siłą rozpędu. Page znalazł się na górze. Spróbował wbić pięść w krtani przeciwnika, ale ten nagle się wykręcił i pięść wylądowała z boku szyi. Mężczyzna ponownie zamachnął się ramieniem i uderzył Page'a w bark tak potężnie, że zepchnął go z siebie. Cios niemal sparaliżował policjanta. Z jękiem obrócił się i podciął nogi mężczyźnie, który rzucił się w stronę karabinu. Przeciwnik runął ciężko na ziemię z głośnym stęknięciem.

Płomienie rozprzestrzeniały się na cały autobus, żar palił twarz Page'a.

— Otwórzcie drzwi! Wsiadajcie! — wrzasnął policjant do ludzi w środku.

Złapał mężczyznę od tyłu i zacisnął lewe ramię na jego szyi, usiłując go udusić. Pięścią drugiej ręki zaczął okładać przeciwnika po nerkach.

Mężczyzna zatoczył się do tyłu i pchnął Page'a plecami na zaparkowany samochód. Policjant jęknął z bólu. Mężczyzna odsunął się od samochodu i umyślnie przewrócił się na wznak. Page znowu jęknął, kiedy uderzył o żwir. Przytłoczony ciężarem przeciwnika, nie mógł oddychać.

Rozluźnił chwyt na szyi tamtego.

Mężczyzna natychmiast zerwał się na nogi, kopnął Page'a w prawy bok i znowu skoczył do karabinu. Tymczasem płomienie pochłaniały tył autobusu i przesuwały się do przodu. Page czuł żar przez koszulę.

Napompowany adrenaliną, zdołał się podnieść.

Mężczyzna uniósł karabin.

Page rzucił się na niego od tyłu i pchnął go w ogień. Przez gęstwę płomieni nawet nie widział tyłu autobusu, ale usłyszał łupnięcie, kiedy mężczyzna uderzył o ścianę.

Jego ubranie zajęło się ogniem. Włosy zapłonęły.

Odwrócił się jakby z uśmiechem — albo mięśnie twarzy skurczyły mu się od żaru. Karabin wypadł mu z płonących dłoni.

Wyciągnął ramiona i postąpił do przodu.

Page cofnął się przed nim.

Płonący człowiek nadal zbliżał się chwiejnie, z rozpostartymi płonącymi ramionami, z ustami rozciągniętymi w groteskowym uśmiechu.

Page wpadł tyłem na samochód. Przegramolił się po masce, uciekając od płonącego koszmaru, który wciąż go ścigał. Mężczyzna już się nie uśmiechał, bo miał spaloną twarz. Był przerażająco blisko, zapach jego płonącego ciała przyprawiał o mdłości.

Miał już zamknąć Page'a w ognistym uścisku, nagle jednak przekręcił się na bok. Ryczenie płomieni niemal zagłuszyło huk wystrzału. Po drugim strzale mężczyzna się zatoczył. Uniósł ku niebu twarz, dopiero teraz wyrażając cierpienie.

Trzeci i czwarty strzał rzuciły go na kolana.

Piąty wyrwał mu dziurę w głowie.

Mężczyzna upadł na twarz i rozpostarł na żwirze spieczone kończyny.

Page chwiejnie odsunął się od niego i spojrział w lewo. Strzelała Tori. Trzymała oburącz pistolet Costigana, ramiona miała wyprostowane, łokcie i nadgarstki usztywnione tak, jak Page ją uczył, twarz wykrzywioną z furii. Ponownie nacisnęła spust i strzeliła w płomienie pokrywające mężczyznę.

— Skurwiel! — krzyknęła. — Skurwiel!

Drzwi autobusu rozwarły się z hukiem. Pół tuzina ludzi wypadło z dymu. Szlochali i kasłali, biegnąc ku chłodnej ciemności, jak najdalej od autobusu, który zmienił się teraz w płonąca trumnę.

Page pospiesznie okrążył samochód i podszedł do Tori z tyłu. Jeszcze raz strzeliła w płomień pochłaniające mężczyznę.

— Teraz ty pójdziesz do piekła! — wrzasnęła.

— Tori — powiedział Page. Przynal się do niej i sięgnął po pistolet. — Już dobrze. On już nikogo nie skrzywdzi. Oddaj mi pistolet.

Znowu strzeliła do płonącego trupa.

— Ty skurwysynu!

— On nie żyje — powiedział Page. — Już nie potrzebujesz broni.

Położył prawą rękę na pistolecie i nacisnął do dołu, zachęcając ją, żeby opuściła rękę.

— Oddaj mi broń.

Stopniowo jej napięte mięśnie się rozluźniły. Powoli wypuściła broń.

Page'a piekły policzki od żaru. Poprowadził żonę szerokim łukiem wokół frontu autobusu, dalej od ognia. Nocne powietrze chłodziło mu skórę.

Ludzie, którzy uciekli z autobusu, kulili się pod ogrodzeniem zapłakani. Wszędzie leżały ciała. Page naliczył dwadzieścia, ale wiedział, że jest więcej. Kilka skręcało się z bólu. Większość spoczywała w śmiertelnym bezruchu.

— Tori, nie patrz.

Zaprowadził ją do saturna, gdzie powinna się poczuć bezpieczniej. Ale samochód był zamknięty, a kiedy pomacał kieszenie dzinsów Tori, nie znalazł kluczyków. Widocznie są w torebce, pomyślał.

Poprowadził ją do ławki na platformie obserwacyjnej. Rozejrzał się, ale po ciemku nie mógł znaleźć torebki. Posadził żonę i obiecał:

— Zaraz wracam.

Pobiegł do Costigana. Kowbojski kapelusz szefa policji leżał obok niego. Krew pokrywała lewą stronę głowy. Page dotknął jego nadgarstka i wyczuł puls.

— Trzymaj się — powiedział mu.

Znalazł kluczyki w spodniach Costigana i pobiegł do radiowozu. Nacisnął guzik otwierania na breloczku. W środku chwycił mikrofon radia.

— Ranny policjant! Ranny policjant!

— Kto mówi? — zapytał rozniewany głos. — Jak się dostałeś do tego radia?

— Ranny policjant! — Page nie mógł zapanować nad głosem, żeby się przedstawić i opisać, co się stało. — Byłem z szefem! Został postrzelony!

— Co?!

— Przynajmniej dwadzieścia innych osób zastrzelono. Na platformie obserwacyjnej za miastem. Autobus się pali i... — kiedy podawał kolejne szczegóły, uderzyła go potworność tego, co się stało. — Zabójca nie żyje, ale potrzebujemy wszelkiej możliwej pomocy.

— Jeśli to żart...

— Popatrz na horyzont na wschód od miasta. Zobaczysz lunę pożaru.

— Zaraz... — Głos nagle urwał. — Jasna... Prześle pomoc jak najszybciej.

Page siedział drętwy w radiowozie i patrzył na obraz zniszczeń za przednią szybą. Blask płomieni falował nad trupami. Żebra go bolały. Wysiadł z samochodu i omijając kałuże krwi, podszedł do ludzi, którzy uciekli z płonącego autobusu.

— Pomoc jest w drodze — oznajmił.

— Dziękuję — powiedziała mu jakaś kobieta przez łzy. — Dziękuję, że pan nas uratował.

— Byłem pewien, że zginę — odezwał się jakiś mężczyzna drżącym głosem. — Nigdy w życiu tak się nie bałem.

— Dlaczego on to zrobił? — zapytał ktoś. — Dlaczego?

Wśród ryku płomieni Page zauważył, że więcej niedobitków wylania się ostrożnie z kryjówek. Niektórzy wpełzli pod samochody. Inni przebiegli przez drogę i schowali się w ciemności na sąsiednim polu.

Starszy mężczyzna błąkał się pomiędzy ciałami, w kłębach dymu.

— Gdzie jest Beth? Gdzie...

Przystanął i jęknął. Rozpacz rzuciła go na kolana. Uniósł głowę jednego z trupów.

Ze ściśniętym sercem Page wrócił na platformę obserwacyjną.

Tori już nie patrzyła na prerię. Pochyliła się do przodu i ukryła twarz w dłoniach.

Dygotała.

Page zobaczył na ławce kurtkę. Podniósł ją i zarzucił żonie na ramiona. W końcu dostrzegł jej torebkę na podłodze, gdzie widocznie ją upuściła, kiedy wybuchła strzelanina. Postawił torebkę obok na ławce. Potem, odrętwiały, usiadł obok żony, objął ją i słuchał coraz bliższego zawodzenia syren.

II MROCZNA RÓWNINA

21

Brent Loft przybrał przed kamerą najbardziej współczującą, bawioną minę, mówiąc:

— W pobliżu Arroyo Park zapłakana dziesięciolatka zadymała samochód policji i pokazała, że jej kot wdrapał się na czubek słupa wysokiego napięcia. Pracownicy firmy El Paso Electric przyjechali dźwigiem i bardzo ostrożnie ściągnęli zwierzątko, które, jak państwo widzą, bardziej bało się uratowania niż uwięzienia na słupie. Grube rękawice izolacyjne operatora dźwigu uchroniły go nie tylko przed porażeniem elektrycznością.

Obok Lofta druga prezenterka, Sharon Rivera, zachichotała i przeczytała następny akapit z telepromptera:

— Dziewczynka wreszcie odzyskała swego ulubieńca, najwyraźniej jednak nie po raz pierwszy ratowano tego kota. W zeszłym miesiącu dwaj pracownicy służb miejskich musieli o wyciągać z kanału burzowego.

— Zostało jeszcze siedem żywotów — podjął Brent, próbując się nie udławić tym tekstem. Odwrócił się do mężczyzny o lewej. — Frank, jaka jest ostatnia prognoza pogody?

— Jutro będzie następny upalny, słoneczny dzień, w nocy możliwe burze.

— Zawsze przyda nam się deszcz — podsumowała Sharon.

— Jasne — zgodził się Brent. — No, to wszystko w „Aktualnościach dla El Paso” o dwudziestej drugiej. Koniecznie oglądajcie nasze poranne wydanie od szóstej do siódmej. Do zobaczenia jutro wieczorem o piątej, szóstej i dziesiątej. Dziękujemy za uwagę.

Z szerokimi uśmiechami słuchali pulsującego tematu muzycznego ich programu. Czerwone światełka na kamerach zgasły. Wyłączono ostre górne oświetlenie.

Podobnie jak inni prezenterzy, Brent odpiął mikrofon od klapy i wyjął z ucha słuchawkę, przez którą producent programu mógł wydawać mu polecenia, żeby skrócił temat, dodał wiadomość z ostatniej chwili albo opowiedział kawał.

Słuchawka Sharon zaplątała się w jej gęstych włosach.

— Nie cierpię relacji o ratowaniu zwierzątek domowych — poskarżył się Brent.

— Taak, ale ludzie lubią zasypiać z miłym uczuciem — odparł komentator sportowy Tom Montoya, wstając zza biurka.

Przed kamerą Tom nosił marynarkę i krawat, widzowie jednak nie mieli pojęcia, że reszta jego stroju — zasłonięta blatem stołu — składała się z szortów, skarpet i tenisówek. Tom grał w koszykówkę pomiędzy wiadomościami o szóstej i dziesiątej i ledwie zdążał wrócić do studia, żeby poprawić makijaż.

Sharon nosiła elegancki granatowy blezer i obcisłą bladobłękitną bluzkę, podkreślającą piersi. Kiedy wstała zza stołu, pokazały się dzinsy niepasujące do reszty stroju. Ponieważ cierpiała na chroniczne bóle stóp, nie nosiła obuwia. Skarpetki z grubej wełny chroniły wrażliwe stopy przed zimnem z betonowej podłogi studia.

W kontraście z nimi Brent miał na sobie kompletny garnitur, elegancki pasek z cielejącej skóry oraz markowe buty, które zawsze polerował przed występem. Buty stanowiły najważniejszy element — czuł, że ich blask promieniuje w górę i dodaje charakteru jego wystąpieniom. Liczyło

się wszystko, od stóp do głów. Brent nie wystąpiłby przed kamerami w odrapanych butach, podobnie jak nie pokazałby się bez nienagannej fryzury. Ale musiał zmobilizować wszystkie swoje umiejętności, żeby w jego głosie brzmiała szczerłość, kiedy czytał ten kawałek o cholernym kocie. Obiecał sobie, że kiedy następnym razem producent zażąda milusiej historyjki, Sharon będzie musiała przeczytać całość.

— Chcesz skoczyć na drinka? — zagadnął ją.

— Brent, ile razy mam ci powtarzać, że spotykam się z kimś?

— Hej, nigdy nie szkodzi zapytać. Jeśli poważnie traktujesz tego faceta, przyprowadź go kiedyś, żebyśmy zobaczyli, jak wygląda.

— Faceta? — Popatrzyła na niego dziwnie.

— Bardzo śmieszne — mruknął Brent.

— Pracujesz tu od trzech miesięcy i nikt ci nie powiedział, że jestem lesbijką?

— Taa, akurat. Przestań się zgrywać.

— Dlaczego myślisz, że się zgrywam?

— Okay, okay, zrozumiałem dowcip.

W tej samej chwili producent wszedł do studia i wyratował go z niezręcznej sytuacji.

— Brent, muszę z tobą pogadać.

Brent nie lubił tego tonu. Szykują się kłopoty, pomyślał.

Awansował poprzez rynki telewizyjne z małej stacji w Oklahomie przez średnią w Kansas do tej większej w El Paso. Celem każdego prezentera była praca dla najlepszych kanałów telewizji kablowej — takiej jak CNN czy Fox — albo stacji sieciowych w Los Angeles, Chicago, Waszyngtonie i Nowym Jorku. Jeszcze lepiej dotrzeć na szczyt — do ogólnokrajowych wieczornych wiadomości w ABC, NBC czy CBS.

Brent przeszedł jak burza przez stacje niższego szczebla, ale musiał przyznać, że zabrakło mu rozpędu, żeby wyjechać z El Paso po roku pracy, jak zaplanował. Po pierwsze nie zdołał nawiązać przyjaznych stosunków z resztą zespołu. Może wyczuli jego determinację, żeby się stąd wyrwać jak najszybciej. W rezultacie nie dostawał żadnych perspektywicznych tematów. Ponadto miał wrażenie, że dyrektor wiadomości żałuje, iż go zatrudnił. Pewnie uznał, że Brent wygląda trochę zbyt wytwornie na ten rynek.

Cholera, pewnie się do mnie przyczepi, że źle przeczytałem ten kawałek o cholernym kocie.

— Sharon, ciebie też poproszę — powiedział producent. Z poważną miną spojrzał na swoje tenisówki, jakby wolał uniknąć kontaktu wzrokowego.

— Słuchaj, mogę wyjaśnić tę historię z kotem... — zaczął Brent.

Producent podniósł wzrok z roztargnioną miną.

— O czym ty mówisz?

Sharon przyczłapała w grubych skarpetach po betonowej podłodze.

— Czy coś się stało?

— Doszło do masowego zabójstwa. — Powagę na twarzy producenta zastąpił wyraz ponurego zdecydowania.

— Co?

— W pobliżu miasteczka Rostov. Jakies dwieście mil na południowy wschód stąd. Nasz kontakt w drogówce mówi, że postrzelono aż dwadzieścia osób, większość śmiertelnie. To się stało obok jakiejś miejscowej przydrożnej atrakcji turystycznej.

Brent podszedł bliżej. Nawet w dzisiejszym zwariowanym świecie masowe zabójstwo z pięcioma czy sześcioma ofiarami to było coś. Ale dwadzieścia ofiar?!

— Kto to zrobił? — zapytała Sharon.

— Zabójcy nie zidentyfikowano. Podobno jakaś kobieta obecna na miejscu go zastrzeliła.

— Kobieta? — Ta historia robi się coraz lepsza, pomyślał Brent.

— Szczegóły jeszcze napływają, ale nie chcę, żeby nasi widzowie dowiedzieli się wszystkiego z CNN albo Fox. To jest wiadomość z zachodniego Teksasu. Nazywamy się „Aktualności dla El Paso” i, na Boga, dowiedziemy tego! Sharon, wracasz na antenę z „wiadomością z ostatniej chwili”. Nasz kontakt z drogówki zgodził się na wywiad telefoniczny na żywo. Brent, na ciebie czeka helikopter. Natychmiast polecisz do Rostova. Dowiedz się, co się dzieje. Liczę, że będziesz na bieżąco, kiedy Sharon dotrze tam rano z wozem transmisyjnym.

Kiedy Sharon pobiegła z powrotem do stołu, producent zawołał za nią:

— Sharon, w Rostovie będziesz podawać najnowsze wiadomości na żywo przez cały dzień! Jutro wieczorem poprowadzisz program z miejsca, gdzie doszło do strzelaniny. To będzie wydanie specjalne i zrobimy wokół tego dużo szumu. Postaraj się odpocząć. Nie chcę, żebyś wyglądała na zmęczoną.

— Więc Sharon i ja wspólnie poprowadzimy stamtąd program? — zapytał Brent, już sobie wyobrażając, jak imponująco to będzie wyglądało w jego CV.

— Nie, Sharon będzie prowadzącą. Ty dostarczysz materiału. Jeśli będziesz zbierał informacje przez całą noc i przez cały jutrzejszy dzień, to zanim zacznie się wieczorny program, będziesz wyglądał jak coś, co kot przywłócił ze śmietnika. — Producent chyba zaakcentował słowo „kot”, ale Brent miał nadzieję, że tylko mu się zdawało. — Teraz gazem do helikoptera.

— Ale ja muszę wpaść do domu i wziąć ubranie na zmianę — zaprotestował Brent. — Do jutra ten garnitur będzie wyglądał fatalnie.

— Nie masz czasu. Chcę, żebyś był na miejscu, zanim się zjawią cholerni reporterzy z CNN. — Po tych słowach producent odwrócił się w stronę trzech kamerzystów. — Kto chce mnóstwo nadgodzin?

— Ja — odpowiedziała jakaś kobieta. — Muszę wymienić hamulce w samochodzie.

Kiedy wyszła z za sprzętu, Brent rozpoznał ładną hiszpańską operatorkę, która ostatnio dołączyła do personelu. Nazywała się Anita coś tam. Po dwudziestce, drobna i szczupła, miała lśniące ciemne włosy ściągnięte w koński ogon. Nosiła trapezy i spodnie z dwukrotnie większą niż zazwyczaj liczbą kieszeni. Na koszuli też miała obszerne kieszenie.

— Łap kamerę i bierz którąś furgonetkę — polecił jej producent. — Natychmiast ruszaj do Rostova. O tej porze powinnaś tam dojechać za dwie i pół godziny.

— Szybciej — zapewniła Anita z przekonaniem.

— Wszystko jedno... nieważne, ile dostaniesz mandatów za przekroczenie prędkości. Tylko nie rozbij furgonetki. Zanim Brent skończy kręcić z góry miejsce zbrodni i wygłaszać komentarz, powinnaś dotrzeć na miejsce.

— Zaraz — wtrącił Brent — chcesz, żebyśmy obsługiwał też kamerę w helikopterze?

Producent zignorował go i dalej mówił do Anity:

— Są spore szanse, że jeszcze nie zabrano ciała. Jak już Brent wysiądzie z helikoptera, razem zaczniecie robić wywiady z policjantami i wszystkimi świadkami, jakich znajdziecie, Brent, kazałem ci się pospieszyć. Jeśli obstawimy to ze wszystkich stron, może CNN nawet nie przyśle swoich ludzi. Może zapłacą, żeby Sharon dostarczała im bieżące wiadomości na żywo. Konkurencja nie będzie miała szans w rankingach.

Nieziemska muzyka płynęła i falowała, wznosiła się i opadała. Instrumenty, których Halloway wciąż nie potrafił rozpoznać, snuły powolną, zmysłową melodię utrzymaną w niskich rejestrach. Wyobrażał sobie, że tańczy powoli z najpiękniejszą kobietą, jaką spotkał w życiu. Czuł zapach cynamonu w jej włosach i smak wódki z sokiem pomarańczowym.

W pokoju zebrało się już siedem osób: Halloway i jego partner Taggard, następna para strażników, którzy ciągle przychodzili z dyżurki, żeby posłuchać muzyki, i dwaj naukowcy, którzy dołączyli do Gordona.

Wszyscy milczeli, zauroczeni dźwiękami. Halloway wyobraził sobie, że tańcząca z nim kobieta przytula się do niego. Lekko dyszała mu w ucho.

Nagle muzyka ucichła. Kobieta znikła.

— Hej, co się stało? — zapytał Halloway.

Z głośników buchnęły zakłócenia: ostre trzaski, donośne i irytujące.

— Gordon, coś ty zrobił?! — zawołał Halloway. — Gdzie jest muzyka?

Ale Gordon wydawał się równie zaskoczony i zdenerwowany jak inni.

— Ja nic nie zrobiłem — zaprotestował, podnosząc ręce na dowód swojej niewinności.

— Więc co się stało? Dlaczego muzyka się skończyła?

Naukowiec nacisnął guziki i obrócił pokrętła na kilku konsolach.

— Może mamy problem z fazą — podsunął. Zgrzytliwe echo zakłóceń odbijało się od ścian.

— Z fazą, akurat. — Halloway zatkał uszy rękami. — Cholera, to boli. Zrób coś.

Drugi naukowiec pstryknął przełącznikiem i odłączył głośniki. Zakłócenia ucichły prawie całkowicie, teraz dochodziły tylko ze słuchawek na biurku. Kiedy Gordon je nałożył, Halloway już nic nie słyszał.

Jego uszu dobiegał jednak szum mnóstwa urządzeń elektronicznych stłoczonych w pokoju — oraz głębsza wibracja, niemal niewyczuwalna, wywoływana przez generator elektryczny albo wielkie czasy na powierzchni i przenikająca ściany.

Dzięki muzyce zapomniał o narastającym bólu głowy, ale teraz łeb mu pękał.

— Skąd to się wzięło?

Naukowcy wymienili ostrożne spojrzenia, jakby coś ukrywali.

— Włączcie to z powrotem!

— My nawet nie wiemy, jak to odebraliśmy — wyjaśnił zbyt szybko Gordon — więc tym bardziej nie wiem, jak to znaleźć.

— Po prostu to włącz! — zażądał Halloway.

— A w ogóle nie powinieneś tu przebywać — dopiero teraz połapał się Gordon, uwolniony spod wpływu muzyki. — Tu jest zakaz wstępu. Powinieneś siedzieć w dyżurce.

— Gównno prawda. Mam pilnować tego miejsca. Mogę chodzić wszędzie, gdzie zechcę.

— Więc może popilnujesz monitorów w dyżurce? Kiedy tu się objasz, mogła już nas otoczyć banda uzbrojonych terrorystów.

Kolego, jeśli jeszcze raz usłyszysz tę muzykę i mnie nie zawiadomisz, powiedział sobie w duchu Halloway, terroryści będą twoim najmniejszym zmartwieniem.

Dziesiątki policyjnych kogutów błyskały w ciemnościach. Chaos oranżu, błękitu i bieli ostro kontrastował z migotliwymi kolorami, które Page widział wcześniej — albo zdawało mu się, że widział. Silnik dudnił, kiedy strażacy spryskiwali pianą resztki płonącego autobusu. Osiem

radiowozów drogówki parkowało obok trzech policyjnych samochodów z Rostova. Wszędzie kręcili się policjanci i personel medyczny. Page słyszał jęk syreny odjeżdżającego ambulansu i warkot helikoptera ratowniczego, który startował z pobliskiego pola, oślepiając boleśnie każdego jaskrawymi światłami.

Ze swojego punktu obserwacyjnego niedaleko drogi patrzył, jak policjant przesłuchuje Tori w jej samochodzie obok platformy obserwacyjnej. Page rozmawiał już z kilkoma funkcjonariuszami i nie wątpił, że będą mieli więcej pytań. Na razie jednak z wdzięcznością wykorzystał szansę, żeby oderwać się od tego zamieszania i jakoś uporządkować niedawne traumatyczne przeżycia.

Znalazł się obok metalowego słupa z dużą mosiężną tablicą przymocowaną na szczycie. Na tablicy wytłoczono jakieś słowa. Ostre błyski kogutów na karetkach dawały dostatecznie dużo światła, żeby mógł przeczytać:

Zapraszamy do obejrzenia świateł Rostova. Wiele osób twierdzi, że je widziało, ale nikt nigdy nie wyjaśnił ich natury. Jeśli będziesz miał szczęście je zobaczyć, sam zdecyduj, czym są.

Page usłyszał kroki. Odwrócił się i zobaczył sylwetkę mężczyzny w kowbojskim kapeluszu. Sylwetka się zbliżyła i Page rozpoznał kapitana policji drogowej, z którym rozmawiał wcześniej. Latynos miał szeroką twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi i podbródkiem. Lampy sygnalizacyjne oświetlały jego płowy mundur i błękitny krawat. Nazywał się Medrano.

— Skończyliśmy przesłuchiwać pańską żonę — oznajmił. — Może pan ją zabrać tam, gdzie się zatrzymaliście.

Page nie skomentował komplikacji kryjących się za tym stwierdzeniem.

— Ze mną też skończyliście?

— Na razie. Wszyscy, którzy przeżyli, mówią to samo. Facet zwariował. Gdyby nie pan i pańska żona, zginęłoby znacznie więcej ludzi. Pan wciąż się nie domyśla, dlaczego on to zrobił? — Medrano wyglądał tak, jakby rozpaczliwie chciał usłyszeć jakiegokolwiek wyjaśnienie.

— Mówił tylko, że światła są złe.

— Światła? Pan to powiedział w taki sposób... Pan też je widział?

— To wymagało trochę wysiłku, ale tak. Przynajmniej coś widziałem.

Kapitan miał zdziwioną minę.

— Mieszkam w Harrington, jakieś sto mil dalej drogą. To duże miasto dzięki rafinerii naftowej, ale niewiele tam rozrywek, za każdym razem, kiedy rodzice mojej żony albo brat z rodziną przyjeżdżali z wizytą, jeździliśmy tutaj oglądać te światła. Głowę dam, że odbyłem tę podróż z dziesięć razy. Nigdy niczego nie widziałem. Ani rodzice mojej żony, ani brat z rodziną, chociaż obcy ludzie stojący obok twierdzili, że coś widzą. W końcu zrezygnowaliśmy i przestaliśmy przyjeżdżać. Jak one wyglądały?

— Wydawały się odległe o całe mile, a jednak takie bliskie, że próbowałem ich dotknąć. Unosiły się i opadały, łączyły się i rozdzielały, i znowu się zlewały. Ciągłe zmieniały kolory. Gdy już je zobaczyłem, nie mogłem oderwać wzroku.

Medrano kiwnął głową.

— Tak je zwykle opisują.

— Problem w tym, że zaczynam się zastanawiać, czy nie wmówiłem sobie, że je widzę. To jak masowa histeria i może też jej uległem.

— Taak, to jedno wyjaśnienie... ludzie wmawiają sobie nawzajem, że je widzą.

— Jedno wyjaśnienie? Jakże są inne?

— Fosforyzujące gazy, które unoszą się ze szczelin w ziemi. Inna teoria sugeruje, że miejscowe podziemne skały zawierają dużo kryształów kwarcu. Po upalnym dniu szybkie ochłodzenie sprawia, że skały się kurczą i wydzielają elektryczność statyczną.

Page spojrzął ponad ramieniem Medrano w stronę błyskających kogutów, dymu wznoszącego się z kadłuba autobusu... i zwłok.

— Ci wszyscy ludzie zginęli z powodu elektryczności statycznej? — Pokręcił głową. — Jeśli tak, to jest jeszcze bardziej bezsensowne.

— Pańska żona mówi, że zabójca krzychał do tłumu: „Nic rozumiecie, co one wam robią?”.

— Chodziło mu o światła. Potem zaczął strzelać w stronę horyzontu. Wrzeszczał: „Wracajcie do piekła, skąd przyszłyście”. „Wszyscy jesteście potępieni”. Myślałem, że znowu chodzi mu o światła, ale on widocznie uważał, że to ludzie są potępieni, bo w następnej kolejności otworzył ogień do tłumu.

— Jakiś maniak religijny — zasugerował Medrano.

— Z pewnością miał obsesję na punkcie piekła. „Z piekła przybywacie”. „Wracajcie tam”. Powtórzył to kilka razy, kiedy strzelał do ludzi.

— No, skoro się spalił, miał przedsmak tego, dokąd sani pójdzie — stwierdził Medrano.

— Też o tym pomyślałem. Wiecie, kto to był?

— Jeszcze nie... jeśli miał przy sobie jakieś dokumenty, to się spaliły. Droga eliminacji ustalimy, którym samochodem przyjechał, i sprawdzimy rejestrację.

— Chyba że przyjechał autobusem.

— Z karabinem, którego nikt nie zauważył?

— Mógł go przewieźć na przykład w futerale na gitarę — podsunął Page.

— Taak, możliwe. Wie pan, pan naprawdę myśli jak gliniarz. No, jeśli zabójca przyjechał autobusem, ogień pewnie zniszczył wszelkie dowody. Dlatego mamy jeszcze trudniejsze zadanie.

Page zadrzał, może z powodu zimnego wiatru, a może dlatego, że znowu spojrzął na trupy.

— Przydałaby się panu kurtka — zauważył Medrano.

— Szef Costigan mówił to samo. Nie wie pan, co z nim?

— Kierowca karetki zadzwonił do mnie ze szpitala w Rostovie. Jest na chirurgii. A co z panem?

Page roztarł prawy bok, gdzie zabójca go kopnął.

— Wolę nie oglądać tego siniaka.

— Nie o to pytałem.

— Wiem. Muszę sobie uporządkować różne rzeczy. Na razie po prostu cieszę się, że żyję.

— Brał pan kiedyś udział w strzelaninie?

— Raz. Ale nikt nie zginął. Moja żona z pewnością nigdy przedtem nie strzelała do ludzi. Gdyby nie ona, facet pewnie by mnie dopadł.

— Dokonała niezwykłego czynu. Zebraliśmy sześć łusek po nabojach.

— Właściwie ona strzeliła osiem razy — skorygował Page.

— A jednak pamięta, że tylko cztery razy nacisnęła na spust. Gdyby państwo pracowali u mnie, jutro rano rozmawialibyście z psychologiem, ale niewiele mogą zrobić dla ludzi z zewnątrz.

— Rozumiem. Dziękuję za troskliwość.

Medrano odwrócił się w stronę zachodu, skąd szybko zbliżał się ryk helikoptera.

— Dobrze. Następny helikopter do przewozu rannych.

— Odwiozę żonę do hotelu.

Światła sygnalizacyjne ukazywały sylwetkę Tori na przednim siedzeniu jej saturna. Page mszył w tamtą stronę, ścigany coraz głośniejszym rykiem helikoptera.

Nagle helikopter zapalił reflektory, ale zamiast wylądować na pobliskim polu, zawisł nad miejscem zbrodni — nie tak nisko nad ziemią, żeby wzbijać kurz czy przesuwając przedmioty i przeszkadzać w śledztwie, lecz starannie utrzymując dozwoloną wysokość.

— Co jest, do cholery? — zdziwił się Medrano.

Ale Page już się domyślił, widząc cztery wielkie litery na boku maszyny.

Medrano wzniosł pięść do nieba.

— To cholerny helikopter telewizji.

24

Przez kilka sekund Brent widział w dole światła miasta. Potem helikopter przeleciał dalej i znowu zapadła ciemność. Niemal natychmiast z przodu pojawiło się skupisko migających świateł,

Dużo migających świateł.

Brent usłyszał w słuchawkach głos pilota.

— To tam.

Z wypalanej skorupy autobusu wznosił się dym. Wszędzie kręcili się strażacy, policjanci i personel medyczny.

— Widzisz jakieś ciała na ziemi? — zapytał pilota Brent.

— Tak! Tam!

Na zwirowanym parkingu leżały nieruchome sylwetki okryte workami na zwłoki. Brent naliczył dwanaście. Inne ładowano do ambulansów.

Producent programu czekał w studiu, po drugiej stronie dwukierunkowego radia. Brent przeczucił przełącznik i powiedział do mikrofonu:

— Dotarłem na czas. Właśnie zaczynają zabierać ciała.

— Jakies inne helikoptery telewizji?

— Żadnych.

— Dobra. Wiesz, co robić.

— Znalazłeś materiały, o które prosiłem? — zapytał Brent. — Nie pozwoliłeś mi zebrać żadnych informacji. Muszę coś wiedzieć o tym mieście.

— Niewiele tego — zabrzmiał w słuchawkach głos producenta.

— Niewiele to lepsze niż nic.

— W Wikipedii jest mały artykuł. Podobno miasto szczyci się głównie tym, że tutaj kręcono film z Jamesem Deaconem *Dziedzictwo*.

— W zeszłym miesiącu ukazał się na DVD. Widziałem go — powiedział Brent.

— No, nie wiem, czy ci to pomoże.

— Rostov. Co to za nazwa? Jakaś zagraniczna.

— Rosyjska — odpowiedział producent. — Linia kolejowa, którą zbudowano tutaj w tysiąc osiemset osiemdziesiątym dziewiątym roku, należała do małżeństwa, które zatrzymało się w tym miejscu, kiedy jeszcze nic tu nie było, tylko zbiornik wody. Żona akurat czytała *Wojnę i pokój* Tołstoja. Jedną z postaci jest hrabia Rostov, więc tak nazwała to miejsce. Jeśli chcesz uspić naszych widzów, proszę bardzo, opowiedz o tym. Jest tam również opuszczona baza wojskowa... same ruiny, udzie dawniej trenowano pilotów bombowców. Zostało tyle niewybuchów, że musieli odgradzić teren i postawić tablice ostrzegawcze, ale od lat nie było żadnego wypadku.

— Coś jeszcze?

— Nic. Tylko...

— Co? — ponaglił Brent. — Potrzebuję wszystkiego, co masz.

— Coś ze światłami.

— Światłami?

— Nazywają się, cytuję: „tajemnicze światła Rostova”.

— Co to za diabeł?

— Piszą tylko, że to „kolorowe kule światła na polu”. To droga wielka miejscowa atrakcja obok starego planu filmowego z *Dziedzictwa*. Założę się, że dobrzy obywatele Rostova wychodzą na pole i machają kolorowymi latarkami, żeby nabierać łatwowiernych turystów. Ale nie mam pojęcia, jak chcesz to wykorzystać.

— Zdziwisz się. Przygotujcie się.

Pilot wytłumaczył już Brentowi, jak obsługiwać kamerę umieszczoną na dziobie helikoptera. Teraz prezydent manewrował kontrolkami, które umożliwiały wycelowanie zewnętrznego obiektywu w wybranym kierunku i zbliżenie na każdy szczegół.

— Transmisja za pięć, cztery, trzy, dwa, jeden, teraz — powiedział.

Monitor w kokpicie pokazał obrazy przesyłane do studia: migające światła, pojazdy uprzywilejowane, policjantów, strażaków, ekipę medyczną i ciała.

Jeśli ten palant myśli, że grzecznie pozwoli Sharon zająć większość czasu antenowego, to chyba mu odwaliło, powiedział sobie w duchu Brent. Dam mu materiał o tyle lepszy od tego, co ona potrafi, że będzie musiał stawiać mnie przed kamerą częściej niż ją. Mam przecucie, że ta historia jest dostatecznie duża, żeby mnie wzięli do Atlanty.

Odczekał, aż scena nabierze odpowiedniej wymowy, po czym zebrał w myślach skąpe informacje, których udzielił mu producent.

— Mówi Brent Loft z helikoptera „Aktualności dla El Paso”. Jatka na dole wygląda na skutki jakiegoś ataku w strefie wojennej, ale to nie jest Afganistan ani Irak. To spokojna kraina bydlą w zachodnim Teksasie, w pobliżu sennego miasteczka Rostov. Nazwa pochodzi od postaci z powieści Tołstoja *Wojna i pokój*... ale dzisiaj Rostov nie zazna pokoju. Bezsensowna strzelanina, która wybuchła w tej malowniczej aoeerii dwie i pół godziny temu, pociągnęła za sobą co najmniej dwadzieścia ofiar śmiertelnych. Nasuwa się pytanie: Czy istnieje jeszcze jakieś naprawdę bezpieczne miejsce?

Poniżej jakiś samochód wyjeżdżał pomiędzy radiowozów i ambulansów. Brent wycelował w niego kamerę z nadzieją, że In również pojazd służb ratowniczych, który nagle włączy koguta na dachu i popędzi w stronę miasta. Szybko jednak się zorientował, że to cywilny SUV, więc skierował kamerę z powrotem na strażaków, pokrywających pianą dymiący kadłub autobusu.

— Pół wieku temu niedaleko stąd James Deacon zagrał w klasycznym filmie *Dziedzictwo* o długoletniej zacieklej waśni pomiędzy poszukiwaczem ropy a wybitną teksaską rodziną hodowców bydła. Ta porywająca saga opowiada, jak Dziki Zachód stał się Nowym Zachodem. Lecz nawet w czasach bezprawia na Dzikim Zachodzie trudno sobie wyobrazić taką straszliwą masakrę, do jakiej tu dzisiaj doszło. Okazuje się, że na Nowym Zachodzie jest znacznie więcej przemocy niż na Starym. Pierwsze raporty podają, że niezidentyfikowany dotąd zabójca został zastrzelony przez kogoś spośród obecnych na miejscu, jedną z niewinnych przypadkowych osób, które próbował zamordować. Jeśli tak, motywy tej szokującej zbrodni mogą pozostać równie tajemnicze i niewytłumaczalne jak słynne światła Rostova, które przyciągają tutaj turystów.

Page wyjeżdżał saturnem Tori z hałaśliwego miejsca zbrodni, słysząc w górze huk wirników helikoptera. Kiedy zostawił za sobą migające światła sygnalizacyjne, zerknął z niepokojem na zonę. Wpatrywała się prosto przed siebie, w ciemność na wąskiej drodze poza kręgiem światła samochodowych reflektorów. Twarz miała ściągniętą. Wydawała się oszołomiona.

— Nie miałaś wyboru — powiedział jej. Ciągłe pamiętał jej furiackie okrzyki, kiedy raz za razem pociągała za spust, chociaż zabójca już przestał się poruszać. — Dobrze zrobiłaś. Nigdy o tym nie zapominaj.

Tori jakby lekko kiwnęła głową, ale może tylko od wstrząsu samochodu.

— Wyobraź sobie alternatywę — ciągnął Page. — Gdyby mnie złapał, mógłbym się spalić. Ci ludzie w autobusie też by się spalili.

— Może raz do niego strzeliłam, żeby cię ratować — wymamrotała Tori. Ledwie poruszała wargami i wciąż wpatrywała się przed siebie. Page musiał się skupić, żeby ją zrozumieć. — I może strzeliłam drugi raz, żeby ratować tych ludzi. — Zaczerpnęła oddechu, rysy jej się zaostrzyły. — Ale nadal do niego strzelałam... tyle razy...

Page czekał.

— ...bo przez niego światła odeszły. Ten skurwysyn zmarnował noc.

W samochodzie zapadło napięte milczenie.

Kiedy dojechali do motelu, neonowy napis głosił: BRAK MIEJSC. Page zatrzymał się przed domkiem 11. Rozpoznał jeden z samochodów zaparkowanych w pobliżu. Audi należało do ojca i matki, którzy przywieźli swoje dzieci do punktu obserwacyjnego, a potem się zniecierpliwili i chcieli jechać dalej. A przynajmniej matka i dzieci chciały jechać dalej. Page przypomniał sobie, jaką przygnębiłą minę miał ojciec.

Twoja żona i dzieci uratowały ci życie, pomyślał.

W ostrym świetle parkingowych lamp pomógł Tori wysiąść z, saturna, wyjął z jej torebki klucz motelowy i otworzył drzwi. Wnętrze pachniało starością i wilgocią.

Page zapalił górne światło i zobaczył, że w pokoju stoją dwa łóżka. No i dobrze, pomyślał.

Kiedy zamknął drzwi na zasuwę, hałas sprawił, że Tori nie wróciła się do niego. Bał się, że powie: „Nie chcę cię tutaj”. Ale ona tylko oznajmiła drętwo: — Pójdę wziąć prysznic.

Otworzyła walizkę, wyjęła podkoszulek i bokserki — swój zwykły nocny strój — i weszła do łazienki.

Zamknęła za sobą drzwi na klucz.

Z uczuciem pustki Page obejrzał oba łóżka i zauważył, że przy jednym na stoliku leżą książki. Wybrał drugie, położył się na cienkim kocu i słuchał odgłosów prysznica. Czuł, że jego drelichowa koszula cuchnie dymem, że ból w boku się rozprzestrzenia.

Skrzywił się, kiedy sobie przypomniał, jak zabójca wyciągał do niego płonące ramiona.

Tori wyszła z łazienki w bokserkach i luźnym podkoszulku. Włosy miała wysuszone ręcznikiem i szesane do tyłu, ciemniejsze niż zwykle, bo jeszcze wilgotne. Podeszła do drzwi, zgasiła światło i wpełzła pod koc na drugim łóżku.

Z łazienki napłynął zapach mydła i szamponu.

— Dobranoc — powiedział Page.

Leżał w ciemności, czekając na odpowiedź.

— Dobranoc — odezwała się wreszcie głosem tak stłumionym, że ledwie ją usłyszał.

Kiedy Page nauczył się latać, często śniło mu się, że unosi się w powietrzu, frunie niesiony łagodnym prądem, płynie ponad lasami i polami. Samolot leciał cicho jak szybowiec.

Zawracał.

Krążył.

Żeglował wśród chmur.

Teraz ten sen powrócił w innej wersji. Page nie szybował nad lasami i polami. Otoczony ciemnością, zawieszony w pustce, wznosił się i opadał, dryfował w lewo, zatrzymywał się, potem przepływał w prawo, jakby na niewidzialnych falach.

W ten sam sposób poruszały się światła, które widział za ogrodzeniem.

Obudził się przymulony. Powoli otworzył oczy i czekał, aż męczące wspomnienia przywróca go do rzeczywistości. Światło dnia wlewało się przez szpary w tanich zasłonach. Spojrzał na drugie łóżko i zobaczył, że jest puste, pościel złożona z boku. Natychmiast usiadł i zorientował się, że wciąż ma na sobie przesiąkniętą dymem koszulę i dżinsy z poprzedniej nocy. Nawet nie zdjął tenisówek. Bok bolał go jeszcze bardziej.

— Tori?

Drzwi łazienki były otwarte. Zajrzał do środka, ale żony nie było.

Pospieszył do drzwi, otworzył je i z ulgą zobaczył samochód Tori.

Słońce raziło go w oczy. Spojrzał na zegarek, wskazujący prawie kwadrans po trzeciej. Przypomniał sobie, że sprawdzał godzinę, kiedy odwoził Tori do hotelu. Wtedy było tuż po pierwszej. Mój Boże, spałem ponad dwanaście godzin, pomyślał.

Tori.

Sztywny od bólu w boku, pobiegł w popołudniowym upale do motelowej recepcji. W środku za kontuarem stał ten sam chuderlawy młody recepcjonista.

— Widział pan moją żonę?

— Pół godziny temu poszła drogą w stronę Pałacu Żeberek. — Popatrzył na Page'a z lekkim wyrzutem. — Wczoraj w nocy zatrzymałem dla pana pokój, tak jak kazał szef Costigan. Mogłem go wynająć, kiedy zdarzyła się ta historia. Mnóstwo ludzi przyjeżdża do miasta.

— Zapłacę za niewykorzystany pokój. Niech pan go teraz komuś odda.

— Już to zrobiłem, kiedy skończyła się doba hotelowa. Teraz tam mieszka reporter.

— Reporter?

— Zwalila ich się cała kupa.

Recepcjonista wskazał telewizor w kącie, obok automatu z napojami. Na ekranie przystojny mężczyzna w wymiętym garniturze trzymał mikrofon i wpatrywał się uważnie w kamerę. Miał rozluźniony krawat i rozpięty górny guzik koszuli. Był nieogolony, blond włosy miał w nieładzie, twarz ściągniętą zmęczeniem.

Za nim cisnął się tłum. Policjanci pilnowali, żeby ludzie nie przekraczali barier. Ponad grupą radiowozów wznosiła su, platforma obserwacyjna.

— Proszę się cofnąć. To wciąż jest miejsce zbrodni — ostrzegł policjant na tyle głośno, że jego głos dotarł do mikrofonu.

Tymczasem reporter telewizyjny zwracał się do widzów:

— Jak państwo widzą, tutaj sporo się dzieje. Odkąd „Aktualności dla El Paso” zaczęły dziś rano nadawać zdjęcia skutków masakry, oczy całego narodu zwróciły się na to spokojne teksaskie miasteczko. Motywy zabójcy to prawdopodobnie religijna obsesja na punkcie tajemniczych światła Rostova, które przyciągnęły tu ofiary wczoraj w nocy. „Z piekła

przybyliście i do piekła wracajcie!”, tak krzyczał według świadków, zanim skierował na nich karabin. Dziwaczne okoliczności tego wypadku spowodowały, że wielu ludzi wcześniej zaczęło weekend i przyjechało tutaj, żeby zaspokoić ciekawość co do zagadkowych światła, które wywołały furię zabójcy. Owe światła widywano tutaj od niepamiętnych czasów. Dzisiaj wieczorem, podczas naszego specjalnego programu na żywo o dziewiątej, postaram się pokazać je państwu i wyjaśnić ich pochodzenie. Przedtem Sharon Rivera i ja poprowadzimy razem rozszerzone wydania naszych wiadomości o piątej i szóstej. Osoba, która zastrzeliła zabójcę, była kobietą. Policja nie ujawniła jej tożsamości, ale dołożę wszelkich starań, żeby się dowiedzieć, kim ona jest, i porozmawiać z nią jako pierwszy. Mówił Brent Loft. Zobaczymy się ponownie o...

— Cholera — zaklął Page.

Wyjrzał przez okno. Poprzedniego wieczora droga przed motelem była prawie pusta. Teraz wypełniał ją strumień pojazdów płynący w prawo, w stronę platformy obserwacyjnej.

Page zorientował się, że wciąż ma w kieszeni dzinsów kluczyki do samochodu Tori. Pospiesznie wyszedł z recepcji, wszedł do saturna i zaczął na przerwę w ruchu, żeby skręcić w przeciwnym kierunku, do miasta. Ten pas jezdni był pusty.

Poprzedniego wieczoru parking przed Pałacem Żeberek był zapełniony tylko w połowie, teraz jednak pękał w szwach od samochodów, wśród których znajdowało się bardzo niewiele pick-upów. Mnóstwo pojazdów miało na tablicach rozdzielczych koperty firmy wynajmu samochodów. Radiowozy skupiły się na jednym końcu.

Page szybko wszedł do lokalu, gdzie zalała go fala hałaśliwych rozmów. Rozejrzał się wśród ożywionych ludzi przy stolikach i w boksach. Po lewej mignęły mu rude włosy.

Dostrzegł Tori, która siedziała przy kontuarze i piła kawę. Przed nią stał pusty talerz. Wszystkie miejsca były zajęte, ale Tori siedziała na końcu kontuaru, więc mógł podejść i stanąć obok niej.

Spojrzała na niego, ale nic nie powiedziała. Wyglądała na spiętą; nie wiedział, czy z powodu poprzedniej nocy, czy dlatego, że stał obok.

— Dobrze się czujesz? — zapytał zniżonym głosem.

— Masz moje kluczyki do samochodu.

— Wczoraj w nocy przez pomyłkę włożyłem je do kieszeni. Przepraszam.

Podał jej kluczyki.

— Spałeś tak mocno, że nie chciałam grzebać ci po kieszeniach, żeby cię nie obudzić.

— Nic by się nie stało. Nie szkodzi, gdybyś mnie obudziła. Musimy...

— Porozmawiać, tak. — Tori sięgnęła do torebki i położyła pieniądze na rachunku zostawionym przez kelnera.

Zapachy frytek i hamburgerów przypomniały Page'owi, że ostatni posiłek jadł poprzedniego wieczoru, ale nie myślał o jedzeniu, kiedy wyszedł za żoną na parking.

— Gdzie jest mój samochód? — zapytała.

— Tam. W drugim rzędzie.

Mijały ich następne pojazdy zmierzające w stronę platformy obserwacyjnej.

Tori usiadła za kierownicą, a Page zajął miejsce pasażera. Zakładał, że porozmawiają na parkingu, że spróbuje wydobyć z Tori wyjaśnienie, dlaczego go zostawiła. Tymczasem ona uruchomiła silnik i podjechała do drogi. Znalazła przerwę w ruchu i włączyła się w kolumnę pojazdów jadących w stronę platformy obserwacyjnej. Nie odezwała się ani słowem.

— Proszę — powiedział Page — pomóż mi zrozumieć.

— Mam raka piersi — oświadczyła Tori.

Page'owi nagle zrobiło się zimno. Zaszokowany, zdołał wykrztusić:

— Jak źle?

— W przyszły wtorek mam operację. W San Antonio.

— W San Antonio?

— Moja onkolog z Santa Fe to załatwiła. Zamierzałam odpocząć w domu matki, ale nie mogłam się zmusić, żeby ja zawiadomić przez telefon. Chciałam jej powiedzieć osobiście.

Page'owi zakręciło się w głowie.

— Dlaczego mi nie powiedziałaś? Od jak dawna wiesz?

— Wyniki biopsji przyszły przed tygodniem.

— Robili ci biopsję? — zdumiał się Page. — Nie miałem pojęcia.

— W gabinecie mojej onkolog. Nie musiałam iść do szpitala... zrobiła to zwykłą strzykawką. Kiedy we wtorek pojechałaś na lotnisko, zadzwoniła i zawiadomiła mnie o terminie operacji.

— Więc po prostu spakowałaś walizki i wyjechałaś? — Page nic mógł się otrząsnąć ze zdumienia. — Dlaczego ze mną o tym nic porozmawiałaś? Wiesz, że wspierałbym cię na każdym kroku.

Tori jechała powoli, uwięziona w kolejce samochodów. Po kilku minutach znowu się odezwała:

— Moja lekarka uważa, że wykryłyśmy raka w porę. Uważa, że operacja w połączeniu z radioterapią go usunie.

— W tej sytuacji to najlepsza możliwa wiadomość.

— Nie powiedziałam ci o tym, bo... — Tori zaczerpnęła tchu. — Bo mam dosyć samotności.

— Samotności? — Page poczuł, jak coś w nim pękło. — Nie rozumiem.

— Mieszkamy w tym samym domu, ale nie wiem, czy mieszkamy razem. Kiedy wracasz do domu z pracy, pytam, jak ci poszła zmiana, a ty recytujesz listę przestępstw, z którymi miałeś do czynienia.

— Moja praca polega na ściganiu przestępców.

— Chodzi o sposób, w jaki to mówisz, zimno i bezdusznie, jakby to wszystko zdarzyło się komuś innemu, jakbyś brzydził się światem.

— Takie są skutki, kiedy dzień w dzień masz do czynienia z okropnymi rzeczami.

— Często po pracy idziesz do baru i pijesz z innymi gliniarzami. Z nimi też rozmawiasz o przestępstwach?

— To nie jest terapia grupowa ani nic takiego. Po prostu wypijamy kilka piw i opowiadamy dowcipy.

— Ostatnio robisz to po każdej zmianie. Kiedy wreszcie wracasz do domu, jemy coś, co zrobiłam w garnku elektrycznym. Inaczej jedzenie by się spaliło albo wystygło, bo nigdy nie wiem, kiedy się zjawisz. Zamiast rozmawiać, jemy przed telewizorem. Ty dalej oglądasz telewizję, a ja idę do łóżka z książką.

— Ale przecież ty to lubisz — zaprotestował. — Lubisz czytać.

— Nie szukam winnego — odparła Tori. — Każde z nas jest tym, kim jest. W dni, kiedy nie pracujesz, jedziesz na lotnisko. Jak kiedyś mi powiedziałeś, niepiloci myślą, że w lataniu samolotem chodzi o poczucie wolności i podziwianie widoków. Ale ty lubisz latać, ponieważ pilotowanie samolotu wymaga takiego skupienia, że nie możesz myśleć o niczym innym. Nie możesz pozwolić, żeby rozprasały cię emocje związane z pracą, kiedy jesteś w powietrzu. To twoja obrona przed światem. Kiedy dowiedziałam się o raku, wyobraziłam sobie twoją minę, jeśli ci powiem... ten twój nieprzenikniony wyraz twarzy, który zawsze przybierasz, kiedy nie chcesz do siebie dopuścić żadnych emocji. Stwierdziłam, że dłużej już tak nie mogę. Jeśli zachorowałam na śmiertelną chorobę, nie chciałam więcej czuć się samotna. Twoja ucieczka to lotnisko. We wtorek rano, po telefonie od mojej lekarki, postanowiłam uciec w inny sposób.

W samochodzie zapadło milczenie.

Żeby się od tego oderwać, Page spojrział w niebo, na chmury napływające ze wschodu. Przeniósł wzrok w prawo. Za ogrodzeniem z drutu kolczastego zobaczył zawalone, skorodowane hangary wojskowego lądowiska, zamkniętego pod koniec drugiej wojny światowej. Wzdłuż ogrodzenia stały zaparkowane samochody. Z przodu dalej ciągnęła się procesja, ale niektórzy kierowcy skręcali na przeciwny pas ruchu i parkowali po drugiej stronie drogi. W lusterku wstecznym Page dostrzegł za Saturnem sznur aut; niektóre zjeżdżały z drogi i parkowały tam, gdzie znalazły wolne miejsca. Tori przerwała milczenie.

— Dlatego właśnie uczepiłam się tego wspomnienia o światłach. Kiedy siedziałam w kawiarni niedaleko El Paso i zobaczyłam na mapie Rostov, powróciło do mnie podniecenie wywołane widokiem tych świateł. Zanim się obejrzałam, zapragnęłam znowu je zobaczyć. Dawno już nie czułam czegoś takiego.

— Mam wrażenie, jakbyś porównywała moje zachowanie do zachowania twojego ojca tamtego wieczoru.

— Wcale nie. Jesteś dobrym, przyzwoitym człowiekiem. Mój ojciec był niecierpliwy i opryskliwy. Ty wcale taki nie jesteś. Ale potrzebuję kogoś, kto myśli pozytywnie.

Page pomyślał o pięciorgu dzieciach i kobiecie za kierownicą, którzy zginęli w czołowym zderzeniu. Pomyślał o kierowcy cysterny z benzyną, który spłonął żywcem. Pomyślał o przyjacielu zastrzelonym przez człowieka, który później wpadł na tę cysternę.

Nie mógł się uwolnić od wspomnienia tych wszystkich ludzi zastrzelonych poprzedniej nocy.

A teraz Tori miała raka.

— Myśleć pozytywnie? — Pokręcił głową. — Chyba nie umiem. Ale ja też widziałem światła. To już coś znaczy.

Tori nie odpowiedziała.

— Razem je obejrzymy — rzekł Page z nadzieją. — Nauczę się od ciebie.

Usłyszał odległy warkot helikopterów. Przed nimi trzy maszyny unosiły się w powietrzu, w bezpiecznej odległości od siebie. Wszystkie miały na brzuchach wielkie litery oznaczające stacje telewizyjne, do których należały. Kamery na dziobach celowały w sznur samochodów.

W pobliżu platformy obserwacyjnej tłum napierał na barykady i policjantów pilnujących porządku. Ktoś sprzedawał jedzenie z ciężarówki z napisem: NAJLEPSZE TACO W TEKSASIE. Reporterzy stali przed kamerami obok furgonetek telewizyjnych z talerzami anten na dachach. Page rozpoznał reportera, którego widział na ekranie telewizora w motelowej recepcji, tego w wymiętym garniturze.

— Tori, nie zatrzymuj się — ostrzegł. — Ci z telewizji wiedzą, że to kobieta zastrzeliła zabójcę. Prędzej czy później dowiedzą się, że to ty. Nigdy nie dadzą ci spokoju.

Ale ona jakby nie słyszała. Wpatrywała się w pole, gdzie wcześniej widziała światła.

— Niszczą to — powiedziała.

W zachodzącym słońcu helikopter Black Hawk pędził po niebie z prędkością stu sześćdziesięciu mil na godzinę. Ignorując stłumioną wibrację silników, pułkownik Warren Raleigh spojrział w lewo, gdzie na horyzoncie ciągnęły się góry Davis. Po chwili znowu patrzył przed siebie, na chmury napływające znad Zatoki Meksykańskiej.

W dole było pasło się na rzadkiej trawie, która ciągnęła się niemal w nieskończoność. W słuchawkach pułkownika Raleigha rozległ się głos pilota:

— Wielki kraj.

— Niektórzy ranczerzy tam na dole mają po pół miliona akrów — powiedział Raleigh do mikrofonu. — Sporo prywatności.

O szóstej rano Raleigh i jego zespół wylecieli z lotniska Glen Uurnie w pobliżu centrali NSA w Fort Meade w Marylandzie. Lecieli falconem 2000 należącym do INSCOM, ale zarejestrowanym na fikcyjną cywilną korporację, który przeniósł ich przez dwie trzecie drogi przez kontynent, do wojskowej bazy lotniczej Fort Bliss w El Paso w Teksasie. Tam odebrali sprzęt, który Raleigh wcześniej kazał przygotować. Zabrali również dwóch dodatkowych członków załogi. Jeden był człowiekiem — wojskowy treser psa. Drugi był owczarkiem niemieckim.

Przesiedli się do nieuzbrojonego helikoptera. Przystosowany do transportu towarów, bez dramatycznie wyglądających wyrzutni raketowych i działek lotniczych, zdaniem Raleigha nie powinien zwracać większej uwagi niż inne helikoptery, zwłaszcza w okolicy, gdzie oglądałyby go głównie krowy i kojoty.

Pułkownik spojrział na zegarek.

— Powinniśmy już być na miejscu.

— Dokładnie o czasie. — Pilot wskazał przed siebie, na błysk bieli.

Dziesięć czasz radioteleskopów szybko urosło w oczach. Minęły trzy lata, odkąd Raleigh odwiedzał ten kompleks. Osobiście nadzorował instalację nowego wyposażenia i dopilnował, żeby jedną czaszę wycelowano w okolicę Rostova. Teraz nie mógł się doczekać powrotu.

Przez słuchawki słyszał, jak sierżant Lockhart mówi ludziom:

— Jedna minuta do przyziemienia.

Raleigh patrzył, jak radioteleskopy się zbliżają, każdy taki ogromny, że helikopter bojowy wydawał się mały. Razem były więcej niż ogromne. Jedyne słowo, które przyszło Raleighowi na myśl, to „monumentalne”. Chociaż niełatwo ulegał nastrojom, ich intensywna biel zrobiła na nim wrażenie.

Helikopter opuścił się za trzema koncentrycznymi pierścieniami ogrodzenia, wirujące łopaty wywołały burzę piaskową. Raleigh poczuł, że płozy dotykają gruntu i maszyna osiada całym ciężarem. Potem łopaty zmniejszyły prędkość, huk śmigieł przeszedł w gwizd i Lockhart otworzył tylny luk, gestem ponaglając ludzi, żeby zabierali bagaże i wyskakiwali.

Raleigh odwzajemnił salut pilota i zeskoczył na ziemię. Dołączył do zespołu w bezpiecznej odległości od wirującej kurzawy. Kiedy helikopter poderwał się i odleciał z powrotem w kierunku Fort Bliss, na horyzoncie pojawił się następny black hawk.

Zespół składał się z ośmiu ludzi w wieku przed trzydziestką. Włosy mieli krótkie, ale nie aż tak, żeby kojarzyły się z wojskiem. Każdy nosił mocne buty, trochę za duże dżinsy, podkoszulek i luźną koszulę wypuszczoną na spodnie, zakrywającą pistolet Beretta kalibru 9 milimetrów. Ta broń nie mogła się równać z ukochanym M4 Raleigha, ale dopóki nikt nie wymyślił praktycznej metody ukrycia karabinu, pistolety musiały wystarczyć. Poza tym w skrzyniach z zamówionym ekwipunkiem znajdowało się kilka M4.

Oprócz imponujących czasz jedyną naziemną konstrukcją był barak z betonowych bloków, z którego wyszli na słońce dwaj wartownicy w mundurach khaki. Trzymali karabinki w zwodniczo niedbały sposób, Raleigh jednak zauważył, że w każdej chwili mogli się złożyć do strzału. Jeden ze strażników miał ściągnięte rysy twarzy, jakby z bólu.

— Słyszę głos, choć ty go nie słyszysz — powiedział.

W innych okolicznościach Raleigh potraktowałby te słowa jak majaczenie wariata, teraz jednak natychmiast odpowiedział:

— Który mi odejść każe.

— Widzę dłoń, której ty nie widzisz — ciągnął strażnik.

— Przyzywa mnie z cmentarza* — dokończył Raleigh.

Po wymianie hasła strażnik zsalutował.

— Witamy w kompleksie, panie pułkowniku.

— Nazywasz się...?

— Earl Halloway.

Raleigh przypomniał sobie to nazwisko z dokumentów, które czytał po drodze.

— Uczestnik walk w Iraku. Były rangers. Zgadza się?

— Tak jest, panie pułkowniku.

— Więc nie musisz mi już salutować.

— To dobry zwyczaj, panie pułkowniku.

— Istotnie. Gdyby to cię interesowało, ten cytat pochodzi wiersza osiemnastowiecznego angielskiego poety, Thomasa Tickella.

— Niestety, nigdy o nim nie słyszałem.

— Nikt nie słyszał. Potomność nie zachowała go w pamięci. — Ale mnie zachowa, pomyślał Raleigh. — Marnie wyglądasz, Earl. Coś nie tak?

— Po prostu ból głowy, panie pułkowniku. To nic. Wziąłem aspirynę. Przejdzie mi.

Ale napięty wyraz jego twarzy świadczył, że ból głowy ani myślał ustępować.

Przerwał im drugi helikopter, który z rykiem przeleciał nad ogrodzeniem i usiadł na miejscu poprzedniego. Gdy tylko kurz opadł, ukazał się treser z owczarkiem niemieckim. Omijając psa, zespół rzucił się do wyładowywania drewnianych skrzyń.

— Earl — powiedział pułkownik.

— Tak?

— Wcześniej przez radio wydałem polecenie, żeby przygotować dwa suburbany w podziemnym garażu.

— Zajęto się tym, panie pułkowniku — zapewnił Halloway. — Już czekają.

— Więc musisz tylko dać nam kluczyki.

Halloway się zawahał.

— Może zechce pan najpierw wejść do środka.

— O? — Raleigh zmarszczył brwi. — A to dlaczego?

— Powinien pan o czymś wiedzieć. — Halloway miał jeszcze bardziej zboląłą minę. — Jeśli się nie mylę, jest pan tu z powodu muzyki.

— Muzyki? — zdumiał się Raleigh. — Więc wiesz o muzyce? — zapytał i pomyślał: Jak źle jest tutaj z bezpieczeństwem?

— Słyszałem ją wczoraj wieczorem.

— Słyszałeś ją?!

— A wkrótce potem pan się z nami skontaktował, żeby zawiadomić o przyjeździe, więc wykombinowałem, że jedno się wiąże z drugim. Ta czasza skierowana w stronę Rostova.

— Do rzeczy, Halloway.

— Domyślam się, że jest wycelowana w stronę tego, co nadaje tę muzykę.

Raleigh osłupiał. Jeden z najbardziej tajnych projektów armii, a ten były sierżant mówi o tym jak o powszechnie znanej sprawie. Starał się nie okazywać wzburzenia.

* Thomas Tickell, *Lucy and Colin*, przekład tłumaczki.

— No dobrze, Earl, pokaż mi, co twoim zdaniem powinienem zobaczyć.

Zostawiwszy ludzi na zewnątrz, żeby przygotowali pojazdy, Raleigh wszedł za strażnikiem do małego betonowego budynku. Przeszli przez podwójne zabezpieczające drzwi i budząc echa na metalowej klatce schodowej, dotarli do jaskrawych lamp i filtrowanego powietrza w podziemnym kompleksie. Kiedy weszli do dyżurki, Raleigh usłyszał głos, który początkowo wziął za głos drugiego strażnika. Potem jednak rozejrzał się po licznych monitorach pokazujących obszar wokół anten i ku jego zdumieniu jeden monitor okazał się telewizorem.

— Oglądacie tu telewizję? — Nie próbował ukryć niezadowolenia.

Ekran pokazywał tłum przed policyjnymi barykadami. Na pierwszym planie reporter w wygniecionym garniturze trzymał mikrofon i zwracał się do kamery.

— Co jest, do cholery? — warknął Raleigh.

— Zaczęli to nadawać w porannych wiadomościach. Pewnie wtedy pan był w powietrzu, więc pan o tym nie słyszał. Wczoraj w nocy zastrzelono dwadzieścia osób.

— Niestety ciągle się zdarzają. Jaki to ma związek ze mną?

Earl wskazał reportera na ekranie telewizora.

— Ten facet pierwszy zjawił się na miejscu. Ciągle gada o światłach, czymkolwiek są.

— O światłach? — Raleigh podszedł bliżej do telewizora. — Czekaj no. Mówisz, że strzelanina zdarzyła się w Rostovie?!

— Pięć mil od miasta, na jakiejś platformie obserwacyjnej. Widocznie zabójca zwariował przez te światła. Zaczął wrzeszczeć: „Wszyscy pójdziecie do piekła!” i otworzył ogień do grupy turystów.

Mięśnie Raleigha się napięły. Znowu się zaczyna, pomyślał.

— Ten reporter narobił szumu, że to światła doprowadziły do masowego zabójstwa, a wszyscy inni reporterzy go małpują — ciągnął Halloway. — Teraz ludzie zjeżdżają ze wszystkich stron, żeby je zobaczyć. Miasto zmieniło się w zoo. Jeśli tam jedziecie, pomyślałem, że powinien pan wiedzieć.

Patrząc na chaos w telewizorze, Raleigh czuł, że puls mu przyspiesza jak przed walką. Całkiem jak w 1945 roku. Mój Boże, naprawdę znowu się zaczyna.

28

Szpital okręgowy w Rostovie był niewielkim jednopiętrowym budynkiem o tynkowanych ścianach, jaskrawopomarańczowych w słońcu późnego popołudnia. Frontowe schody promieniowały żarem. Mimo wszystko Tori się zawahała.

Page przyglądał się jej z troską.

— Nic ci nie jest?

— Po prostu myślę o następnym wtorku. Szpital w San Antonio.

Page nic mógł zapomnieć, że jego matka umarła na raka piersi. Ogarnęło go odrętwienie.

— Będę przy tobie.

— Nigdy nie wątpiłam. Ale co się stanie, jeśli życie wróci do normy i znowu będę sama, nawet kiedy będziesz ze mną?

— Zmienię się.

— To trudne.

— Dla ciebie zrobię wszystko. Rzucę pracę w policji.

Tori wyglądała na zdumioną.

— To przez tę pracę muszę tłumić uczucia — oświadczył Page. — Rezygnacja to oczywisty początek, jeśli chcę coś naprawić między nami.

— Ale co będziesz robił?

— To samo co mój ojciec. Zostanę mechanikiem samolotowym.

Tori wpatrywała się w niego jeszcze przez chwilę, potem odetchnęła głęboko i podeszła do frontowych drzwi szpitala. Otworzyły się automatycznie.

W westybulu Page przeszedł obok rzędu plastikowych krzeseł i zatrzymał się przed kobietą w okularach za kontuarem.

— Przyszliśmy kogoś odwiedzić. Przyjęto go wczoraj w nocy z raną postrzałową. Szef policji Costigan.

— On nie przyjmuje odwiedzających.

— A może nam pani powiedziec, jak on się czuje?

— Państwo są rodziną?

— Nie, my...

— Edith, w porządku — powiedział jakiś głos. — Oni nie są reporterami.

Page obejrzał się i zobaczył kapitana Medrano stojącego przy windzie, której drzwi zamykały się za jego plecami. Policjant trzymał w ręku stetsona. Na obu rękawach płowego munduru miał czerwone naszywki patrolu drogowego.

— Wręcz przeciwnie, oni starają się unikać reporterów — ciągnął Medrano. Nacisnął guzik windy i drzwi natychmiast znowu się rozsunęły. — Chodźcie, zaprowadzę was do niego.

W windzie Medrano zrobił przeproszającą minę.

— W końcu musiałem podać mediom wasze nazwiska. Wiercie mi, wstrzymywałem się najdłużej, jak mogłem, ale w końcu zaczęło to wyglądać, jakbym nie panował nad własnym śledztwem.

— Jeśli się dowiedzą, że mieszkamy w tym motelu... — zaczęła Tori.

— Recepcjonista obiecał zaprzeczać, że tam mieszkacie.

— Mam nadzieję, że dotrzyma słowa. Wiecie, kim był zabójca? — zapytał Page.

— Edward Mullen. Jeden z tych, którzy przeżyli, zapamiętał go z wycieczkowego autobusu. Skontaktowaliśmy się z firmą, do której należał autobus. Siedziba jest w Austin. Światła to tylko krótki etap wycieczki... jeżdżą również do dużego ranczerskiego domu, zbudowanego do tego filmu z Jamesem Deaconem, *Dziedzictwo*.

Page kiwnął głową.

— Wczoraj wieczorem ktoś wspominał o tym planie filmowym.

— Głównie jednak to wycieczka krajobrazowa, która przejeżdża przez góry Davis. Firma dostarczyła nam listę wszystkich, którzy się zapisali na tę konkretną wycieczkę. Wszystkie ofiary miały przy sobie dowody tożsamości. Porównaliśmy z listą ich nazwiska i nazwiska tych, którzy przeżyli. Tylko Edwarda Mullen nie mogliśmy się doliczyć. Miał pan racje: według jednego z pasażerów Mullen zabrał ze sobą futerał na gitarę. Facet to zapamiętał, bo Mullen z trudem znalazł dla niego miejsce. Na pewno tam ukrył karabin.

— Przypadkiem zgadłem.

— Nie. Mówiłem panu wczoraj wieczorem, pan ma instynkt dobrego gliniarza.

Page zerknął na Tori i napotkał jej spojrzenie. Drzwi windy się otwarły. Wyszli na szpitalny korytarz. Zapach środków odkażających podrażnił nozdrza Page'a.

— Dziewiąty raz Mullen odbywał tę samą wycieczkę — ciągnął Medrano.

Page przystanął i zmarszczył brwi.

— Dziewiąty raz?

— Firma wycieczkowa dała nam numer jego karty kredytowej. Towarzystwo kredytowe podało nam jego adres. Policja w Austin sprawdziła jego mieszkanie.

— Zdziwię się, jeśli nie mieszkał sam.

— Jego żona zmarła przed rokiem — powiedział Medrano. — Nie mieli dzieci.

— Teraz się zdziwię, jeśli mieszkanie nie było zapchane religijnymi figurkami, obrazami i stosami literatury o polepieniu.

— Żeby to wywieźć, potrzebna byłaby ciężarówka — przyznał Medrano. — Kusi mnie teoria, którą przyjąłem wczoraj w nocy: że to jakiś maniak religijny. Ale z tą teorią jest problem.

— O?

— Mullen ma brata. Według niego Mullen nigdy nie był religijny... nigdy nawet nie zbliżał się do kościoła... aż do pogrzebu żony. Widocznie jej śmierć tak go załamała, że całymi dniami nie wstawał z łóżka. Brat próbował go czymś zainteresować i przypadkiem zobaczył w gazecie reklamę jednej z tych wycieczek. Przed śmiercią żony Mullen był zapalonym kinomanem. Jeśli jakiś film kręcono w Teksasie, znał każdą klatkę. Więc kiedy brat przeczytał, że wycieczka przewiduje zwiedzanie planu filmowego *Dziedzictwa*, jednego z ulubionych filmów Mullena, zdołał go przekonać... „dosłownie wziął go za ucho”, jak się wyraził... że obaj powinni pojechać. Program obejmował również kilka plenerów z filmów kręconych w górach Davis. Zanim jednak grupa dotarła do tych plenerów, odwiedzili platformę widokową. Jak zwykle niektórzy uczestnicy wycieczki twierdzili, że widzą światła, a inni nie rozumieli, o co tyle szumu.

— Czy brat widział światła? — zapytał Page.

— Nie, ale Mullen mówił, że są wyjątkowo widowiskowe. Po powrocie do Austin zaczął zapelniać mieszkanie religijnymi figurkami i obrazkami.

Zadzwoił telefon, co rozproszyło Medrana. Dzwonek dobiegał z dyżurki pielęgniarek naprzeciwko windy. Page rozejrzał się i zobaczył pootwierane drzwi, pielęgniarki i ludzi w zwykłych ubraniach wchodzących do pokoi albo wychodzących na korytarz.

Medrano wskazał zegar w dyżurce pielęgniarek.

— Prawie piąta. Mam konferencję prasową w gmachu sądu. Lepiej wam pokażę, gdzie jest Costigan.

Kiedy szli korytarzem, Page znowu spojrzął na Tori, która pocierała kark, wyraźnie wytrącona z równowagi przez szpitalne zapachy i widoki. Przysunął się do niej bliżej i dyskretnie ścisnął jej rękę, ale nie wywołał żadnej reakcji.

Medrano wszedł w przedostatnie drzwi po lewej stronie i znikł Page'owi z oczu.

— Chcesz następnych gości? — zapytał kogoś.

— Tylko ładnych — odpowiedział chrapliwy głos.

— Jeden jest ładny. Drugi musiałby się ogolić.

Medrano wystawił głowę zza drzwi i gestem przywołał Page'a i Tori.

Costigan leżał w łóżku z podniesionym oparciem, oglądając wiadomości na ekranie telewizora zawieszzonego naprzeciwko na ścianie. Page rozpoznał tego samego reportera, którego widział w telewizorze motelowej recepcji: wygnieciony garnitur, zmierzwiłone blond włosy, szczecina na brodzie, mizerna, lecz przystojna twarz.

— Wszystko lepsze od patrzenia, jak ten cholerny dureń dolewa oliwy do ognia — warknął Costigan.

Nacisnął pilota i wyłączył telewizor. Głowę miał owiniętą bandażami, grubszymi z jednej strony, gdzie tkwił opatrunek. Wydawał się chudszy i poszarzały. Nawet jego wąsy wyglądały szaro.

— Poznajesz tych ludzi? — zapytał Medrano.

— Jasne.

W lewym ramieniu Costigana tkwiła przymocowana plastrem kroplówka. Spod szpitalnej koszuli na piersi wychodziły przewody podłączone do urządzeń, które monitorowały pracę serca i ciśnienie krwi.

— Miło mi to słyszeć — powiedział Medrano. — To część sprawdzianu pamięci. Muszę pędzić na konferencję prasową, ale niech ta para zawiadomi pielęgniarkę, jeśli będziesz miał luki w pamięci, na przykład zapomnisz o tych pięćdziesięciu dolarach, które ci pożyczyłem w zeszłym tygodniu.

— Nie pożyczałem żadnych pięćdziesięciu dolarów.

— Racja. Tak naprawdę pożyczyłem ci stówę.

— Zjeżdżaj stąd — burknął Costigan.

Kiedy Medrano wyszedł, szczerząc zęby, szef kiwnął na gości, żeby podeszli bliżej.

— Przynieśliśmy panu z powrotem kurtkę — powiedział Page. — Dzięki. Przydała się.

— Zatrzymajcie ją na razie. I tak nie mogę jej nosić. Costigan przyjrzał im się. — Nazwał was „parą”. Czy to znaczy, że między wami lepiej się układa?

— To jest raczej skomplikowane — odparł Page.

— A co nie jest? Przynajmniej przyszliście tu razem.

Tori zmieniła temat.

— Jak ciężko jest pan ranny?

— Widocznie mam twardą głowę. Kula wgniotła czaszkę, Nie ma pęknięcia, tylko porządne wstrząśnienie mózgu. — Costigan się skrzywił. — I jeszcze gorszy ból głowy. Jeśli zacznę się ślinić, wezwijcie pielęgniarkę.

Pomimo całego ciężaru emocji Page niemal się uśmiechnął.

— Miał pan tyle krwi na głowie — powiedziała Tori — Myślałam, że pan nie żyje.

— Rany głowy okropnie krwawią. Pani Page, słyszałem, że podniosła pani moją broń i zrobiła z niej dobry użytek. Uratowała pani wielu ludzi. Jest pani wspaniała.

Tori odwróciła wzrok.

— Przepraszam. Nie chciałem pani zdenerwować. — Cos tigan zmienił temat. — Pewnie żadne z was nie ma papierosów.

— Niestety, nie — odpowiedziała Tori. Znowu na niego spojrzała.

— No i dobrze. I tak nie pozwolą mi tutaj palić.

— To dobra okazja, żeby rzucić — podsunęła Tori.

— Taak, ta rana daje mi motywację, żeby tu zostać jak najdłużej. — Costigan spojrzał na Page'a. — Zanim zaczęła się strzelanina, pan chyba zobaczył światła.

Page czuł, że Tori czeka na odpowiedź.

— Zobaczyłem.

— Jestem pod wrażeniem — wyznał Costigan. — Nie każdy je widzi. Pańska żona z pewnością widziała.

— Tak — potwierdziła Tori takim tonem, jakby mówiła o kochanku.

— Ale nadal nie wiem, co właściwie widziałem — podjął Page. — Co się tu dzieje, szefie? Czym one są?

Costigan nacisnął guzik. Silniczek pod łóżkiem zaterkotał i trochę wyżej uniósł wezglowie.

— Słyszałem najróżniejsze wyjaśnienia. Wszystko, co chcecie, od piorunów kulistych do miejscowych dowcipnisiów. Jeśli to dowcipnisie, są dobrzy. Kiedy przyjechałem do miasta, żeby zostać szefem po śmierci ojca...

Smutne wspomnienie sprawiło, że Costigan zamilkł. Stopniowo znowu zebrał myśli.

— No, spędziłem tam wiele nocy, szukając ludzi z latarkami albo czymś takim. Musieliby daleko jechać, żeby zrobić dowcip. Nigdy nie widziałem samochodów zaparkowanych na

poboczu i nigdy nie słyszałem żadnych hałasów. Potrzeba co najmniej kilku osób, żeby odstawić taki numer, i nie wyobrażam sobie, jak można to zrobić po cichu. Co więcej, trudno utrzymać coś takiego w sekrecie. Po tylu latach ktoś w mieście musiałby się wygadać. I ilu dowcipnisiów ma tyle samozaparcia, żeby to robić noc po nocy?

— To, co widziałam, to nie były latarki — oświadczyła Tori.

— No nie, ale przecież musi istnieć jakieś wyjaśnienie. To się chyba pani nie spodoba, pani Page.

— Proszę mi mówić Tori. Co mi się nie spodoba?

— Moim zdaniem te światła nie mają w sobie nic magicznego. Czasami przyjeżdżają tu naukowcy, niektórzy aż z Japonii. Rozstawiają najróżniejsze instrumenty pomiarowe, maszyny, które analizują światło, mierzą odległości i... nawet nie udaję, że rozumiem. Najlepsze wyjaśnienie, jakie wymyślili, to inwersja temperatury.

— Co takiego?

— Mówiłem, że się pani nie spodoba. Inwersja temperatury. Tłumaczyli mi to w ten sposób, że jesteśmy pięć tysięcy stóp nad poziomem morza. Na tej wysokości, kiedy słońce zachodzi po upalnym dniu, różnica temperatur między dniem a nocą może wynosić aż pięćdziesiąt stopni. To powoduje inwersję, gorące powietrze znajduje się nad zimnym. W pewnych warunkach odległe światła, na przykład przejeżdżającego samochodu albo pociągu, mogą się odbijać tam i z powrotem pomiędzy tymi warstwami. Światła powiększają się, przesuwiają w górę i w dół, w prawo i w lewo.

— Ale jak mogą zmieniać kolory?

— Tego naukowcy nie wyjaśnili.

— Czy światła pojawiają się w zimie? — dążyła Tori. — Jeśli tak, wtedy nie ma takiej różnicy temperatur między dniem a nocą. Więc skąd się bierze inwersja temperatur?

— Tego też naukowcy nie wyjaśnili. — Costigan ostrożnie dotknął obandażowanej głowy. — Ale boli... Harriett Ward.

— Słucham? — Ostatnie słowa wydawały się bez sensu. Page zaniepokoił się, że Costigan nie potrafi jasno myśleć.

— Harriett to osoba, z którą trzeba rozmawiać o światłach. Jest miejscowym ekspertem. Prowadzi sklep z antykami jedną przecznicą na południe za gmachem sądu. Mieszka na zapleczu w kilku pokojach. Zważywszy na sytuację, wątpię, czy wielu miejscowych wypuści się dzisiaj na miasto, chociaż to piątkowy wieczór. Pewnie zastaniecie ją w domu.

29

Staroświeckie litery na szyldzie głosiły: ANTYKI ZACHODNIEGO TEKSASU.

Kiedy Tori zaparkowała przed frontem sklepu, Page zauważył w oknie wystawowym kredens, fotel na biegunach i drewniane koryto. Ramę okna pomalowano na pastelowy błękit, kontrastujący z żółtą galerią sztuki po lewej stronie i zieloną kawiarnią po prawej.

— Przypomina mi światła — powiedziała Tori.

Obejrzelisi na gmach sądu, gdzie na szerokiej ulicy parkowało mnóstwo samochodów, włącznie z kilkoma furgonetkami stacji telewizyjnych. Page ocenił, że przed frontowymi schodami stało około setki osób, zapewne słuchających konferencji prasowej, którą prowadził kapitan Medrano.

— Mój wynajęty wóz ciągle tam stoi. Nie mogę go zabrać, dopóki oni nie odejdą — wyjaśnił Page żonie.

Zachodzące słońce kładło na domach szkarłatne blaski. Obok zatrzymał się pick-up. Z okna po stronie pasażera wychylił się nastoletni chłopak.

— Podobno gdzieś tutaj są jakieś niesamowite światła. Przyjechaliśmy aż z Lubbock, żeby je zobaczyć. Wiecie, gdzie to jest?

— Nie jesteśmy stąd — odparł Page. — Tylko odwiedzamy przyjaciół.

Chłopiec siedzący pośrodku powiedział do kierowcy:

— Ed, zapytajmy kogoś innego. Spróbujmy w tamtym tłumie.

Ciężarówka odjechała. Page zastukał w drewnianą futrynę drzwi i zajrzał przez okno do mrocznego sklepu.

— Może szef się mylił i ona wyszła na wieczór — powiedział.

Ale kiedy zastukał ponownie, w głębi sklepu otworzyły się drzwi i pojawiła się jakaś postać. Podeszła do nich, mijając stare stoły i serwantki. Miała siwe włosy, ścięte krótko jak u mężczyzny. Potem zapaliło się światło i Page zobaczył szczupłą kobietę po sześćdziesiątce. Nosila kowbojskie buty, dzinsy, roboczą koszulę i skórzaną kamizelkę. Twarz miała brązową i pomarszczoną od słońca.

Kiedy otworzyła frontowe drzwi i wyjrzała, Page zauważył obrączkę ślubną.

— Pani Ward, nazywam się...

— Dan Page. A pańska żona ma na imię Tori. — Kobieta po kolei podała im ręce. — Szef Costigan dzwonił i uprzedził, że przyjdziecie. Wejdźcie. I mówcie mi Harriett.

Rozbrojony jej życzliwością, Page przepuścił Tori i poszedł za kobietami na zaplecze sklepu. Zauważył stare strzelby na ściennym stojaku. Drewniana podłoga skrzypiała. Wszystko pachniało przeszłością.

— Właśnie chciałam się napić, ale nie cierpię pić sama — powiedziała Harriett. — Więc mam nadzieję, że się przyłączycie.

Weszli do małego, oszczędnie umeblowanego saloniku. Wzór na chodniku miał kształt słońca. Page nie dostrzegł żadnych śladów obecności mężczyzny. Pamiętając o obrączce na palcu Harriett, doszedł do wniosku, że jest wdową.

— Mam wódkę, burbon i tequilę — powiedziała.

— A co ty pijesz? — zapytała Tori.

— Tequilę z lodem.

— Poproszę to samo.

Page się zdziwił. Tori rzadko pijała mocny alkohol.

— Dla ciebie też tequila? — zapytała Harriett.

— Tylko trochę. Dawno nic nie jadłem.

Stukając obcasami butów po drewnianej podłodze, Harriett poszła do małej kuchni. Page usłyszał brzęk kostek lodu wrzucanych do szklanek i chlupot nalewanego płynu.

— Szef mówi, że interesujecie się światłami — powiedziała Harriett, wracając z dwiema szklankami.

— Według niego jesteś miejscowym ekspertem — odparł Page.

— Przeprowadziłam mnóstwo badań, jeśli o to mu chodzi. — Harriett wróciła do kuchni po trzecią szklankę i przyniosła również torebkę chipsów tortilli, którą podała Page'owi. — Grzebałam w historii i znalazłam setki relacji, wiele z dawnych czasów. Ale nikt nie jest ekspertem, jeśli chodzi o światła. Tak naprawdę nikt ich nie rozumie.

— Dlaczego nie są szeroko znane? — chciała wiedzieć Tori.

— Nakręcili o nich odcinek w tym starym programie telewizyjnym *Niewyjaśnione tajemnice*, a jakieś pięć lat temu ekipa z History Channel przeprowadzała tutaj wywiady. Co jakiś czas zamieszczają artykuł w jakimś czasopiśmie. Wtedy mamy falę przyjezdnych. Dlatego okręg postawił tę platformę widokową i przenośne toalety. Ludzie robią tyle bałaganu, że lepiej przystosować się do turystów, niż ich ignorować... zresztą to się okazało korzystne dla biznesu. Ale w końcu zainteresowanie wygasa. Po pierwsze światła nie wychodzą dobrze na zdjęciach, więc kamerzyści się denerwują. Po drugie wielu gości nie widzi świateł, dlatego władze okręgowe wywiesiły plakietkę z ostrzeżeniem, żeby ludzie nie czuli się rozczarowani, jeśli nic nie zobaczą.

Harriett stuknęła się z nimi szkłem i usiadła.

Chociaż Page udawał, że sący tequilę, nie zamierzał dopijać drinka. Wykorzystywał go tylko jako rekwizyt, żeby Harriett poczuła się swobodnie i żeby ją zachęcić do mówienia.

— Szef Costigan uważa, że to prawdopodobnie odległe światła samochodów, powiększone przez inwersję temperatury. Ale ja w to nie wierzę — oświadczyła stanowczo Tori.

— Słyszysz różne teorie. Od UFO do piorunów kulistych.

— Dlaczego niektórzy ludzie je widzą, a inni nie? — zapytał Page.

— Jak mówiłam, istnieją różne teorie. Psychiatra z *Niewyjaśnionych tajemnic* twierdził, że to forma masowej iluzji, że niektórzy ludzie pragną, żeby ich oczekiwania się spełniły, podczas gdy inni za nic nie chcą dopuścić, żeby nimi manipulowano.

— W to też nie wierzę — upierała się Tori, patrząc na Page'a. — Nie miałam żadnych oczekiwań, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam światła w wieku dziesięciu lat. Chciałam tylko, żeby ojciec zatrzymał samochód i żebym mogła skorzystać z kibelka. Kiedy wyszłam, wcale się nie spodziewałam, że zobaczę jakieś światła.

— Fred Nolan z pewnością nie miał żadnych oczekiwań, kiedy po raz pierwszy zobaczył światła w tysiąc osiemset osiemdziesiątym dziewiątym roku — powiedziała Harriett.

— Fred Nolan? — powtórzyła Tori.

30

Piąty kwietnia 1889 roku.

Nolan patrzył, jak obsługa pociągu opuszcza kran z wieży ciśnieni i napełnia zbiornik silnika parowego. Rozejrzył się po kilku niewielkich budynkach dających schronienie ludziom, którzy zwozili drewno z gór Davis i składowali przy torach jako paliwo dla pociągów.

W wagonach bydłowych ryczały krowy.

— Rozsuńcie drzwi — polecił Nolan swoim ludziom. Drewniane pochylnie zadudniły pod kopytami zwierząt, pędzących do słońca i świeżego powietrza.

— Nie pozwólcie im się rozproszyc — rozkazał Nolan.

Pięćset kościstych krów kupił tanio w Kolorado po mroźnej zimie, kiedy na pastwiskach zebrało się tyle śniegu, że zwierzęta nie mogły wygrzebać trawy spod zasp. Wiele zdechło z głodu. Te, które przeżyły, wyglądały okropnie.

Ale przeżyły, pomyślał Nolan. Są silne. Dobre na rozplód.

Spotkał się w Denver z dyrektorami kolei i argumentował, że ta stacja wodna w Teksasie to idealne miejsce, żeby kolej zbudowała tu miasteczko i duże zagrody dla bydła.

— Jasne, trawa rośnie rzadko, ale bydło ma więcej ziemi na wypas. Jeśli akr przypada na jedno zwierzę, świetnie sobie poradzą.

— Akr na jedno zwierzę? — rzucił drwiąco dyrektor z cygarem. — W takim razie będzie pan potrzebował sporo ziemi, żeby usprawiedliwić wydatki, na jakie chce nas pan narazić.

— No, przyznaję, że moje ranczo jest dość małe. Mam tylko ćwierć miliona akrów, ale zamierzam się rozwijać.

— Ćwierć miliona akrów?! — Dyrektor wychylił się do przodu. — Dobry Boże, chce pan powiedzieć, że zamierza pan przewieźć ćwierć miliona krów przez tę stację wodną?

— Na początek. Jeśli zbudujecie miasto i zagrody, ja dostarczę krowy.

Teraz Nolan spojrzął w stronę, gdzie miały stanąć zagrody, koryta na wodę i żłoby na siano, stałe rampy prowadzące do wagonów bydłowych. Wyobrażał sobie szerokie ulice miasta, przez które było będzie przepędzane do zagród. Sklepy, które ułatwią zaopatrywanie jego rancza. Domy dla ludzi pracujących w sklepach. Może dom lekarza i kościół. Może nawet saloon, starannie pilnowany, bo chociaż Nolan był żarliwym prezbiterianinem i nigdy w życiu nie tknął kropli alkoholu, rozumiał potrzeby mężczyzn, których zatrudniał, i zdawał sobie sprawę, że jeśli od czasu do czasu pozwoli na ściśle kontrolowaną rozrywkę, łatwiej znajdzie i zatrzyma robotników na ranczu.

Przyznawał, że jego ambicje przerastają jego możliwości. Posiadał ćwierć miliona akrów, których jego ojciec i dziadek bronili przed Indianami i Meksykanami. Teraz jednak potrzebował pieniędzy, żeby kupić więcej tanich, wychudzonych, ale zadziwiająco silnych krów. Na razie jego stado liczyło pięćdziesiąt tysięcy, ale potrzebował dużo więcej, żeby rozmnożyć je do ćwierć miliona, zgodnie z obietnicą.

No, to dopiero początek, pomyślał Nolan. W przyszłym tygodniu jadę do Oklahomy. Tam zima była przeciwieństwem tej w Kolorado, tak sucha, że wiosenna trawa nie wschodzi. Ranczerzy będą wybijać bydło i chętnie sprzedadzą najgorsze sztuki za bezcen. Wezmą mnie za głupca, ale ja wiem, że jeśli coś przeżyło zimową suszę, to jest silne.

— Popędzajcie je! — zawołał do swoich ludzi.

Kąt padania słońca ostrzegł go, że za pięć godzin zapadnie zmrok, a do tego czasu jego ludzie muszą przeprowadzić bydło osiem mil dalej do strumienia, który przegrodzili tamą i stworzyli sadzawkę, gdzie krowy mogły się napić w stadzie. Ponad mila na godzinę. Po długiej podróży w wagonach bydłowych istniało ryzyko, że niektóre sztuki padną, zanim dotrą do wody. Ale później będą mogły odpocząć, nic nie robić, tylko jeść, pić i rosnać.

Są silne, pomyślał Nolan. Przetrwały gorsze rzeczy. Dotrą do strumienia.

Jak się okazało, dwie sztuki zdechły, a pozostałe dotarły do wody dopiero po zmroku, kiedy trudniej było opanować wędrujące stado i wycie kojotów mogło je spłoszyć. Wreszcie jednak krowy okrążyły przedzielony tamą odcinek strumienia, a Nolan powiedział nadzorcy:

— Niech połowa ludzi pilnuje stada. Wyślij drugą połowę, żeby rozbiła obóz.

W blasku gwiazd i wschodzącego sierpa księżyca Nolan zsiadł z konia, rozsiadł klacz, zarzucił jej sznur na szyję i poprowadził ją do wody. Tam dopilnował, żeby nie wypila za dużo. Na sztywniejących nogach zaprowadził klacz do splachetka trawy, spętał ją i zostawił, żeby się pasła. Trawa rosła rzadko, więc klaczy nie groziło przejedzenie i wzdęcie po wypiciu wody.

W drodze na kolej ludzie Nolana zabrali drewno na opał z ranczerskiego domu i zostawili przy stawie. Teraz w ciemności ułożyli trzy stosy, żeby rozpalić ogniska.

— Panie Nolan, jak pan myślisz, co to jest? — zapyta! go nadzorca z niepokojem.

— Gdzie?

— Tam, na południowym wschodzie.

Nolan odszedł od krów i spojrzął na mroczny horyzont.

— Nic nie widzę. Czego mam szukać?

— Tam, panie Nolan. Tamte światła.

— Światła? — Nolan wyteżył wzrok. — Jakie światła? Nie widzę... Zaraz.

Początkowo Nolan myślał, że widzi gwiazdy mrugające nad horyzontem. Nagle jednak uświadomił sobie, że to, co widzi, znajduje się poniżej linii horyzontu. Na prerii. Błyska. Co najmniej tuzin światła.

— Powiedz ludziom, żeby nie rozpalali ognisk — rozkazał stłumionym, pełnym napięcia głosem. — I niech nie hałasują.

Nadzorca pobiegł wykonać polecenie, a Nolan spiesznie podszedł do mężczyzny na koniu, pilnującego stada.

— Złaż. Schyl głowę. Nie pokazuj się. Powiedz innym, żeby zrobili to samo.

— Kłopoty, panie Nolan?

— Rób, co mówię.

Czując palenie w żołądku, Nolan pospieszył do następnego jeźdźca i wydał mu takie same rozkazy. Skulony, dopadł do swojego siodła i wyciągnął z olstra winchestera. Zawsze trzymał nabój w komorze, więc nie musiał ładować broni. Wystarczyło odwieść kurek.

Przykucnął i wpatrzył się w światła. Wydawały się oddalone o pięć czy sześć mil. Niektóre unosiły się w powietrzu, inne przesuwały się tam i z powrotem. Miały rozmaite kolory — niebieskie, czerwone, zielone, żółte — i zlewały się, a potem rozdzielały.

Ludzie Nolana zgromadzili się w pobliżu. Nadzorca nachylił się do niego i mruknął:

— Myślisz pan, że to ogniska, panie Nolan?

— Nigdy nie słyszałem o ogniskach, które ciągle zmieniają miejsce — odparł Nolan cicho.

— Może oni tam mają pochodnie i coś z nimi robią.

— Na przykład?

— Na przykład taniec wojenny — powiedział nadzorca. — Myślisz pan, że to Indianie?

— Te światła są tak blisko, że usłyszelibyśmy taniec wojenny — wymamrotał Nolan, świadom ciężaru winchestera w rękach. — Poza tym tutejsi Indianie są raczej pokojowo nastawieni.

— Raczej, jak pan mówisz.

— Jasne, trafiają się renegaci. Ale te światła są od strony Meksyku. Myślę, że to meksykańscy bandyci. Jeśli zaczną strzelać, mogą przegonić krowy do Meksyku, zanim rozwidni się na tyle, żeby ich ścigać.

Nolan nie mógł oderwać oczu od światła. Czuł się zagrożony przez te błyski, ale także zafascynowany, zahipnotyzowany. Zauroczony.

Nie wiadomo dlaczego poczuł smak lemoniady.

Ciarki go przeszły.

Za nim krowy porykiwały, układając się do snu.

W drodze tutaj narobiliśmy mnóstwo hałasu, pomyślał Nolan. Tamci przy światłach na pewno wiedzą, gdzie jesteśmy.

— Powiedz ludziom, żeby wzięli strzelby. Podziel ich na pary, żeby jeden drugiemu nie pozwolił zasnąć. Każdy, kogo przyłapię na spaniu, rano będzie bez pracy.

— Jakoś nie myślę, panie Nolan, żeby akurat teraz martwili się utratą pracy.

— Więc powiedz im, że dostaną premię, jeśli utrzymają stado w całości.

— Jasne, panie Nolan. — Nadzorca pobiegł schylony, żeby przekazać ludziom rozkazy.

Tymczasem Nolan wpatrywał się w migoczące światła. Unosiły się i falowały. Opadały i dryfowały. Ciągle zmieniały kolory.

Przypomniał sobie, jak kilka lat wcześniej był w El Paso podczas obchodów święta Czwartego Lipca. Chińscy handlarze uliczni sprzedawali petardy i race, ale również bezgłośnie fajerwerki, tak zwane zimne ognie: grube druty zanurzone w chemikaliach, które zapalało się zapalką. Z

cichym sykiem druty sypały różnobarwnymi iskrami. Wieczorem Nolan widział, jak dzieci wypisują zimnymi ogniami swoje imiona w ciemności.

Czy oni tam mają zimne ognie? Ale jeśli to bandyci, dlaczego dają nam znać o swojej obecności?

Nietrudno było znaleźć odpowiedź.

Żeby nas przestraszyć.

Ano przekonają się, że mnie przestraszyć nie jest łatwo.

Lecz kiedy światła dryfowały, zmieniały barwy i przyzywały, Nolan musiał przyznać, że podczas tej najdłuższej nocy w jego życiu wystawiono na ciężką próbę jego hart ducha.

Usłyszał cichą muzykę, ale nie rozpoznawał melodii ani instrumentów. W innych okolicznościach pomyślałby, że muzyka dochodzi z miasteczka po drugiej stronie granicy, gdzie Meksykanie obchodzą jakąś uroczystość. Widocznie piosenka kapeli mariachi doleciała aż tutaj, chociaż zniekształcona odległością.

Nolan w to nie wierzył. Kiedy skupiał się na wychwytywaniu ledwie słyszalnych dźwięków, światła wydawały się jaśniejsze, ich kolory żywsze. Jedno i drugie miało ze sobą jakiś związek.

Krowy zrobiły się niespokojne, skrobały ziemię kopytami i porykiwały z trwogą. Nolan modlił się, żeby nie wpadły w popłoch. Pomyślał o ziemi, której jego ojciec i dziadek bronili z takim poświęceniem, i o nowej ziemi, którą postanowił zdobyć. Pomyślał o ćwierć milionie sztuk bydła, które obiecał, jeśli kolej zbuduje miasto i zagrody.

Leżał na twardej ziemi, z karabinem opartym o siodło. Spoglądał wzdłuż lufy w stronę światła i bezgłośnie recytował Pismo Święte. Z ewangelii świętego Jana: *A światłość w ciemności świeci i ciemność jej nie ogarnęła* *.

To był pierwszy stosowny cytat, jaki mu przyszedł do głowy, ale nie przyniósł pociechy, więc Nolan przywołał z pamięci następny, tym razem z Izajasza: *Naród kroczący w ciemnościach ujrzał światłość wielką; nad mieszkańcami kraju mroków światło zabłysło* *.

Cień śmierci.

Ten cytat też nie przyniósł pociechy, jakiej łaknął Nolan. Zresztą jeśli bandyci przyjechali po krowy, wkrótce jego też ogarnie cień śmierci. Jeśli rzeczywiście muzyka i światła były dziełem bandytów.

Jeśli krowy się nie spłoszą.

Nolan rozmyślał tak przez całą długą, zimną noc, szukając pociechy w Słowie Bożym. Oczy go piekły, ale wciąż celował w światła, dopóki o świcie nie zbladły i znikły. Wreszcie, kiedy słońce wzeszło, wstał sztywno i opuścił kurek winchestera.

Uszy go bolały.

Powiedział nadzorcy:

— Odprowadźcie stado aż do demu.

— Jasne, panie Nobn. Jak lyiko ludzie ugotują coś do jedzenia.

— Nie. Jedźcie od razu. Ludzie mogą zjeść zimne suchary w drodze. Chcę, żeby krowy były bezpieczne.

— Pan jesteś szefem, panie Nolan. — Nadzorca miał zmartwioną minę. — Jak pan myślisz, co to były za światła? Jeśli to meksykańscy bandyci...

— Daj mi trzech jeźdźców, to sprawdzę.

Nolan osiodłał konia i pojechał z ludźmi na południowy wschód. W nocy ocenił, że światła znajdowały się w odległości pięciu czy sześciu mil, ale kiedy pokonał tę odległość, nic znalazł

* Ewangelia według świętego Jana, 1,5.

* Księga Izajasza, 9,1.

żadnych popiołów po ogniskach, tropów koni ani zgniecionej roślinności, żadnych śladów obozowiska.

Miał pewność, że światła widział w tej stronie, ale ciemność potrafił mieć wzrok, więc rozkazał ludziom:

— Rozproście się.

Ustawił ich w odstępach co pięćdziesiąt jardów i przejechali jeszcze trzy mile, ale wciąż nie natrafiali na żadne ślady obozu czy końskie tropy.

Nolan musiał objechać rumowisko czarnych, brzydkich, powykręcanych głazów, które wyglądały jak ogromne bloki żużlu. Pastor, z którym kiedyś jechał pociągiem przez Arizone, opowiadał mu, że takie rumowiska pozostały po wybuchach ognia, kiedy Bóg stwarzał wszechświat. Ale jeśli te miejsca miały symbolizować boską moc, Nolan nie rozumiał, dlaczego Meksykanie nazywali je *malpais*.

Złe ziemie.

Przejechał jeszcze pięć mil, ale wciąż nie widział żadnych końskich tropów.

Byłem pewien, że widziałem te światła na południowy wschód od stada, pomyślał. Jak mogłem pomylić kierunek?

— Panie Nolan?! — zawołał z tyłu jeden z jego ludzi.

Nolan dopiero teraz sobie uświadomił, że tamten wykrzykuje jego nazwisko od dłuższego czasu. Obejrzał się.

— Panie, jeśli tak dalej pójdzie, dojedziemy do Meksyku. Nolan nagle spostrzegł, jak wysoko stoi słońce i jak daleko zajechali. Niczym człowiek przebudzony z transu spojrzął przed siebie, na skąpe trawy, które niemal rozciągały się w nieskończoność. Coś drżało na horyzoncie. Może burza pyłowa. Może powietrze falowało w upale.

Mogłem ścigać ten ruch przez wieczność i nigdy go nie dogonić, pomyślał Nolan.

— Zawracamy! — krzyknął do ludzi. — Wybierzcie inną i rasę! Rozglądajcie się i zawołajcie, jeśli znajdziecie ślady obozowiska!

31

— Czy Nolan kiedykolwiek znalazł odpowiedź? — zapytał Page.

— Na jego ranchu pracowało kilku Indian. Wyliczył sobie, że bezpieczniej trzymać ich pod ręką, niż z nimi walczyć — powiedziała Harriett. — Nigdy nie był w tamtej okolicy po zmroku, ale zakładał, że Indianie powinni wiedzieć, czy kiedyś widywano tam dziwne światła. Ku jego zaskoczeniu powiedzieli mu, że tam zawsze były światła. Ich ojcowie i dziadkowie o tym opowiadali. Wierzyli, że światła to duchy ich przodków.

— Przesady są jeszcze mniej przekonujące niż inwersje temperatury — stwierdziła Tori. — W każdym razie ja nie chcę, żeby mi wyjaśniono naturę tych światel. Nie chcę, żeby straciły swoją wyjątkowość, bo ktoś mi powie, że to tylko pioruny kuliste albo duchy przodków.

— Tak samo czuje większość ludzi w tym mieście — przyznała Harriett. — W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku przyjechaliśmy tutaj z moim zmarłym mężem. Byliśmy hipisami i praktycznie mieszkaliśmy w naszym starym kombi. Przypadkiem usłyszeliśmy o światłach, więc pojechaliśmy tam, gdzie teraz jest punkt obserwacyjny. Otworzyliśmy tylną klapę, usiedliśmy na śpiworach, paliliśmy trawkę i jedliśmy płatki kukurydziane na sucho. Ciągle nie wiem, czy naprawdę zobaczyliśmy światła, czy tylko nam się zdawało, bo byliśmy naćpani. Ale następnego wieczoru oglądaliśmy je na trzeźwo, i jeszcze następnego, i już nigdy stąd nie

wyjechaliśmy. Rostov było wtedy straszną dziurą, ale znaleźliśmy pracę, no i niewiele potrzebowaliśmy na utrzymanie. Właściwie wystarczyło nam, że możemy oglądać światła, kiedy tylko chcemy. Po jakimś czasie nawet nie musieliśmy tam jeździć. Jakoś wyczuwaliśmy, że światła tam są, nawet kiedy ich nie widzieliśmy. Ale co kilka miesięcy musieliśmy znowu je zobaczyć, tak jak ludzie czują potrzebę, żeby pójść do kościoła. W Rostovie mieszka wielu ludzi podobnych do mnie i mojego męża. Zamierzali tylko tędy przejechać, ale światła ich zatrzymały.

— Albo wezwwały ich z powrotem — dodała Tori zniżonym głosem.

— Oczywiście większość ludzi w ogóle nie widzi światła, nie mówiąc już o takiej reakcji, jaką opisałam — podjęła Harriett. — Ale wiele osób, które tu mieszkają, miało szczęście doświadczyć tego przeżycia. Dawno przestaliśmy szukać wyjaśnienia. Liczy się tylko to, że dzięki tym światłom czujemy się... chyba odpowiednim słowem jest „błogosławieni”.

— Wczoraj w nocy to raczej nie było błogosławieństwo — zauważył Page.

32

Konferencja prasowa dobiegła końca, zanim wyszli ze sklepu z antykami. Słońce opadło niżej i malowało opustoszałą ulicę głębokim oranżem.

Page spojrzął na Tori.

— Muszę zabrać stamtąd mój wynajęty samochód — powiedział. — Chcesz pojechać za mną do motelu?

Tori nie odpowiedziała od razu.

— Jasne.

Lecz kiedy Page zajechał przed motel, w lusterku wstecznym nie zobaczył ani śladu niebieskiego saturna Tori wśród samochodów, które wyjeżdżały z miasta w stronę platformy obserwacyjnej. Zaparkował przed domkiem 11, wysiadł i czekał. Zauważył, że na niebie gromadziły się chmury, po raz pierwszy, odkąd przyjechał do Rostova.

Minęło piętnaście minut i Tori się nie pokazała, więc Page w końcu wyjął walizkę z bagażnika i ruszył do drzwi.

Z recepcji wybiegł chuderlawy młodzieniec i podszedł szybkim krokiem. Page przypomniał sobie jego imię.

— Coś się stało, Jake?

— Reporterzy was szukają.

— Chyba im nie powiedziałaś, że tu mieszkamy.

— Kapitan Medrano nie kazał. Ale reporterzy jakoś wyniuchali, że kobieta w strzelaninie miała rude włosy, a pańska żona to jedyna ruda kobieta w motelu. Pomyślałem, że lepiej was uprzedzę.

— Dzięki.

— To było niesamowite.

— Ostatnio wszystko jest niesamowite — mruknął Page. — Masz coś konkretnego na myśli?

— Reporter, który najbardziej się zawziął, żeby was znaleźć, to ten facet z telewizji w El Paso. Pan go widział w telewizorze w recepcji, kiedy ostatnio rozmawialiśmy.

Page myślał przez chwilę.

— Szczerka gwiazdora filmowego. Pognieciony garnitur. Wygląda, jakby nie spał od kilku dni.

— To ten gość. On pierwszy przyjechał do miasta. Opisał tę historię z różnych stron... tak wielu, że inni reporterzy po prostu go naśladują. Byłem w recepcji, oglądałem go w telewizji.

Potem drzwi się otwierają, patrzę i rany boskie, to on, idzie prosto do mnie. Pewnie to leciało z taśmy, a ja myślałem, że na żywo. Widzieć go w dwóch miejscach jednocześnie wydawało się nierealne. Uważajcie na niego. Chcecie zachować prywatność, po jego oczach widzę, że on nie cofnie się przed niczym, żeby postawić pana żonę przed kamerą i kazać jej opowiedzieć, jak zastrzeliła tamtego faceta.

— Do tego nie dojdzie — oświadczył Page.

Zanim zdążył coś dodać, w recepcji zadzwonił telefon.

— Muszę wracać do roboty. — Tyczkowaty recepcjonista pospieszył do drzwi.

Kiedy zamknęły się za nim z hukiem, Page znowu spojrzął na drogę w nadziei, że podczas tej rozmowy Tori zdążyła go dogonić. Ale wciąż nie widział saturna. Coraz więcej chmur zasnuwało niebo. Bolało go w boku, kiedy niósł walizkę do pokoju.

Gdyby sprawy ułożyły się inaczej, golenie i prysznic sprawiłyby mu przyjemność, z radością zmyłby z siebie wspomnienie dymu i przemocy, ale teraz myślał, że zniósłby wszystko — nawet to, co się stało wczoraj — gdyby tylko Tori pojechała za nim do motelu, tak jak obiecała. Gdyby tylko znowu go nie zostawiła.

Gdyby tylko nie miała raka.

Siniec po kopniaku okazał się nadspodziewanie wielki, ciemny fiolet z pomarańczową obwódką. Page próbował nie zwracać na niego uwagi, kiedy naciągał czyste dżinsy i następną drelichową koszulę. Do przewidzenia, kolego, pomyślał. Wyciągnął z walizki pistolet kalibru 9 milimetrów, wyjął magazynek, sprawdził, że jest pełny i że jeden nabój tkwi w komorze. Sprawdzałeś wczoraj przed wyjściem z domu, skarcił się, ponieważ zdawał sobie sprawę, że ludzie, których zawód wymaga noszenia broni, mają skłonność do zachowań obsesyjno-kompulsywnych.

Albo może po prostu powinien się skupić.

Pistolet, Sig Sauer 225, miał osiem naboji w magazynku i jeden w komorze. Niewielka siła rażenia w porównaniu z pistoletami o dwurzędowych magazynkach, lecz zaletą 225 były poręczne rozmiary. Page uważał ten pistolet za idealny do noszenia pod ubraniem. Już ich nie produkowano, a ten egzemplarz należał kiedyś do jego ojca.

Przywiął kaburę do pasa, narzucił wiatrówkę, żeby ukryć broń, chwycił bejsbolówkę z walizki i otworzył drzwi, gotów szukać Tori, chociaż wiedział, gdzie ją znajdzie: w punkcie widokowym.

Zamierzał wsiąść do samochodu, kiedy usłyszał chrzęst opon na żwirze. Obejrzał się na drogę i ze zdumieniem zobaczył niebieskiego saturna jadącego przez parking. Przez przednią szybę przeświecały rude włosy Tori. Kiedy zatrzymała się przed domkiem 11, Page poczuł miękkość w kolanach.

— Myślałem, że mnie zostawiłaś — powiedział przez otwarte okno.

Pokazała mu papierową torbę.

— Przywiozłam to dla ciebie.

Page zrozumiał dopiero po chwili, kiedy poczuł zapach jedzenia.

— Mówiłeś, że nic nie jadłeś od wczoraj. Mam nadzieję, że hamburger i frytki ci odpowiadają. Wszystko inne trwałoby za długo.

— Są doskonałe. — Z emocji kolana jeszcze bardziej mu zmiękły. — Dzięki.

— Potrzebujesz energii. Zapowiada się następna długa noc.

— Dziękuję. Naprawdę. Mówię poważnie.

— Wsiadaj — rzuciła niecierpliwie. Wsiadł i zdjął czapkę bejsbolówkę.

— Lepiej to nałóż. Reporterzy szukają kobiety z rudymi włosami.

Kiwnęła głową i wzięła czapkę.

Ruszyła, a Page ugryzł hamburgera. Zrobiło mu się nieswojo, kiedy sobie przypomniał, że to samo jadł z szefem Costiganem poprzedniego wieczoru.

— Jak się czujesz? — zapytał.

— Wszystko będzie dobrze, kiedy znowu zobaczę światła. Dzięki nim zapominam, co się stało wczoraj w nocy.

— Sztuczka polega na tym, żeby zająć czymś umysł, skupić się na szczegółach. Ale nie chodziło mi o wczorajszą noc. Jak się czujesz?

Tori się zawahała.

— Nawet nie wiedziałam, że coś mi dolega, dopóki lekarka nie zadzwoniła, żeby przekazać mi wyniki mammografii. Teraz jestem taka przewrażliwiona, że dosłownie czuję, jak to rośnie we mnie.

— We wtorek zniknie.

— Chciałabym to wyrwać z siebie pazurami.

— Kocham cię.

Tori popatrzyła na niego.

— Wczoraj wieczorem też to mówiłeś.

Przed nimi sylwetki trzech helikopterów stacji telewizyjnych odcinały się na tle ciemnego, zachmurzonego nieba. Po obu stronach drogi stały zaparkowane samochody. Page skorzystał z własnej rady i skupił się na szczegółach. Spojrzał w prawo, w stronę zniszczonej bazy lotniczej z drugiej wojny światowej.

Zobaczył, że ktoś otwiera kluczem bramę. Mężczyzna nosił mocne buty, luźne spodnie, podkoszulek i wypuszczoną na wierzch koszulę. Był po czterdziestce, łysy i żyłasty, o sztywnych ramionach i władczej postawie. Skinał na dwa ciemne chevrolety suburbany, żeby wjechały na teren. Wyglądał na człowieka nawykłego do wydawania rozkazów.

Na bramie wisiała teraz inna tablica.

— Tori, chcę coś sprawdzić. Zatrzymaj się na chwilę.

Spojrzała na niego niechętnie, ale nacisnęła hamulec, kiedy podjeżdżali do bramy. Page opuścił szybę w oknie i wychylił się, żeby lepiej widzieć w zapadającym zmierzchu. Stara tablica ostrzegała:

WŁASNOŚĆ ARMII STANÓW ZJEDNOCZONYCH
NIEBEZPIECZEŃSTWO
TRUJĄCE CHEMIKALIA
NIEWYBUCHY ARTYLERYJSKIE

Nowa ogłaszała:

WKRÓTCE
AGENCJA OCHRONY ŚRODOWISKA
PUNKT ODZYSKU SUROWCÓW WTÓRNYCH

Władczy mężczyzna przeszedł przez bramę, zamknął ją na klucz i zobaczył Page'a.

— Tutaj nie wolno parkować. — Wskazał tablice. — Teren zamknięty.

Page pomachał na znak, że zrozumiał.

Z jednej furgonetki wysiadł następny mężczyzna. Prowadził na smyczy owczarka niemieckiego. Władczy człowiek stał i patrzył na samochód, dopóki Tori nie odjechała.

— O co tu chodziło? — zapytała.

— Sam nie wiem.

Page odwrócił się i patrzył, jak dwa suburbany podjeżdżają do zawalonych, przerdzewiałych, zarośniętych chwastami hangarów.

W końcu stracił je z oczu, więc spojrzął przed siebie, na gromadzący się tłum. Spostrzegł, że władze okręgowe postawiły jeszcze kilka przenośnych toalet. Ale za mało. Tłum zapełniał cały parking aż do ogrodzenia, gapie stali tam, gdzie zeszłej nocy leżały zwłoki. Ludzie tłoczyli się na jezdni, więc Tori musiała skrócić na drugi pas ruchu. Medrano i inni policjanci z drogówki usiłowali utrzymać porządek.

Tori zaparkowała na końcu szeregu samochodów. Chwyła z tylnego siedzenia wiatrówkę Costigana i wysiadła. Lecz kiedy spojrzała w stronę tłumu, kłębiącego się sto jardów dalej przy drodze, zawahała się.

— Co ci jest? — zapytał Page.

— Za dużo ludzi. Chyba nie chcę iść dalej.

— Świetnie. Nie musimy nic robić, jeśli nie chcesz.

— Może stąd też zobaczą światła — powiedziała niepewnie Tori. — Może punkt obserwacyjny wyznaczono po prostu arbitralnie.

— Więc zaczekajmy tutaj i sprawdzimy — zaproponował.

— Tak. — Zadrzała i narzuciła wiatrówkę. — Po ostatniej nocy nie chcę się zbliżyć do tłumu.

33

Raleigh czekał przy ogrodzeniu, dopóki nie przejechał niebieski saturn.

Zauważył kilka niepokojących rzeczy w mężczyźnie, który wychylił się z okna, żeby przeczytać nową tablicę, wyjaśniającą obecność jego zespołu. Twarz mężczyzny nie zdradzała jego myśli. Miał krótkie włosy — nie jak u wojskowego, ale krótsze i schludniej ścięte niż u przeciętnego cywila. I uważne spojrzenie, jakby analizował wszystko, co zobaczył.

Stanowczo nie turysta, pomyślał Raleigh.

Odczekał chwilę, aż saturn zniknął za długim szeregiem samochodów zaparkowanych na poboczu drogi. Potem odwrócił się do tresera, trzymającego owczarka niemieckiego na krótkiej smyczy.

— Napędź strachu każdemu, kto spróbuje przejść przez to ogrodzenie.

Treser zapalił latarkę. Raleigh wyszedł przed dwie ciemne furgonetki, oświetlone tylko latarniami z parkingu. Gestem kazał im jechać za sobą i ruszył przodem po rozjeżdżonej polnej drodze, z koleinami zarośniętymi przez chwasty.

Po stu jardach ostatnie promienie zachodzącego słońca oświetliły z lewej strony szeroki rząd zawalonych hangarów samolotowych. Blachę falistą dawno przeżarła rdza. Wszędzie pieniały się chwasty i karłowate krzaczki. Ściany obrosły brudem i ziemią. Wiele szkód było dziełem natury, część jednak zrobiono umyślnie, żeby ruiny wyglądały na bardziej zniszczone niż w rzeczywistości.

Raleigh podniesioną ręką dał sygnał, żeby pojazdy się zatrzymały. Rozejrzał się po starym pasie startowym. Beton prześwitywał tylko miejscami spod naniesionej ziemi. W licznych pęknięciach, wypalonych przez żar słońca, rosły chwasty.

Niegdyś stał tutaj jego dziadek. Raleigh odczuwał wielką dumę, że krąg miał się zamknąć, że misja rozpoczęta przez dziadka tak dawno temu wreszcie zostanie wypełniona.

Podczas drugiej wojny światowej, kiedy zbudowano te hangary i pasy startowe, panowały tutaj hałas i gorączkowa krzątanina wystarczające, żeby każdemu mocniej zabiło serce. Setki lotników trenowały tu co miesiąc, ćwiczyły naloty bombowe i walki powietrzne w miejscu tak odległym, że nie zakłócały spokoju nikomu oprócz krów, kojotów i zajęcy. Ale szkolenie lotników stanowiło jedynie przykrywkę.

Wiatr pędził tumany kurzu po gruzowisku, ciemność zgęstniała i osłoniła przybyszy przed wścibskimi oczami. Raleigh wskazał hangar, który wydawał się mniej zdewastowany od innych. Szarpnięciem odsunął kawał blachy falistej, odkrywając otwór dostatecznie duży, żeby suburbany mogły wjechać do środka.

Kiedy pojazdy znalazły się w hangarze, Raleigh wyciągnął latarkę i obejrzał wysoką na trzydzieści stóp stertę śmieci, sprawiającą wrażenie pozostałości po jakiejś dawnej próbie sprzątanania. Zepchnął na bok trochę odpadków i odsłonił krawędź zakamuflowanej anteny radiowej, wycelowanej w kierunku podobnej czaszy w obserwatorium. Sprawdziwszy, że antena nie została poruszona, pogrzebał w śmieciach i nacisnął guzik.

Fragment betonowej podłogi opadł z hurgotem i utworzył rampę. Na dole zabłyśły światła, włączone tym samym guzikiem. Z chrzęstem rozgniatając śmiecie butami, Raleigh zszedł po rampie i zanurzył się w chłodnym podziemnym powietrzu. Suburbany zjechały za nim powoli. Gdy tylko dotarły na dno, Raleigh podszedł do ściany i nacisnął następny guzik. Rampa uniosła się i stała się częścią sufitu.

Kiedy ludzie zaczęli się gramolić z pojazdów, Raleigh rzucił rozkaz:

— Sierzancie, zbierzcie drużynę.

Po kilku sekundach stali przed nim w szeregu.

— Panowie. — Jego głos odbijał się echem wśród betonowych ścian. — Znajdujecie się pod hangarem ósmym na lotnisku, które podczas drugiej wojny światowej stanowiło poligon amerykańskich Sił Powietrznych. Jednakże ten hangar nie należał do lotniska. Tylko personel z najwyższym poziomem dostępu mógł wchodzić do hangaru, a jeszcze mniej osób wpuszczano na dół. Wyjaśniano, że w hangarze montuje się i przygotowuje do testów prototyp nowego bombowca. Kadeci odbywający szkolenie zmieniali się bardzo często i żaden nie został dostatecznie długo, żeby się zastanawiać, dlaczego bombowca dotąd nie zmontowano. Słyszeliście o wyścigu w budowaniu bomby atomowej podczas drugiej wojny światowej. Główny ośrodek badawczy tego projektu, Los Alamos, znajdował się na odległym, niedostępnym płaskowyżu w Nowym Meksyku. Ta podziemna lokalizacja ma podobne zalety i służy podobnym celom. Jeśli dzisiaj wydaje się oddalona, wyobraźcie sobie, jaka była w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku, kiedy rozpoczęto ten projekt. Celem było opracowanie broni całkiem innej niż bomba atomowa. W pewnym sensie hangar ósmy i Los Alamos ściagały się między sobą podobnie jak z wrogiem. Oczywiście Los Alamos wygrało. Faktycznie pierwszą bombę atomową zdetonowano w miejscu nazywanym teraz poligonem White Sands, zaledwie dwieście pięćdziesiąt mil stąd na północ, a kiedy dwie takie bomby zakończyły wojnę na Pacyfiku, konieczność opracowania równoległej broni przestała być taka paląca.

Raleigh starannie dobierał następne słowa.

— W dodatku napotkaliśmy tutaj pewne trudności w prowadzeniu badań.

Trudności, rzeczywiście.

Raleigh rozejrzał się po podziemnej komorze. Nawet po tylu latach na ścianach wciąż widniały rdzawe smugi, ale nie miały nic wspólnego z rdzą.

— Po zakończeniu wojny znikła potrzeba szkolenia wielkiej liczby pilotów bojowych i przykrywką straciła wiarygodność. Toteż z różnych powodów lotnisko zamknięto. Pozwolono bazie niszczyć, z wyjątkiem tego podziemnego obiektu. Nic był wystawiony na działanie

czynników atmosferycznych, więc oprócz niewielkich szkód wyrządzonych przez wodę zachował się w wyjątkowo dobrym stanie. Zresztą od czasu do czasu przechodził kontrolę techniczną, na wypadek gdyby kiedyś reaktywowano program. Piętnaście lat temu właśnie to zrobiłem. Reaktywowałem program.

34

— Anita, jesteś pewna, że to dobry kąt?

Brent podniósł głos, żeby go usłyszała w hałaśliwym tłumie. Razem z kamerzystką stali na dachu przyczepy mieszkalnej winnebago, którą właściciel — miejscowy dealer samochodów — udostępnił im w zamian za darmową reklamę.

Podobnie jak Brent, Anita złapała tylko parę godzin snu, odkąd przyjechała do Rostova. Za dużo wywiadów do przeprowadzenia, za dużo miejsc do obejrzenia. Miała zapuchnięte oczy pod bejsbolówką. Jej turystyczne ubranie z licznymi kieszeniami wydawało się jeszcze bardziej workowate niż wtedy, kiedy zaczynali.

Mój garnitur wygląda gorzej, pomyślał Brent. Dzień wcześniej rozpaczałby z tego powodu, ale teraz — kiedy spuścił wzrok na swoje odrapane, zakurzone buty — niemal się uśmiechnął do nowego wizerunku, który dla siebie stwarzał.

— Będiesz po prawej stronie ekranu — odparła Anita. — Horyzont będzie po lewej. — Wyglądała na taką zmęczoną, że nie rozumiał, skąd brała siłę do dźwigania na ramieniu ciężkiej kamery. — To czyste ujęcie. Gdybyśmy próbowali z ziemi, ludzie by zasłaniali, ale na tej wysokości wcale się nie pojawiają w kadrze, dopóki nie każesz mi zjechać na dół.

— Doskonale. Kieruj obiektyw na mnie, dopóki nie dam sygnału. Powiedz Jackowi i temu facetowi w helikopterze, żeby przez cały czas panoramowali tłum, na wypadek gdyby coś się stało.

— Gdyby co się stało?

— Po prostu niech będą w pogotowiu. I koniecznie chcę zdjęcie tego faceta. — Brent wskazał w dół na wysokiego, siwobrodego starca w biblijnej szacie i z laską w ręku, który wyglądał jak Charlton Heston grający Mojżesza w *Dziesięciorgu przykazaniach*.

Ze zmarszczonymi brwiami spojrzał na wschód, gdzie gromadziły się ciemne chmury. Ten deszcz niech lepiej zaczeka, dopóki nie skończę nadawać, pomyślał.

— Okay, czas zapowiedzieć gościa.

— Zapnij koszulę. Popraw krawat — poradziła Anita.

— Nie ma mowy. — Brent potarł szorstki zarost. — Niech CNN zobaczy, jak ciężko haruję.

— Jak ciężko wszyscy harujemy — wytknęła mu Anita.

— Racja.

O świcie, po całej nocy przeprowadzania wywiadów, Brent przeżył chwilę wstrząsającej iluminacji, kiedy przejrzał się w samochodowym lusterku i zobaczył, jak okropnie wygląda. Przypomniawszy sobie stary czarno-biały film o reporterze ścigającym się z czasem, żeby udowodnić niewinność więźnia, którego czekała egzekucja na krześle elektrycznym. W tym filmie reporter ledwie miał czas coś zjeść, a co dopiero przebrać się i ogolić. Na koniec filmu, kiedy bohater wpada do gabinetu gubernatora z dowodem, wygląda tak, jakby przeszedł piekło, żeby zdobyć ten materiał.

W tamtej chwili Brent doznał objawienia: Skąd widzowie czy szczy z CNN mają wiedzieć, jak ciężko pracuję, jeśli wyglądam jakby nigdy nic? Źle do tego podszedłem. Widzów gówn

obchodzi, czy mój garnitur jest idealnie wyprasowany. Większość z nich nie ma nawet sportowej marynarki. Dla nich wystroić się to znaczy założyć dzinsy. Muszę im uświadomić, że jestem jednym z nich... że zarzynam się, żeby zdobyć dla nich materiał.

I doszedłszy do takich wniosków, wykonał całkowitą wolę.

Oprócz wyczerpania cierpiał przez nadmiar kawy i brak prawdziwego jedzenia. Żywił się pączkami i tacos, zawsze w biegu. Ani na chwilę nie siadał, chyba że jechał samochodem z Anitą, ale nawet wtedy nie odpoczywał. Sporządzał pospieszne notatki albo rozmawiał przez telefon komórkowy — co nie było łatwe, ponieważ odbiór tutaj był do niczego.

Nie mógł odpuścić. Musiał się upewnić, że dotarł do każdej osoby, która mogła dysponować choćby najmniejszym okrucieństwem informacji, i że dotarł pierwszy, przed innymi reporterami. Chciał, żeby wszyscy inni czuli się beznadziejnie spóźnieni, żeby wszystko, co robią, wyglądało jak naśladowanie jego osiągnięć.

Ale płacił wysoką cenę. W żołądku go kłuło i paliło. Ręce lekko drżały. Miał zawroty głowy z wyczerpania i głodu.

Na sztywnych nogach zszedł po drabinie do tłumu. Natychmiast głowa go rozboleła od hałaśliwych, niecierpliwych rozmów. Zapadł już zmrok i niebo było czarne, bez gwiazd, ale nie brakowało innych źródeł światła: przednie światła samochodów, reflektory ustawione przez władze i ekipy telewizyjne, latarki przyniesione przez ciekawskich. Jaskrawo oświetlone sylwetki rzucały ostre cienie, nadające całej scenie atmosferę surrealizmu.

Sharon, współprowadząca program, czekała na niego u stóp drabiny. Bujne włosy miała ułożone w idealną fryzurę. Gniew sprawiał, że była jeszcze piękniejsza.

— No, muszę ci przyznać — rzuciła kwaśno — w końcu dopiąłeś swego. Dzisiaj mnie naprawdę wydymałeś.

— Czy było ci tak dobrze jak mnie?

Ktoś wpadł na nich, przepychając się przez tłum.

— Nie zatrzymuj się — ponagliła towarzysza kobieta. — Stąd, z tyłu, nic nie zobaczymy. Podejdźmy do ogrodzenia.

— To ja miałam przekazywać raporty do CNN — poskarżyła się Sharon. — To ja miałam prowadzić dzisiejszy program, sama.

— No, kiedy ty pielęgnowałaś bolące stopy, ja przeprowadzałem wywiady.

Znowu ktoś na nich wpadł i o mało ich nie przewrócił.

— Po mojemu te całe światła to kupa bzdur — narzekał jakiś mężczyzna. — Nie wiem, dlaczego dałem ci się namówić, żeby tu przyjechać. Sześć godzin drogi, na litość boską. Gdybym wiedział, że tu będzie tyle ludzi...

Brent znowu odwrócił się do Sharon.

— Może dla odmiany spróbujesz pracy reportera. Wygrzebiez więcej historyjek o uratowanych kotach i ludziach, którzy je kochają.

Jakiś mężczyzna, popychający kobietę w wózku inwalidzkim, niemal zbił Brenta z nóg.

— Z drogi! — krzyczał. — Przepuście nas. Moja żona musi zobaczyć światła! Wyleczą jej nogi! Zróbcie miejsce...

Brent wykorzystał tę przerwę i odwrócił się do furgonetki telewizyjnej, zaparkowanej obok winnebaggo.

— Panie Hamilton! — zawołał do kogoś w środku. — Jesteśmy gotowi do wywiadu.

Z furgonetki wysiadł otyły mężczyzna po czterdziestce. Wydawał się skrupowany. Nosił kowbojskie buty, dzinsy zaprasowane w kant i niebieską kraciastą koszulę z błyszczącymi metalowymi zatrzaskami zamiast guzików.

— Byłem na Szosie Śmierci podczas pierwszej wojny w Zatoce Perskiej, ale wtedy się tak nie denerwowałem. — Pызate policzki Hamiltona poczerwieniały. Zaśmiał się z własnej szczerości.

— Z powodu telewizji? Myślałem, że dealerzy samochodów są do tego przyzwyczajeni, skoro występują w telewizyjnych reklamach — powiedział Brent, poprawiając miniaturowy mikrofon przypięty do koszuli Hamiltona.

— W Rostovie nie ma stacji telewizyjnej. Cholera, nigdy takiej nie widziałem od środka.

— Proszę się nie martwić. Zadam panu kilka łatwych pytań o to, co mi pan powiedział po południu. Nigdy nie słyszałem czegoś równie fascynującego. Niech pan po prostu zapomni o kamerze i mówi do mnie jak do klienta.

— No, mogę spróbować — odpowiedział niepewnie Hamilton. — Ale nigdy nie sprzedawałem niczego z dachu przyczepy i w egipskich ciemnościach.

Brent nachylił się do wnętrza furgonetki.

— Harry, rozjaśnij światła na górze, dobra? Proszę bardzo, panie Hamilton, pan przodem. Myślę, że widok się panu spodoba.

Podeszli do winnebago.

— Mam nadzieję, że pan nie liczy na zbyt wiele — powiedział Hamilton, wdrapując się po drabinie.

Tylko na bilet do Atlanty, pomyślał Brent. Na dachu przyczepy ustawił Hamiltona w odległości kilku stóp, z tłumem w dole i prerią w tle.

— Muszę tylko chwilę z kimś pogadać. Potem zaczniemy wywiad.

Brent poprawił minisluchawkę w uchu, żeby mniej rzucała się w oczy. Słyszał przez nią producenta, który siedział na dole w furgonetce telewizyjnej.

— Gotowi za dziesięć sekund — oznajmił głos producenta. Obok kamery Anity na monitorze pojawiła się twarz, wyraziste rysy jednej z najbardziej znanych telewizyjnych osobowości.

Hamilton pokazał ją palcem.

— Czy to...?

Trzymając prawą rękę przy boku, Brent gestem kazał mu milczeć. Bał się, że ręka mu drży. Głos producenta zakończył odliczanie.

— Jedziemy.

Na monitorze cienkie wargi prezentera CNN poruszyły się, ale bez dźwięku. Brent słyszał go przez słuchawkę.

— A przez najbliższą godzinę nadajemy specjalny program o historii, która wstrząsnęła narodem. Zeszłej nocy szalony zabójca zastrzelił dwudziestu uczestników wycieczki turystycznej w pobliżu odległego miasteczka Rostov w zachodnim Teksasie. Furię zabójcy wywołały najwyraźniej tajemnicze światła, które pojawiają się w tej okolicy niemal co noc. Łączy się z nami na żywo z miejsca wypadku Brent Loft, reporter stacji telewizyjnej z El Paso... — Słynna osobistość, której Brent chciał kiedyś dorównać, przeczytała znak wywoławczy stacji. — Brent, wyglądasz tak, jakby ta historia kosztowała cię sporo zdrowia.

— Mamy tutaj wiele emocji. — Słowa Brenta wychwytywał maleńki mikrofon przypięty do klapy zakurzonej marynarki. — Wierz mi, zostało jeszcze dużo informacji do wytropienia.

— Rozumiem, że zamierzasz nam powiedzieć coś więcej o tych tajemniczych światłach i dlaczego doprowadziły zabójcę do szału.

— Zgadza się. Światła to miejscowe zjawisko, istniejące od niepamiętnych czasów. Prawie każdej nocy pokazują się na prerii za mną... ale nie każdemu. Niektórzy ludzie widzą światła, inni nie widzą, co pozostaje zagadką na równi z genezą tych światel. Za chwilę skierujemy kamery w tamtą stronę i zobaczymy, czy widzom się poszczęści. Najpierw jednak musicie zrozumieć, czego wypatruje rozgorączkowany tłum pode mną. Żeby lepiej naświetlić sytuację,

chciałbym wam przedstawić Luthera Hamiltona, dealera samochodów z Rostova, który prawdopodobnie wie o światłach tyle co każdy. Należy do nielicznych, którzy widzieli je z bliska i osobiście. W istocie to doświadczenie niemal kosztowało go życie. Panie Hamilton. — Brent zrobił krok w stronę gościa, żeby Anita mogła ich zmieścić w podwójnym ujęciu. Tłum kłębił się niecierpliwie na dole. — W lecie tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku uczestniczył pan w bardzo niezwykłym wydarzeniu.

— Niezwykłe to było na pewno, daję słowo — zgodził się Hamilton.

— I wydarzyło się w tym miejscu?

— Dokładnie tutaj. Tam gdzie wszyscy pod nami stoją. Wtedy nie było żadnej platformy obserwacyjnej, tylko żwirowy parking na poboczu drogi. Z okazji święta Czwartego Lipca w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku w Rostovie mieliśmy fajerwerki. Kiedy pokaz się skończył, przyjechaliśmy tutaj.

— Ile osób brało w tym udział?

— Prawie tak dużo jak teraz. Co najmniej czterysta.

— I co zamierzaliście zrobić? Nazwaliście to jakoś?

— Nazwaliśmy to Rostovskie Polowanie na Światła Duchów.

35

Po raz drugi tego dnia Luther opisywał, co wydarzyło się tamtego dawno minionego lata. Teraz rozumiał, że jego zdenerwowanie niewiele miało wspólnego z obawą, iż zapomni, co miał powiedzieć w telewizji. Denerwował się, ponieważ powracały wspomnienia. Po południu, kiedy opowiadał reporterowi o polowaniu, przypominał je sobie jak przez mgłę, teraz jednak pamięć zaczynała pracować, szczegóły nabierały wyrazistości i budziły coraz większy strach.

Boże, żałuję, że się zgodziłem na ten wywiad, pomyślał. Miał nadzieję, że rozgłos pomoże mu sprzedawać samochody, ale teraz nagle przestało mu zależeć.

Fajerwerki na Czwartego Lipca w Rostovie jak zwykle okazały się żartem. Odpalono je na szkolnym boisku futbolowym: wszystko trwało niecałe dziesięć minut, race strzelały raczej z pyknięciem niż hukami. Kilka nie wybuchło i dyrektor zrobił wielkie przedstawienie z zalewania ich wiadrami wody. Błazen starszej klasy, Jeb Rutherford, oparzył się zimnym ogniem. Z nieba sfruwały kawałeczki spalonego papieru i jedna drobinka wpadła do oka dziewczynie Cala Bailey'a. Cal musiał ją zawieźć do szpitala. Na wielki finisz wystrzelono raketę w kształcie olbrzymiej flagi amerykańskiej, która zapłonęła nad tłumem. Wszędzie unosił się dym i zapach prochu. Po jedenastu latach Luther miał kojarzyć ten zapach z dymem artyleryjskim podczas wojny w Zatoce Perskiej.

A potem pokaz się skończył. Rick Chambers, przewodniczący rady uczniowskiej, mruknął do Luthera, że fajerwerki trwały mniej więcej tyle, ile jeden numer. Wszyscy ruszyli do swoich samochodów i pick-upów, ale większość zdawała sobie sprawę, że świętowanie dopiero się zaczyna, i nie tylko dzieciaki w wieku szkolnym przyjechały z miasteczka na żwirowany parking. Rodzice też licznie przybyli i całe rodziny z okolicznych miasteczek.

Wymyślił to Johnny Whitlock, kapitan drużyny futbolowej. Johnny zawsze miał zwariowane pomysły, na przykład zaproponował, żeby bal na zjazd absolwentów urządzić w stylu hawajskim, bo przecież nikt nigdy nie wyjeżdża z Rostova, a więc jak można organizować zjazd absolwentów? Może bal powinien się odbywać pod hasłem: „Szkoda, że nie wyjechałem z domu”. Tylko jedna osoba głosowała na ten pomysł — sam Johnny. Innym razem zakradł się do

szkoły w środku nocy i wlażł na słup flagowy, i nie przyłapali go ani woźny, ani przejeżdżający policjant. Następnego ranka, kiedy przyszli uczniowie, ujrzeni flagę z Myszką Miki powiewającą nad szkołą. Dyrektor był wściekły. Na pospiesznie zwołanym zebraniu grzmiał, że to obraza nie tylko dla szkoły, ale także dla flagi amerykańskiej, i żądał, żeby sprawca się przyznał. Tylko Luther i kilkoro innych dzieciaków wiedziało, że to Johnny, i oczywiście żadne nie pisnęło ani słówka — przynajmniej do tamtego Czwartego Lipca, bo później to nie miało znaczenia.

— Zrobmy coś wielkiego tego lata — powiedział Johnny do Luthera i kilku innych uczniów po ostatniej lekcji w tamtym roku szkolnym. Jedli hamburgery w Pałacu Żeberek i Luther rzekł:

— Taa, niby co? Wiesz, że tu nie ma co robić.

Johnny przeżuwał w zamyśleniu. Potem wyszczerzył zęby.

— Mamy tylko te światła, nie?

— No i ten stary ranczerski dom, gdzie kręcili ten film z Jamesem Deaconem — przypomniał Cal Bailey.

— Kogo obchodzi ta stara rudera? I tak się rozsypuje. Nie, światła to nasza jedyna atrakcja. Ile razy próbowaliście wykombinować, czym one są?

Wszyscy wzruszyli ramionami. To był rytuał przejścia na dwunaste urodziny. Solenizant wykradał się z domu, kiedy rodzice zasnęli, i jechał rowerem na parking, gdzie czekały inne dzieciaki. Żeby dowieść swojej odwagi, musiał wejść na pole i szukać źródła światła. Zadanie tylko z pozoru wydawało się łatwe, jako że pole ciągnęło się aż do Meksyku i można było zabłądzić w ciemnościach. Niewiele dzieciaków w ogóle widywało światła, więc z reguły nawet nie wiedziały, czego szukają, dlatego starsi uczniowie nazywali je na postrach Światłami Duchów.

Zanim zjawił się solenizant, inne dzieci chowały się na polu. Kiedy przelazł przez ogrodzenie i wszedł w ciemność, unosiły latarnie, ale gdy tylko ruszał w ich stronę, zakrywały światło. W rezultacie solenizant rozglądał się dookoła, zbity z tropu. Potem dostrzegał inne światła — następne latarnie — i chciał do nich podejść. Wtedy one też znikaly. Zabawa się kończyła, kiedy dzieciaki z latarniami nie mogły dłużej powstrzymać się od śmiechu.

Ale czasami ukrywające się dzieci widziały inne światła, z pewnością nie latarnie, ponieważ niektóre unosiły się wysoko nad ziemią. Przesuwały się tam i z powrotem, zlewały się i zmieniały kolory, zbliżały się i rosły. Wtedy również zabawa się kończyła — kiedy nagle przestawało być śmiesznie i dzieciaki z latarniami decydowały, że pora wrócić do domu. Ten rytuał zarzucono po Czwartym Lipca 1980 roku. Potem już nikt nie chciał wejść na pole, a kiedy szef Costigan przyjechał do miasteczka, żeby zastąpić zabitego ojca, nikt już nie mógł tam wejść, ponieważ szef ciągle jeździł tam po nocach i próbował odkryć, czym są światła.

— Jasne, robiliśmy sobie jaja ze światła — powiedział Johnny tamtego czerwca, odkładając hamburgera. — Ale prawda jest taka, że nikt nie wie, czym one są.

— Niczym — odparł Jasper Conklin. — Byłem tam setki razy. Ani razu ich nie widziałem. Ci, którzy mówią, że je widzieli, tylko cię nabierają.

— No, ja je widziałem — oświadczył Johnny.

— Ja też — dodał Luther. — I moja mama i tato też widzieli.

— Zrobmy dla odmiany coś takiego, żeby miasto zapamiętało na długo — podjął Johnny. — Znajdziemy źródło tych światła. Urządzimy Polowanie na Światła Duchów.

Pomysł był typowy dla Johnny'ego, ale nazwa wywoływała przyjemny dreszczyk. Johnny zaproponował, żeby zrobić to po nędznych fajerwerkach na Czwartego Lipca i urządzić prawdziwą imprezę.

— Czemu nie? — zgodził się Jasper. — Nie mamy nic lepszego do roboty.

Rozgłosili to w miasteczku i rodzice się dowiedzieli, i niektórzy — zwłaszcza wydawca miejscowej tygodniówki — uznali to za interesujące. Więc gazeta wydrukowała artykuł, a potem odbyło się zebranie w szkolnej sali gimnastycznej. Wielu ludzi nie chciało mieć nic wspólnego z polowaniem — odpowiadała im obecna sytuacja i uważali, że pewnych spraw nie powinno się wyjaśniać. Ale większość miała dość niewiedzy, a kilka osób miało nawet własne powody, żeby popierać pomysł nocnego polowania.

— Cholera, dziadek powiedział mi przed śmiercią, że widział te światła jeszcze podczas pierwszej wojny światowej — oznajmił Josh McKinney, właściciel jedyne kina w Rostovie. — Wtedy w miasteczku się bali, że to niemieccy szpiedzy przekradają się zza meksykańskiej granicy. Przyjechało wojsko, ale nie mogło dojść, co się dzieje, więc na wszelki wypadek zbudowali tam poligon. Potem go odkurzyli podczas drugiej wojny światowej, kiedy światła znowu zaniepokoiły wojskowych. Przez te wszystkie lata miejscowi próbowali dociekać, co to jest, ale nikomu nigdy się nie udało. Osobiście uważam, że tym razem też wam się nie uda, ale jestem za próbowaniem, bo kiedy wrócicie z kwitkiem, światła staną się jeszcze bardziej tajemnicze i przyciągną jeszcze więcej turystów.

— I więcej klientów do twojego kina, co, Josh? — zażartował ktoś w tłumie.

— No, nie przepuszczę żadnej okazji, żeby sprzedać więcej popcornu.

Josh wyszczerzył zęby w taki sposób, że wywołał ogólną wesołość, i wszyscy zaczęli mówić jednocześnie, ale burmistrz nie fątygował się przywoływaniem do porządku, ponieważ nie ulegało wątpliwości, że Polowanie na Światła Duchów się odbędzie. Zainteresowani sami ustalą szczegóły.

Tak więc Czwartego Lipca setki ludzi zebrały się na żwirowym parkingu za miastem. Wszystkie te przednie światła samochodów same wystarczyły za niezły pokaz, myślał Luther, a ogłuszający ryk tyłu silników, głównie pick-upów, też robił wrażenie. Johnny przyjechał na motocyklu. Luther miał wojskowego jeepa z 1960 roku, którego kupił na złomowisku pod El Paso. Urodzony mechanik, przerobił go i pomalował na żółto. Kilku kowbojów przyjechało konno.

Wszyscy tyle gadali, że Waylan Craig — właściciel sklepu z artykułami żelaznymi — musiał użyć megafonu, żeby go usłyszeli.

— Wyłączcie silniki! — Jego wzmocniony głos przebijał się przez hałas.

Kilka osób posłuchało, potem następne. Wkrótce Luther słyszał wszystko, co mówił Waylan.

— I zgaście te reflektory! Nie myślałem, że o tej porze będę potrzebował ciemnych okularów!

Kilka osób zachichotało i wkrótce paliło się tylko tyle światła, żeby ludzie nie potykali się w ciemnościach. Luther podniósł wzrok na bezchmurne niebo i zobaczył jasne gwiazdy Drogi Mlecznej.

— Przywiozłem ze sklepu osiem zestawów walkie-talkie — ogłosił Waylan. — Rozdam je, gdy tylko ustawicie się w grupy. Naturalnie chciałbym je odzyskać, kiedy skończymy... chyba że ktoś życzy sobie nabyć komplet.

To wywołało więcej śmiechów.

— Powinniście mieć własne latarki — ciągnął Waylan, budząc echo na mrocznej prerii. — Ale w razie gdybyście zapomnieli, też przywiozłem kilka ze sklepu.

— I chcesz je odzyskać, chyba że postanowimy je kupić — zawołał ktoś z tłumu.

— W tym tygodniu są w specjalnej ofercie. Jeszcze więcej śmiechów.

Nie dlatego, że Waylan był taki zabawny. Wiele osób w tłumie zabrało zapasy piwa i większość mężczyzn pociągała z puszek. Kilku ciągle wracało do samochodów, żeby łyknąć z butelek w papierowych torbach. Luther zauważył, że kilku nastolatków też trzyma puszki z

piwem w opuszczonych rękach, starając się nie rzucać w oczy. Nad tłumem unosiły się wyziewy alkoholu.

W rezultacie ustawienie w grupy zabrało ponad godzinę. Ktoś przyniósł z ciężarówki nożyce do cięcia drutu i otworzył szerokie przejście w ogrodzeniu z drutu kolczastego.

— Oczywiście musimy to naprawić, kiedy skończymy — uprzedził Waylan.

— Przyniosłeś jakieś narzędzia, żeby nam sprzedać?! — wrzasnął ten sam dowcipniś.

Przy ogrodzeniu w strategicznych miejscach ustawiono cztery pary obserwatorów, rozmieszczonych co siedemdziesiąt pięć jardów. Każda para miała teleskop, kompas i walkie-talkie. Ludzie przechodzili przez otwór w ogrodzeniu i rozpraszali się w szereg szeroki na blisko trzydzieści jardów.

Burmistrz Ackerman przejął megafon.

— Jak już zaczniemy, idźcie prosto przed siebie. Użyjcie walkie-talkie, żeby nas zawiadomić, jeśli zobaczycie światła. Gdy tylko znajdziemy współrzędne na mapie, pošlemy tam ciężarówkę. Dojadą tak szybko, że cokolwiek wywołuje te światła, nie zdąży zwać.

— Mój motocykl dojedzie szybciej — zawołał Johnny.

Luther omal nie dodał: „I mój jeep”.

— Mój koń dojedzie w miejsca, gdzie nikt inny nie dotrze — oświadczył jakiś kowboj.

— Każda pomoc się przyda — zapewnił ich burmistrz przez megafon. — Ci w szeregu niech nie używają latarek, chyba że w razie konieczności. Będą gorzej widzieć w ciemności. Poza tym... — ton głosu wskazywał, że burmistrz zamierza zażartować — nie chcemy przstraszyć tych, którzy wytwarzają te światła. Możemy wyglądać równie tajemniczo dla nich jak oni dla nas, nie?

Ale nie wywołał śmiechu i Luther pomyślał, że pewnie część osób uważa, iż burmistrz ma rację.

Wreszcie, pół godziny przed północą, wszyscy ruszyli. No, nie wszyscy. Niektórzy zmęczeni się, zmarzli i wrócili do domów. Inni wypili za dużo i zasnęli w pick-upach. Mieli szczęście. Większość ludzi jednak utworzyła tyralierę i weszła na ciemną prerię.

— Szczęśliwego Czwartego Lipca! — ktoś krzyknął.

Luther trzymał się z tyłu z Johnnym, gotów wjechać na pole, gdyby ktokolwiek cokolwiek zauważył. Nieliczne samochodowe światła jeszcze przez chwilę oświetlały plecy ludzi w szeregu. Lecz pomimo bezchmurnego nieba na polu zalegała gęsta ciemność, w której wszyscy znikli jak za sprawą czarów.

Luther wyteżał wzrok, żeby dostrzec jakiś ruch. Wiatr chłodził mu twarz.

— Widzę jedno! — krzyknął obserwator.

— Gdzie? — chciał wiedzieć jego partner.

— Nie! Pomyliłem się! Przepraszam wszystkich! To tylko ktoś włączył i wyłączył latarkę!

Następne światełko błysnęło i zgasło. Luther poznał, że to też była latarka. Potem zamigotało kilka świateł. Widocznie pokusa, żeby zobaczyć grunt przed sobą, okazała się zaraźliwa. Zapalane i gaszone latarki wyglądały niczym olbrzymie świetliki fruujące w ciemnościach.

Obserwator wrzasnął przez walkie-talkie do ludzi na polu:

— Wyłączcie te latarki! Nie możemy zobaczyć, co jest przed wami!

— Zgasić latarki! — krzyknął inny obserwator.

Stopniowo latarki zgasły i w końcu Luther widział tylko ciemność. Ale nie na niebie. Kiedy przypadkiem podniósł wzrok, zobaczył migające światła samolotu pasażerskiego zmierzającego do odległego miejsca przeznaczenia. Kolejne ruchome światło — tym razem niemigające — należało pewnie do satelity.

— Cholera — mruknął Johnny, obejmując się ramionami. — Gdybym wiedział, że to będzie takie nudne, nigdy bym tego nie zaproponował. Tyłek mi marznie. To gorsze niż te głupie fajerwerki.

Luther miał już się zgodzić, kiedy spojrzał w stronę prerii i coś przykuło jego uwagę: skrawek ciemności trochę się rozjaśnił.

Pewnie następna latarka, pomyślał.

Ale błysk pojawił się daleko poza szeregiem poszukiwaczy i wyróżnił się z ciemności.

— Johnny. — Luther pokazał palcem. — Czy ty...

— Widzę coś! — oznajmił obserwator.

— Ja też! — wykrzyknął ktoś inny.

Luther też widział. Z całą pewnością. Kula żółtego światła w oddali. Potem dołączyła do niej kula zielonego światła. Podskakiwały, jakby unosiły się na wodzie, po czym zwały się w jedną dużą kulę, tym razem czerwoną. Po kilku sekundach rozdzieliły się na trzy kule, niebieską, pomarańczową i trzecią w innym odcieniu zieleni.

Luther mimowolnie podniósł rękę do prawego ucha. Niemal niedosłyszalny, piskliwy dźwięk drażnił jego bębenki. Przypominał mu wibrację, którą słyszał, kiedy jakiś człowiek naprawiał stary fortepian, zawsze stojący w kącie sali gimnastycznej.

Człowiek wyjął ze skrzynki z narzędziami błyszczący metalowy przedmiot, jakby widelki z dwoma zębami na nóżce. Stuknął nim o bok fortepianu i widelki zawibrowały z brzęczeniem. Stroiciel naciągał strunę w fortepianie, aż struna i widelki wydawały identyczne brzęczenie.

Teraz Luther słyszał coś podobnego, jakby nutę z jakiegoś niezwykłego fortepianu, tylko że ta ledwie wyczuwalna vibracja była irytująca. Miał wrażenie, że gorąca igła przebija mu oba bębenki.

— Widzę jeszcze jedno! — wrzasnął obserwator.

— Dwieście stopni! — krzyknął jego towarzysz, sprawdzając kompas.

— Sto osiemdziesiąt! — zawołał ktoś dalej przy ogrodzeniu. Pozostali obserwatorzy wykrzykiwali meldunki.

— Sto siedemdziesiąt!

— Sto sześćdziesiąt pięć!

Burmistrz i dwaj członkowie rady miejskiej pospiesznie nachylili się nad maską pick-upu: jeden przytrzymał mapę, drugi świecił latarką, a burmistrz rysował linie na papierze.

— Przecinają się na stu siedemdziesięciu pięciu! — oznajmił burmistrz. Linijką zmierzył odległość na mapie i porównał ze skalą na dole. — Wychodzi jakieś osiem mil! — krzyknął do walkie-talkie.

Luther, który stał obok, usłyszał trzeszczącą odpowiedź z walkie-talkie burmistrza:

— Osem mil? Po ciemku? To zajmie całą noc!

— Po prostu trzymajcie szyk! Kierujcie się na światła i pilnujcie, żeby nic się nie przemknęło! W tej chwili wysyłamy samochody! Zaraz tam będą!

Luther usłyszał nagły ryk silnika i zobaczył, że to Johnny zapalił kopnięciem swój motocykl. Dwa pick-upy ruszyły, ale Johnny pierwszy przejechał przez dziurę w ogrodzeniu. Zgasił przednie światło, a pick-upy włączyły tylko światła postojowe. Jednak w czerwonym blasku tylnych świateł Luther widział kurz, który wzbijali, i dwóch jeźdźców galopujących tuż za nimi.

Po spokojnym warkocie silników Luther poznał, że nikt nie rozwija nadmiernej prędkości, chociaż w tych warunkach nadmierna prędkość stanowiła pojęcie względne. Dwadzieścia pięć mil na godzinę po ciemku, z wygaszonymi światłami, to już sporo.

Nagle dotarło do niego, że został z tyłu.

Jego jeep nie miał dachu. Luther przeskoczył przez drzwi, wylądował na fotelu kierowcy i przekręcił kluczyk. Silnik zaryczał, światła postojowe oświetliły ogrodzenie i Luther przejechał przez dziurę. Jeep miał sztywne zawieszenie i kiedy podskakiwał na nierównym podłożu, głowa kierowcy leciała do tyłu.

Rany, mam nadzieję, że inni widzieli, jak wskoczyłem. Luther przypomniał sobie stary film, który uwielbiał oglądać, ilekroć go puszczała w telewizji: *Bullitt*. Tam był najwspanialszy pościg samochodowy i Steve McQueen był najlepszym kierowcą, ale nawet McQueen nie odstawiłby lepiej tego skoku.

Przednie koła jeepa zarzucały na kamieniach. Zając przemknął przed maską. Nocny wiatr mierzwił długie włosy Luthera. Chłopak wyciągnął z kieszeni koszuli fosforyzujący kompas, zerknął na niego i skierował wóz na sto siedemdziesiąt pięć stopni.

Po obu stronach wznosiły się ściany mroku. Nawet przy zredukowanej prędkości Luther miał wrażenie, że mknie przez przestrzeń kosmiczną. Słabe światła zapewniały mu widoczność tylko na jakieś sto stóp. Gwałtowne wstrząsy jeepa, podskakującego na kamieniach i wybojach, utrudniały skupienie wzroku na miejscu, do którego zmierzał. Czasami i tak ledwie mógł wypatrzeć Światła Duchów, nawet kiedy stał z zapartym tchem na żwirowym parkingu, teraz jednak rozumiał, że w tych warunkach nie miał szans ich zauważyć, dopóki nie podjechał całkiem blisko.

Nagle zobaczył przed sobą ruch. Ludzie w szeregu! — pomyślał. Sylwetki zmaterializowały się, rozproszone z boku, jakby próbowały uciekać przed motocyklem Johnny'ego, pick-upami i jeźdźcami. Dwaj ludzie skręcali się z bólu na ziemi, ktoś inny wrzeszczał do walkie-talkie. Potem Luther zobaczył konia miotającego się rozpaczliwie, z jedną nogą zgiętą pod nienaturalnym kątem. Obok leżał kowboj. Nie ruszał się.

W następnej sekundzie tylko kamienie, kępy trawy i zwodnicza ciemność umykały na boki przed postojowymi światłami samochodu.

Jeśli nie będę uważał, przejadę kogoś, pomyślał.

Ostrożnie włączył przednie światła i zachłysnął się na widok czarnych, przypominających tuf głazów, które nagle przed nim wyrosły. Ciągnęły się przez całą prawą stronę. Gdyby jechał trochę szybciej, przewróciłby jeepa, tak ostro skręcił w lewo. Chmura kurzu wzbijała się w powietrze i przesłoniła mu pole widzenia.

Skręcaj! Skręcaj!

Cholerne zło ziemie. Kiedy wyminął głazy, kaszląc od kurzu, zobaczył przed sobą poświatę.

Widocznie podjechałem bliżej do światła, niż myślałem.

Rosły szybko, coraz większe i jaśniejsze, aż raziły w oczy. Najpierw myślał, że to dlatego, iż jedzie w ich kierunku, ale potem rozumiał, że one też się poruszają.

Idą do mnie!

Luther nie wiedział, dlaczego to go przestraszyło. Przecież cały sens polowania polegał na tym, żeby zbliżyć się do światła i wyjaśnić ich pochodzenie, ale kiedy rosły w oczach, żołądek mu się kurczył.

Jednak dwa światła nie były kolorowe. Zbliżały się szybko, nisko nad ziemią. Ze zgrozą Luther rozumiał, że to światła pick-upu.

Zderzy się ze mną!

Zjechał na prawo i pick-up przemknął obok tak blisko, że podmuch powietrza sypnął mu pyłem w oczy. Z całej siły wcisnął hamulec, przejechał poślizgiem po kamieniach i trawie. Od wstrząsu zadzwoniły mu zęby. Gorączkowo tarł oczy, usiłując odzyskać wzrok. Kurz wypełnił mu płuca i wywołał kolejny atak kaszlu.

Potem przejrzał na tyle, że dostrzegł spłoszonego konia, który galopował prosto na niego. Koń nie miał jeźdźca. Prerażony Luther zakrył rękami twarz, pewien, że spienione zwierzę wpadnie na jeepa. Wyobraził sobie ciężar walący się na niego, miażdżący go. Ale kopyta z łomotem przemknęły obok.

Luther obejrzał się czym prędzej. Daleko z tyłu rozbrzmiewały krzyki i podskakiwały światła latarek, które nagle były wszędzie. Ludzie w szeregu usłyszeli ciężarówkę i konia, więc rozbiegli się na wszystkie strony, żeby uniknąć zderzenia.

Jakaś kobieta krzyknęła. Koń zarżał. Czy ten przeraźliwy zwierzęcy wrzask mogła wydać istota ludzka?

W tym chaosie Luther czuł się jak sparaliżowany. Potem ryk silnika kazał mu znowu spojrzeć przed siebie. Zobaczył kolorowe kule ścigające przednie światła pick-upu, który zboczył ostro w prawo, żeby wyminąć jeepa. Obok pick-upu pędziło pojedyncze światło — motocykl Johnny'ego. Wciąż skręcając w prawo, pick-up uderzył w ogrodzenie z drutu kolczastego i oderwał tablicę, która pofrunęła w powietrze i mało nie trafiła w motocykl.

Luther dokładnie wiedział, co jest napisane na tablicy. Widywał identyczne tablice na ogrodzeniu otaczającym ten teren.

WŁASNOŚĆ ARMII STANÓW ZJEDNOCZONYCH
NIEBEZPIECZEŃSTWO
TOKSYCZNE CHEMIKALIA
NIEWYBUCHY ARTYLERYJSKIE

Tylne światła rozpedzonego pick-upu znikły, ścigane przez kolory, które również zgasły, i Luther widział tylko ciemną prerię.

Odległy łoskot zabrzmiał jak grzmot. Kilka błysków to mogły być błyskawice na horyzoncie albo fajerwerki w odległym mieście. Luther jednak nie miał wątpliwości, co naprawdę wywołało grzmoty i błyski. Pomimo odległości zdawało mu się, że usłyszał krzyk Johnny'ego.

36

— Więc tablice ostrzegawcze nie przesadzały? — zapytał Brent, stojąc na dachu jaskrawo oświetlonego wozu kempingowego. Anita nadal kierowała kamerą na niego i Hamiltona. W dole, na zaciemnionym parkingu, klębił się niecierpliwy tłum.

— Podczas drugiej wojny światowej był tutaj czynny poligon wojskowy. — Hamilton mówił jakby z bólem. — To miejsce jest tak odległe, że nadawało się idealnie do ćwiczebnych bombardowań. Zwykle to, co zrzucali, nie miało detonatorów ani ładunków wybuchowych. Ale czasami używali prawdziwych bomb... żeby załogi oswoiły się z falami uderzeniowymi. Nie wszystkie bomby wybuchwały, kiedy spadły na ziemię. Po tylu latach zapalniki stały się bardzo niestabilne.

— A pański przyjaciel... czy przeżył?

— Johnny? — Hamilton skrzywił się, jakby to wszystko wydarzyło się wczoraj. — On i dwaj ludzie w pick-upie zostali rozerwani na kawałki, kiedy najechali na kilka bomb.

— Przykro mi to słyszeć. — Brent oczywiście już to wiedział. Hamilton powiedział mu o tym wcześniej. Ale Brent musiał przybrać poważną, współczującą minę.

— Nikt nie odważył się ich szukać po ciemku — ciągnął Hamilton. — Miejskowa pilotka wyleciała o świcie. Przeleciała nad terenem, zobaczyła wraki i podała położenie. Ale nawet wtedy ekipa ratunkowa nie mogła tam pędzić na wariata, bali się, że zdetonują inne bomby. Dotarli na miejsce dopiero po południu. — Pokręcił głową i znowu się skrzywił, jakby zrobiło mu się niedobrze. — Ale wtedy kojoty już się dobrały do tego, co zostało z ciał, i...

Brent zdecydował, że czas zmienić temat. Program i tak miał prawie brukowy charakter, nawet bez opisów dzikich zwierząt pożerających trupy.

— A światła? Co się z nimi stało?

— Po prostu znikły. Następnej nocy nie wróciły... ani jeszcze następnej. Pokazały się dopiero po kilku miesiącach.

— Mówił pan, że światła ścigały motocykl pańskiego przyjaciela i pick-up?

— I drugą ciężarówkę, i tych dwóch kowbojów. Tak to dla mnie wyglądało. Oczywiście to mogło być złudzenie optyczne. Podczas śledztwa jeden psychiatra twierdził, że wszystkich po prostu poniosła wyobraźnia, że zobaczyliśmy światła, bo chcieliśmy je zobaczyć, a kiedy jedna osoba wpadła w panikę, wszyscy spanikowali. Nie wiem, w co wierzyć. Tamtej nocy światła naprawdę wydawały się rzeczywiste i można było odnieść wrażenie, że mają własną wolę. Przestraszyły jednego konia tak, że złamał nogę, a drugi poniósł i zrzucił jeźdźca. To był ten koń, który na mnie galopował. Kowboj złamał ramię i obojczyk.

— A co z panem? Z pana relacji wynika, że światła pana nie napastowały.

— Przez długi czas siedziałem w ciemnościach i próbowałem zrozumieć, co właściwie zobaczyłem. Próbowałem sobie wytłumaczyć, że wzrok mnie zawiódł. Ale jeśli miałem halucynacje, to Johnny i faceci w pick-upie mieli dokładnie takie same halucynacje. Bo dlaczego tak szybko uciekali? Kiedy wreszcie zebrałem siły, żeby zawrócić jeepa i pojechać z powrotem na parking, odkryłem, że mam mokry kołnierzyk koszuli.

— Mokry?

— Od krwi.

— Co? — Tego Hamilton mu wcześniej nie mówił.

— Słyszałem taki dźwięk.

— Dźwięk?

— Wysoki. Prawie niesłyszalny. Jakby gorące igły przebijały mi bębni. Pękły.

— Pękły?

— Bębni. Krew płynęła mi z uszu. Nic nie słyszałem przez trzy miesiące. Lekarz się bał, że ogłuchłem na stałe. Zdumiewające, jak wiele z tej nocy wyrzuciłem z pamięci. Kiedy znowu o tym mówię...

Hamilton wyglądał tak, jakby dosłownie miał się rozpłakać. Czas na zakończenie, pomyślał Brent. Wskazał w ciemność.

— A teraz, po tylu latach, doszło do następnej tragedii z powodu tych światel. Czas na krótką przerwę. Gdy tylko wrócimy na antenę, skierujemy kamery na teren za moimi plecami i spróbujemy znaleźć kilka odpowiedzi na...

— Widzę jedno! — krzyknął ktoś w tłumie.

— Gdzie?

— Tam! Po prawej!

— Ja też widzę!

Samochód kempingowy zadygotał, kiedy tłum zaczął napierać w tamtą stronę.

— Patrzcie! Pół tuzina!

Brent poczuł, że Anita wysuwa się do przodu z kamerą.

— Gdzie?! — krzyknął ktoś. — Ciągle ich nie widzę!

— Na prawo! — odkrzyknął ktoś inny.

Brent spojrział w kierunku, gdzie wskazywało mnóstwo ludzi. Zobaczył tylko ciemność. Miał nadzieję, że operatorzy kamer na ziemi i w helikopterze postępują zgodnie z jego instrukcjami i filmują tłum. To ludzie stanowili materiał. Reagowali coraz bardziej gorączkowo.

— Tak! Mój Boże, one są piękne! — krzyknęła jakaś kobieta. I nagle Brent zobaczył coś w oddali. Sześć świateł jakby płynęło. Łączyły się w pary, a potem się rozdzielały.

— Widzę je! — powiedział Brent do widzów w domach. — To niezwykle. Są państwo pierwszą publicznością, która na żywo ogląda tajemnicze światła Rostova.

Anita stała teraz obok niego i kierowała kamerę w stronę świateł. Skupiony wyraz jej twarzy świadczył, że zdjęcia będą bajeczne.

— Może to nam pomoże zrozumieć, czym one są — powiedział Brent do widzów.

— To nie one — wtrącił Hamilton.

Brent ciągnął:

— Niewykluczone, że będziemy w stanie...

— Mówię wam, że to nie są światła Rostova — upierał się Hamilton.

— Przecież je widzę. Na pewno tam są.

— Przednie światła.

— Co?

— Patrzycie na drogę do Meksyku. To są przednie światła samochodów jadących autostradą. W tamtym miejscu droga wznosi się i opada. Dlatego wydaje się, że światła się unoszą. Ta droga zmyliła już wielu ludzi.

— Ale...

— Światła wcale tak nie wyglądają. Poza tym to zły kierunek. Patrzycie na południowy zachód. Trzeba patrzeć na południowy wschód.

— Tam! — wrzasnął jakiś mężczyzna.

Tłum jak jeden mąż odwrócił się na południowy wschód i winnebagi znowu się zatrzęsły. Kilka osób pokazywało z przekonaniem.

— Tam!

Brent odwrócił się, żeby spojrzeć w nowym kierunku, i osłupiał. Najpierw dostrzegł kolory.

Brent dorastał w Michigan. Pewnej niespokojnej letniej nocy, kiedy miał dziesięć lat, wyszedł na dwór i ujrzał niezliczone wstęgi kolorów falujące na niebie. Promieniowały z północy i wypełniały nieboskłon, upiornie lśniące, wijące się jak żywe.

Brent wpadł do domu i zawołał do matki:

— Umrzemy!

— Co?

— Niebo się pali! Koniec świata!

Jego ojciec zmarł na atak serca sześć miesięcy wcześniej. Pewnie dlatego Brent pomyślał o śmierci.

Kiedy matka wreszcie zrozumiała, co się dzieje, wzięła go za rękę i zmusiła, żeby razem z nią wyszedł przed dom. Szarpał się z nią.

— Nie! To nas zabije!

— Nie ma się czego bać. To, co widzisz, nazywa się *aurora borealis*.

— Co?

— Zorza polarna. Słyszałam kiedyś, skąd się bierze. Podobno to jest promieniowanie magnetyczne słońca odbite od polarnej czapy lodowej.

To, co Brent teraz zobaczył — z daleka — wyglądało jak zorza polarna wciśnięta w siedem migotliwych kul. Ciągłe zmieniały opalizujące kolory, drgały i falowały, jakby coś się kłębiło w

ich wnętrzach. Płynęły i dryfowały, wznosiły się i opadały, błyskały i migotały hipnotycznie. Chociaż świeciły tak daleko, Brent wyciągnął rękę i próbował ich dotknąć.

Wiele osób w tłumie reagowało podobnie. Sięgali przed siebie, w ciemność.

— Zejdź mi z drogi! — wrzasnął jakiś mężczyzna.

— Zaslaniaasz mi widok! — poskarżył się ktoś inny.

— Przesuńcie się! — nalegała jakaś kobieta. — Muszę podejść bliżej! Żeby mnie uzdrowiły!

— Nie pchaj się!

— Nie, przestańcie...

Wszyscy rzucili się w stronę ogrodzenia.

— Nie mogę oddychać!

Ludzie obijali się o wóz kempingowy. Samochód trząsał się i Brent z trudem utrzymywał równowagę. Przy szczególnie gwałtownym wstrząsie zachwiał się i sięgnął, żeby się czegoś przytrzymać, ale chwycił tylko powietrze. Winnebago znowu zadygotał i pod Brentem ugięły się kolana. Nagle wyleciał w ciemność, spadał prosto w tłum. Trafił w lukę pośród ciał, uderzył o żwir i jęknął, kiedy zwała się na niego masa ludzi.

37

Earl Hallowsy siedział w jaskrawo oświetlonej dyżurce pod czaszami radioteleskopów. Właśnie połknął sześć aspiryn — w sumie zużył dzisiaj pół buteleczki — ale ciągle nie mógł zwalczyć bólu głowy. W żołądku go paliło. Buczenie generatora, radioteleskopów czy jakiegoś innego draństwa narastało tak, że aż zgrzytał zębami, próbując się pozbyć ucisku w uszach.

To nie była zmiana Hallowsy, ale za nic nie mógł się opanować na tyle, żeby oglądać film na komputerze w swoim pokoju. Zgasił światło i położył się na łóżku z mokrym ręcznikiem na oczach, jednak potworny ból głowy nie pozwolił mu uleżeć spokojnie. W końcu Hallowsy przywłókł się do pokoju ochrony z nadzieją, że jakieś pożyteczne zajęcie pomoże mu zapomnieć o migrenie.

Jaskrawe światła tylko zwiększyły ucisk w głowie.

— Nic ci nie jest? — zapytał jeden ze strażników.

— Bo co?

— Wyglądasz okropnie.

Hallowsy zrezygnował już z prób wyjaśniania, że coś buczy. Najwyraźniej nikt inny tego nie słyszał.

— Codziennie to samo. Ciągłe się gapimy w te monitory. Nigdy nic się nie dzieje.

— I to mi się podoba — odparł drugi strażnik. — Wolałbyś, żeby ktoś nas zaatakował, tak dla rozrywki? Chyba za mało do ciebie strzelali w Iraku.

— Jakby terrorystom zależało na obserwatorium — parsknął pierwszy strażnik. — Sam nie wiem, co tu robimy, ale płacą dobrze.

— Tu masz rację. Płacą dobrze. Więc zamknij się, Earl, i przestań narzekać.

Kilka godzin wcześniej aktywowano tryb nocnego widzenia w kamerach na zewnątrz. Na monitorach czasie, ogrodzenie, rzadka trawa, ziemia, całe mile ponurego pustkowia — wszystko miało zielony odcień. Jeden z ekranów pokazywał trzy biegnące kojoty. Ciepło ich ciał sprawiało, że jasno świeciły. Na innym ekranie zając poderwał łepkę. Wyczuwając kojoty, rzucił się do panicznej ucieczki. On też nienaturalnie świecił.

Po chwili trzeci ekran pokazał trzy kojoty ścigające zającą w zielonkawym mroku.

— Kto mówi, że nic się nie dzieje? — rzucił pierwszy strażnik. — Obstawiacie, kto wygra?

— Stawiam na zajęcia — oświadczył drugi strażnik.

— Ile? Ups, za późno. Twoje szczęście, że nie zdążyłeś postawić.

Halloway z nachmurzoną miną patrzył na ekran.

— Rany, nawet krew wygląda zielono na tych nocnych zdjęciach.

Wstał i ruszył do drzwi, zataczając się lekko. — Prześpij się trochę — poradził drugi strażnik.

— Gdybym tylko mógł — mruknął Halloway. Wyszedł na pusty korytarz, gdzie jego kroki budziły irytujące echo.

Drzwi do ANALIZY DANYCH były zamknięte. Krzywiąc się z bólu, przyłożył do nich ucho.

„Nie powinienes tu przebywać”, powiedział mu naukowiec imieniem Gordon po tym, jak Halloway starał się z nim zaprzyjaźnić. Oczy Gordona spoglądały surowo zza okularów. „Tu jest zakaz wstępu. Powinienes siedzieć w dyżurce”.

Próbujesz być miły dla ludzi, a oni traktują cię jak gówno, pomyślał Halloway.

Mocniej przycisnął ucho do zimnych metalowych drzwi. Słyszał tylko buczenie. W ciągu popołudnia podjął jeszcze jeden wysiłek, żeby wytropić źródło tego dźwięku. Przeszukał każde pomieszczenie w kompleksie — latryny, kwatery sypialne, kuchnię, mesę, pomieszczenie generatora, salę gimnastyczną, dyżurkę — ale znowu nie znalazł odpowiedzi.

Nie miałem okazji jeszcze raz przeszukać części naukowej, pomyślał ponuro. Ten skurwysyn Gordon zdecydował, że nie zasługuje, żeby tam wchodzić.

Buczenie wypełniało głowę Hallowaya. Jedynie poprzedniego wieczoru doznał ulgi w bólu, kiedy słuchał muzyki — tej cudownej muzyki, dzięki której czuł się tak, jakby tańczył z najpiękniejszą kobietą na świecie, wdychał cynamonową woń jej włosów, smakował wódkę z sokiem pomarańczowym.

Chwycił klamkę i przekręcił.

Nic. Ten drań Gordon zamknął drzwi na klucz.

Halloway zastukał w drzwi, ale nie otrzymał odpowiedzi.

Załomotał głośniej.

W głębi korytarza jeden ze strażników wysunął głowę z dyżurki.

— Co ty robisz?

— A jak myślisz?

— Zabronili tam się zbliżać.

— Chyba słyszałem, że ktoś wzywał pomocy.

Halloway walnął tak mocno, że pięść go rozboleła, ale to było nic w porównaniu z bólem głowy.

Nagle drzwi się otwały. W ostrym świetle stanął Gordon, spoglądając gniewnie przez okulary w szylkretowych oprawkach. Twarz miał mocno czerwoną.

— Co z tobą? Cholera jasna, słuchaj rozkazów.

Halloway spojrzał ponad jego ramieniem na pozostałych naukowców. Siedzieli pomiędzy rzędami świecących elektronicznych instrumentów, wszyscy ze słuchawkami na uszach. Jeszcze jedno słuchawki — pewnie Gordona — leżały na stole.

— Słuchacie muzyki, tak? Ale nic mi nie powiedzieliście.

— Nie masz pojęcia, w co się wtrącasz. Jeśli nie chcesz stracić pracy, zostaw nas w spokoju.

Gordon zaczął zamykać drzwi. Halloway przytrzymał je ręką.

— To właśnie robicie, prawda? Słuchacie muzyki.

Gordon mocniej naparł na drzwi.

Halloway pchnął je tak gwałtownie, że naukowiec zatoczył się do tyłu.

— Hej! — krzyknął.

Halloway przecisnął się obok niego i podszedł do stołu. Pozostali naukowcy odsunęli się pospiesznie, myśląc, że strażnik ich zaatakuje. Ale jemu chodziło tylko o słuchawki. Dobiegała z nich cichutka muzyka. Cudowna, kojąca muzyka.

— Gordon, znowu ją znalazłeś, ale mi nie powiedziałeś.

— Dlaczego miałbym ci mówić? Jesteś tylko cholernym ochroniarzem.

— Próbowałem się zaprzyjaźnić — oświadczył Halloway.

— Co?

— Przyjaźń nic dla ciebie nie znaczy.

— Co ty wygadujesz?

W drzwiach pojawił się strażnik. Trzymał M4.

— Wszystko w porządku?

— Zamknij tego człowieka, dopóki helikopter po niego nie przyleci — rozkazał Gordon. — Jest zwolniony.

Halloway podniósł słuchawki. Strażnik podszedł bliżej.

— Słyszałeś, Earl. Nie chcą cię tutaj.

Halloway przysunął słuchawki do uszu. Strażnik chwycił go za lewe przedramię.

— Ta muzyka to nie nasz interes, Earl. Nie utrudniaj nam pracy. Idziemy.

Halloway odłożył słuchawki. Strażnik odetchnął z ulgą.

— Dobrze. Pozwólmym tym ludziom spokojnie pracować.

Halloway trzasnął strażnika pięścią w gardło.

— Uhhhh...

Strażnik upuścił M4 i poderwał obie ręce do zmiażdżonej krtani.

Halloway podniósł karabin i wystrzelił trzy pociski w twarz Gordona. Okulary w szylkretowych oprawkach rozprysły się na kawałeczki.

Usłyszał za plecami krzyki, odwrócił się i zobaczył, że pozostali naukowcy próbują się kryć.

Celuj z dala od sprzętu, ostrzegł samego siebie.

Kiedy drugi strażnik wpadł do pokoju, Halloway strzelił mu w klatkę piersiową.

Naukowcy w panice rzucili się do drzwi. Uspokojony, że odsunęli się od sprzętu, Halloway zabił wszystkich strzałami w plecy.

Podniósł M4 drugiego strażnika i sprawdził, że magazynek jest pełny. Wyszedł na korytarz i zobaczył, że Taggard biegnie w jego stronę. Halloway rozwalił mu głowę.

Przeszukał kompleks i zastrzelił dwóch pracowników technicznych, skulonych za skrzyniami w magazynie. Znalazł kobietę naukowca schowaną pod pryczą i ją też zastrzelił.

Przez cały czas słyszał to okropne buczenie. Wrócił do pomieszczeń naukowych, sprawdził, że pierwszy strażnik wreszcie skonał, i nałożył słuchawki.

Ból głowy zniknął, kiedy popłynęła muzyka.

38

Pod płytą lotniska Raleigh otworzył metalowe drzwi i wszedł do pokoju, którego nie odwiedzał od trzech lat. W powietrzu wisiał zapach wilgoci i stęchlizny. Wszędzie błyskały maleńkie białe i czerwone światełka, jak oczy zwierząt, ale kiedy pułkownik przekreślił przełącznik na ścianie i zapalił górne lampy, światełka okazały się wskaźnikami niezliczonych elektronicznych instrumentów, ustawionych na półkach sięgających od podłogi do sufitu. Igły

drgały, tarcze się jarzyły. Raleigh przyjrzał im się z bliska i zobaczył, że rejestrują niezwykle wysoki poziom aktywności.

Doskonale, pomyślał.

Osobiście nadzorował instalację tego sprzętu, wówczas ostatniego krzyku techniki. Od tamtej pory poczyniono znaczne postępy, toteż konieczne się stało wyposażenie wszystkich instrumentów w obszerne aktualizacje, które przywieźli ludzie z zespołu. Jednak nawet w obecnym stanie sprzęt działał jak należy, wzmacniał energię ze źródła i przesyłał poprzez czasę ukrytą w śmieciach na górze w hangarze. Ta zakamuflowana antena była zsynchronizowana z horyzontalną anteną w obserwatorium.

Jutro wieczorem sygnał zostanie wzmocniony jeszcze bardziej i przekazany przez pionową czasę, nakierowaną na satelitę.

W poprzednich eksperymentach połączenia zawodziły, niekiedy z katastrofalnymi rezultatami. Raleigh wierzył jednak, że dzięki ulepszonej elektronice, którą instalował zespół, wreszcie zdoła zakończyć podróż, którą rozpoczął jako chłopiec zainspirowany przez dziadka.

Nacisnął guzik i uruchomił rząd monitorów nadzoru. W zielonym trybie nocnego widzenia pokazywały zrujnowane hangary oraz teren wokół bazy lotniczej. Mocne obiektywy ukrytych kamer pozwalały na imponujące powiększenie obrazu. Raleigh obserwował tresera patrolującego ogrodzenie z owczarkiem niemieckim.

Przeniósł uwagę na miejsce obserwacyjne dalej przy drodze, gdzie tłum wyrwał się spod kontroli i szarżował na ogrodzenie. Nie liczył na ludzkie obiekty testowe. Tym lepiej, że były ich setki.

Wiedział jednak, że tak naprawdę liczyły się obiekty testowe, które przywiózł ze sobą. Reakcje ludzi z zespołu zadecydują, czy projekt można bezpiecznie kontynuować. Nie zdawali sobie sprawy, że stanowią zasadniczy element eksperymentu, który przeprowadzali.

39

Czyjś but trafił Brenta w czoło. Ludzie deptali po nim. Na chwilę zrobiło mu się szaro przed oczami.

— Kręćcie dalej! — krzyknął do mikrofonu wpiętego w klapę. Bał się, że reżyser w stacji telewizyjnej przerwie nadawanie, jeśli pomyśli, że Brent doznał poważnych obrażeń przed kamerami, więc silił się na opanowany ton.

Ze swojego miejsca widział tylko rozmazane sukienki i nogawki spodni. Prawdę mówiąc, czuł się przyduszony. Następny but trafił go w bok szyi. Brent zarzęził i przetoczył się na bok, żeby uciec od tłumu. Drobiny żwiru rozdzierały mu skórę. Uderzył barkiem o podwozie samochodu kempingowego. Zdesperowany, wpęłzył jak najgłębiej pod samochód. Z tego punktu obserwacyjnego widział buty, półbuty i pantofle przebiegających obok ludzi. Szyja pulsowała bólem. Trochę bliżej do gardła i mogłem zginąć, pomyślał.

Wreszcie tłum się przewalił i Brent wylazł spod samochodu.

— Nic mi nie jest! Wszystko okay! — krzyknął do mikrofonu. Boże, mam nadzieję, że z helikoptera to kręcą, pomyślał. Lewy rękaw marynarki miał oderwany. Krew ściekała mu z czoła.

Słyszając krzyki i wrzaski tłumu, zamierzał już wspiąć się z powrotem na dach wozu kempingowego i kontynuować program, nagle jednak spostrzegł Anitę i Luthera Hamiltona leżących na ziemi. Kamera spoczywała na boku, czerwone światelko ciągle się paliło.

Podbiegł do Anity i usłyszał jej jęk.

— Nic ci nie jest? Możesz wstać? — zapytał nagłaco. — Muszę cię zabrać z tego tłumu!
Przełożył sobie jej ramię przez szyję i podniósł ją. Zadrzała.

— Chodź, zabiorę cię w bezpieczne miejsce.

Producent i jego ekipa wygramolili się z furgonetki. Brent oddał im Anitę i wrócił biegiem do Luthera Hamiltona, który kaszlał i usiłował się czołgać. Brent pomógł mu wstać i zaprowadził go na tył furgonetki.

— Potrzebujemy karetki pogotowia!

— Na pewno. — Producent pokazał coś palcem.

Brent obejrzał się i zagapił na kilka osób leżących na żwirze.

W głębi parkingu ludzie kotłowali się i przepychali w stronę ciemności za ogrodzeniem.

— Widzę je!

— Są piękne!

— Z drogi!

— Nie mogę oddychać!

Brent podniósł kamerę Anity i wręczył producentowi.

— Pamiętasz, jak się tym posługiwać?

— Mowa. Nawet jeszcze płacę składki związkowe.

Brent chwycił przewróconą drabinę i oparł ją o furgonetkę.

Prawa ręka tak mu drżała, że się przestraszył. Walcząc z osłabieniem, wspiął się na dach. Stamtąd zobaczył, że helikopter telewizji włączył światła lądowania i oświetlił tłum. Zachrypnięty po uderzeniu w szyję, zaczął mówić do mikrofonu, opisywać, co widzi.

— Ludzie z tyłu spychają wszystkich na ogrodzenie. Ci w środku są zgniatani. Ci z przodu są przyciskani do drutu kolczastego.

Brent usłyszał trzask drewna.

— Chyba ogrodzenie się...

Kilka słupków pękło. Ogrodzenie runęło. Ludzie z przodu też się przewrócili z wrzaskiem, bo upadli na drut kolczasty. Reszta tłumu przewaliła się po ich plecach i wpadła na pole.

W oddali światła nadal migotały.

— Słyszę jakiś dźwięk — mówił Brent do mikrofonu. — Luther Hamilton wspomniał, że czasami światłom towarzyszy dźwięk. Ciekawe, czy teraz też. Nie, pomyliłem się. Ten dźwięk nie ma nic wspólnego ze światłami. To...

40

Stojąc obok samochodu na poboczu ciemnej drogi, Page gapił się na miejsce obserwacyjne i rozszalały tłum. Gdyby był sam, pospieszyłby na pomoc policji, chociaż nie wyobrażał sobie, jakim cudem nawet dziesięć razy więcej funkcjonariuszy mogłoby sobie poradzić z tym, na co patrzył.

Teraz zależało mu tylko na Tori.

— Miałaś rację, żeby trzymać się z dala od tłumu — powiedział.

Odwrócił się. Nie stała obok niego.

Rozejrzał się po ciemnej drodze, potem wszedł między zaparkowane samochody, ale wciąż jej nie widział.

— Tori?

Pospiesznie wrócił do saturna. Nie było jej w środku. Wbił wzrok w ciemność po drugiej stronie rzędu zaparkowanych samochodów. Ani śladu Tori.

— Tori!

Page nie przypuszczał, żeby dołączyła do tłumu, który zmienił się w bezładną masę, przewrócił ogrodzenie z drutu kolczastego, stratował ludzi i pognął w ciemność.

Ale jeśli nie poszła w tamtą stronę, pozostała tylko jedna możliwość.

Zahuczał grzmot.

Page pobiegł w stronę mrocznej prerii. Tori miała rację, kiedy mówiła, że miejsce obserwacyjne wyznaczono arbitralnie. Światła można było zobaczyć z innych miejsc przy drodze, a tej nocy, ku swemu zdumieniu, zobaczył je bez trudu. Kiedy Tori z przejęciem wskazała na ciemny horyzont, dostrzegł je od razu.

Widocznie nauczyłem się je widzieć, pomyślał. Tak jak nauczyłem się widzieć matwy.

Czy może sam siebie okłamuję?

W oddali kolory dryfowały i podskakiwały. Page nie tylko zobaczył je szybciej niż poprzedniej nocy, ale także widział je wyraźniej. Zupełnie jakby łuski spadły mu z oczu. Promieniały, wirowały, dalekie, a jednak bliskie. Miał wrażenie, że skóra mu się napina.

— Tori!

Zagrzmiało głośniejsze, burza szybko się zbliżała.

Page podszedł do ogrodzenia. Dzięki szkoleniu pilota wiedział, że w nocy najlepiej widać przedmioty znajdujące się na peryferiach pola widzenia. Patrząc prosto na coś w ciemności osiągał gorsze rezultaty, niż kiedy spoglądał kątem oka, ponieważ komórki oka odpowiedzialne za nocne widzenie, tak zwane pręciki, umiejscowione są na obrzeżach gałki ocznej.

Spojrzał bokiem poza drut kolczasty. Słyszał krzyki dochodzące z prawej strony, od miejsca obserwacyjnego. Cienie podobne do duchów wędrowały coraz dalej w głąb prerii, przyciągane przez światła. Słyszał też jęki.

— Cholera, mówiłem, żebyś mnie nie popychał! — ktoś wrzasnął.

Zabłyśły latarki, oświetlając walczące sylwetki. Mężczyzna walnął drugiego w żołądek. Kiedy tamten zgiął się wpół, przeciwnik obalił go na ziemię i kopnął w głowę. Inni zmagali się w równie zaciekłych bójkach, tak wielu, że Page nawet nie myślał, żeby ich powstrzymać.

Potem znowu spadła na niego ciemność, jeszcze głębsza, ponieważ chwilowo stracił zdolność nocnego widzenia. Nie chciał czekać, aż wzrok mu się przystosuje, tylko chwycił słupek i wspiął się po drucie kolczastym jak po drabinie. Zeskoczył na ziemię po drugiej stronie. Kabura z pistoletem uwierała go w zębra.

— Tori!

Nagły powiew wiatru dmuchnął mu kurzem w twarz. Page osłonił oczy lewym ramieniem i wszedł na ciemne pole. Sucha trawa trzeszczała mu pod nogami. Kropla deszczu trafiła go w nos.

O mało się nie potknął o kamień. Kiedy odzyskał równowagę, ruszył dalej, próbując utrzymać kierunek prosto na światła. Z powodu kurzu musiał na chwilę zamknąć oczy. Kolejne krople deszczu spadły mu na czoło.

Następna błyskawica oświetliła ludzkie sylwetki, całkiem blisko. Ludzie rozproszyli się, gdy tylko wtargnęli na pole, żeby nie stratował ich tłum, który ich przepchnął przez zwalone ogrodzenie. Wydawali się oszołomieni, jakby nagle sobie uświadomili, co robią.

Grzmot wstrząsnął Page'em do głębi. Potem znowu ogarnęła go ciemność.

W następnej chwili lunął deszcz z taką siłą, że przygiął Page'a do ziemi. Szokująco zimny, pochłonął go i przesłonił odległe światła. Bez nich Page stracił orientację. Znikły nawet światła z tyłu, na platformie obserwacyjnej.

— Tori!

Deszcz zacinał mu w twarz, przemoczone ubranie lepilo się do skóry. Dygotał z zimna. W pobliżu uderzył następny piorun. Page zobaczył liczne rozgałęzienia błyskawicy i usłyszał huk. W dwusekundowym rozbłysku dostrzegł postać chwiejnie idącą naprzód. Potem znowu otoczyła go ciemność. Popędzany przez grzmoty, ruszył w stronę, gdzie widział postać.

Nagle się zderzyli. Od razu wiedział, że to Tori. Po dziesięciu latach małżeństwa nie mógł nie rozpoznać jej ciała w ciemności.

— Dzięki Bogu, że cię znalazłem — powiedział. — Chodź. Musimy wracać do samochodu.

— Nie.

Przeciągły grzmot częściowo zagłuszył jej głos i Page pomyślał, że się przesłyszał.

— Co?

— Zostaw mnie w spokoju.

— Nie jesteś tu bezpieczna.

Chwycił ją za rękę, ale skórę miała śliską od deszczu i zdołała się wyrwać. Odskoczyła od niego.

— Tori! — wrzasnął. — Musimy wracać do samochodu!

Przeżył moment paniki, kiedy stracił ją z oczu. Potem błyskawica oświetliła jej sylwetkę i popędził za nią.

— Tori, mogą cię tu zabić!

Złapał ją za ramiona. Stojąc za nią, próbował ją odwrócić w kierunku, z którego przyszedł. Wbiła mu łokieć w żołądek i odtrąciła go.

Od niespodziewanego ciosu zaparło mu dech. Przyciskając ramiona do brzucha, spostrzegł, że Tori znowu znikła.

Przy następnej błyskawicy zobaczył, że oddaliła się znacznie bardziej, niż przypuszczał. Pobiegnął, żeby ją dogonić. Znowu złapał ją z tyłu, ale tym razem przycisnął jej łokieć do boków. Splótł dłonie na jej brzuchu i podniósł ją, żeby zanieść z powrotem.

Kopała go obcasami w kolana. Pod wpływem bólu wypuścił ją, a wtedy odwróciła się do niego.

— Ty draniu, nie zabierzesz mnie znowu od świateł!

— Znowu?

— Gdybyś pozwolił mi zostać, gdybyś nie wepchnął mnie przemocą do samochodu...

Oślepiały Page zrozumiał, że Tori bierze go za kogoś innego.

— Tori, nie jestem twoim ojcem.

— Ja tylko chcę zobaczyć światła! Ty skurwysynu, zawsze krzyczysz na mamę! Zawsze próbujesz mnie dotykać!

Page był wstrząśnięty tą kolejną rewelacją.

— Tori, twój ojciec umarł dawno temu! To ja! Twój mąż! Kocham cię!

W świetle błyskawicy zobaczył jej ściągniętą twarz i pięść wzniesioną w zamachu. Mokry od deszczu, czekał na cios.

Pięść trafiła go w usta. Głowa odskoczyła mu do tyłu, poczuł smak krwi, ale ustał na miejscu i przygotował się na następny cios.

Znowu uniosła pięść. Potem skryła ją ciemność. Przy następnej błyskawicy Page zobaczył, że żona wpatruje się w niego zaszokowana.

Ramiona jej opadły. Po twarzy spływały nie tylko krople deszczu, jak podejrzewał. Z otwartych ust wydobył się jęk udręki. Potem wczepiła się w niego i przywarła do niego z desperacką siłą. Mocno opasała go ramionami. Z głową przyciśniętą do jego piersi zaszlochała rozpaczliwie.

— Boję się — jęknęła.

Ledwie ją słyszał przez szum wiatru i deszczu.

— Ja też się boję. Ale wszystko będzie dobrze — obiecał, smakując krew z puchnącej wargi.
— Zrobię dla ciebie wszystko. Proszę, pozwól mi pomóc.

— Nie wiem, co się ze mną dzieje. .

— Ja też nie wiem, co się ze mną dzieje — powiedział Page z twarzą przy jej policzku. — Ale dowiemy się, możesz mi wierzyć.

Obejmując ją ramieniem, czekał na następny trzask błyskawicy. Rozdarła niebo tak blisko, że się wzdrygnął, ale rozbłysk pomógł mu się zorientować. Z tyłu dojrzał przelotnie zarysy platformy obserwacyjnej, zaczął rozróżniać słaby poblask samochodowych reflektorów i migające światła sygnalizacyjne.

Tori widocznie też je zobaczyła. Kiedy znowu zagrzmiało i zapadł mrok, ruszyła przed siebie w ulewnym deszczu. Page wziął żonę za rękę i bmał obok niej. Gdyby błyskawice nie oświetlały im drogi, mogliby krażyć w kółko po polu.

Grunt rozmiękał, tenisówki grzęzły w błocie.

— Zimno — wymamrotała Tori.

— Pomyśl o gorącej kąpieli — poradził jej Page. — O suchym ubraniu. Parującej kawie. Ciepłym łóżku.

— Zgubiłam się.

— W takim razie oboje się zgubiliśmy.

Błyskawica rozerwała niebo.

— Ogrodzenie — pokazała Tori.

Mozolnie człapali dalej w butach ciężkich od błota, ślizgali się, podtrzymywali się nawzajem.

Kiedy dotarli do ogrodzenia, Page zawołał, przekrzykując wiatr:

— Rozsunę druty! Spróbuj się przecisnąć przez lukę!

Obiema rękami szarpnął do góry środkowy drut, jednocześnie przydeptyując dolny zabłoconą tenisówką. Gdyby teraz błyskawica trafiła w ogrodzenie i przebiegła po drutach, usmażyłaby ich oboje.

— Przeszłam! — krzyknęła Tori.

Page wdrapał się na słup i zeskoczył na ziemię po drugiej stronie. Pośliznął się w błocie, upadł na prawe kolano. Błyskawica zatrzeszczała tak blisko, że poczuł jej zapach.

— Nic ci nie jest? — zapytała Tori.

— Zaraz się pozbieram. — Wstał.

Na drodze zabłysły przednie światła, wydobywając z mroku rząd samochodów i ludzi spieszących szukających schronienia, zalewanych strumieniami deszczu. Niektórzy mieli podarte ubranie i poruszali się jak ranni.

— Na pewno dobrze się czujesz?! — krzyknęła Tori.

— Lepiej niż oni! — odkrzyknął Page.

Pobiegli wzdłuż rzędu samochodów, aż dotarli do saturna.

W środku Tori uruchomiła silnik i włączyła ogrzewanie, ale z nawiewu popłynęło zimne powietrze, więc szybko je wyłączyła.

Deszcz tłukł o przednią szybę. Page zadygotał.

Tori szczękała zębami. Rude włosy oblepiły jej głowę. Woda ściekała z bluzki, zabłocone ubranie przywierало do ciała.

Za nimi zapalały się kolejne światła, kiedy samochody wyjeżdżały z szeregu i zawracały do Rostova. Grzmot wstrząsnął ich autem.

Tori starła krew z wargi męża.

— Przepraszam — powiedziała.

Page dotknął jej ręki.

— To nie ty naprawdę mnie uderzyłaś.

— Od kilku dni czuję się jakby poza moim życiem. Sama siebie już nie rozumiem. Co się dzieje, do cholery?

— Cokolwiek się dzieje, dotyczy nas obojga. — Page objął ją, wdzięczny, że mu pozwoliła. Kochał ją tak bardzo, że ledwie mógł mówić. — Razem się dowiemy.

III W OKU PATRZĄCEGO

41

Zmarznięty w przemoczonym ubraniu Brent stał przy tylnym oknie telewizyjnej furgonetki i wpatrywał się w ulewny deszcz. Za nim Anita i Hamilton kulili się pod ścianą i popijali letnią kawę z plastikowych kubków.

Producent wiadomości patrzył, jak technik i kamerzysta kończą pakować sprzęt.

— Czas wracać do motelu.

Zapłonęła błyskawica i Brent zobaczył resztki tłumu spieszące rozpaczliwie w deszczu do samochodów. Kilka osób kulało albo trzymało się za obolałe miejsca.

— Szkoda, że nie możemy tego nakręcić.

— Nie wyślę żadnego kamerzysty pod takie pioruny — oświadczył producent. — Zapowiadają, że burza potrwa kilka godzin. Dzisiaj nic więcej się tu nie wydarzy. Czas się przespać.

— Kto potrzebuje snu, kiedy mamy taki bombowy materiał?

— A kto potrzebuje reportera, który pada z wyczerpania?

— Gdzie jest Sharon? — zapytał podejrzliwie Brent.

— Wróciła do motelu. Odpoczywa, żeby rano poprowadzić stąd program.

— Nie ma mowy. Poprowadzę razem z nią.

— Nic z tego, jeśli nie odpoczniesz. Wiem, że chcesz pokazać widzom, jak ciężko pracujesz, ale zaczynasz wyglądać naprawdę strasznie.

Kiedy furgonetka ruszyła i podłoga się zatrzęsała, Brent usiadł obok Anity i zapiął pas.

— Jesteś ranna?

— Posiniaczona.

— Wykonałaś dzisiaj dobrą robotę.

— I wczoraj w nocy — podkreśliła Anita.

Coś błysnęło w jej ciemnych oczach.

— I wczoraj w nocy — zgodził się Brent. — Jutro rano będziesz gotowa na więcej?

— Przecież muszę naprawić samochód. — Anita miała twarz ściągniętą ze zmęczenia. Spojrzała na producenta spod daszka bejsbolówki. — Dalej liczą mi się nadgodziny?

— Jasne. CNN pokrywa nasze wydatki.

Furgonetka podskoczyła, kiedy kierowca zjechał na szosę.

— Ale nie wiem, co jeszcze zostało w tej historii — podjął producent. — Po tym, co się dzisiaj wydarzyło, policja chce zamknąć punkt obserwacyjny. Nikogo tu nie wpuszczą jutro wieczorem. Może jeszcze przez długi czas.

— Policja może próbować, ale po naszym programie zjawi się tutaj dużo więcej ciekawskich — oświadczył Brent. — Jutro jest sobota. Ludzie przyjadą tu na weekend. Nie będą zadowoleni, że zabrania im się oglądać światła. Gliny, barykady, rozgniewany tłum... to wszystko się składa na wielką telewizję.

— Jutro wieczorem — zgodził się producent. — A do tego czasu?

— Dużo materiału. Muszę wytropić kobietę, która zastrzeliła zabójcę. I ktoś mi mówił, że tu w okolicy jest obserwatorium radioastronomiczne. Założę się, że można to jakoś powiązać... kosmici czy cokolwiek. I chcę się więcej dowiedzieć o tej bazie lotniczej z czasów drugiej wojny światowej. Może nakręcimy miejsce, gdzie ten chłopak wyleciał w powietrze w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku.

— Johnny — mruknął Hamilton.

— Co?

— Miał na imię Johnny.

— Racja.

— Brent, jeśli będziesz się szwendał po tym lotnisku, też możesz wylecieć w powietrze — ostrzegł producent. — Wiesz, to dopiero byłby bombowy materiał — dodał z namysłem.

42

Raleigh słyszał odległe grzmoty i trochę wody ściekało po ścianie, lecz bunkier pod opuszczoną bazą lotniczą wydawał się bezpieczny. W zimnym blasku jarzeńówek pułkownik patrzył, jak jego ludzie rozpakowują ostatnie drewniane skrzynie.

— Sierżancie Lockhart, zbierzcie drużynę.

— Tak jest.

Po paru sekundach znowu stali przed nim w szeregu.

— Panowie, za drzwiami z tyłu znajdziecie latryny i kwatery sypialne, chociaż w tych ostatnich spędzicie niewiele czasu. Jest kuchnia, ale niezaopatrzona. Na razie muszą wam wystarczyć racje polowe, które rozpakowaliście. Następny black hawk, który przyleci do obserwatorium, przywiezie steki. Wybrano was do tego zadania częściowo dlatego, że jesteście ekspertami od elektroniki. Za drzwiami po prawej znajdziecie stację monitoringu. Trzy lata temu była supemowoczesna. Sprzęt, który przywieźliśmy, doprowadzi ją do formy. Ale zanim go zainstalujecie, weźmiecie te kamery telewizji przemysłowej i zamocujecie w górnych rogach każdego pokoju i korytarza. Chcę, żeby każdy cal tego obiektu, włącznie z latrynami, był widoczny na ekranach monitorujących i żeby każda sekunda była zarejestrowana. Jeśli mamy tworzyć historię, potrzebujemy dokumentacji. Każdy z was przez cały czas musi nosić broń przyboczną. Musicie też pilnować, żeby zawsze mieć pod ręką jeden z tych M cztery, które wypakowaliście. Ponadto będziecie nosić strzeleckie zatyczki do uszu.

Raleigh zauważył zdumione spojrzenie Lockharta.

— Sierżancie, macie jakieś pytania?

— Pułkowniku, czy spodziewa się pan ataku?

— Chcę tylko przedsięwziąć środki ostrożności ze względu na zamieszki, które widzieliśmy na zewnątrz. Co do zatyczek, pewne cechy audio tego projektu mogą wywołać... powiedzmy, szkodliwe skutki.

Za plecami pułkownika Raleigha otwarły się drzwi. Odwrócił się i zobaczył jednego z członków drużyny, prowadzącego tresera z owczarkiem niemieckim. Zeszli klatką schodową — elektronicznie zamykany właz był ukryty wśród stosów śmieci w hangarze. Wszyscy trzej byli przemoczeni.

— Jakież problemy na górze? — zapytał Raleigh.

— Nie, panie pułkowniku — odparł treser. — Nikt się nie zbliżył do tego miejsca. Tłum interesował się głównie tym, co się działo w punkcie obserwacyjnym przy drodze. Tam wybuchło istne szaleństwo. Potem rozpętała się burza i wszyscy odjechali.

Za tamtymi drzwiami znajdziecie suche ubrania.

— Dziękuję, panie pułkowniku.

Kiedy treser z owczarkiem niemieckim wyszli, Raleigh kiwnął na Lockharta.

Sierżant podszedł bliżej. Raleigh zniżył głos.

— Jeśli zauważycie, że pies dziwnie się zachowuje, choćby w najmniejszym stopniu...

— Tak?

— Zastrzelcie go.

43

Wycieraczki na szybie saturna plaskały ciężko w coraz silniejszym deszczu, który bębnił o dach i zalewał przednie światła. Dygocząca Tori niemal przegapiła wjazd do motelu. Skręciła, przejechała przez kałuże deszczówki i zatrzymała się przed domkiem 11. Oboje podbiegli do drzwi. Page otworzył je kluczem i przytrzymał, ale sam nie wszedł.

— Idź się wykapać — powiedział. — Ubierz się ciepło. Ja pojadę do Pałacu Żeberek i przywiozę gorącą kawę.

— Ale przecież ty też zmarześ. Dlaczego mam iść pierwsza? To niesprawiedliwe.

— Tego tylko brakowało, żebyś się rozchorowała przed operacją. Co powiesz na gorącą zupę? Chcesz?

Tori prawie się nie wahała.

— Tak. Byłoby świetnie.

Page pospieszył z powrotem w ulewnym deszczu, wszedł do samochodu i włączył ogrzewanie.

Piętnaście minut później wrócił i postawił styropianowe pojemniki z kawą i zupą na małym stoliku. Drzwi łazienki były zamknięte. Słuchając pluskania wody w wannie, szybko ściągnął przemoczone ubranie. W pokoju nie było szafy, tylko wieszaki na drążku. Page rozwiesił swoje rzeczy i wytarł się kocem, który znalazł na półce. Nawet owinięty kocem, nie przestał się trząść.

Nie zapakował dużo ubrań, więc musiał włożyć dzinsy i koszulę, które nosił poprzedniej nocy. Wciąż cuchnęły dymem, ale przynajmniej były suche.

Kiedy Tori wyszła z łazienki, siedział skulony na łóżku pod kocami i próbował utrzymać w dygoczących dłoniach pojemnik z kawą.

Tori jak zwykle miała na sobie podkoszulek i bokserki. Wilgotne włosy zaciesała do tyłu.

— Twoja kolej.

— Jakoś nie mam ochoty znowu się moczyć. Chyba zaczekam, aż się trochę rozgrzeję.

— Ja ciągle się trzęsę. Jaką zupę przyniosłeś?

— W takim lokalu jak Pałac Żeberek mają tylko jeden rodzaj: wołowa na ostro.

— Dokładnie to, czego mi trzeba.

Ściągnęła koc ze swojego łóżka, owinęła się nim, usiadła przy stole i otworzyła pojemnik z zupą. Przyglądając się żonie, Page łyknął kawy i poczuł gorący płyn na rozbitej wardze. Tori zjadła zupę szybko, w milczeniu. Potem otworzyła pojemnik z kawą i popijała, wciąż bez słowa. Wreszcie odwróciła się do męża z twarzą ściągniętą napięciem.

— Gdyby nie burza, mogłam tak iść i iść do tych światła.

— Nie — zaprzeczył Page. — Gdyby nie ja.

— Nie mogłam się oprzeć. One jakby mnie wzywały.

Page rozważył to, co powiedziała, i spojrzał jej prosto w oczy.

— Spakujmy się i wyjedźmy stąd. Nie jutro. Teraz, zaraz. Rano będziemy w domu twojej matki. Jesteś gotowa to zrobić?

Tori spuściła głowę i milczała, co stanowiło jasną odpowiedź. Page pamiętał, co się stało na polu. Po tym, co mu powiedziała i zrobiła, nie zamierzał jej zmuszać do wyjazdu. Nawet nie był pewien, czy potrafiłby ją zmusić. Podjął decyzję.

— W takim razie muszę jeszcze trochę побыć gliniarzem. To już przekroczyło granicę mojej tolerancji. Nie pozwolę się dłużej wodzić za nos. Dowiem się, co jest grane.

44

Page ocknął się gwałtownie, na nowo wstrząśnięty brutalną rzeczywistością tego, co powiedziała mu Tori o raku, i wydarzeń poprzedniej nocy.

Do tylu rzeczy muszę się przystosować.

Słońce przeświecało przez tanie zasłony, ale Page wcale nie czuł się wypoczęty, chociaż spojrzawszy na zegarek przy łóżku, zobaczył, że była pierwsza czternaście i że znowu spał przez dwanaście godzin.

Tym razem Tori została w łóżku.

Półprzytomny, poczłapał do łazienki, cicho zamknął drzwi i ogolił się, używając jak najmniej wody i starając się nie hałasować.

Kiedy wyszedł, Tori naciągała spodnie.

— Przepraszam, jeśli cię obudziłem — powiedział.

— Nie spałam dobrze.

— Ja tak samo. — Dotknął dzinsów i koszuli, które rozwiesił na wieszakach. — Ciągle mokre.

Spojrzał na wygniecione ubranie, w którym spał. Wciąż cuchnęło spalenizną.

— Chyba musimy zrobić zakupy — stwierdziła Tori.

Kiedy wyszli z pokoju na ostre słońce, Page'a zaniepokoił strumień pojazdów przepływający obok motelu — znacznie większy niż poprzedniego dnia. I znacznie dłużej trwało, zanim Tori wypatrzyła przerwę w ruchu i skierowała saturna na drogę.

W mieście samochody zapępiały każdą ulicę. Wszystkie miejsca parkingowe były zajęte. Tori wysadziła Page'a przed sklepem odzieżowym, gdzie tłoczyło się tylu turystów, że musiał czekać piętnaście minut, żeby zapłacić za nowe ubrania. Następny kwadrans czekał na wejście do przymierzalni. Nałożył nowe spodnie, podkoszulek i koszulę wypuszczoną na wierzch, żeby ukryć broń. Kiedy wyszedł ze starymi rzeczami w torbie, usłyszał rozmowę klienta ze sprzedawczynią.

— Ludzie naprawdę widują tu światła?

— Tak — potwierdziła sprzedawczyni. — Ale nie oglądałam ich od lat.

— Nie ciekawi pani, czym one są? — dociekał klient.

— Ciekawiło, jak byłam dzieckiem. Ale się przyzwyczałam.

Idąc do wyjścia, Page usłyszał, jak inny klient mówi do następnej sprzedawczyni:

— Moja żona ma cukrzycę. Słyszeliśmy, że w tym miejscu zdarzają się cuda, jak w Lourdes. Jeśli ona zobaczy światła, zostanie uzdrowiona.

Page wyszedł na chodnik, gdzie czekała Tori z dwiema kanapkami i dwiema butelkami wody z sąsiedniej restauracji.

Uzdrowiona? — pomyślał. Byłoby miło.

Jedli, idąc trzy przecznice dalej, do szpitala. Tam Tori znowu przystanęła nerwowo na rozgrzanych stopniach przed wejściem.

— Dzisiaj jest pierwszy dzień reszty twojego życia — próbował ją pocieszyć Page.

Zaczerpnęła tchu i zmusiła się, żeby wejść do środka.

Na górze, w jaskrawo oświetlonym korytarzu, ostra woń środków dezynfekcyjnych wydawała się jeszcze silniejsza, kiedy szli do pokoju Costigana. Zza drzwi dobiegł znajomy, chrapliwy głos szefa policji:

— Niech nas Bóg broni, jeśli zamieszki przeniosą się do miasta. Ile osób zostało rannych?

— Dwadzieścia trzy — odpowiedział inny głos. — Dwanaście fatalnie pokaleczonych drutem kolczastym.

— A inni?

— Sześć stratowanych prawie na śmierć. Reszta doznała obrażeń w bójkach.

Page czuł się nieswojo, podsłuchując. Kiwnął na Tori i wszedł do środka.

Na odgłos ich kroków mężczyzna się odwrócił. Miał około pięćdziesiątki, był krępy i spalony słońcem. Nosił sportową kurtkę o westernowym kroju, z deseniem w zygzaki na piersiach, i pas z dużą sprzączką. W rękę trzymał kowbojski kapelusz.

— Przepraszamy, że przeszkadzamy — odezwał się Page. — Chcieliśmy tylko zobaczyć, jak się czuje szef Costigan.

— Dużo lepiej, dziękuję.

Costigan, oparty na poduszkach, wyglądał mniej szaro. Wąsy różniły się teraz kolorem od skóry. Znikły ekrany monitorujące ciśnienie i pracę serca. Kroplówkę usunięto z ramienia, chociaż na głowie został gruby bandaż.

— Obiecują, że jutro mnie wypiszą do domu, jeśli będę pamiętał, żeby nie walić w nic głową. To jest Hank Wagner. Prowadzi aptekę w mieście. Co więcej, jest również naszym burmistrzem, czego w tej chwili żałuje.

Page podał rękę Wagnerowi.

— Dan Page. To moja żona, Tori.

— Szef mówił mi o was. To wy uratowaliście tych ludzi w autobusie w czwartek wieczorem. Pani jest tą kobietą, która... — Widząc jej skrepowanie, burmistrz dokończył: — No cóż, jesteśmy wam wdzięczni. Bez waszej pomocy mogło być jeszcze gorzej. — Spojrzał na zegarek. — Przepraszam, muszę iść na nadzwyczajne zebranie rady miejskiej.

Patrzyli, jak wychodzi, a potem skierowali uwagę na Costigana.

— Naprawdę czuje się pan lepiej? — zapytała Tori.

— Głowa już mnie tak nie boli. Wyciągnęli ze mnie te cholerne igły. I w końcu przestali mnie karmić rosołem i galaretką. — Costigan wskazał na rozciętą wargę Page'a. — Pan też chyba wczoraj oberwał.

— Zrobiło się trochę gorąco. Mogę zadać pytanie?

— Może pan. — Costigan zawiesił głos, sugerując: „Ale ja mogę nie odpowiedzieć”.

— Ten człowiek, który zastrzelił pańskiego ojca...

Przez chwilę pełne bólu oczy Costigana skupiły się na przeszłości.

— Co z nim?

— Mówił pan, że on przyjechał do Rostova ledwie parę miesięcy wcześniej.

— Stracił posadę w Fort Worth, kiedy fabryka, w której pracował, przeniosła się do Meksyku. Nie mógł znaleźć nic innego. Jego krewny, który tu mieszkał, załatwił mu robotę w zagrodach dla bydła.

— Mówił pan też, że on pił i wszczynał bójki w barach. Jego żona nosiła bluzki z długim rękawem, zapięte pod szyję, nawet w upalne dni... żeby ukryć sińce.

— Zgadza się.

— Na pana miejscu, zważywszy na to, co spotkało pańskiego ojca, zbadałbym każdy aspekt tej sprawy. Pojechałbym do Fort Worth i porozmawiał z ludźmi, którzy znali tę rodzinę, kiedy tam mieszkała. Sprawdził pan, czy zachowanie męża zmieniło się po przeprowadzce do Rostova?

Costigan przyglądał mu się przez chwilę.

— Taak, dobry z pana gliniarz.

— No, wie pan równie dobrze jak ja, że to kwestia zadawania właściwych pytań.

Costigan kiwnął głową.

— Trochę pogrzebałem. Zachowanie męża zdecydowanie się pogorszyło po przeprowadzce. Zawsze był wybuchowy, zwłaszcza kiedy sobie wypił, ale tutaj posuwał się za daleko. Ludzie, którzy go znali w Fort Worth, uważali, że jest rozgoryczony, bo musiał się przenieść z wielkiego miasta na jakieś zadupie.

— Wierzy pan w tę teorię?

— Mam inną.

— I to dlatego kazał mi pan zostawić pistolet w walizce, kiedy pojechałem sprawdzić, co Tori robi na platformie obserwacyjnej, zgadza się?

— Zgadza się.

— Czy coś przeoczyłam? — zapytała Tori.

Costigan spojrział na nią.

— Ludzie albo od razu lubią to miejsce, albo go nienawidzą. Widział pan to w czwartek wieczorem. Niektórzy wysiadają z samochodów i od razu chcą oglądać światła, inni nie mogą się doczekać, żeby jechać dalej. Kilka osób dosłownie się wściekło, bo nie mogły zobaczyć tego, co podobno widzieli inni. W podobny sposób magnesy albo się odpychają, albo przyciągają.

— Czy człowiek, który zastrzelił pańskiego ojca, jeździł tam oglądać światła? — zapytał Page.

— Próbował kilka razy. W końcu doszedł do wniosku, że ludzie, którzy mu opowiadają o światłach, próbują go nabierać.

— I bał się pan, że jeśli nie zobaczą światła, też wpadną w szal... jak ten facet, który zastrzelił pańskiego ojca.

— Tak.

— Czemu pan mi nie powiedział?

— Pan by nie zrozumiał. Jak miałem to wyjaśnić? Powiedziałem panu przez telefon: musi pan sam zobaczyć.

— Albo nie zobaczyć — dodał Page.

Costigan zrobił gest rezygnacji.

— Nie można przewidzieć, kto zobaczy światła, a kto nie, ani jak zareaguje. Nawet ci, którzy nie widzą światła... — Szef potarł zabandażowaną głowę. — Myśli pan, że można jakoś czuć światła, nawet ich nie widząc?

— Wczoraj pan nam mówił, że to tylko miraż wywołany przez inwersję temperatury — wytknęła mu Tori.

— Mówiłem.

— Ale teraz pan myśli, że to coś więcej.

— Inwersja temperatury. Jasne. To racjonalne wytłumaczenie. Ale podczas dwudziestu lat pracy w policji nauczyłem się jednego: istoty ludzkie nie są racjonalne.

45

Sklep z antykami Harriett Ward pękał w szwach od klientów. Po żarze popołudniowego słońca Page z ulgą zanurzył się w kojącym półmroku wnętrza. Zauważył, że jakiś mężczyzna zdjął jeden ze starych karabinów, które wisiały na ścianie. Mężczyzna przesunął bezpiecznik zabytkowej broni i skierował lufę w sufit.

— Całkiem jak karabin, którego używał James Stewart w tym westernie — powiedział mężczyzna do swojej towarzyszki. — *Winchester siedemdziesiąt trzy*. Trudno sobie wyobrazić, że go wyprodukowano zaraz po wojnie secesyjnej. Ile chcą za niego? Dwa tysiące osiemset dolarów? Mój Boże, toż to rozbój!

— Chyba nas nie stać — odezwała się kobieta. — Benzyna i jedzenie tyle kosztują. W następnym tygodniu trzeba zapłacić za żłobek Bobby'ego i...

— Hej, nie co dzień trafia się taka okazja. Obciążymy którąś kartę kredytową.

Page spojrział w drugi koniec sklepu i zobaczył starszą kobietę z krótkimi siwymi włosami, w skórzanej kamizelce — Harriett Ward. Kiedy podeszedł w towarzystwie Tori, rozmawiała z jakąś parą o drewnianej szafce z dużymi żelaznymi uchwytami na drzwiczkach.

— Znalazłam ją w wiosce w Meksyku. Zrobiona jest z jadaloszynu, drewna, które pod względem twardości ustępuje tylko tym metalowym uchwytom.

Zauważyła Page'a i Tori, kiwnęła im głową i po pięciu minutach do nich podeszła.

— Nigdy nie miałam tylu ludzi w sklepie jednocześnie — powiedziała.

— No, przynajmniej jest jakaś korzyść z tego wszystkiego — zauważyła Tori.

— Każdy chce dwudziestoprocentowej zniżki i darmowej dostawy. Ktoś próbował kupić stare oprawy oświetleniowe i rozłościł się, kiedy powiedziałam, że ich potrzebuję. Inna kobieta zirytowała się, kiedy jej powiedziałam, że nie mam toalety dla klientów. Zrobiła awanturę, bo nie chciałam jej wpuścić do mieszkania, żeby skorzystała z mojej łazienki. Cieszę się ze względu na interes, ale zapomniałam, jacy trudni bywają ludzie.

Podeszła do nich jakaś kobieta z bujnymi blond włosami, ubrana w ozdobny kostium, w którym wyglądała jak piosenkarka country.

— Janice, dzięki, że przysłaś pomoc — powiedziała Harriett.

— Nie ma sprawy. — Kobieta roześmiała się i rozpostarła zieloną, naszywaną cekinami spódnicę. — Pomyślałam, że włożę coś takiego, żeby klienci spoza stanu zapamiętali. Wrócą do domów i opowiedzą, że ubieramy się jak w tych starych westernach, gdzie wszyscy albo śpiewają, albo strzelają do złych ludzi.

— Myślisz, że razem z Viv poradzicie tu sobie przez chwilę?

— Jasne. Wiemy, co robić.

— Tylko nie sprzedawajcie żyrandoli.

Śmiejąc się z tego, co uznała za dowcip, Janice poszła przywitać klienta.

Harriett zaprowadziła Page'a i Tori przez drzwi w głębi do oszczędnie umeblowanego salonu, przekreśliła klucz w drzwiach, zamknęła oczy i odetchnęła głęboko. Po chwili otworzyła oczy i powiedziała:

— Przyszliście porozmawiać o tym, co się stało wczoraj w nocy?

— Jeśli pani jest zajęta, możemy przyjść później — zapewniła Tori.

— Nie. Chodźcie ze mną... coś wam pokażę.

46

Pick-up Harriett jechał znaną trasą.

— Zabierasz nas z powrotem do punktu widokowego? — zapytał Page. Siedział przy drzwiach od strony pasażera, obok Tori.

— Dalej — odparła Harriett.

Jeszcze więcej samochodów stało zaparkowanych na poboczach drogi. Ciężarówki z naczepami przywiozły betonowe bariery. Dźwig podnosił te bariery i ustawiał w rzędzie wzdłuż wejścia na teren widokowy, budując wysoki mur. Dwaj mężczyźni w kombinezonach nadzorowali pracę. Ich kaski ochronne kontrastowały z kowbojskimi kapeluszami Medrana i innych policjantów z drogówki.

— Zdaje się, że zamykają to miejsce — powiedziała Harriett. — Jeśli są sprytni, rozbiorą też platformę i załadują przenośne toalety na te ciężarówki, razem z tablicą historyczną. Nigdy nie pochwalałam tego, co tu zrobiły władze okręgowe. Światła nie powinny być atrakcją dla turystów. Nie obchodzi mnie, że miasto zarabia na przyjeźdźnych. Trzymajmy światła w sekrecie. Niech je odkrywają tylko odpowiedni ludzie.

— Odpowiedni ludzie? — zapytała Tori.

— Myślicie, że ci ludzie zasługują, żeby zobaczyć światła? Większość nie może. Inni nie potrafią docenić tego, co mieli szczęście zobaczyć.

W jej głosie brzmiał ton, jakiego Page wcześniej nic słyszał.

Ludzie zapełniali drogę, narzekając na wysoką barykadę. Harriett musiała zatrzymać ciężarówkę. Page usłyszał, jak Medrano krzyczy:

— Nie wstrzymywać ruchu!

Tłum niechętnie się rozstąpił.

Harriett pojechała dalej, mijając zaparkowane samochody. Po obu stronach za ogrodzeniami z drutu kolczastego rozciągała się preria. Po pięciu milach Harriett skręciła do bramy w ogrodzeniu. Page wysiadł, otworzył bramę i zamknął ją znowu za pick-upem.

Pojechali polną drogą. Upał wysuszył kałuże pozostałe po nocnej ulewie. Spod kół pick-upu wzbijały się obłoczki kurzu. Nierówna preria ciągnęła się aż do odległych gór, rozległa przestrzeń tak płaska i bezdrzewna, że pasące się krowy stanowiły jedyne urozmaicenie krajobrazu.

Zaraz, pomyślał Page, wpatrując się w dal. Tam coś jest.

Zobaczył kropkę na końcu drogi. Wychylił się do przodu i próbował rozpoznać, co to jest. Kropka rosła, w miarę jak pick-up się zbliżał.

— To budynek — powiedziała zaciekawiona Tori.

— Dlaczego mam wrażenie, że już tu byłem?

Page zmarszczył brwi, przypominając sobie poczucie *déjà vu*, kiedy przelatywał nad stadem bydła i wiatrakiem w drodze do Rostova. To samo uczucie ogarnęło go, kiedy po raz pierwszy przejeżdżał główną ulicą miasteczka.

Budynek robił się coraz wyraźniejszy... i coraz bardziej intrygujący. Był to imponujący dwupiętrowy ranczerski dom. Zadaszony ganek biegł wzdłuż frontowej ściany. Z dachu sterczało kilka kominów. W prawym rogu wznosiła się kwadratowa wieża zakończona kopułą, z którą dom wyglądał jak zamek. Lecz chociaż taki majestatyczny, roztaczał posępną, gotycką atmosferę.

— Widziałam już ten dom — zwróciła się Tori do Page'a. Nagle sobie skojarzyła. — *Dziedzictwo*.

— Oczywiście! — zawołał Page. — Dlatego wszystko wyglądało znajomo, kiedy tu przyleciałem. To jest ten dom, o którym mówił kapitan Medrano, ten, który Mullen miał zwiedzać z wycieczką.

Page pamiętał, jak w kinach wyświetlano odnowioną wersję *Dziedzictwa* dla uczczenia jego pięćdziesięciolecia. On i Tori tyle słyszeli o tym klasycznym filmie — który rzadko pokazywano w telewizji — że postanowili koniecznie go obejrzeć.

— Zachwycił nas ten film — oświadczyła Tori.

— Tak, on naprawdę robi wrażenie — przyznała Harriett, zbliżając się do domu. — Tutaj w Teksasie ludzie go podziwiają. Nie znoszą książki, bo czują, że potraktowała ich z góry, ale film pokazuje ich siłę i determinację, nie mówiąc o rozmiarach kraju. W tamtych czasach nie było żadnych sztucznie wyglądających efektów komputerowych. Kiedy widziałeś sto tysięcy sztuk bydła, każda krowa była prawdziwa. Całe mile pastwisk. Niebo bez końca. Chyba żaden inny film nie był taki wielki. Wielki jak ten stan. A aktorzy nie ustępowali mu wielkością. James Deacon, Veronica Pageant, Buck Rivers. Legendy.

Page spojrzął na wyniosły budynek. Ciemne, zniszczone drewniane ściany potęgowały ponury nastrój. Wkrótce pick-up podjechał tak blisko, że Page zobaczył popękane deski, dziury w ścianach, ganek grożący zawaleniem.

— Czy nikt go nie konserwuje? — zapytała Tori ze zdziwieniem.

— Filmowcy go zostawili, a rodzina właścicieli rancza zajmowała się nim przez jakiś czas, ale potem stracili zainteresowanie — odpowiedziała Harriett. — Zresztą dla kogo mieli go utrzymywać? Wcale nie chcieli, żeby turyści zadeptywali ich ziemię i zostawiali bramę otwartą, by krowy wychodziły na drogę i wpadały pod samochody. Kiedy rodzice umarli, dzieci właściwie zapomniały o tym domu. W końcu sobie przypomniały, ale za późno. Teraz dom jest w takim złym stanie, że nie można go naprawić bez gruntownej przebudowy.

Zatrzymała pick-up przy przegniłych stopniach prowadzących na popękane deski ganku. Ozdobne drzwi wyglądały tak, jakby miały spaść z przerdzewiałych zawiasów.

Page wysiadł z pick-upu. Kamyki i żwir zachręściły mu pod nogami. Pomógł wysiąść Tori i patrzył, jak Harriett do nich podchodzi. Nałożyła swój kowbojski kapelusz. Słońce prażyło tak mocno, że Page pożałował, iż nie zabrał bejsbolówki. Tori wciąż nosiła swoją czapkę, zakrywającą większość rudych włosów.

— W filmie tutaj był trawnik — zauważył Page.

— I kolisty podjazd obramowany klombami — dodała Tori. — Spłoszone bydło wszystko tratuje. Veronica Pageant i Buck Rivers naprawiają szkody. Potem robią to jeszcze raz po przejściu tornada. Później nadchodzi straszna susza, ale oni jakoś dalej budują swoje imperium.

— Teksaski upór — podsumowała Harriett.

— A James Deacon to biały śmieć, którego upokarzają, dopóki nie trafia na ropę, a wtedy wykorzystuje swoje pieniądze i władzę, żeby się na nich odegrać. W jednej scenie przejeżdża przez trawnik swoją poobijaną starą półciężarówką. Cały jest umazany ropą ze swojego pierwszego szybu. Wyskakuje z szoferki i wali Bucka pięścią. — Page się rozejrzał. — Ale nie widzę żadnych szybów naftowych.

— Czterdzieści mil stąd — wyjaśniła Harriett. — Tam je pan znajdzie. Film kręcono tutaj między innymi dlatego, że to nie jest kraina nafty i nie ma żadnych szybów, które by psuły iluzję, że tak wyglądał Teksas sto lat temu, przed boomem naftowym. — Przerwała na chwilę. — Mówiłam, że nie stosowano żadnych efektów komputerowych, ale to nie znaczy, że nie działała magia kina. Obejdzimy dom dookoła i sami zobaczycie.

Zaciekawieni, Page i Tori ruszyli za Harriett. Page skrzył za róg i wytrzeszczył oczy. Zobaczył tylko pierię.

— Nie ma żadnego domu — stwierdziła Tori ze zdumieniem.

— Zbudowali tylko fasadę. — Page nie mógł się otrząsnąć z zaskoczenia. — W filmie wyglądało, jakby można było tam wejść.

— Zobaczyć znaczy uwierzyć — zacytowała Harriett. — Ale to, co widać, nie zawsze jest prawdziwe.

Jak mądry, pomyślał Page.

— Chodzi pani o światła?

— Oko patrzącego — odparła Harriett. — Czasami widzimy to, co chcemy widzieć, czasami to, co powinniśmy widzieć, a czasami to, czego nie powinniśmy widzieć.

— Nie rozumiem.

— Wielu ludzi z miasteczka statystowało w scenach grupowych w *Dziedziectwie*, kiedy jeszcze byli dziećmi. Wystarczy zapytać i usłyszycie różne historyjki, jak to gwiazdy filmowe spacerowały po ulicach Rostova.

— Co to ma wspólnego ze światłami? — zapytała Tori.

— Przez jakieś trzy miesiące filmowcy mieszkali tutaj, w mieście. Rostov było wtedy jeszcze mniejsze, więc aktorzy znaleźli się na cenzurowanym, chociaż nie robili nic szczególnie szokującego. Zresztą i tak nie było co robić, do tego stopnia, że ekipa filmowa, włącznie z aktorami, co niedziela grała w baseball z drużyną wystawioną przez miasto. Ludzie zapraszali aktorów na grilla. Co wieczór reżyser ustawiał ekran pod gołym niebem i pokazywał wszystkim materiał, który nakręcił w ostatnich dniach. Wiedzieliście, że wszyscy odtwórcy głównych ról mieli tylko po dwadzieścia trzy lata?

— Dwadzieścia trzy? — powtórzyła Tori jak echo. — Ale przez połowę filmu wyglądają, jakby przekroczyli czterdziestkę i pięćdziesiątkę.

— Reżyser miał do wyboru: zatrudnić czterdziestoletnich aktorów i zastosować charakteryzację, żeby wyglądali młodo w pierwszych sekwencjach filmu, albo obsadzić młodych aktorów i ucharakteryzować ich na starszych. Sława Deacona, Pageant i Riversa sprawiła, że postanowił zaapelować do młodszej publiczności. Dzięki wspaniałej grze aktorskiej i charakteryzacji uwierzyliście, że to, co widzicie na ekranie, jest prawdziwe.

— Kolejna iluzja — mruknął Page. — Okay, załapałem.

— Ale nie o to mi chodziło — ciągnęła Harriett. — Deacon wystąpił tylko w trzech filmach. Najpierw grał młodszego brata w rodzinie, która miała łódź rybacką w północnej Kalifornii.

— *Syn marnotrawny* — przypomniała sobie Tori.

Harriett kiwnęła głową.

— Potem zrobił ten film o ulicznym gangu, *Bunt na Trzydziestej Drugiej Ulicy*. I w końcu *Dziedziectwo*. Zagrał w trzech filmach z rzędu, ale zginął w kraksie samochodowej, zanim którykolwiek z tych filmów wszedł na ekrany. Nawet nie wiedział, jakim był wielkim gwiazdorem.

— Wiedziałem, że zginął młodo, ale nie miałem pojęcia, że nie doczekał premiery, swoich filmów — wyznał Page.

— Co za strata — powiedziała Tori takim tonem, jakby myślała o swojej chorobie. — Te wszystkie wspaniałe filmy, w których mógł zagrać.

— Wtedy jego fani wierzyli, że on wcale nie zginął w tym wypadku — podjęła Harriett. — Podejrzewali, że został oszpecony i wycofał się z życia publicznego, żeby nie szokować ludzi i nie zaprzepaścić swojego dorobku.

Przerwała, jakby musiała zebrać siły.

— Deacon był krnąbrnym wiejskim chłopakiem z Oklahomy. Jego matka uciekła z parobkiem. Ojciec był surowy i ponury, jak ojciec w *Synu marnotrawnym*. Jako nastolatek Deacon ciągle się buntował, aż w końcu został oskarżony o kradzież samochodu i o mało nie trafił do poprawczaka. Nauczyciel namówił go do wystąpienia w szkolnych przedstawieniach. Deaconowi to się tak spodobalo, że znalazł kilka dorywczych zajęć, zaoszczędził sto dolarów i pojechał autostopem do Nowego Jorku, gdzie przekonał Lee Strasberga, żeby zrobił mu przesłuchanie, i pozwolono mu uczęszczać na kursy w Actors Studio. Ludzie jednak z reguły zapominają, że na początku kariery Deacon zagrał małe rólki w kilku filmach, ale niczym się nie wyróżnił. Dostawał drugoplanowe role w wielu sztukach telewizyjnych na żywo, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi... zasłużenie. Chociaż uczył się u Strasberga, był okropny. Sztywny, niezgrabny, bez życia. Gdyby nie był taki przystojny, nie dostałby żadnej roli. W końcu tak się zniechęcił, że zrezygnował i jeździł motocyklem po kraju. To było w lecie tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego. Na jesieni wrócił do Nowego Jorku i zdołał namówić kierownika obsady, żeby dał mu małą rolę w sztuce na Broadwayu. Nagle zagrał tak wspaniale, że hollywoodzki łowca talentów zrobił mu próbne zdjęcia do małej rólki w *Synu marnotrawnym*. Zdjęcia wypadły doskonale i reżyser zażądał powtórek, a potem obsadził Deacona w głównej roli. To jeden z legendarnych sukcesów w historii Hollywoodu. Jak myślicie, co spowodowało tę zmianę?

Page wzruszył ramionami.

— Pewnie w trakcie podróży miał okazję dojrzeć.

— Albo może otrzymał pomoc — podsunęła Harriett.

— Pomoc?

— Tamtego lata Deacon wybrał się z El Paso do parku narodowego Big Bend. To na południowy wschód stąd. Przypadkiem trafił do Rostova.

Tori zrobiła krok do przodu.

— Widział światła?

— Spędził tutaj prawie cały sierpień i cały wrzesień. Co noc jeździł do punktu obserwacyjnego, gdzie wtedy nawet nie było parkingu. I co noc zostawał do świtu. Potem wracał do miasta i spał w namiocie, który ustawił w parku. Popołudniami włóczył się po mieście i zawierał znajomości. Był taki przystojny, że chyba nie miał z tym kłopotów. Potem pewnego dnia zniknął, wrócił do Nowego Jorku i dokonał wielkiego przełomu.

Page zmarszczył brwi.

— Twierdzi pani, że światła miały z tym coś wspólnego?

— Tylko to się zmieniło w jego życiu — odparła Harriett. — Wyobrażam sobie, jak się gapił na światła przez te wszystkie tygodnie. Noc po nocy. Oczarowany. We wcześniejszych rolach oczy Deacona były pozbawione życia. W trzech ostatnich filmach błyszczą. Kiedy dostał jedną z głównych ról w *Dziedzictwie*, opowiedział reżyserowi o Rostovie i przekazywał, że ta okolica idealnie się nadaje do zdjęć plenerowych. Tak go przekonywał, że reżyser przyjechał się rozejrzeć i natychmiast postanowił zbudować ranczerski dom... właśnie tutaj. — Wskazała na podniszczoną konstrukcję. — Niezwykły zbieg okoliczności, że znajdujemy się dziesięć mil od odcinka drogi, gdzie Deacon po raz pierwszy zobaczył światła.

— Reżyser też widział światła? — zapytał Page.

— Nie. Miejscowi, którzy pracowali przy filmie, pamiętają, że Deacon jeździł tam co noc i kilkakrotnie zaciągnął ze sobą Pageant, Riversa i reżysera. Nie rozumieli, o co mu chodzi. Ekipa filmowa też tego nie wiedziała i w końcu tylko Deacon tam jeździł.

Harriett zaczerpnęła tchu.

— Nie potrzebował charakterystyki, żeby wyglądać starzej — palnęła wreszcie.

Pomimo upału Page poczuł zimny dreszcz.

— Co to znaczy?

— Reżyser kręcił sekwencje filmu po kolei. Kiedy Deacon miał wyglądać starzej, naprawdę wyglądał starzej. Na planie plotkowano, że co noc pił i narkotyzował się, zamiast oglądać światła, jak twierdził. Wydawał się taki wykończony, że reżyser błagał go, żeby przestał się zapijać. Mówiono o przerwaniu zdjęć i odesłaniu Deacona do szpitala na odwyk. Ale co wieczór, kiedy miasteczko zbierało się, żeby oglądać sceny z poprzednich dni, Deacon tak idealnie wcielił się w rolę, tak realistycznie odtwarzał swoją postać, że reżyser kręcił dalej. Charakteryzatory musieli wyłazić ze skóry, żeby postarzyć Pageant i Riversa równie wiarygodnie jak Deacona.

Stojąc w cieniu ranczerskiego domu, Tori zapytała:

— Dlaczego tak się stało?

— Wiem tylko, że kiedy Deacon skończył ostatnią scenę i odjechał na motocyklu, ludzie mówili, że wyglądał na sześćdziesiąt lat — odpowiedziała Harriett. — Pięć dni później zginął w swoim sportowym aucie podczas wyścigu w północnej Kalifornii, w pobliżu miejsca, gdzie kręcił *Syna marnotrawnego*. Pędził sto mil na godzinę, kiedy na drogę wyjechała ciężarówka. Świadek widział błysk słońca odbitego od przedniej szyby ciężarówki. Przyjęto teorię, że ten błysk oślepił Deacona i nie pozwolił mu wyminąć ciężarówki.

Page spojrział na potrzaskane deski leżące na ziemi.

— Dlaczego nigdy o tym nie mówiono?

— Śmierć Deacona głęboko wstrząsnęła wszystkimi osobami związanymi z tym filmem. Nie twierdzili, że go rozumieli, ale szanowali jego geniusz i nie chcieli szargać jego pamięci, opowiadając, że wykańczał się wodą i prochami. I z pewnością nie zamierzali robić z niego czubka, wspominając o światłach, w które i tak nikt nie wierzył.

Harriett zamilkła. Pod rozpalonym słońcem zapadła cisza, tylko krowy muczały w oddali i wiatr szeleścił wśród ostrych traw.

— Więc światła zainspirowały Deacona, a potem go opętały i w końcu zniszczyły? — zapytała Tori.

— Zależy, co to znaczy „zniszczyły” — odparła Harriett. — W ostatniej roli otarł się o wielkość.

— Ale w końcu zginął — podkreśliła Tori.

— Może sam tego chciał. Może żył tak intensywnie przez ostatni rok, że nie mógł tego dłużej wytrzymać.

— Pani sugeruje...?

— Błysk na przedniej szybie ciężarówki. Może Deacon był taki wypalony, że postanowił wjechać w światło.

Wiatr zamarł, wszystko ucichło.

— Wczoraj mówiła nam pani, jakie to błogosławieństwo dla mieszkańców miasteczka, że widzieli światła — przypomniał Page.

— Dla mnie na pewno.

— Ale nie dla wszystkich — dodał Page. — Może co za dużo, to niezdrowo? W mieście słyszałem, jak sprzedawczyni w sklepie mówiła, że za młodu jeździła oglądać światła, ale teraz nigdy tam nie jeździ. I wczoraj pani mówiła, że też przestała je oglądać.

Harriett spojrzała znacząco na Tori.

— Kiedy szef Costigan wczoraj zadzwonił, żeby was zapowiedzieć, wspomniał, że macie obsesję na punkcie światła. Przywiozłam was tutaj, żebyście zrozumieli, że rzeczywiście czasami co za dużo, to niezdrowo.

Zbudził go trzask zakłóceń. I ból głowy. I smród.

Halloway podniósł głowę ze stołu. Policzek mu zdrętwiał, zbyt długo przyciśnięty do drewnianego blatu. Słuchawki wciąż tkwiły na uszach. Halloway czuł się zamroczony, jakby wypił te wszystkie szklaneczki wódki z sokiem pomarańczowym, które sobie wyobraził dzięki magii muzyki.

W nozdrzach wciąż miał woń cynamonu. Wyczuwał resztki ciepła zmysłowej kobiety, z którą tańczył powoli w fantazji.

I tańczył, i tańczył...

Aż stracił przytomność.

Pólleżał na blacie biurka. Kiedy się wyprostował, poczuł wilgoć z przodu spodni. Uniósł głowę ku boleśnie jasnym świetlówkom i zdjął trzeszczące słuchawki. Uszy go zamrowiły, wystawione na powietrze po tak długim czasie. Miał nadzieję, że po usunięciu tego dodatkowego źródła hałasu ból głowy się zmniejszy, ale w rzeczywistości jeszcze się pogłębił, ponieważ trzaski nie zagłuszały już buczenia promieniującego z każdej powierzchni podziemnego kompleksu.

Gdybym wiedział, skąd to się bierze.

Ale nie tylko ból głowy się wzmacniał. Smród teraz ledwie pozwalał oddychać.

Halloway popatrzył na ciała. Tyle ciał. Naukowcy. Inni strażnicy. Ich krew pokrywała podłogę, fetor przypominał mu sklep mięsny, który kiedyś przeszukiwał ze swoim oddziałem rangersów w Iraku. W tej części Falludży wysiadła elektryczność i mięso psuło się w upale.

Tutaj, w obserwatorium, krew nie była najgorsza. Z kilku trupów wypłynęły cuchnące płyny ustrojowe. Twarze niektórych zaczęły puchnąć.

To nie powinno się stać tak szybko, pomyślał Halloway. Spojrzał na zegarek i zobaczył, że wskazówki pokazują za siedem czwartą. Do strzelaniny doszło około dziewiątej trzydzieści. Jakoś wykonał obliczenia w zamulonej głowie. Niecałe siedem godzin.

Natychmiast wstał, tknięty podejrzeniem. Niepewnie przestąpił przez ciała, starając się nie wdepnąć w krew. Wyszedł na korytarz i znalazł następnego martwego strażnika, z twarzą zmasakrowaną przez kule, nie do rozpoznania.

Halloway skręcił w prawo i poszedł korytarzem. Głośne echo jego kroków nie zdołało zagłuszyć buczenia. Wszedł do pomieszczenia nadzoru i szczęka mu opadła, kiedy zobaczył obrazy na monitorach. Żaden nie miał zielonego zabarwienia nocnej kamery. Czasze radioteleskopów, trzy rzędy ogrodzenia, mila za milą szorstkiej trawy, dalekie góry — wszystko tonęło w gorącym blasku słońca.

Nie siedem godzin, pomyślał wstrząśnięty. Dziewiętnaście.

Dobry Boże, nigdy w życiu nie spałem tak długo.

Zadzwoił telefon. W kompleksie były zaledwie cztery, wszystkie wyposażone w urządzenia kodujące. Halloway popatrzył na aparat i odebrał po drugim dzwonku.

— Stacja Zulu — powiedział.

— Tu kontrola Alfa — odezwał się niecierpliwy męski głos. — Podaj nazwisko.

— Earl Halloway. Jeden ze strażników.

— Halloway — powtórzył głos. — Były sierżant rangersów. Weteran wojny w Iraku.

Halloway rozpoznał twardy, autorytatywny ton. Głos należał do człowieka, który dowodził oddziałem przywiezionym helikopterem wczoraj po południu. Pułkownik Raleigh.

— Tak jest.

— No więc, były sierżancie Halloway — głos Raleigh ociekał jadem — od sześciu godzin próbuję się połączyć z waszą stacją. Na rany Chrystusa, dlaczego nikt nie odbiera telefonu?

Przyływ adrenaliny rozjaśnił Hallowayowi w głowie.

— W nocy mieliśmy burzę z piorunami, pułkowniku. — Niejasno przypominał sobie, że słyszał powtarzające się grzmoty, kiedy popijał wódkę z sokiem pomarańczowym, wachał cynamon i tańczył.

— Wiem wszystko o tej cholernej burzy. Jestem tylko dwadzieścia mil od was. Nas też złapała.

— No więc, pułkowniku, trafił nas piorun. — Halloway myślał teraz szybciej. — Zakłócił naszą łączność.

— Twierdzisz, że kilku spośród najlepszych naukowców pracujących dla rządu nie ma dostatecznych kwalifikacji, żeby wspólnymi siłami naprawić uszkodzenia po burzy? Ten obiekt jest uziemiony do samego piekła. Trudno mi uwierzyć, że piorun mógł wywołać jakieś skutki.

— Z całym szacunkiem, pułkowniku, nie jestem specjalistą od łączności. Ja tylko powtarzam, co mi powiedzieli technicy. Dopiero teraz naprawili uszkodzenia.

— A tymczasem żadnych danych nie odbierano ani nie przekazywano do Fort Meade? — W głosie pułkownika brzmiała jeszcze większa furia.

— Tak mi powiedziano.

— Cholera jasna, jak to się skończy, dowiem się, kto zawałił robotę. Na razie przełącz tę rozmowę do pokoju analiz.

Halloway przeżył chwilę paniki.

— Niestety, nie mogę.

— Nie możesz? Co to ma znaczyć?

— Tylko telefon, przez który rozmawiam, został naprawiony, ten w dyżurce.

Na linii zapadła cisza. Halloway niemal czuł narastającą furie pułkownika. Był zadowolony, że znajduje się w bezpiecznej odległości.

— Były sierżancie Halloway, idźcie do pokoju analiz i sprowadźcie Gordona do telefonu.

— Pułkowniku? Jest pan tam, pułkowniku? Nie słyszę pana.

— Jak to: nie słyszysz?

— Pułkowniku?

— Cholera jasna, ja cię słyszę doskonale. — Raleigh podniósł głos.

— Nie wiem, czy pan jest na linii, bo głos nie dochodzi. Widocznie system znowu nawala.

— Sprowadź Gordona do telefonu, sierżancie!

— Pułkowniku? Pułkowniku?

Halloway odłożył słuchawkę i przerwał połączenie.

Spojrzał na podłogę i spróbował się skupić. Potem ruszył z powrotem do pokoju analiz. Chociaż był zahartowanym żołnierzem po dwóch okresach służby w najbardziej niespokojnych okolicach Iraku, niemal się dławił od smrodu.

Muszę tu posprzątać, pomyślał. Nie będę mógł słuchać muzyki, jeśli się pochoruję.

Następna myśl umocniła go w tym postanowieniu.

I nie będę mógł bronić tego miejsca, jeśli się pochoruję.

Kiedy spojrzął na zegarek, z dreszczem zobaczył, że dochodziła piąta. Pięćdziesiąt minut minęło nie wiadomo kiedy. Zupełnie jakby znowu stracił przytomność. Czas zachowywał się nie tak, jak powinien.

Rusz się, powiedział sobie w duchu.

Nachylił się nad trupem Gordona, chwycił za dwie sztywne ręce i wywłócił ciało na korytarz. Nie zatrzymał się, tylko ciągnął zwłoki dalej, obok dyżurki, w stronę schodów. Próbował

wtaszczyć je na górę, ale sprzączka paska Gordona zahaczyła o stopień. Po kilku następnych stopniach zaczepił się but.

To za długo trwa.

Halloway podniósł sztywne ramiona Gordona, tak że trup niemal stanął kilka stopni niżej. Jedną ręką objął plecy Gordona, drugą wsunął pod kolana — które się nie zginały — i dźwignął trupa.

Skrzywił się pod ciężarem.

Jak to możliwe, pomyślał, że sto osiemdziesiąt funtów martwego ciężaru waży więcej niż sto osiemdziesiąt funtów żywego ciężaru? Powinno być na odwrót, skoro czegoś ubyło.

Dyszząc ciężko, wniósł ciało na schody. Każdy krok budził donośne echo.

Na szczycie zachwiał się i o mało nie spadł. Z trudem odzyskał równowagę. Oparł Gordona o metalową poręcz i otworzył pierwsze drzwi zabezpieczające.

Próbowałem się z tobą zaprzyjaźnić, Gordon, ale mi nie pozwoliłeś. Wystarczyło, żebyś był kolegą i podzielił się muzyką, ale nie: ty chciałeś wszystko dla siebie. Widzisz, co się dzieje, kiedy zachowujesz się jak kutas?

Przesunął Gordona w stronę drugich drzwi. Ten ruch przypominał taniec. Oparłszy trupa o ścianę, otworzył drzwi i zamrugał w ostrym słońcu.

Wiatr pachniał słodko po fetorze śmierci.

Za czasami radioteleskopów jest kawałek miejsca, którego nikt nigdy nie ogląda, pomyślał Halloway.

Opuścił Gordona na ziemię i zaczął go wlec w tamtym kierunku. Potem sklął się za głupotę.

Użyj cholernej ciężarówki.

Ciężarówka z naczepą zawsze stała zaparkowana obok czaszy przechylonej poziomo. Kluczyk zawsze tkwił w stacyjce. Za trzema rzędami ogrodzenia — z czego jedno z drutu kolczastego, a drugie pod napięciem — raczej nie groziło niebezpieczeństwo kradzieży.

Halloway pobiegł w palącym słońcu do ciężarówki, z trudem łapiąc oddech.

Czasze wznosiły się nad nim, wsparte na metalowych dźwigarach przypominających nogi. Oślepiająco białe, każda wysoka na pięćdziesiąt stóp. Stały w szeregu długim na pół mili i kiedy Halloway biegł obok nich, czuł się pomniejszony.

Nieważny.

Zagrożony...

Koszula przesiąkła mu potem, zanim dotarł do ciężarówki. Wgramolił się do kabiny i rzeczywiście znalazł kluczyk w stacyjce. Przekręcił go, ale silnik tylko zapyrkał z trudem.

Akumulator prawie rozładowany!

Spróbował jeszcze raz. Silnik zawarczał wolniej.

No, dalej! Zapalaj!

Nagle silnik ożył z rykiem. Halloway wydał zwycięski okrzyk, wrzucił bieg i wykręcił po łuku. Ciągnąc za sobą chmurę spalin, podjechał do baraku z betonowych bloków. Wskoczył, dźwignął Gordona i wpakował go na skrzynię. Serce mu waliło z wysiłku.

Teraz już mam system. Z innymi pójdzie łatwiej. Muszę się spieszyć. Muszę skończyć, zanim zacznie się muzyka.

Następna myśl sprawiła, że zmarszczył brwi.

Albo zanim pułkownik postanowi przeprowadzić niespodziewaną inspekcję.

Halloway znowu spojrzął na zegarek i wytrzeszczył oczy. Prawie za dwadzieścia szósta. Czterdzieści minut minęło jak z bicza strzelił, chociaż przysięgłby, że upłynęło najwyżej dwadzieścia. Wstukał cyfry na elektronicznym zamku, otworzył ciężkie metalowe drzwi i sięgnął do wewnętrznych.

Muszę zabrać M4 i całą amunicję, jaką znajdę. I granaty do granatników. Ten obiekt jest tak zaprojektowany, żeby wytrzymać nawet silny atak. Jeśli pułkownik spróbuje się tu włamać, gorzko pożałuje, że nie zostawił mnie w spokoju.

Ja chcę tylko słuchać muzyki.

Zbiegając po metalowych schodach i znowu krztusząc się od smrodu, uświadomił sobie, że musi pogrzebać ciała, zamiast po prostu wyrzucić. Inaczej ścierwniki zlecą się do trupów i przyciągną uwagę. Musiał mieć całkowitą pewność, że pułkownik nie zacznie podejrzewać, co się tutaj stało.

Koparka, przypomniał sobie Earl. Zostawili ją, kiedy kopali rów, żeby dodać nowe ogrodzenie. Skorzystam z niej, żeby wykopać dziurę. Doskonale. Wszystko się uda.

48

— Pułkowniku? Nie wiem, czy pan jest na linii, bo głos nie dochodzi. Widocznie system znowu nawala.

— Sprowadź Gordona do telefonu, sierzancie!

— Pułkowniku? Pułkowniku?

Połączenie zostało przerwane.

Nachmurzony Raleigh odłożył słuchawkę. Podczas rozmowy głos Hallowaya był taki stłumiony, że pułkownik zaryzykował, wyjął zatyczkę z prawego ucha i mocniej przycisnął do niego słuchawkę.

Teraz z powrotem włożył zatyczkę.

Patrzył, jak jego zespół zajmuje stanowiska przed nowym sprzętem, który zainstalowali w stacji monitoringu pod opuszczoną bazą lotniczą. Rzędy elektronicznych instrumentów mrugały i błyskały — stare elementy przyłączone do nowych. Kilka ekranów komputerowych pokazywało chaotyczny wizualny odpowiednik zakłóceń, na które nastawiono niektóre odbiorniki audio.

Kamery ukryte w rozwalonych hangarach na powierzchni przekazywały wzmocnione obrazy z najbliższej okolicy. Obok platformy obserwacyjnej dźwig ustawiał na miejscu ostatnią betonową barierę. Rozczarowany tłum gęstniał, policjanci z drogówki wypatrywali kłopotów.

Przypomina mi się Irak, gdzie tylko mury powstrzymywały sunnitów i szyitów od pozabijania się nawzajem, pomyślał Raleigh.

Na innym monitorze telewizyjnym zobaczył tresera i owczarka niemieckiego patrolujących ogrodzenie od strony punktu widokowego, na wypadek gdyby ktoś z tłumu spróbował obejść barykadę, dostać się na teren bazy lotniczej i stamtąd oglądać światła. Kilku cywilów rzeczywiście przeszło obok, ale pies wyglądał tak groźnie, że nikt nie próbował podejmować żadnej akcji.

Raleigh przypomniał sobie rozkazy, które wydał Lockhartowi poprzedniego wieczoru, kiedy owczarek i treser przyszli z burzy. „Jeśli zauważycie, że pies dziwnie się zachowuje, choćby w najmniejszym stopniu... zastrzelcie go”.

Burza.

Czy ten Halloway naprawdę się spodziewa, że uwierzę, iż zwykła burza mogła zerwać łączność z obserwatorium? To jest cholerna NSA, nie firma telefoniczna.

„Pułkowniku? Jest pan tam, pułkowniku? Nie słyszę pana. Widocznie system znowu nawala”. Gówno prawda, pomyślał Raleigh z niesmakiem. Narastał w nim lęk. Może to się zaczyna tam, nie tutaj.

— Sierzancie — rzucił energicznie.

— Tak jest. — Głos Lockharta dochodził niewyraźnie przez zatyczki.

— Chodźcie ze mną.

Zostawili zespół przed monitorami i wyszli do podziemnego garażu, gdzie stały dwa suburbany. Choć było późne popołudnie, w ostrym górnym świetle zdawało się, że tutaj pod ziemią ciągle jest trzecia rano.

Raleigh spojrzął na kamery zainstalowane wysoko na wszystkich ścianach. Takie same kamery założono w pomieszczeniu monitoringu i w całym obiekcie. Nagrywano wszystko, co się działo.

Tym razem nie będzie pytań bez odpowiedzi, pomyślał Raleigh. Bóg jeden wie, że ostatnim razem było całkiem sporo.

— Sierzancie, włóżcie do plecaka M cztery i dużo amunicji.

— Spodziewa się pan kłopotów?

— Jak sobie przypominam, lubicie motocykle.

— Tak jest, panie pułkowniku. W młodości ścigałem się na nich.

— Po przyjeździe może zauważyliście harleya davidsona w samym kącie.

— Zauważyłem.

— Służy do transportu w nagłych przypadkach. Jest w doskonałym stanie, na kołach, żeby opony nie dotykały betonu i się nie kruszyły. Musicie dopompować koła i sprawdzić akumulator. Z tyłu jest kanister z paliwem. Tłum zauważy, jeśli wyjedziecie stąd suburbanem. Ale jeśli podprowadzicie harleya do bramy i zapalicie dopiero na drodze, macie szansę się wymknąć niepostrzeżenie.

— Dokąd mam jechać, panie pułkowniku? Raleigh mu powiedział.

Lockhart zmarszczył brwi.

— Pewnie to nic takiego — ciągnął Raleigh. — Ale podjedźcie do obserwatorium i upewnijcie się. To jest klucz do bramy. Używajcie tego radiotelefonu. Kiedy wejdziecie do obserwatorium, meldujcie o wszystkim, co robicie. Krok po kroku.

— Oczywiście.

— Niedługo przyleci black hawk ze sprzętem. Jeśli będą kłopoty, można wezwać na pomoc załogę helikoptera.

— Dobrze wiedzieć, panie pułkowniku.

Lockhart zasalutował i ruszył obok suburbanów w stronę motocykla.

Odprowadzając go wzrokiem, Raleigh zanotował w myślach, żeby zlecić komuś innemu zastrzelenie owczarka niemieckiego, gdyby pies zachowywał się dziwnie choćby w najmniejszym stopniu.

Plama na ścianie, którą dostrzegł już wcześniej, znowu przyciągnęła jego uwagę: wyblakła czerwień wyglądała jak stary ślad rdzy, ale to było co innego.

49

Tłum znowu rozstąpił się niechętnie, żeby przepuścić pick-upa Harriett. Page zauważył, że Medrano wciąż tam jest i obserwuje dźwig ustawiający na miejscu ostatnią betonową barierę. Wysoki mur całkowicie przesłaniał widok.

— Harriett, możesz się zatrzymać na chwilę? — poprosił Page.

Wysiadł i podszedł do kapitana.

— Niech pan uważa — ostrzegł Medrano. Czerwone naszywki patrolu drogowego odcinały się wyraźnie od jego płowej koszuli z krótkimi rękawami. — Ten telewizyjny reporter może się tu kręcić. Skończymy przesłuchiwać pana i Tori, jak tylko się trochę uspokoi. Na początku tygodnia możecie z żoną jechać dalej.

— Dobrze, pasuje. Moja żona musi być w San Antonio we wtorek rano. Tymczasem zastanawiałem się, czy może mi pan udzielić paru informacji.

Medrano spojrział na niego z zaciekawieniem.

— O czym?

— O człowieku, który zastrzelił tych ludzi w czwartek wieczorem. Wspomniał pan, że policja w Austin rozmawiała z jego bratem. Stąd pan wie, że temu facetowi zmarła żona. — Page nie mógł nie myśleć o chorobie Tori, wyobrazić sobie, jak by rozpaczał, gdyby ją stracił.

— Zgadza się — potwierdził Medrano.

— Zastanawiam się, czy nie ma pan telefonu tego brata albo czy może mnie pan skontaktować z policjantem w Austin, który mi to umożliwi.

— Prowadzi pan własne śledztwo? — Page nie wiedział, czy Medrano jest niezadowolony.

— Chciałbym go o coś zapytać.

— Mam nadzieję, że pan nie przedstawia się ludziom jako policjant upoważniony do działania tutaj, w Rostovie. — Tak, Medrano stanowczo był niezadowolony.

— Znam przepisy — odparł Page. — Ale dopóki działam jako zwykły zainteresowany obywatel, nie widzę w tym nic złego.

— Dlaczego on miałby rozmawiać z panem, mężem kobiety, która zastrzeliła jego brata?

— On nie musi tego wiedzieć. Ale nawet gdyby wiedział, przecież mogę mu złożyć kondolencje.

Medrano wciąż miał sceptyczną minę.

— Co to za pytanie? Może policja w Austin pana wyręczy.

— Albo może pan czy szef Costigan zapytają w moim imieniu.

Medrano przyjrzał mu się i westchnął.

— Dlaczego mam wrażenie, że od początku panu o to chodziło?

50

— Panie Mullen, jestem kapitan Medrano z teksaskiej policji drogowej.

Zestaw głośnomówiący stał na stoliku obok szpitalnego łóżka Costigana.

— A ja jestem Roger Costigan, szef policji tutaj w Rostovie. — Pomimo ran odniesionych przez Costigana jego chropawy głos bez trudu docierał do telefonu. — To miasto w pobliżu miejsca, gdzie...

— Wiem, gdzie jest Rostov — przerwał znużony męski głos w telefonie.

Page i Tori czekali w nogach łóżka.

— Dziękujemy, że zechciał pan poświęcić nam trochę czasu — ciągnął Medrano. — Bardzo przepraszamy za kłopot.

— Wasz lekarz sądowy dotąd nie wydał ciała Eda — oświadczył głos z irytacją. — Nawet nie wiem, na kiedy wyznaczyć pogrzeb.

— To niedopuszczalne — przyznał Medrano. — Zajmę się tym.

— Ed zrobił taką straszną rzecz, ciągle nie mogę w to uwierzyć. Ale tak czy owak był moim bratem. Mama i tata już nie żyją, więc to ja muszę mu zapewnić godziwy pochówek. Krewni tych ludzi, których zastrzelił, na pewno powiedzą, że on na to nie zasługuje, ale był moim bratem.

— Dawno temu nauczyłem się nie osądzać ludzi — powiedział Costigan.

Page wiedział, że szef kłamie. Większość policjantów spodziewała się po ludziach najgorszego.

— O czym chcecie rozmawiać? — zapytał znużony głos. — Powiedziałem policji w Austin wszystko, co wiem.

— Pozostało kilka luk do wypełnienia i postaramy się streszczać. Po śmierci żony pańskiego brata...

— Rak. Co za cholerna niesprawiedliwość. Ann zawsze była aniołem, zawsze pomagała ludziom. Rzadko się spotyka takie miłe, uczynne, wielkoduszne osoby. Ludzie zawsze żartowali z Eda, że na nią nie zasługuje. Jak to jest, że seryjni mordercy nie dostają raka? Czemu zawsze cierpią dobrzy i przyzwoici?

Na słowo „rak” Page wzdrygnął się wewnętrznie. Nie wiedział wcześniej, jak zmarła żona Mullena. Spojrzał na Tori, która lekko pobjadła.

— Mówił pan, że przed śmiercią żony pański brat nie był religijny — ciągnął Medrano.

— Nigdy nawet się nie zbliżył do kościoła od czasów dzieciństwa, kiedy rodzice nas ze sobą zabierali — odpowiedział głos.

— Ale kiedy pański brat zobaczył światła...

— W które nadal osobiście nie wierzę. Moim zdaniem ludzie albo udają, albo mają halucynacje. Ja ich nie widziałem, chociaż naprawdę próbowałem. Ale Ed...

Page pospiesznie napisał coś na świstku papieru. Medrano spojrział na kartkę.

— Może to na skutek żałoby pańskiemu bratu zdawało się, że zobaczył światła. Myśli pan, że to możliwe?

— Wyjaśnienie równie dobre jak każde inne. Oczywiście nie miałem pojęcia, że Ed tyle razy wracał do tego... jak to się nazywa...? Punktu obserwacyjnego. Mnie wystarczył jeden raz. Powinienem był go wysłać do psychiatry zamiast na tę cholema wycieczkę.

— I właśnie wtedy zaczął zbierać religijne obrazy i figurki? — zapytał Costigan.

W głosie zabrzmiała nuta rozdrażnienia.

— Ed nie wpuszczał mnie do mieszkania. Zawsze spotykaliśmy się u mnie albo w parku, restauracji czy gdzie indziej. Nie miałem pojęcia, że zbiera takie rzeczy, dopóki policja mnie nie zawiadomiła.

— Czy kiedyś mówił o Bogu?

— Cały czas. Zakładałem, że ponieważ tak tęsknił za Ann, postanowił za wszelką cenę uwierzyć w niebo, żeby przekonać sam siebie, że Ann jest w lepszym miejscu i kiedyś się tam spotkają. Śmierdział.

Costigan wyprostował się w szpitalnym łóżku.

— Śmierdział?

— Nie chciał się kąpać. Gorąca woda sprawiała mu taką przyjemność, że czuł się winny. Tak twierdził. Jadł tylko takie rzeczy, których nie znosił: brukiew, brukselkę, golonkę wieprzową. Sypiał na podłodze. Nastawiał budzik na budzenie co dwie godziny. Tłumaczył mi, że Ann bardzo cierpiała i on nie ma prawa niczym się cieszyć. Że gdyby zrobił cokolwiek dla przyjemności, to jakby przyznał, że wcale jej nie kochał tak bardzo, jak twierdził. Uważał, że tylko poprzez umartwianie się może udowodnić, jak bardzo ją kochał. Boże, nawet nie wiecie, jak żałuję, że nie kazałem mu pójść do psychiatry.

Medrano spojrzeniem zapytał Page'a, czy chce wiedzieć coś więcej.

Zasmucony tym, co usłyszał, Page pokręcił głową.

— No cóż, dziękujemy za pomoc, panie Mullen — powiedział Medrano. — Przepraszamy, jeśli sprawiliśmy panu kłopot. Porozmawiam z lekarzem o wydaniu zwłok pańskiego brata.

— Zgodzę się na wszystko, byle mieć to już za sobą. Ale nie rozumiem, jak ta rozmowa może wam pomóc. Wiemy, że mój brat zastrzelił tych wszystkich ludzi. To żadna tajemnica.

— Po prostu chcielibyśmy również wiedzieć, dlaczego to zrobił.

— To także żadna tajemnica.

— Jak to?

— Oszałał z rozpaczu.

— Chyba ma pan rację — mruknął Costigan. — Jeszcze raz dziękujemy za pomoc.

Wyłączył zestaw głośnomówiący.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Jedyne dźwięki dochodziły z zewnątrz — kroki, stłumione głosy, turkot kółek wózka.

— Więc co to panu dało? — zapytał w końcu Page'a Medrano.

Tori odwróciła się do niego, jakby chciała zadać to samo pytanie.

— „Czy nie widzicie, jakie one są złe?!” — zacytował Page. Wszyscy wytrzeszczyli na niego oczy, jakby w obawie, że postradał zmysły.

— To pierwsze słowa, które wykrzyknął Mullen w czwartek wieczorem.

Kiedy zrozumieli, na ich twarzach odmalowała się ulga.

— Potem zawołał do tłumu: „Nie rozumiecie, co one wam robią? Nie rozumiecie, że wszyscy pójdziecie do piekła?”. Kiedy strzelał do świateł, wrzeszczał: „Wracajcie do piekła, skąd przyszyście!”. Zanim zaczął strzelać do tłumu, krzyknął: „Wszyscy jesteście potępieni”.

— Bredzenie szaleńca, który właśnie został fanatykiem religijnym — stwierdził Costigan.

— Ale Mullen nie został fanatykiem religijnym z powodu świateł — zaoponował Page. — Słyszeliście, co mówił jego hrat. Mullen nagle potrzebował wiary w Boga i niebo, żeby przekonać sam siebie, że jego żona jest w lepszym miejscu i kiedyś się tam spotkają. Ale światła to inna sprawa. Zrobiły mu coś takiego, że się wściekł.

Tori wyglądała na równie zaintrygowaną jak Costigan i Medrano.

— Kusily go — wyjaśnił Page. — Wyglądały tak urzekająco, że po raz pierwszy od śmierci żony Mullen poczuł się dobrze. Lepiej niż dobrze. Sprawily mu przyjemność. Dlatego ciągle wracał: bo światła były jak narkotyk. Walczył z nimi. Kupował więcej religijnych figurek i obrazków. Próbował żyć jak mnich i umartwiać się, żeby udowodnić, że kochał żonę i zasługiwał, by się z nią połączyć... ale nie mógł przestać myśleć o światłach. Dawały mu przyjemność, której nie mógł zapomnieć. Wściekał się, bo mu pokazały, jaki jest słaby. Nigdy się nie dowiemy, czy naprawdę myślał, że zdoła zniszczyć światła, strzelając do nich. Może po prostu potrzebował celu dla swojej furii.

— A potem wybrał bliższe cele — podjął Medrano, który zaczynał rozumieć. — Cele, w które mógł trafić.

Page kiwnął głową.

— Właśnie. Doszedł do wniosku, że światła są złe i każdy, kto czerpie z nich przyjemność, też musi być zły.

— No, rzeczywiście skorzystał pan z tych kursów psychologii — stwierdził Costigan.

Page poczuł, że policzki mu czerwienieją z zakłopotania.

— Przyznaję, że to tylko teoria.

— Której nie można udowodnić.

— Mam jeszcze jedną — oświadczył Page.

Czekali. Tori patrzyła na niego, jakby go widziała po raz pierwszy.

— Zakładając, że światła są prawdziwe...

— Spore założenie — wtrącił Medrano. — Mówiłem panu, że nigdy ich nie widziałem, i nie dlatego, że nie próbowałem.

— Nic dziwnego.

— Jak to?

— Jeśli mam rację — powiedział Page — światła wzmacniają osobowość ludzi, którzy próbują je zobaczyć. Jako policjant jest pan zawodowym sceptykiem. Ten sceptycyzm staje się tam wyraźniejszy. Pan za bardzo się pilnuje, żeby je zobaczyć.

Page odwrócił się do Costigana.

— Człowiek, który zabił pańskiego ojca, był pijakiem i brutalem. Mówił pan, że po przyjeździe tutaj te cechy jeszcze bardziej się uwydatniły. Według jednej teorii czuł się upokorzony, bo stracił pracę w Fort Worth i musiał się przeprowadzić do małego miasteczka, gdzie krewny znalazł dla niego posadę. Upokorzenie podsycalo jego wściekłość. Ale ja w to nie wierzę. Im dłużej jestem w Rostovie, im dłużej rozmawiam z ludźmi i słyszę, co mówią, tym bardziej jestem przekonany, że światła odbijają to, co się w nas dzieje. Wzmacniają to, kim jesteśmy. Harriett Ward mówi, że James Deacon miał obsesję na punkcie światła, kiedy kręcono tutaj *Dziedzictwo*. Pragnął zostać wielkim aktorem, a światła odzwierciedliły jego potrzebę do tego stopnia, że kiedy według scenariusza miał się postarzeć, naprawdę wyglądał starzej.

— Ale to się opiera na założeniu, że światła są prawdziwe — wytknął Medrano.

— Jeśli nie są prawdziwe, koncepcja nadal się sprawdza. W odpowiednich okolicznościach ludzie, którzy chcą zobaczyć światła, uwierzą, że je widzą. Zmienię swoją osobowość według własnych wyobrażeń. Skutek będzie ten sam.

— Człowiek, który zabił mojego ojca, nigdy ich nie widział — przypomniał Costigan.

— I to go doprowadzało do furii — odparł Page. — Kiedy Tori i ja byliśmy tu poprzednim razem, zastanawiał się pan, czy światła mogą wpływać na ludzi, którzy ich nie widzą. Może nie chodzi o światła. Może wystarczy być tam w ciemności, w pustce. Ludzie stają się bardziej ekstremalnymi wersjami samych siebie.

— Ja je widziałem — oznajmił Costigan ze szpitalnego łóżka.

Spojrzeli na niego ze zdumieniem.

— W dniu pogrzebu ojca. Kiedy wyszedłem z cmentarza, pojechałem do punktu obserwacyjnego. Chciałem być sam, a w ciągu dnia nikt tam nie przyjeżdżał. Siedziałem w radiowozie ojca i rozmyślałem, nad tym, co go spotkało. Wtedy służyłem w policji w Dallas. Rada miejska Rostova zaproponowała mi, żebym przejął obowiązki ojca i został nowym szefem, ale nie wiedziałem, czy chcę dalej służyć w policji, bo ludzie to jedno wielkie rozczarowanie i czasem nawet nie warto im pomagać. Stopniowo uświadomiłem sobie, że siedziałem tam przez całe popołudnie, że słońce zachodzi. Samochody zaczęły się zatrzymywać. Ludzie wysiadali i czekali, aż się ściemni dostatecznie, żeby zobaczyć światła. Ja ciągle siedziałem w samochodzie. Potem zapadła ciemność i kilka osób wskazało na horyzont. Spojrzałem w tamtą stronę i, na Boga, tam były światła. Nie mogłem w to uwierzyć. Kilka razy, kiedy odwiedzałem ojca, przyjeżdżałem tam wieczorem i próbowałem je zobaczyć, ale nigdy mi się nie poszczęściło, a teraz nagle je widziałem. Unosiły się, tańczyły, zlewały się i rozdzielały. Kolory uspokajały. Siedziałem i uśmiechałem się, i widocznie przysnąłem, bo obudził mnie głos z radia. Zgłosił się zastępca mojego ojca. W barze wybuchła bójka i potrzebował mojej pomocy. Zostawił mnie w spokoju ze względu na pogrzeb. Teraz przeproszał, ale potrzebował wsparcia. Spojrzałem na ciemny horyzont, gdzie wcześniej widziałem światła, ale znikły. Powiedziałem zastępcy, że jadę. Nie wiem, jak na mnie wpłynęły światła, ale tamtego wieczoru postanowiłem, że zostanę szefem policji w Rostovie. Później kilka razy jeździłem do punktu obserwacyjnego i szukałem

dzieciaków z lampkami, próbujących nabierać ludzi... jakiegoś wyjaśnienia tych światel... ale nigdy nie znalazłem żadnych dowcipnisiów i nigdy więcej nie widziałem światel. Nadal nie wiem, czy były prawdziwe. Może, jak pan mówił, potrzebowiałem je zobaczyć.

— Potrzeba — powiedział Page. — Niektórzy ludzie czują potrzebę pomagania innym. Niektórzy ludzie potrzebują nienawidzić. Jeszcze inni czują potrzebę wypełnienia wewnętrznej pustki.

Nie patrzył na Tori, kiedy to mówił.

— Kolejna teoria — podsumował Medrano. — Ale jak pan ją udowodni?

— Spróbuję dzisiaj wieczorem.

— Jak?

— Chcę podejść bliżej do światel. — Sądząc po minach Costigana i Medrano, wcale im się to nie podobało. — Nie martwcie się... nie sprawię wam dodatkowych kłopotów.

— My — poprawiła go Tori. — My spróbujemy. Cokolwiek zamierzasz zrobić, idę z tobą.

51

Kiedy wyszli ze szpitala, Medrano powiedział do Page'a:

— Muszę wracać na punkt obserwacyjny. Mam nadzieję, że pan naprawdę nie zamierza mi sprawiać dodatkowych kłopotów.

— Proszę się nie martwić. Nawet się nie zbliżę do pana ani do tłumu i nie wtargnę bezprawnie na niczyją ziemię.

— Bardzo chciałbym wiedzieć, co panu chodzi po głowie.

— Jutro rano otrzyma pan pełny raport.

Medrano zmierzył go przenikliwym spojrzeniem i zszedł po schodach do czarno-białego samochodu patrolowego.

Page i Tori stali na betonowych stopniach, promieniujących żarem.

— Wiesz co? — powiedziała. — Zaczynam cię rozumieć.

Page odwrócił się do niej i zauważył, że szkarłat zachodzącego słońca podkreśla rudą barwę jej włosów.

— Zabrało mi to dziesięć lat małżeństwa — dodała.

— Mam nadzieję, że to nic złego.

— Nie, to coś dobrego. Wczoraj powiedziałaś, że skupiasz się na szczegółach, żeby się oderwać od cierpienia, które widzisz.

— To prawda.

— Chodzi o to, że całość może przytłoczyć, ale małe porcje dają się jakoś przełknąć... można sobie z nimi poradzić — powiedziała.

— Taak, racja.

— No, w takim razie uczę się od ciebie. Wczoraj i dzisiaj skupiałam się na drobiazgach. I po jakimś czasie skupiłam się na czymś większym. Na tobie. Naprawdę bystry z ciebie facet.

Page spróbował obrócić to w żart.

— Dopiero teraz zauważyłaś?

— Wykorzystujesz światła, żeby oderwać moje myśli od raka. Traktujesz to jak kryminalne śledztwo.

— Bo to jest śledztwo — przyznał. — Chociaż także coś więcej. Ale to mi pomaga przetrwać ten czas i wytrzymać do wtorku.

— Odrywa cię od tego, o czym oboje nie chcemy myśleć. Ja tak samo wykorzystuję twoje śledztwo. Dopóki mamy coś do roboty, chyba potrafię zachować spokój. — Przyjrzała mu się. — Sposób, w jaki zadajesz pytania. Sposób, w jaki oceniasz ludzi i nakłaniasz ich, żeby robili to, czego sobie życzysz. Tak, naprawdę jesteś bystry.

— Mam wrażenie, że stosujesz moją taktykę. Próbujesz się czegoś dowiedzieć.

— Co robimy wieczorem? W jaki sposób zbliżymy się do światła? — Nagle Tori się uśmiechnęła... co ostatnio rzadko jej się zdarzało. — Rozumiem. Powiedziałeś, że nie zbliżymy się do tłumu i nie wkroczyliśmy na niczyją ziemię... Użyjemy twojego samolotu.

52

— Potrzebuję następnych zamieszek albo strzelaniny, żeby ten materiał wrócił na pierwsze miejsce — powiedział Brent do Anity siedzącej za kierownicą.

— Czemu nie epidemii dżumy? — zapytała z przekąsem.

— Słuchaj, wiem, że wszyscy uważają mnie za dupka. — Brent wpatrywał się w ubogi krajobraz. Rozproszone bydło skubało rzadką trawę. — Ale musisz przyznać, że z dnia na dzień rewelacyjnie podwyższyłem naszą oglądalność. Chodzi o ton. Te odjechane kawałki o światłach muszą brzmieć jak coś ważnego... jak prawdziwe wiadomości. Jeśli CNN dalej będzie nam płacić za prowadzenie programu, wszystko musi brzmieć wiarygodnie, nawet jeśli to największe brednie pod słońcem.

— Więc po co jedziemy do obserwatorium? Wczoraj wieczorem mówiłeś coś o kosmitach. Jezu, mam nadzieję, że żartowałeś.

— Taa, żartowałem. Słuchaj, ja tu improwizuję, okay? Będę wiedział, czego potrzebuję, jak to zobaczę. Poza tym nie rozumiem, dlaczego narzekasz. Masz coś lepszego do roboty?

— Poza zarobieniem jak najwięcej dodatkowej kasy? Nie. I nie wiem, skąd ci przyszło do głowy, że narzekam.

Anita zatrzymała furgonetkę na poboczu drogi. Brent spojrział na tablicę przez wirujące kłęby kurzu.

OBSERWATORIUM RZĄDOWE TEREN ZAMKNIĘTY WSTĘP WZBRONIONY POD KARĄ

— Milutkie — stwierdził. — Zróbmy kilka zdjęć, jak stoję obok.

Wyszedł na ostre słońce i w tumanach kurzu ustawił się obok tablicy. Zdecydowany zachować wygląd zahartowanego reportera, nawet nie próbował otrzepać zakurzonego garnituru. Rozpięty kołnierzyk koszuli i rozluźniony krawat dopełniały wizerunku. Brent podniósł do ust mikrofon, przekazujący dźwięk bezpośrednio do kamery Anity... i po raz pierwszy od przyjazdu do Rostova nie potrafił wymyślić nic do powiedzenia.

Anita trzymała ciężką kamerę na ramieniu i kierowała obiektyw na Brenta. Na kamerze zamontowano tak zwany mikrofon shotgun. Wysunięty jak lufa strzelby, wylapywał dźwięki z najbliższego otoczenia, ale nie tak wyraźnie jak ten w ręku Brenta.

Po długiej chwili milczenia Anita wyjrzała zza kamery.

— Zapomniałeś języka w gębie?

— Nie lubię ironii.

— Twoi fani czekają.

— Do cholery z nimi. Pojedziemy do obserwatorium i poszukamy czegoś ciekawego. Zawsze mogę tu wrócić później i dograć wprowadzenie na końcu.

— Pojedziemy? Wątpię. — Anita wskazała metalową bramę zagradzającą wjazd do obserwatorium. Brama była zamknięta na kłódkę.

— No to wracamy do miasta. — Anita odwróciła się, żeby załadować kamerę do furgonetki.

— Niekoniecznie.

Brent przeszedł na drugi koniec bramy.

— Co ty robisz?

— Byłaś kiedyś na farmie?

— Raz poszłam do zoo.

— Mój dziadek miał sto akrów w Ohio. Jeździłem tam na dwa tygodnie każdego lata. Pamiętam dzień, kiedy dziadek pojechał traktorem na pole, ale brama się przypadkowo zatrzasnęła, a on nie miał przy sobie klucza. Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś przeklinał tak długo. — Uśmiechając się na to wspomnienie, obejrzał zawiasy bramy i kiwnął głową. — Pomóż mi, dobrze?

Anita odłożyła kamerę i podeszła.

— Twój dziadek znalazł sposób, żeby przejechać?

— Złap bramę z tego końca i pomóż mi dźwignąć.

Anita wzruszyła ramionami i mocno chwyciła jeden z metalowych słupów. Popchnęli do góry. Zawiasy miały metalowe kółka nałożone na małe bolce. Wystarczyło trochę wysiłku, żeby zdjąć kółka z bolców i pchnąć bramę do środka. Po kilku minutach zrobili otwór dostatecznie duży, żeby furgonetka się zmieściła.

— Pewnie rząd wynajął kogoś miejscowego do zainstalowania tej bramy. Ale zapomnieli uprzedzić faceta, że to brama do obserwatorium, nie na pastwisko.

— Chyba nie przeczytałeś na tablicy, że wstęp wzbroniony — wytknęła mu Anita.

— Powiemy, że znaleźliśmy bramę zdjętą z zawiasów i przestraszyliśmy się, iż znowu stało się coś złego. Uznaliśmy, że mamy obowiązek zbadać sytuację. — Przerwał i popatrzył na nią. — Ale jeśli nie masz ochoty, nie chcę cię do niczego zmuszać. Wolisz wracać?

— Nie ma mowy — odparła Anita. — Słyszałeś kiedyś o *Chodla*?

— Co to jest?

— Odmiana kaktusa. Taką miałam ksywkę w liceum.

— Czemu?

— Jeśli ktoś ze mną zadzierał, byłam jak cierń wbity w tyłek.

Brent przyjrzał się jej. Pięć stóp dwa cale wzrostu. Jakies sto pięć funtów wagi. Ale bynajmniej nie wyglądała na chucherko. Wyrobiła sobie mięśnie od dźwignania kamery ważącej dwadzieścia pięć funtów. A jej ciemne oczy wyrażały wewnętrzną siłę.

— Hej, uwierz mi, nie zamierzam z tobą zadzierać — zapewnił. — Nie musisz tam wchodzić, jeśli nie chcesz. Możesz tu na mnie zaczekać.

Idąc w stronę furgonetki, Anita rzuciła przez ramię:

— Oczywiście, że chcę tam wejść.

Jej koński ogon wystający spod bejsbolówki zakołysał się, kiedy dźwignęła kamerę jak piórko i włożyła do furgonetki. Potem usiadła za kierownicą i dodała gazu.

Brent zaczekał, aż przejedzie przez otwór. Potem przesunął bramę na miejsce, żeby ogrodzenie wyglądało na nienaruszone. Wsiadł na miejsce pasażera i ruszyli podjazdem, wzbijając kurz.

— Jeśli mają strażnika, ten kurz go ostrzeże na długo przedtem, zanim tam dojedziemy — zauważyła Anita.

— Nie ma sprawy... chcę tylko pstryknąć to miejsce. Może zobaczymy coś, co pozwoli mi nawiązać do świateł, ale jakoś sobie nie wyobrażam czegoś takiego. Przykro mi to mówić, ale ta historia już się trochę przejadła. — Myślał przez chwilę. — Chyba że wieczorem dojdzie do następnej strzelaniny. Zawsze możemy mieć nadzieję.

Zerknął na lewą dłoń Anity, spoczywającą na kierownicy.

— Nie nosisz obrączki, więc domyślałam się, że jesteś mężatką. Masz chłopaka?

— Hej, chyba się do mnie nie przystawiasz?

Anita sięgnęła do jednej z licznych kieszeni swoich bojówek, zaopatrzonej w metalowy klips. Pociągnęła za klips, który okazał się przymocowany do czarnego składanego noża. Kciukiem otworzyła nóż i pokazała ostrze.

— Pamiętaj, co mówiłam o mojej ksywce. — Machnęła nożem.

— Przysięgam na Boga, że tylko prowadzę rozmowę. Chciałem wiedzieć, jak to się stało, że... jakie to słowo...? *Cholla*... jakbyś należała do gangu motocyklowego...

— Zgadłeś.

— ...że *cholla* została kamerzystą.

— Kamerzystką — poprawiła. — Miałam chłopaka. Przewrócił się na motocyklu, kiedy się popisywał. Zabił się. Oczywiście nie pomogło, że nie nosił kasku. Kilka dni wcześniej rzucił mnie dla innej. Wtedy zrozumiałam, że gangi motocyklowe nie mają przyszłości. Kiedy zobaczyłam ogłoszenie dwuletniego technikum, poszłam tam i zapytałam, jakie mają kierunki, i zdecydowałam, że fajnie będzie nauczyć się obsługiwać kamerę telewizyjną.

— A krytycy narzekają, że telewizja nie wywiera pozytywnego wpływu. I co, jest tak fajnie, jak myślałaś?

— Tylko popatrz, z jakimi wspaniałymi ludźmi pracuję. Brent się roześmiał.

— W każdym razie jeszcze przez jakiś czas — dodała Anita. — Dopóki CNN cię nie zatrudni. Na to liczysz, nie? Jeśli do tego dojdzie i będą potrzebować kamerzystki, szepnij im słówko o mnie.

— Możesz na mnie polegać.

— Nigdy nie obiecuj, jeśli nie zamierzasz dotrzymać.

— Nie kłamie. Jeśli mnie zatrudnią, naprawdę cię polecę. Więc możesz już odłożyć nóż.

Teraz z kolei Anita się roześmiała.

— Popatrz na te talerze. — Pokazała wielkie białe czasze, które jakby wyrastały z za horyzontu, w miarę jak podjeżdżali coraz bliżej. — Przypominają mi gigantyczne roboty z *Terminatora*.

— Niezły greps — pochwalił Brent. — Wykorzystam go.

— Proszę bardzo, skoro razem przechodzimy do CNN. Myślisz, że w Atlancie mają dobre meksykańskie żarcie? Chorizo? Mnóstwo jalapenos w enchiladas z kurczakiem?

— Jakoś w to wątpię.

— W takim razie może sam pojedziesz do Atlanty. Taak, te talerze wyglądają jak gigantyczne roboty.

Z bliska Brenta poraziła wysokość tych konstrukcji. Mają ze trzy czy cztery piętra, pomyślał. I zajmują długość kilku miejskich przecznic. Cholera, przynajmniej zrobimy parę imponujących zdjęć.

Po chwili mógł już policzyć czasze. Dziewięć. Potem zobaczył, że się pomylił. Dziesiąta, ukryta za pozostałymi, była przechylona na bok, jakby przechodziła naprawę.

W polu widzenia pojawiło się ogrodzenie z siatki zwieńczonej drucem kolczastym.

Nie jedno ogrodzenie, pomyślał Brent. Trzy. A dwa wewnętrzne wyglądają jak zrobione całkowicie z drutu kolczastego.

— Oni naprawdę nie lubią gości — zauważyła Anita.

— No, pewnie się boją, że jakieś krowy tu zawędrują i wpadną na czasze.

Droga prowadziła do bramy wysokiej na dziesięć stóp, z ogniów tak grubych, że mogłaby zatrzymać ciężarówkę. Tablica na trzecim ogrodzeniu ostrzegała:

NIEBEZPIECZEŃSTWO WYSOKIE NAPIĘCIE

— Pewnie wysokie napięcie ma powstrzymać krowy, które przeleżą przez pierwsze i drugie ogrodzenie — powiedziała Anita.

— Tak, trochę tu przesadzili z zabezpieczeniami — zgodził się Brent.

— Może dzieciaki z miasta niszczyły czasze... mazały je sprayem czy coś takiego.

— W takim razie wysokie napięcie pokaże tym dzieciakom, jak bardzo rząd potępia graffiti.

Obok baraku z betonowych bloków stała ciężarówka z naczepą.

— Zrobmy trochę zdjęć, dopóki mamy okazję — zaproponował Brent.

— Zaczekaj, aż wykręcę furgonetkę.

— Żebyśmy byli gotowi do ucieczki?

— Nie drażnij *cholla* — ostrzegła.

Kiedy kurz opadł, wysiedli i mrużąc oczy w jaskrawym słońcu, spojrzeli na ogromne białe anteny.

— Tu będzie świetne. — Anita wyciągnęła kamerę przez boczne drzwi i włożyła nowe baterie. — Stań przy bramie. Zrobię ujęcie czasz z dołu, potem przejadę panoramą na tablice „wysokie napięcie” na wewnętrznym ogrodzeniu i skończę na tobie.

— Mówisz jak reżyser, nie jak kamerzysta.

— Kamerzystka — poprawiła ponownie. — Tym razem wiesz, co powiedzieć?

— Ta czasza przechylona na bok...

— Co z nią?

— Wycelowana jakby w stronę Rostova.

— No więc?

— Może dam do zrozumienia, że jest nakierowana na światła.

— Jakby odbierała od nich sygnały? Myślisz, że CNN to łyknie? — Ale spojrzała na talerz, jakby zaintrygowana tym pomysłem.

— Na razie nie wymyślę nic lepszego.

— Więc nie tylko ja nie pojadę do Atlanty. — Oparła kamerę na ramieniu.

— Zaufaj mi. Jak zaczniemy, wymyślę coś lepszego. Zrób tylko kilka ujęć tej anteny przechylonej w stronę Rostova. Zawsze mogę później podłożyć komentarz w razie potrzeby.

Nagle Brent usłyszał hałas za plecami. Opuścił mikrofon, odwrócił się i spojrzął przez potrójne ogrodzenie na drzwi, które otwarły się w betonowym baraku.

Pojawił się jakiś człowiek. Wyłonił się z ciemnego wnętrza tyłem, ciągnąc coś, czego Brent nie widział. Mundur khaki świadczył, że mężczyzna jest strażnikiem.

Obejrzał się, żeby się nie potknąć, i zamarł, kiedy zobaczył furgonetkę. Natychmiast położył to, co ciągnął. Ciemność za drzwiami nadal to ukrywała.

Odwrócił się i wyprostował. Włosy miał ścięte niemal do gołej skóry, rysy twarzy surowe, ramiona szerokie, klatkę piersiową umięśnioną.

Podszedł i zatrzymał się przed furgonetką.

— Chyba umiecie czytać.

— Słucham? — zapytał Brent. Trzymał mikrofon opuszczony, schowany za prawą nogą.

— Tablica na drodze. Jak przejechaliście przez zamkniętą bramę?

— Była zdjęta z zawiasów — wyjaśnił Brent. — Tyle się dzieje dziwnych rzeczy, że nabraliśmy podejrzeń i postanowiliśmy sprawdzić, czy nic się nie stało.

— Wszystko w porządku. Każę naprawić bramę. Jak pan myśli, dlaczego była zdjęta z zawiasów?

— Pewnie dzieciaki.

— Dzieciaki. Oczywiście.

— Nazywam się Brent Loft. Jestem reporterem telewizyjnym. — Lewą ręką, tą, w której nie ukrywał mikrofonu, Brent pokazał logo stacji telewizyjnej na boku furgonetki.

— Tak, widziałem pana w telewizji, jak pan opowiadał o strzelaninie.

— Dzięki.

Kwaśna mina strażnika wskazywała, że to nie był komplement. Mimo wszystko Brent naciskał dalej.

— Skoro już tu jesteśmy, to miejsce wygląda tak fascynująco, czy mogę z kimś pomówić, żeby zrobić o tym reportaż?

Miał nadzieję, że Anita włączyła kamerę. Nie wiedział, dokąd zmierza ta rozmowa, przypuszczał jednak, że będzie mógł później wykorzystać ten materiał. Strażnik stał za daleko, żeby mikrofon wychwycił jego głos, ale Brent mówił dostatecznie głośno, żeby jego kwestie się nagrały.

Spodziewał się, że strażnik odpowie, iż właściwa do tego osoba wyjechała na weekend, albo w inny sposób uprzejmie go spławi. Zaskoczyło go krótkie „nie”.

— Nie?

— Jak napisano na tablicach, to jest własność rządowa. Jeśli wolicie zapłacić karę, możecie się tu dalej kręcić, a ja zadzwonię po gliny. Ale jeśli chcecie wyjść z tego ulgowo, wsiadajcie do samochodu i wracajcie na drogę. Natychmiast.

Brent skupił spojrzenie na otwartych drzwiach za plecami strażnika. Przedmiot, który strażnik ciągnął, leżał w cieniu za progiem. Był częściowo kulisty, jak piłka futbolowa.

— No więc może pan udzieli mi wywiadu — zaproponował Brent. — Jak się panu tu pracuje? Czy praca przy takim wielkim projekcie jest ekscytująca, czy po jakimś czasie staje się nudna jak każda inna?

Strażnik skrzywił się paskudnie. Brent próbował dalej.

— Czy obserwatorium bada tylko gwiazdy, komety i czarne dziury, czy należy również do projektu SETI?

Strażnik skrzywił się jeszcze bardziej.

— Wie pan, SETI — nalegał Brent. — Poszukiwanie inteligencji pozaziemskiej.

Teraz strażnik się nachmurzył.

— Wiem, co to znaczy SETI.

— Niczego innego nie zamierzałem sugerować.

— Słyszałem dowcip, że powinniśmy szukać inteligentnego życia na Ziemi.

Brent znowu skoncentrował się na otwartych drzwiach za strażnikiem. Piłka futbolowa w cieniu chyba miała włosy. O cholera. Brent próbował niczego po sobie nie pokazać.

— Czy pan mieszka na miejscu? — Mówił dalej i jednocześnie modlił się, żeby Anita naprawdę miała włączoną kamerę. — Jak to jest, kiedy się mieszka z dala od wszystkiego?

Strażnik trzymał ręce opuszczone wzdłuż boków. Zacisnął pięści. Rozwarł. Zacisnął. Rozwarł.

— Coś panu powiem. Daję wam dokładnie minutę, żebyście się stąd wynieśli. Jeśli nie chcecie zapłacić kary, wsiadajcie do samochodu i wracajcie na drogę.

Brent spróbował nieznacznie przenieść spojrzenie na ciężarówkę obok strażnika. Z tyłu piętrzyło się kilka przedmiotów. Tylko odrobinę wystawały ponad krawędzie skrzyni, więc nie mógł ich rozpoznać. Ale jeden wyglądał całkiem jak fragment koszuli — wciąż na jakimś ramieniu.

— Dobrze — powiedział, z trudem zachowując spokój. — Przepraszamy, jeśli sprawiliśmy panu kłopot. — Serce waliło mu tak szybko, że poczuł mdłości. — Myślałem tylko, że w tym miejscu można zrobić interesujący reportaż. Ale widzę, że się pomyliłem.

Strażnik też coś zauważył. Spojrzał ponad ramieniem Brenta w stronę Anity, prawdopodobnie na jej kamerę. Polem jakby się zorientował, że Brent ukrywa mikrofon przy nodze.

— Nie chcemy kłopotów — zapewnił Brent.

— Oczywiście. Ma pan rację. To miejsce naprawdę jest fascynujące. Najlepiej zaczekajcie tutaj. Pójdę poszukać faceta, z którym możecie porozmawiać o pozwoleniu na reportaż.

Gestem kazał im zostać na miejscu, odwrócił się i wszedł do baraku, gdzie odsunął z pola widzenia przedmiot, który wcześniej ciągnął. Potem znikł w ciemności.

— Anita, jedziemy! — zawołał nagle Brent.

Obrócił się i zobaczył, że Anita trzyma kamerę przy boku, w pozycji na pozór niewinnej. Ale zdradzała ją czerwone światełko. Pomimo całego strachu Brent ucieszył się, że nagrała wszystko.

Furgonetka stała tyłem do obserwatorium. Anita podbiegła do bocznych drzwi i wepchnęła kamerę na siedzenie.

— W tamtej ciężarówce są ciała — rzuciła szorstko.

— Tak, a on wyciągał następne ciało z baraku. Co tu się dzieje, do cholery?

Brent dopadł drzwi od strony pasażera. Brakowało mu powietrza w płucach, jakby przebiegł sprintem sto metrów.

Anita okrążyła furgonetkę, żeby jak najszybciej dostać się na miejsce kierowcy.

Krew trysnęła z jej lewego ramienia.

Anita upadła.

Brent zagapił się na nią i nagle usłyszał strzały — szybkie i głośne, jakby wybuchała taśma z ogromnymi petardami. Coś świsnęło mu nad uchem. Metal brzęknął kilka razy. Brent obejrzał się na obserwatorium i zobaczył, że strażnik stoi w otwartych drzwiach baraku i strzela z karabinka szturmowego. Trzy rzędy ogrodzenia działały jak osłony, siatka i druty zmieniały tor wielu pocisków. W powietrzu fruwały kawałki rozrywanego metalu, strzelały iskry wysokiego napięcia.

Czując pieczenie draśniętego ucha, Brent podbiegł do Anity i wciągnął ją przed furgonetkę, w miejsce niewidoczne dla strażnika. Miesiąc wcześniej zrobił reportaż o strzelaninie pomiędzy trzema rabusiami banków a samotnym policjantem. Policjant przeżył, ponieważ schował się za przednią częścią radiowozu, za silnikiem, który — jak powiedziano Brentowi — mógł zatrzymać każdą kulę.

— Anita. Anita!

Z ulgą zobaczył, że była przytomna, ale natychmiast zarejestrował szeroko otwarte oczy, szybko mrugające z bólu, i bladość ciemnej cery. Kiedy ją ciągnął, zostawiła za sobą na ziemi smugę krwi. Poszarpana rana w przedramieniu, szeroka i głęboka, dochodziła aż do kości.

Ona się wykrwawi na śmierć.

Brent o mało nie wymiotował.

Usiłując sobie przypomnieć, czego się nauczył dawno temu na kursach udzielania pierwszej pomocy, Brent ściągnął krawat i owinał go wokół lewego bicepsa Anity, nad raną. Jeden z

instruktorów powtarzał: „Improwizujcie”. Zlany potem, Brent zawiązał krawat, wyjął długopis z kieszeni koszuli i wepchnął pod krawat. Okręcił długopis i zacisnął krawat dostatecznie mocno, żeby zmniejszyć upływ krwi.

— Od tego ramię ci trochę zdrtwieje. — Pamiętał, że lekarz tak mówił. — Powinno też zmniejszyć ból.

— Boże, mam nadzieję. — Anita przygryzła wargę. Strzały ucichły. Gorący wiatr niósł zapach spalonego prochu.

Walcząc z paniką, Brent wyrzwał zza maski furgonetki. W otwartych drzwiach baraku strażnik wyrzucił zużyty magazynek i załadował nowy do karabinu. Twarz miał wykrzywioną jakby z bólu. Skończył przeładowywać, spojrzał w stronę Brenta i strzelił w tylne opony furgonetki. Znowu poleciały iskry i strzępy metalu, kiedy pociski rykoszetowały od ogrodzenia, ale przeszło wystarczająco wiele, żeby poszarpać opony. Brent słyszał, jak eksplodują.

Tył furgonetki opadł.

Zginiemy, pomyślał Brent.

Chociaż oddychał coraz szybciej, ciągle brakowało mu powietrza. Wyobraził sobie, jak strażnik wrzuca ciała jego i Anity na pakę ciężarówki razem z pozostałymi. Gorączkowo oderwał telefon komórkowy od paska i nacisnął kilka klawiszy, ale kiedy przyłożył komórkę do lewego ucha, jęknął z rozczarowania. Usłyszał tylko martwą ciszę.

Martwa cisza. Poczul w ustach smak żółci.

— Na pewno zgadnę, co robisz! — zawołał strażnik. — Próbujesz zadzwonić z komórki! Nie fatyguj się! Nie działa. Tak daleko nie ma żadnych cywilnych operatorów!

— Mój szef wie, dokąd pojechaliśmy! — odkrzyknął Brent. — Wyśle ludzi, żeby nas szukali!

— Kiedy zobaczą tablicę, nie będą tacy głupi, żeby wtargnąć na teren rządowy! Jak długo szef będzie czekał, zanim zaczniesz się martwić? Dwie godziny? Trzy? Jeśli rzeczywiście przyjadą was szukać, do tej pory was nie znajdują, możesz mi wierzyć!

Brent wzdrygnął się, kiedy strażnik wystrzelił następną salwę. Tym razem więcej pocisków przeszło przez potrójne metalowe ogrodzenie i roztrzaskało tylne szyby furgonetki.

— Teraz żałujesz, że nie posłuchałeś zakazu?! — wrzasnął strażnik. — Ostrzegałem cię, no nie? Mówiłem, że poniesiesz karę! Hej, panie wielki reporterze, mam do ciebie pytanie!

— Pytaj o cokolwiek! — Brent miał nadzieję zyskać na czasie. .:

— Chodziłeś do szkoły spikerów czy coś takiego?

Co, u diabła...? Brent nie miał wyboru, musiał się podporządkować kaprysom faceta. Wszystko było lepsze niż kula w łeb.

— Tak, mam magisterium z dziennikarstwa!

— Wiedziałem! Musiałeś się tego nauczyć! Nikt nie rodzi się takim palantem!

Strażnik zrobił więcej dziur w tyle furgonetki.

Brent usłyszał chłopot płynu spływającego na ziemię. Do jego nozdrzy dotarł gryzący zapach benzyny wylewającej się z podziurawionego baku.

Jednocześnie usłyszał coś jeszcze — odległy warkot silnika. Ktoś jedzie. Pomoże nam, pomyślał. Spojrzał na drogę prowadzącą do autostrady, ale nie zobaczył obłoczku kurzu.

Warkot zbliżył się i spotęźniał, urósł do grzmotu.

W powietrzu. Brent odwrócił się w stronę zachodzącego słońca i zobaczył ciemną sylwetkę helikoptera, lecącego do obserwatorium.

Dzięki Bogu, pomyślał.

Strażnik też dostrzegł helikopter.

— Później się z tobą rozprawię, panie reporterze telewizyjny!

Brent ostrożnie wysunął głowę zza furgonetki i zobaczył, że strażnik zniknął w ciemnym wejściu do budynku. Barak był bardzo mały, więc Brent doszedł do wniosku, że w środku są schody prowadzące pod ziemię.

Poprzednim razem, kiedy strażnik wszedł do baraku, wrócił z karabinem. Brent wołał nie myśleć, co przyniesie teraz. Ze strachu zaschło mu w ustach.

Kątem oka dostrzegł ruch. Anita z jękiem zdołała usiąść i oparła się o przód furgonetki.

— Nie mogę prowadzić z tym ramieniem. — Podtrzymała je ostrożnie. — Kluczyki mam w prawej kieszeni spodni. — Pot spływał jej po policzkach. — Jedźmy stąd, dopóki on ma inne zajęcie.

Brent pogrzebał w jej kieszeni i wyciągnął kluczyki. Wyjął też nóż, który tam trzymała. Nie miał pojęcia, co z nim robić. Mimo to wepchnął go do kieszeni własnych spodni.

Anita podniosła się z trudem.

Brent pospieszył jej z pomocą, objął ją i podprowadził do drzwi furgonetki. Dyszał szybko i chrapliwie, kiedy podsadzał ją na fotel pasażera. Zamknął drzwi, starając się nie hałasować, i pobiegł na stronę kierowcy. Ze strachu nogi się pod nim uginały, kiedy siadał za kierownicą. Drżącymi palcami nie mógł włożyć kluczyka do stacyjki.

No, włącz! W końcu mu się udało.

Przekręcił kluczyk i ogarnęło go poczucie triumfu, kiedy silnik ożył z rykiem. Nagle triumf przerodził się w panikę. W lusterku wstecznym Brent zobaczył, że strażnik wybiegł z baraku. Trzymał karabin z czymś grubym przyczepionym pod lufą.

Brent wduśił pedał gazu i poczuł, że przebite tylne opony próbują złapać przyczepność. Obręcze kół zagłębiły się w ziemię, wzbijając chmurę pyłu. Przestał widzieć strażnika.

Może kurz nie pozwoli mu wycelować!

Furgonetka ociężale ruszyła do przodu.

Anita znalazła siłę, żeby mu powiedzieć:

— Zmniejsz gaz. Koła buksują.

Brent posłuchał. Furgonetka zareagowała i zaczęła się oddalać od obserwatorium. W lusterku wstecznym Brent zobaczył, że kurz opada. Strażnik podniósł karabin do ramienia. Przez hałas silnika furgonetki przebił się huk helikoptera, podchodzącego do lądowania.

Furgonetka trochę przyspieszyła, przedziurawione tylne koła orały ziemię.

Brent gorączkowo spoglądał w lusterko wsteczne. Strażnik nagle zmienił kierunek celowania. Odwrócił się na zachód, w stronę nadlatującego helikoptera. Na tle nieba przedmiot przymocowany do lufy karabinu wydawał się jeszcze grubszy.

Brent spojrział na prawo, ponad głowę Anity, w stronę masywnej sylwetki helikoptera, tak bliskiej, że widział już niewyraźny owal twarzy pilota za szybą kabiny. Przeniósł spojrzenie na lusterko wsteczne i zauważył, że karabin drgnął jak przy strzale. Coś wyleciało z przedmiotu przymocowanego pod lufą.

Przód helikoptera eksplodował. Fala uderzeniowa zachwiała furgonetką, ognista kula drugiej eksplozji — prawdopodobnie zbiorników paliwa — rozerwała maszynę na kawałki. Szczątki pofrunęły na wszystkie strony. Odłamki wirników, fragmenty kadłuba, kawałki silników uderzyły o ziemię. Buchnął dym. Trawa stanęła w ogniu. Płonący szkielec kadłuba rąbnął w ziemię, przetoczył się i zmiażdżył odcinek ogrodzenia. *Madre de Dios* — powiedziała zaszokowana Anita.

Prędkościomierz pokazywał piętnaście mil na godzinę. Szybciej furgonetka już nie mogła jechać, z tylnymi oponami w strzępach i obręczami kół wrzynającymi się w ziemię. Damy radę — zdołała wykrztusić Anita.

Brent znowu spojrzął w lusterko wsteczne i poczuł ucisk w piersiach, widząc, że strażnik odwraca się i znowu do nich celuje.

Anita, trzymaj się.

Karabin podskoczył. Coś wyleciało z wyrzutni zamontowanej pod lufą.

Kolejna fala uderzeniowa zakołysała furgonetkę. W lusterku wstecznym Brent zobaczył, jak wybuch rozrywa ziemię.

— Jesteśmy już daleko! — zawołał. — Tak, damy radę!

Słowa uwięzły mu w gardle, kiedy zobaczył płomienie wystrzeliwujące z ziemi za furgonetką.

Dziury od kul w baku. Zostawiamy za sobą ścieżkę benzyny.

Pęcherz mu puścił, kiedy płomienie zaczęły doganiać samochód.

— Nie!

Tył furgonetki podskoczył, kiedy ogień dotarł do paliwa wyciekającego przez dziury w baku. Wybuch nie przypominał trafienia granatem. Nie wywołał głośnego huków. Nie rozerwał na kawałki tyłu furgonetki. Niemniej był potężny i lusterko wsteczne wypełniło się odbiciem dymu i płomieni.

Ogień zaczął się rozszerzać do przodu. Brent przydepnął hamulec. Z ulgą zobaczył, że Anita zebrała siły, żeby otworzyć drzwi po swojej stronie i wylądować na ziemi. Pchnął drzwi po stronie kierowcy, wyskoczył i podbiegł do niej. Klęczała na jednym kolanie, usiłowała wstać.

Złapał ją i pociągnął do rowu, upadł, zepchnął ją na dół.

Płomienie objęły już połowę furgonetki.

— Potrzebuję kamery — oświadczył Brent.

— Nie ryzykuj. Trafi cię.

Serce mu waliło tak mocno, jakby miało wyskoczyć spod między żeber. Poderwał się, podbiegł do bocznych drzwi furgonetki, szarpnął je i otworzył. Płomienie go liznęły, kiedy chwycił kamerę.

Coś śmignęło obok niego. Kula.

Kaszląc od dymu, skulił się i pobiegł, trzymając kamerę obiema rękami. Następna kula przeleciała tuż obok. Dotarł do rowu i upadł na plecy, żeby nie rozbić kamery.

— Głupi jesteś. — Anita miała oczy szeroko otwarte i jeszcze bardziej zbladła.

— Moja matka zawsze tak uważała.

Nacisnął guzik nagrywania i skierował kamerę na płonąca furgonetkę, panoramując od ognistego tyłu aż do przednich siedzeń, które zajęły się ogniem. Potem zrobił zbliżenie poszarpanej tylnej opony, która zaczęła się topić od żaru. Dym klębił się dramatycznie.

— Jesteś ranny — powiedziała Anita.

— Gdzie?

— W prawe ucho.

Brent dotknął ręką rany, poczuł śliską krew i rozcięcie w małżowinie.

— Krew ścieka ci na szyję i na ramię — wymamrotała Anita.

— Dobrze. Jeśli pomogę ci ustawić kamerę, dasz radę to nakręcić?

— Ty naprawdę zwariowałeś.

— Spodziewasz się, że będę siedział beczynnym, kiedy on próbuje nas zabić? Kamera to moja jedyna broń. Zamierzam nagrać jak najwięcej. Jeśli z tego wyjdziemy, to będzie reportaż mojego życia. — Słowo „życie” sprawiło, że zamilkł. Rozpaczliwie próbując o tym nie myśleć, dodał: — Mogę za to dostać nagrodę Emmy.

— Możemy.

— Co?

— My możemy dostać nagrodę Emmy.

— Racja. — Brent wycelował w nią kamerę, nakręcił krew, którą nasiąkła kurtka safari. Zrobił zbliżenie zaimprovizowanej opaski uciskowej.

Helikopter, przypomniał sobie. Muszę nakręcić helikopter, dopóki jeszcze płonie.

Przezołgał się po dnie rowu, aż ocenił, że oddalił się wystarczająco, żeby strażnik nie patrzył w jego stronę. Podniósł się, zobaczył dym i płomienie buchające z wraku maszyny. Nastawił obiektyw kamery i zrobił najazd na część kadłuba, która przygniotła odcinek ogrodzenia.

Taak, pomyślał, dostanę za to Emmy.

Oboje dostaniemy Emmy, poprawił się.

Jeśli przeżyjemy.

53

Sierżant Lockhart przejechał na motocyklu obok tablicy WSTĘP WZBRONIONY POD KARĄ i zatrzymał się przed bramą obserwatorium. Z zachodu dobiegł go odległy warkot helikoptera. Nisko stojące słońce raziło go w oczy, dlatego z trudem wypatrzył powiększającą się plamkę maszyny. Prawdopodobnie black hawk z kolejną dostawą sprzętu, zapowiedziany przez pułkownika Raleigha.

Na razie zero problemów. Wszystko zgodnie z planem.

A w dodatku Lockhart miał okazję przejechać się na motocyklu. Zresztą chętnie korzystał z każdej okazji, żeby odpocząć od pułkownika. Facet groził, że go wyśle do strefy wojennej, i Lockhart zaczął się zastanawiać, czy to nie byłoby lepsze od obecnego przydziału. Chyba każde miejsce byłoby lepsze od tego koszmarnego bunkra pod porzuconą bazą lotniczą.

Zastrzelić psa? Co to miało znaczyć, do cholery?

Sierżant sięgnął do kieszeni džinsów i wyciągnął klucz, który dostał od pułkownika, żeby otworzyć bramę. Potem zauważył, że brama stoi trochę krzywo. Przyjrzał się dokładnie i zobaczył, że drugi koniec zdjęto z zawiasów.

Marszcząc brwi, pchnął skrzydło bramy. Kiedy wprowadzał motocykl na drogę wiodącą do obserwatorium, jakiś dźwięk kazał mu przystanąć, a potem się skulić. Słyszał taki dźwięk wiele razy w Iraku.

Huk odległej eksplozji.

Dochodził od strony obserwatorium.

Po chwili nastąpiła druga eksplozja. Lockhart podniósł wzrok na niebo, ale już nie zobaczył ani nie usłyszał helikoptera. Zobaczył natomiast kolumnę dymu.

Trzecia eksplozja wywołała więcej dymu.

Lockhart sięgnął do brezentowej torby przymocowanej z tyłu motocykla. Torba zawierała karabinek M4 razem z dwoma zapasowymi magazynkami po sto sztuk oraz kilka pudełek z amunicją — kłopotliwa ilość, na którą nalegał pułkownik.

W torbie znajdowała się również krótkofalówka wyposażona w szyfrator, którą Lockhart pośpiesznie wyciągnął.

54

Trzymając zatyczkę w rękę, Raleigh słuchał niepokojącego raportu z krótkofalówki. W ustach mu dziwnie zaschło.

— Mogę wysłać wsparcie dopiero po zmroku — powiedział do radiotelefonu. — Nie mamy żadnego transportu oprócz suburbanów. Za bardzo rzucają się w oczy i jeśli wyślę ludzi w ciągu dnia, tłum na drodze to zobaczy. Nie możemy się narażać na zdemaskowanie. Przeprowadź rekonesans jak najbliżej obserwatorium. Melduj na bieżąco.

Raleigh zakończył transmisję. Kiedy ponownie włożył zatyczkę do ucha, odcinając dwie trzecie dźwięków w pomieszczeniu, zauważył, że kilku ludzi przed monitorami zerka ciekawie w jego stronę. Chociaż minęła szósta wieczorem, w zimnym górnym oświetleniu nadal wydawało się, że jest trzecia nad ranem.

— Czy wszystko ustawione? — rzucił szorstko do jednego z mężczyzn, tonem głosu sugerując, że są ważniejsze rzeczy do roboty niż podsłuchiwanie jego rozmów przez radio.

— Prawie, panie pułkowniku — odpowiedział pospiesznie zapytany. — Zaczynamy wzmacniać sygnały.

Raleigh stanął za jego plecami. Ekran komputera pokazywał nieregularnie rozrzucone kropki, wizualny odpowiednik zakłóceń wydobywających się z monitorów audio, które sąsiadowały na stole z innymi mrugającymi urządzeniami elektronicznymi. Odbiorniki, analizatory i dekodery zapełniały każdą półkę. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, wkrótce zakłócenia przerodzą się w upojną muzykę, którą pułkownik słyszał już w Fort Meade, a wtedy ekran komputera pokaże odpowiednik falujących, dryfujących, hipnotycznych świateł.

— Nie macie zatyczek w uszach, żołnierzu.

— Przepraszam, panie pułkowniku. Byłem taki zajęty, że zapomniałem.

Raleigh przeszedł na środek pomieszczenia i podniósł głos.

— Uwaga, wszyscy!

Ośmiu mężczyzn uniosło głowy znad elektroniki, którą dostrajali.

— Wszyscy mają nosić zatyczki do uszu. — Raleigh wskazał na własne. — Ostrzegalem was, że składnik audio tego projektu może uszkodzić słuch. Nie chcę, żeby czyjaś mama płakała mi w rękaw, bo synus nie słuchał rozkazów i ogłuchnął. Włóżcie zatyczki, natychmiast!

Pospiesznie wykonali rozkaz.

— W razie potrzeby dołóżcie słuchawki tłumiące hałas, które przywieźliśmy.

Kiedy upewnił się, że wszyscy go posłuchali, ruszył do metalowych drzwi, które prowadziły do najbardziej wewnętrznego pomieszczenia. W rzeczywistości wcale się nie martwił, że jego ludzie ogłuchną. Jeśli eksperyment się nie uda, głuchota będzie ich najmniejszym problemem.

Natomiast miał nadzieję, że zatyczki do uszu — i w razie potrzeby słuchawki tłumiące hałas — ochronią ich słuch na tyle, żeby zachować ich przy życiu.

W centralnym pomieszczeniu spojrzął na monitor telewizji przemysłowej, który pokazywał widok opuszczonej bazy lotniczej na górze. Za rozwalonymi, przerdzewiałymi hangarami zobaczył owczarka niemieckiego i tresera patrolujących ogrodzenie. Tłum w punkcie obserwacyjnym rozproszył się na tyle, że kilka osób podeszło porozmawiać z treserem. Pies kłapał nu nich zębami. Ludzie za ogrodzeniem podnieśli ręce w geście „nic chcemy kłopotów” i odstąpili.

Raleigh zastanawiał się, czy owczarek niemiecki zawsze był Inki agresywny.

Wkrótce się dowiemy, pomyślał. Po zmroku sprowadzę psa do środka. Zobaczymy, jak się zachowa. Psy mają bardziej wrażliwy słuch niż ludzie. Jeśli coś pójdzie źle, pies zareaguje pierwszy... i będziemy musieli go zastrzelić.

Popatrzył na grube metalowe drzwi pomieszczenia, upewniając się, że wytrzymają nawet wybuch granatu. Sprawdził, że w kącie leży M4 i kilka pełnych magazynków po sto sztuk amunicji. Otworzył szafkę na akta, która zawierała zestaw pierwszej pomocy oraz żelazne racje

— włącznie z wodą — na wypadek gdyby musiał zabarykadować się w tym pomieszczeniu na dłuższy czas.

Co jeszcze muszę wziąć pod uwagę? Zawsze coś zostaje.

Starał się przewidzieć wszystko, każdą ewentualność. Niemniej teraz ponownie odtworzył w myślach historię tego miejsca i zastanowił się, czy czegoś nie pominął. Znał na pamięć każdy incydent, który się tu wydarzył. Przeczytał wszystkie raporty. Niektóre datowały się z naprawdę dobrych czasów, zanim wkroczyło tutaj wojsko. Jeden z raportów jednakże nie pochodził od historyka ani taktyka.

Pochodził od jego prababki.

55

Dwudziesty drugi stycznia 1916 roku.

Koń zrobił się niespokojny. Zwykle zachowywał się tak grzecznie, że jeździec — dwudziestodwujęcioletnia nauczycielka Dani Marie Brown — rozejrzała się czujnie, wypatrując kojotów.

Jechała pylistą drogą prowadzącą z Rostova do Loden, miasteczka położonego w odległości piętnastu mil, gdzie uczyła w szkole podstawowej w czwartki, piątki i soboty, po lekcjach w Rostovie w poniedziałki, wtorki i środy. Miejscowi hodowcy bydła w obu miasteczkach zgadzali się zwolnić dzieci z obowiązków najwyżej na trzy dni w tygodniu.

Dani czasami siedziała w szkole od świtu do nocy, przygotowując zajęcia albo oceniając klasówki, kiedy nie prowadziła lekcji z uczniami. Był to męczący harmonogram, ale Dani dorastała w Rostovie i nie podobało jej się z dala od domu, w tłocznym, hałaśliwym El Paso, gdzie zdobyła dyplom nauczycielski. Długie, spokojne godziny w tym znajomym, bezpiecznym otoczeniu bardziej jej odpowiadały niż chaos obcego świata na zewnątrz.

W zimie, kiedy słońce zachodziło wcześniej, Dani musiała opatulać się kożuchem i jechać z miasta do miasta po ciemku. To jej nie przeszkadzało. Gwiazdy i księżyc — nawet skrawek lego ostatniego — zapewniały dostatecznie dużo światła, żeby widzieć drogę. W pochmurne noce zabierała lampę.

Jako doświadczona amazonka nigdy się nie martwiła, że nie zapanuje nad kasztanowym koniem rasy quarter, którego jej kupili rodzice. Teraz jednak, kiedy zwierzę zaczęło się płoszyć, ściągnęła wodze i wcisnęła obcasy w strzemiona, ze zwiększoną uwagą wpatrując się w cienisty krajobraz. Podczas letnich upałów kojoty nie stanowiły jedynego zagrożenia, które mógł wyczuć koń — istniało niebezpieczeństwo, że na drogę wypełźnie grzechotnik, żeby wchłaniać resztki ciepła dnia, ale nie tej nocy, kiedy temperatura spadła dostatecznie, żeby kałuże pokryły się warstwą lodu.

Niemniej Dani zaczęła się niepokoić.

Do niedawna czuła się szczęśliwie izolowana w tym spokojnym zakątku Teksasu, ale potem ojciec zamówił odbiornik radiowy z katalogu i teraz, podczas tej podróży, jej myśli krążyły wokół eskalacji wojny w Europie, która osiągnęła nowe szczyty okropności. Istniało zagrożenie, że Stany Zjednoczone dołączą do walki z Niemcami.

Przed samym wyjazdem do Loden Dani złożyła rodzicom krótką wizytę i wysłuchała radiowego sprawozdania o atakach z użyciem chloru i fosgenu — gazów niszczących płuca. Krążyły pogłoski o pracach nad czymś jeszcze gorszym — parzącym gazem musztardowym, który rozpuszczał skórę i ciało. Gaz pozostawał aktywny długo po tym, jak wsiąknął w ziemię,

toteż w rezultacie żołnierze, którzy wzbijali kurz, maszerując przez pole bitwy, mogli wywołać wtórny atak gazowy.

I to nie były jedyne nowe potworności. Dani mogła sobie tylko wyobrazić strach i cierpienia spowodowane przez takie niedawno wynalezione rodzaje broni, jak czołg i miotacz ognia. Dlatego podczas tej zwykle spokojnej przejażdżki miała zamęt w głowie.

Nagle coś z prawej strony przyciągnęło jej uwagę. Zmarszczyła brwi na widok dziwnej iluminacji nad południowym horyzontem. Jakieś światła podskakiwały i opadały. W pierwszej chwili pomyślała, że to pochodnie trzymane przez jeźdźców. Jednakże owi jeźdźcy mogli nadjechać tylko z jednego kierunku, z Meksyku.

Przeraziła ją ta myśl, ponieważ Meksyk również stał się niebezpiecznym miejscem. Niedawna rewolucja podzieliła kraj na zwaśnione frakcje, do których Niemcy wysyłali pieniądze, żołnierzy i broń w nadziei, że Stany Zjednoczone, zajęte niepokojami na południowej granicy, nie wezmą udziału w europejskiej wojnie.

Mój Boże, pomyślała Dani, czy to mogą być Niemcy?

Koń nadal stawiał opór.

Uspokój się, napomniała samą siebie. Koń wyczuwa twój strach. Dlatego sprawia kłopoty.

Nie, to nie jest niemiecka inwazja z Meksyku, stwierdziła.

Teraz, kiedy przyjrzała się dokładnie, światła wcale nie wyglądały jak jeźdźcy z pochodniami.

No ale jeśli to nie pochodnie, to co?

Dopiero po chwili przyszło Dani do głowy, że to mogą być światła, o których tyle słyszała, gdy była dzieckiem. Opowieści zdawały się wysrane z palca i Dani puszczała je mimo uszu, bo chociaż wiele osób w miasteczku twierdziło, że widziało światła, sama nigdy ich nie zobaczyła.

Teraz światła na odległym horyzoncie przybrały formę świetlistych kul. Ich kolory przypominały fragmenty tęczy. Czasami się zlewały, czerwone i niebieskie stawały się fioletowe, a zielone i czerwone zmieniały się w żółte. Dryfowały na boki albo wlatywały i opadały, jakby unoszone prądem.

Robiły się coraz większe i jaśniejsze.

Dani uświadomiła sobie, że słyszy jakiś dźwięk, buczenie, które stopniowo przybierało na sile, aż rozboleły ją uszy.

Nagle koń stanął dęba. Dani przywarła do jego szyi i mocniej ścisnęła boki zwierzęcia nogami. Spanikowany wierzchowiec zarżał i rzucił się w bok. Ponownie próbował stanąć dęba, a potem — pomimo wysiłków wprawnego jeźdźcy — popędził dragą na oślep.

Jadąc w takim tempie, Dani powinna mieć kłopoty z wypatrywaniem przeszkód po ciemku, teraz jednak na drodze zrobiło się nienaturalnie jasno. Walcząc z nieposłusznym koniem, Dani widziała jaskrawe błyski kolorów. Bez ostrzeżenia światła otoczyły ją, zawirowały wokół niej, uwięziły ją w pułapce.

Koń natychmiast wierzgnął tak mocno, że Dani wyleciała z siodła. Uderzyła o ziemię, ból przeszył jej zębra, w oczach pociemniało. Oszołomiona, usłyszała rzenie przerażonego konia. Tętent kopyt rozbrzmiał znowu i ucichł w oddali.

Dani nie wiedziała, jak długo leżała nieprzytomna. Kiedy się ocknęła, światła znikły. Nadpłynęły chmury, które częściowo zakryły księżyc i gwiazdy. W nikłym świetle Dani dźwignęła się na nogi. Pomimo zimna cała się spociła od bólu w zębrach.

Słabym głosem zawołała konia, ale nie wrócił. Zawołała jeszcze raz, zrezygnowała i spróbowała się zorientować w otoczeniu. W którą stronę powinna pójść, by dotrzeć do Rostova? To miasto było bliżej. Gdyby pomyliła kierunki i ruszyła do Loden, nie wystarczyłoby jej sił, żeby dojść tak daleko.

Rozejrzała się po niebie w poszukiwaniu Gwiazdy Polarnej. Żebra tak ją bolały, że ledwie trzymała się na nogach.

Wielki Wóz. Muszę znaleźć Wielki Wóz.

Tam. Kiedy była mała, ojciec nauczył ją orientować się według gwiazd, w razie gdyby kiedyś zabłądziła w nocy. Dwie ostatnie gwiazdy Wielkiego Wozu wskazywały w stronę Małego Wozu, a gwiazda na końcu dyszla Małego Wozu to była Gwiazda Polarna.

Teraz Dani wiedziała, gdzie jest zachód, gdzie leży Rostov. Chwiejnie ruszyła po ciemnej drodze, potknęła się i upadła. Ból przywrócił jej świadomość. Podczołgała się kawałek i wreszcie zdołała znowu wstać.

Czas stracił wszelkie znaczenie.

Poczuła kolejne ukłucie ostrego bólu i zorientowała się, że wpadła na ścianę budynku. Dopiero wtedy zrozumiała, że dotarła do miasta. Półprzytomna, dwa razy skręciła w złą stronę, zanim załomotała do drzwi domu ojca.

Kiedy otworzył, upadła mu w ramiona.

* * *

Następnego ranka wieść o jej przeżyciach rozeszła się po mieście. Liczni przyjaciele odwiedzali ją, żeby zaspokoić ciekawość.

— Niemcy? — zapytał weterynarz. Jako najbliższy lekarzowi przedstawiciel nauk medycznych w Rostovie doradził, żeby Dani nosiła gorset dla ochrony żeber, dopóki się nie zrosną.

— Nie — odparła. — Chyba nie.

Gorset tak mocno ścisnął jej obolałą klatkę piersiową, że ledwie mogła oddychać.

— Ale mówiłaś, że widziałaś jeźdźców z pochodniami — przypomniał jej ojciec. — Jeśli nie Niemcy, to Meksykanie?

— Nie, ja tylko myślałam...

— To mogła być ekspedycja zwiadowcza — orzekł burmistrz Rostova. — Kilku zbliżyło się na tyle, żeby rzucić w ciebie pochodniami. Ludzie Carranzy sprzymierzyli się z Niemcami. Wszyscy to wiedzą. Niewykluczone, że Carranza sprawdza, jak daleko może się zakraść w głąb Teksasu, zanim ktoś narobi szumu.

— Albo może to ten drań Villa — podsunął miejski kowal, — On rozpaczliwie potrzebuje pieniędzy i zaopatrzenia.

— Nic nas nie dzieli od granicy. — Matka Dani miała przerażoną minę. — Mogą nas pomordować we śnie.

— Nie, to nie byli ludzie na koniach — upierała się Dani.

— A nie tak mówiłaś? — zdziwił się burmistrz. — Zobaczyłaś coś na horyzoncie, a potem nagle wirowało wokół dobie. Nie tak to opisałaś?

— Tak. — Ściśnięta przez gorset i opuchnięta Dani ledwie mogła mówić.

— Może to samolot. Widziałem taki w El Paso, kiedy ostatnio odwiedzałem siostrę.

Aleja nie słyszałam silnika.

— Mówiłaś, że coś słyszałaś.

— Buczenie — odparła. — Dochodziło nie wiadomo skąd.

— Podczas gdy wokół ciebie wirowały oślepiające światła.

— Tak, ale...

Burmistrz wstał i nałożył płaszcz.

— Skontaktuję się z Fort Bliss. Trzeba ostrzec wojsko.

- Przed czym?
— Myślę, że Niemcy testują nową broń.

* * *

Następnego dnia z popołudniowego słońca wyłonił się punkcik. Słyszac warkot silnika, ludzie spoglądali na zachód, gdzie stopniowo ukazała się sylwetka samolotu, jaskrawożółta na tle nieba. Samolot miał dwie pary skrzydeł, jedna nad drugą, i dwa siedzenia, jedno za drugim. Samotny pilot siedział z tyłu.

Okrażył miasto na oczach ludzi, którzy zebrali się na głównej ulicy. Schodząc w dół, samolot jakby płynął, coraz niżej nad polną drogą. Dotknął ziemi i podskoczył lekko, a potem wzbił chmurę kurzu, hamując na spłachetku spieczonej trawy.

Zachwyceni ludzie ruszyli hurmem na pole. Pilot wyłączył silnik, wydzwignął się z tylnego siedzenia i zeskoczył na ziemię. Nosił wysokie buty, skórzane rękawice, skórzaną kurtkę, pod spodem mundur khaki i tego samego koloru szalik na szyi. Przy szerokim parcianym pasie wisiała kabura z pistoletem, który ktoś rozpoznał jako nowy półautomatyczny colt .45. Kiedy przybysz zdjął gogle, wokół oczu zostały mu białe obwódki, kontrastujące z kurzem, który pokrywał resztę twarzy, włącznie z wąsami.

— Jestem kapitan John Raleigh — przedstawił się gładkim głosem, przykuwającym uwagę.
— Możecie podejść trochę bliżej, jeśli chcecie. — Butem narysował linię na ziemi. — Dotąd. Ale nie dotykajcie samolotu.

— Jak to lata? — zapytał ktoś w zdumieniu.

— Śmigło wypycha powietrze za skrzydła. Są tak ukształtowane, że pod nimi tworzy się obszar wysokiego ciśnienia, a nad nimi obszar niskiego ciśnienia. Różnica pomiędzy wysokim a niskim ciśnieniem unosi samolot.

Kilka osób skrzywiło się, jakby pilot wygadywał bzdury. Inni kiwali głowami i udawali, że zrozumieli.

— Czym są pokryte skrzydła? — chciał wiedzieć inny człowiek.

— Pasami płótna. Połączonymi wodoodporną substancją, taką jak szelak.

— Nie wydają się specjalnie mocne.

— Dostatecznie mocne. Przyniosły mnie aż z El Paso. — Pilot rozejrzał się, po czym znowu zwrócił się do tłumu: — Gdzie wasz burmistrz? Przyleciałem z nim porozmawiać.

— To ja, kapitanie. Nazywam się Ted McKinney. — Burmistrz wystąpił z tłumu i podał rękę pilotowi. — Dziękuję za szybkie przybycie. Moje biuro jest kawałek dalej przy tej ulicy.

— To my dziękujemy, że pan nas zawiadomił — odparł kapitan Raleigh, — Chciałbym zacząć od razu. Armia jest bardzo zainteresowana pańskim raportem.

Tłum się rozstał, żeby przepuścić burmistrza i pilota.

* * *

Burmistrz McKinney był prezesem jedyne go banku w Rostovie. On i Raleigh spędzili godzinę w budynku z cegły suszonej u słońca. Na ulicy czekało wiele osób, zaciekawionych, o czym im mawiają dwaj mężczyźni.

Kiedy burmistrz i Raleigh wyszli, skierowali się na drugą stronę ulicy, do sklepu z pasmanterią należącego do rodziców Dani. Na tyłach znajdowało się ich mieszkanie, tam Dani dochodziła do zdrowia.

Na ulicy zebrało się jeszcze więcej ludzi.

Pół godziny później burmistrz wyszedł ze sklepu. Poprzedzany terkotem silnika, wrócił wkrótce w swoim fordzie model T.

Kapitan Raleigh wyszedł ze sklepu i przytrzymał drzwi przed Dani, która owinęła się płaszczem i sztywno podeszła do samochodu. Kapitan pomógł jej wsiąść na miejsce pasażera, a sam zajął miejsce z tyłu. Mieszkańcy miasteczka obserwowali z narastającą ciekawością, jak burmistrz McKinney odjechał w stronę Loden.

* * *

Zimowe słońce opadło dostatecznie nisko, żeby dotknąć horyzontu. Szkarłatna poświata pogłębiła brązowy kolor skórzanej kurtki Raleigha. Kapitan wychylił się do przodu z tylnego siedzenia, żeby Dani go usłyszała przez klekot silnika forda.

— Dziękuję, że się pani zgodziła, panno Brown. Niewiele kobiet zdobyłoby się na odwagę, żeby wrócić do miejsca, gdzie je zaatakowano.

— To chyba nie jest kwestia odwagi, kapitanie Raleigh — wyjaśniła Dani z wahaniem. — To raczej gniew.

— Gniew? — zdziwił się kapitan.

Nie mogła nie zauważyć, że jest bardzo przystojny. Stojąc czy siedząc, trzymał się prosto; pomyślała, że ma zadatki na świetnego jeźdźca.

Odsunęła te myśli i mówiła dalej:

— Ktoś znalazł mojego konia. W każdym razie jego szkielet, kiedy już kojoty z nim skończyły. Ktokolwiek mnie zaatakował, jest za to odpowiedzialny.

— Przykro mi z powodu pani konia — powiedział takim tonem, jakby naprawdę było mu przykro. — Czy potrafi pani określić, gdzie się wydarzył ten incydent?

— Wyjechałam po zmroku. — Słońce opadało coraz niżej i Dani oddychała z coraz większym trudem. Zaciskała zęby z bólu, kiedy samochód podskakiwał na wybojach. — Świeciły gwiazdy. Jednak trudno mi powiedzieć dokładnie, w którym miejscu to się stało.

— O której godzinie wyjechała pani do Loden?

— O siódmej piętnaście.

— To bardzo dokładny czas.

— Moj ojciec ma radioodbiornik. Razem z nim słuchałam wiadomości o atakach gazowych w wojnie europejskiej. Wiadomości zaczęły się o siódmej. — Dani zmusiła się, żeby mówić dalej. — Po dziesięciu minutach tak się zdenerwowałam, że pożegnałam się z rodzicami i poszłam po konia. Wyjechałam im drogę piętnaście po siódmej.

— Pani widocznie bardzo cierpi, skoro siedzi tak sztywno wyprostowana — zauważył z troską. — Na pewno może pani jechać dalej?

— Jestem gotowa zrobić to, co trzeba — odpowiedziała stanowczo. — To tylko gorset.

— Gorset? — powtórzył Raleigh z zakłopotaniem.

— Weterynarz kazał mi nosić gorset, żeby unieruchomić i chronić żebra.

— Poszła pani do weterynarza? — zapytał ze zdumieniem.

— To jest kraina bydła, kapitanie Raleigh. Łatwiej tu o weterynarza niż o medyka.

— Jak tylko pani wróci do domu, proszę natychmiast zdjąć gorset. Może panią zabić.

Dani skrzywiła się, kiedy ford przejechał przez kolejny garb na drodze.

— Zabić? Co pan opowiada?

— Wojsko bada sposoby opatrywania ran wojennych. Połamane żebra zwykle się bandażuje. Ale brytyjscy lekarze odkryli, że w rezultacie często wywiązuje się zapalenie płuc. Bandaże nie

pozwalają głęboko oddychać, co powoduje gromadzenie się płynu w płucach. I pacjent zaczyna chorować na coś znacznie gorszego niż połamane żebra. Kiedy pani zdejmie gorset, proszę oddychać jak najgłębiej. To będzie bolało, ale tylko w ten sposób zapobiegnie pani zbieraniu się płynu.

Burmistrz włączył reflektory w samochodzie.

— Skoro mowa o wojnie, kapitanie, czy Stany przystąpią do wojny?

— Tak, przystąpimy — odparł Raleigh. — Kwestia tylko kiedy. Dlatego armia przysłała mnie tutaj. Jeśli Niemcy testują nową broń, musimy o tym wiedzieć. Panno Brown, czy potrafi pani określić, jak długo jechała pani drogą, zanim zobaczyła światła?

— Około czterdziestu minut.

— W jakim tempie?

— Spokojnym kłusem. Światło księżycy i gwiazd pozwalało na taką szybkość.

— Co znaczy, że przejechała pani w przybliżeniu pięć mil.

Burmistrz spojrział na kapitana z jeszcze większym szacunkiem.

— Widzą, że służył pan w kawalerii.

— Ósmy regiment.

— Był pan na Filipinach?

— Najwyraźniej nie tylko panna Brown śledzi na bieżąco wiadomości. — Raleigh rozejrzał się po horyzoncie. — Tak, byłem na Filipinach. Kiedy usłyszałem, że armia szkoli pilotów, pomyślałem, że lepiej latać nad dżunglą, zamiast się przez nią przedzierać. — Przerwał i spojrział w mrok. — Czy według pana już przejechaliśmy pięć mil?

— Tak pokazuje licznik.

— Więc zatrzymajmy się i podziwiajmy widoki.

McKinney zdjął nogę z gazu i zaciągnął hamulec ręczny.

Nawet na jałowym biegu samochód dygotał od wibracji silnika.

— Panno Brown, mówiła pani, że światła nadeszły z południa?

— Zgadza się.

— Panie McKinney, jeśli wyłączy pan silnik, będzie go pan mógł ponownie uruchomić czy też utkniemy tutaj?

— Utrzymuję samochód w doskonałym stanie — zapewnił burmistrz. — Zastartuje.

— Więc podarujmy sobie trochę ciszy i spokoju.

Burmistrz wyłączył silnik. Samochód zarzęził i ucichł.

— Jeśli zostawię zapalone światła, akumulator wysiądzie — ostrzegł burmistrz.

— Oczywiście. Proszę je zgasić.

Natychmiast ciemność otoczyła samochód. W ciszy rosła potęga nocy.

— Pięknie — powiedział Raleigh, kiedy oczy mu się przyzwyczyły do zmroku. — W El Paso latarnie uliczne nie pozwalają mi dostrzec gwiazd. Rzadko widuję tak czyste niebo.

— Patrzcie, spadająca gwiazda! — zawołał McKinney z dziecięcym entuzjazmem.

Przemknęła po niebie niczym bezgłośnie fajerwerki.

— Panno Brown, może pani zobaczyła właśnie coś takiego? — zapytał Raleigh. — Nawet kilka spadających gwiazd?

— Nigdy nie słyszałam, żeby spadające gwiazdy doganiały kogoś i krążyły wokół niego — odparła. — Ani nie znam takich, które buczą.

— Ja też nie.

Raleigh wpatrzył się w ciemny obszar na południu. Gdzieś tam wyły i skowytały kojoty.

Polują, pomyślał. Albo przed czymś uciekają.

— Muszę panu powiedzieć — odezwała się Dani — że moim zdaniem te światła to nie były pochodnie niemieckich kawalerzystów.

— Może nie Niemców. Może to byli ludzie Carranzy.

— Nie. Chciałam powiedzieć, że nie było żadnych jeźdźców.

— Ale jeśli nie było jeźdźców, skąd się wzięły światła?

— Nie wiem. Ludzie w tych stronach często widują światła — oznajmiła Dani. — Sama nigdy ich nie widziałam, więc nie mogę panu powiedzieć, jak wyglądają. Do tamtej nocy w ogóle nie wierzyłam w ich istnienie. Teraz już nie wiem, co myśleć.

— Przepraszam, ale nie rozumiem.

— Dani mówi o światłach Rostova — wtrącił McKinney. — Indianie i wcześnie osadnicy o nich opowiadali. Ja też nigdy ich nie widziałem, ale moja żona twierdzi, że widziała. Kiedy nasz syn zmarł na cholere. Wierzyła, że te światła to dusza naszego chłopca. Moim zdaniem Emily była taka załamana, że sama sobie wmówiła te światła.

— No, cokolwiek się dzieje, wkrótce się dowiemy — Oświadczył Raleigh z przekonaniem.

— Naprawdę pan tak uważa?

— Oczywiście — potwierdził kapitan. — Właśnie teraz widzę światła.

— Co? — McKinney rozejrzał się dookoła. Raleigh skupił całą uwagę na południowym horyzoncie, gdzie powoli pojawiły się świetliste kolory. Wznosiły się opadały. Płynęły i falowały w leniwym, zniewalającym rytmie. Czerwień przechodziła w błękit. Żółć zlewała się z zielenią.

— Panie McKinney, czy pan je widzi? — Raleigh oparł prawą dłoń na pistolecie.

Burmistrz odpowiedział dopiero po chwili:

— Boże mi dopomóż, tak.

— Panno Brown, czy to właśnie pani zobaczyła?

— Tak — potwierdziła cicho. — Zanim mnie zaatakowały.

— Cóż, to na pewno nie są jeźdźcy z pochodniami. Czy ktoś czuje zapach kwiatów?

— Kwiatów?

— Orchidei.

— I tak nie wiem, jak pachną orchidee — odparł McKinney.

— Na Filipinach rośnie mnóstwo gatunków orchidei — wyjaśnił Raleigh. — Niesamowite kolory. Całkiem jak te, które teraz widzę. Nocą w dżungli, kiedy próbowałem zasnąć w namiocie, zapach aż przytłaczał. Orchidee zapyłane przez pszczoły pachną cynamonem. Właśnie to czuję.

— Ja czuję zepsute mięso — oświadczyła Dani.

McKinney zakrył usta ręką.

— Ja też.

Raleigh przypomniał sobie, że orchidee na Filipinach nie zawsze pachniały cynamonem. Gatunki zapyłane przez muchy czasami wydzielały smród padliny, żeby przyciągnąć owady.

Nagle uderzyła w niego fala smrodu tak silnego, że aż się zakrztusił.

Jak trupy po bitwie, pomyślał.

Dani zakaszła w odruchowej reakcji i skrzywiła się, kiedy ból przeszył jej klatkę piersiową.

— Coś tam zdechło — powiedziała.

Nowa niemiecka broń? — zastanawiał się Raleigh.

— Myślicie, że jak daleko one są? — zapytał burmistrz niepewnym głosem.

— Bez pomiarów triangulacyjnych nie wiadomo — odparł Raleigh. — W ciemności wzrok nas mami. Światła mogą się znajdować w odległości kilku mil albo niecałych stu jardów. To ostatnie tłumaczyłoby, dlaczego tak szybko do pani dotarły, panno Brown.

Odór śmierci przybrał na sile.

Nie jesteśmy przygotowani, pomyślał Raleigh. Pamiętając o odpowiedzialności za bezpieczeństwo Dani, powiedział spokojnie:

— Wracajmy do miasta.

* * *

Dwa dni później przybył oddział kawalerii, wzbijając chmurę kurzu widoczną z daleka. O zachodzie słońca Raleigh pojechał z nimi na odcinek drogi, z którego widział światła.

Zamierzali za pomocą instrumentów geodezyjnych wziąć dwa oddzielne namiary na światła i nanieść koordynaty na mapę, co pozwoliłoby ustalić, gdzie i jak daleko znajdują się światła.

Ale gdy tylko światła się pojawiły, konie oszalały. Rżąc donośnie, kopały i gryzły się nawzajem. Spieszonego kawalerzystę, który uczeplił się wodzy, koń powłókł po ziemi i rozbił mu czaszkę kopytem. Pozostałe spłoszone wierzchowce pogalopowały w ciemność i żołnierze musieli wracać do miasteczka na piechotę, czujnie, z karabinami w pogotowiu.

* * *

Po tygodniu do Rostova przyleciało z Fort Bliss osiem wojskowych dwupłatowców. Do tej pory Raleigh wybrał położenie lądowiska i zaczął nadzorować jego budowę. Jako uzasadnienie budowy podano odległą lokalizację, umożliwiającą sekretne szkolenie pilotów przed przystąpieniem Ameryki do wojny. W rzeczywistości jednak chodziło o znalezienie miejsca, skąd dwupłaty mogły prowadzić rozpoznanie powietrzne poza meksykańską granicą, szukając ewentualnej broni testowanej przez Niemców. Po służbie Raleigh spędzał coraz więcej czasu z, Dani Marie Brown.

Trening przyszłych pilotów obejmował także nocne loty. Raleigh wykorzystywał nocne szkolenia, żeby wysyłać uczniów z zadaniem zbadania świateł, ale musiał zaprzestać tych praktyk. Lecąc w stronę świateł, kadeci zbaczali z kursu i atakowali jeden drugiego — z wyraźną premedytacją, dwa samoloty nawet się zderzyły, w każdym zginął uczeń i instruktor.

Odtąd treningi odbywały się tylko w dzień.

Obawy przed inwazją z Meksyku potwierdziły się dziewiątego marca 1916 roku, kiedy zbrojni bandyci pod dowództwem Pancho Villi przypuścili nocny atak na miasteczko Columbus w Nowym Meksyku. W ciągu dwóch dni Kongres uchwalił pościg za Villą. „Black Jack” Pershing wyruszył na czele pięciu tysięcy żołnierzy do Meksyku, gdzie spędził prawie cały rok. Choć stoczyli liczne bitwy z meksykańskimi oddziałami, nie znaleźli Villi, ale to nie miało znaczenia. Ekspedycja posłużyła głównie za trening, pozwalający amerykańskim żołnierzom nabrać doświadczenia bojowego.

W kwietniu 1917 roku Ameryka przystąpiła do wojny.

Raleigh uczestniczył w kampanii meksykańskiej jako zwiadowca, na swoim dwupłatowcu szpiegował pozycje wroga. Później wrócił do Rostova i ożenił się z Dani Marie, ale kilka tygodni po ślubie wsiadł na statek płynący do Francji.

Armia zapomniała o światłach i rzekomej nowej niemieckiej broni testowanej za meksykańską granicą. Miała inne zmartwienia, inne konkretne rodzaje broni, zwłaszcza gaz musztardowy. Lecz po nocach kapitan Raleigh tęsknił za żoną i synkiem i starał się nie myśleć o nadchodzących bitwach.

Po zakończeniu wojny w listopadzie 1918 roku Raleigh wrócił do domu akurat na święta Bożego Narodzenia. Spadł śnieg — zjawisko niezwykle, lecz możliwe w tej części Teksasu.

Raleigh przeżył trzydzieści dziewięć powietrznych starć z niemieckimi lotnikami i dziękował Bogu, że mógł wrócić do żony i syna. Lecz chociaż w końcu był bezpieczny, miewał koszmary. Ale nie o wojnie. Zamiast tego w męczących snach powracały do niego dryfujące, falujące światła. Co wieczór chodził je oglądać. W marcu 1919 kupił dwupłatowiec z remanentów wojskowych — armia pozbywała się tych samolotów po niskich cenach, ponieważ już ich nie potrzebowała.

Tydzień po zakupie samolotu wystartował o zmierzchu z zarośniętego teraz pasa startowego, gdzie przed trzema laty trenował pilotów. W zapadającej ciemności poleciał w stronę Świąteł. Warkot silnika rozplynął się w nocnej ciszy. Nigdy nie znaleziono ani jego, ani samolotu.

56

W wilgotnym kompleksie pod opuszczoną bazą lotniczą pułkownik Warren Raleigh wspominał, jak oglądał fotografie przystojnego młodego człowieka w mundurze stojącego obok kobiety wyglądającej na silną, z dwupłatowcem w tle. Wspominał, jak usłyszał o światłach Rostova i tajemniczym zniknięciu swojego pradziadka.

Prababka Warrena wychowała syna sama, demonstrując siłę, która tak pociągała jej męża. Pozwalała sobie na okazywanie uczuć jedynie wieczorami. Zostawiając dziecko pod opieką rodziców, jeździła na miejsce, gdzie zniknął jej mąż. Obserwowała światła i czekała na jego powrót.

Noc po nocy, w lecie czy w zimie, patrzyła na światła.

Z nieznanых przyczyn twarz jej poczerwieniała i napuchła. Zrobiły się pęcherze. Pewnego wieczoru, kiedy włosy zaczęły jej wychodzić całymi pasmami, zrobiła wreszcie coś wcześniej nie do pomyślenia — zabrała syna, wyjechała z niegdyś bezpiecznego rodzinnego miasteczka i wynajęła mieszkanie w hałaśliwym, męczącym El Paso. Tam wyuczyła się na krawcową i szyla w domu, opiekując się synem.

Z El Paso przeniosła się do Denver, Chicago i wreszcie do Bostonu, byle dalej od światła. Pomimo upływu lat nigdy ponownie nie wyszła za mąż.

Zmarła na raka skóry.

Jakiś głos przerwał rozmyślenia Warrena.

— Panie pułkowniku, Fort... dzwoni... do pana.

Raleigh podniósł wzrok znad biurka. Zatycki w uszach tłumili dźwięki.

— Powtórzcie, poruczniku.

— Fort Meade prosi pana do telefonu. Kod dwa.

Kiedy Raleigh sięgnął do telefonu na biurku, porucznik ciągnął:

— I chociaż jeszcze nie ma nocy, otrzymujemy wyjątkowo silne odczyty.

Raleigh kiwnął głową. Tym razem nie ryzykował wyjmowania zatycki, kiedy wcisnął guzik w aparacie i włączył urządzenie kodujące.

— Mówi pułkownik Raleigh.

— Tu Borden — rozległ się słaby kobiecy głos. Borden była kierownikiem zespołu badań nad bronią w centrali Raleigha, w pobliżu przypominającej twierdzę Agencji Bezpieczeństwa Narodowego w Marylandzie. — Otrzymujemy wyjątkowo silne odczyty z obserwatorium.

— Tak, jeden z moich ludzi na miejscu właśnie mnie zawiadomił, że my też otrzymujemy silne odczyty.

Kobiecy głos kontynuował:

— Przeanalizowałam parametry danych z poprzednich wersji tych badań. Jak wiemy, wzorzec jest cykliczny. Czasami prawie nie da się wykryć sygnałów. Kiedy indziej są wyraźne. Ale do tej pory wysokie i niskie wartości mieściły się w tym samym przedziale. To najwyższe odczyty, jakie dotąd widzieliśmy... włącznie z tym, co zdarzyło się w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym, tam gdzie pan jest. Skontaktowałam się z panem nie tylko po to, żeby złożyć raport. Proszę, żeby pan ponownie rozważył swoją strategię. — Zrobiła przerwę. — Pułkowniku, czy na pewno chce pan zostać na miejscu?

Raleigha wzruszyło to pytanie. Do jego licznych sekretów należały comiesięczne spotkania z Borden w hotelowym pokoju w Baltimore, gdzie oboje udawali, że potrafią przeżywać emocje niezwiązane z karierą. Pytanie sugerowało, że nie chodzi tylko o ochronę programu. Borden naprawdę się martwiła o jego bezpieczeństwo.

— Pułkowniku, słyszy mnie pan? — zapytała Borden.

— Tak — powiedział wreszcie słyszę. Dziękuję za informacje, ale zostanę. Przez te wszystkie lata właśnie do tego zmierzał ten program. Bez ekipy na miejscu nigdy nie poznamy prawdy. Nie mogę wyjechać.

Ale nie tylko program do tego zmierzał. Do tego zmierzało całe jego życie, odkąd jako chłopiec pierwszy raz usłyszał o światłach.

IV PRZEMIENIENIE

57

Dwadzieścia sekund po eksplozji zadzwonił telefon komórkowy Page'a. On i Tori wpatrywali się w niebo po stronie, skąd nadeszły fale uderzeniowe. Page odczepił komórkę od pilska i nacisnął klawisz odbioru.

— Słyszał pan te wybuchy? — zapytał naglejącym tonem Medrano.

— Mały, duży i znowu mały — odparł Page. — Z północnego zachodu. Tam jest tylko obserwatorium.

— To samo pomyślałem. Gdzie pan jest?

— Na lotnisku.

— Wielka niespodzianka. W końcu wykombinowałem, że dzisiejszej nocy zamierza pan skorzystać z samolotu. Prywatny samolot może polecieć wszędzie, prawda?

— Mniej więcej.

— Najbliższy helikopter policji jest dziewięćdziesiąt minut stąd, Nie mogę czekać tak długo. Chcę, żeby pan poleciał do tych wybuchów i sprawdził, co się, do cholery, stało.

— Problem w tym — powiedział Page — że prywatny samolot nie może wlecieć w zamkniętą przestrzeń powietrzną.

— Mówi pan, że obserwatorium leży na obszarze zakazanym?

— Zwykle teren zamknięty ma coś wspólnego z bezpieczeństwem narodowym. Nie mam pojęcia, co takiego jest w tym obserwatorium, ale mogę co najmniej stracić licencję pilota, jeśli tam polecę.

— Ja też nie mogę tam wjechać — mruknął Medrano. — To własność federalna. Nie mam uprawnień, żeby wysłać radiowozy. Słuchaj pan, spróbuję uzyskać zgodę z FBI. Dopóki będę czekał, czy może pan przynajmniej przelecieć wzdłuż granicy tego obszaru... na tyle wysoko, żeby zobaczyć, co się stało?

— Tyle mogę zrobić. Mam policyjne radio w samolocie. Jaka jest pana częstotliwość?

Page zapisał numer, rozłączył się i z powrotem przypiął komórkę do paska. Spojrzał na Tori.

— To może być niebezpieczne. Zastanów się, czy na pewno chcesz lecieć ze mną.

— Nie przyda ci się dodatkowa para oczu?

— Zawsze.

— Więc masz towarzystwo.

58

Kula rozorała ziemię obok lewego policzka Brenta. Drgnął i niżej schylił głowę.

Leżał w piaszczystym rowie, prawdopodobnie w wyschniętym korycie strumienia. Spieczona ziemia wchłonęła bez śladu wodę z nocnej ulewy, tylko pod Brentem została widocznie kałuża, bo spodnie mu przemokły. Potem zrozumiał, że czuje wilgoć w kroczu, bo pęcherz mu puścił.

Jedynie kamera telewizyjna powstrzymywała go przed paniką. Nie zmarnuję tej szansy, powtarzał sobie. Skierował obiektyw na kłęby czarnego dymu unoszące się nad rozbitym helikopterem. Potem zrobił najazd na prawo, na dymiące szczątki furgonetki.

Teraz najtrudniejsza część zadania: przeżyć, żeby komuś to pokazać, pomyślał.

Anita leżała rozciągnięta pomiędzy nim a płonącym wrakiem. Wydawała się słabsza, głowa opadła jej bezwładnie.

Podczołgał się do niej i zatrzymał się w połowie drogi. Strażnik w obserwatorium musiał pokryć ogniem duży obszar. Na nowej pozycji Brent zamierzał wysunąć kamerę ponad krawędź rowu i nagrać poczynania strażnika.

Muszę coś zrobić, nie mogę tylko tu leżeć.

Wziął głęboki oddech, napiął rozdygotane mięśnie i ostrożnie wystawił głowę. Przez wizjer kamery zobaczył, że strażnik odwraca się w jego stronę i podnosi karabin. Brent zdążył się* schylić, zanim trzy kule wbiły się w ziemię nad jego głową.

— Nie zwróciliście uwagi na tablice! — wrzasnął strażnik zza ogrodzenia.

Brent zgubił swój mikrofon. Teraz polegał wyłącznie na shutgunie zamocowanym na kamerze, chociaż nie bardzo wierzył, że ten mikrofon wychwyci głos strażnika z tak daleka.

— Musieliście tu włączyć! — wrzeszczał strażnik. — A ja chciałem tylko posłuchać muzyki!

— Muzyki? — zdziwił się Brent.

— Kazałem wam się wynosić! — ciągnął strażnik. — Ale wy musieliście się wpychać na siłę! Odrywać mnie od mojej muzyki!

Co on wygaduje? — zastanawiał się Brent.

— Wstęp wzbroniony pod karą! Tak jest napisane!

Kolejne pociski wzbily fontanny ziemi nad głową Brenta.

— I spotka was kara, gdy tylko otworzę bramę!

Brent podczołgał się do Anity, której smągła skóra nigdy jeszcze nie wyglądała tak blade. Wyciągnął długopis z opaski uciskowej i rozluźnił tkaninę. Skrzywił się na widok krwi, która popłynęła z lewego ramienia.

— Od czasu do czasu trzeba przywrócić krążenie. Inaczej możesz dostać gangreny.

— Za dużo informacji — wymamrotała słabym głosem.

— Przepraszam.

— Zimno. — Anita przekręciła głowę na bok i spróbowała zwymiotować, ale nic z tego nie wyszło. — Serce mi wali. Chyba jestem w szoku.

Brent znowu zacieśnił opaskę. Z wysiłkiem przysunął spory kamień i oparł na nim nogi Anity.

— To powinno pomóc.

— Gdzie się tego wszystkiego nauczyłeś?

— Robiłem reportaż o ekipie ratunkowej.

— I teraz jesteś ekspertem? Chryste, żałuję, że zapytałam. Kamera. — Oddychając szybko, Anita wskazała oczami kamerę, którą Brent ustawił skierowaną w ich stronę. Czerwone światełko się paliło. — Filmujesz nas?

— Nie chcesz zostać gwiazdą?

Przez chwilę Brentowi zdawało się, że słyszy warkot silnika. Serce mu szybciej zabiło z nadzieją, że policja usłyszała wybuchy i spieszy na pomoc. Lecz słaby odgłos zaraz ucichł i Brent doszedł do wniosku, że tylko mu się zdawało.

Podniósł kamerę, wyskoczył z rowu i podbiegł do płonącej furgonetki, licząc, że dym i płomień go osłonią. Stał na tyle blisko, na ile pozwalał żar, wycelował kamerę wzdłuż boku samochodu i ustawił na strażniku, który stał przed wewnętrzną bramą i chyba się w nią wpatrywał.

On nie ma pewności, czy ogrodzenie nadal jest pod prądem, odgadł Brent. Czy elektryczność wysiadła, kiedy helikopter wpadł na ogrodzenie, czy też się usmaży, jeśli dotknie bramy?

Strażnik widocznie postanowił nie ryzykować. Odwrócił się w stronę baraku, przebiegł obok ciężarówki wylądowanej trupami i znikł w drzwiach.

— Anita! — Brent czym prędzej wrócił do niej. — Wszedł do środka! Chyba chce wyłączyć prąd w ogrodzeniu. Jeśli mam rację, zaraz po nas przyjdzie. Szybko! Musimy uciekać!

Anita oblizwała wyschnięte wargi i kiwnęła głową.

— Pomóż mi wstać.

Dźwignął ją, a ona zarzuciła mu zdrowe ramię na szyję. Lewą ręką objął ją w talii. Prawą ręką trzymając kamerę, poprowadził Anitę polną drogą.

59

Lotnisko w Rostowie położone było na wysokości pięciu tysięcy stóp. Page wznosił się trzy tysiące pięćset stóp wyżej i skierował się na zachód ponad okręgową drogą, która według mapy lotniczej wyznaczała z jednej strony granicę zakazanego obszaru powietrznego obserwatorium. Z tej wysokości miał dobry widok na płaską, skąpo porośniętą trawą równinę po prawej.

Tori poprawiła mikrofon przy słuchawkach.

— Dwie kolumny dymu. — Pokazała.

Nawet z daleka białe czasze radioteleskopów rysowały się wyraźnie, włącznie z tą przechyloną w bok i skierowaną na południowy wschód. Jeden słup dymu widniał po lewej stronie talerzy, bardzo blisko. Drugi wznosił się przed czaszami, z polnej drogi, która prowadziła z obserwatorium do lokalnej szosy.

Ciemny dym nieprzyjemnie przypominał Page'owi wybuch cysterny z benzyną, który widział w Santa Fe zaledwie przed czterema dniami.

Prowadząc cessnę wzdłuż granicznej drogi, zbliżył się do płomieni po prawej stronie. Tori wyjęła lornetkę z jego lotniczej torby i spojrzała przez szkła, nastawiając ostrość.

— Wrak w pobliżu talerzy — oznajmiła z wyraźnym zaniepokojeniem. — Łopaty wirnika. Wygląda na rozbity helikopter. — Skierowała lornetkę na polną drogę. — Drugi pożar to samochód. Furgonetka. Ma antenę na dachu. Wygląda jak wóz transmisyjny.

Page włączył policyjne radio.

— Cessna cztery trzy alfa wzywa kapitana Medrano.

Natychmiast głos Medrano zatrzeszczał w słuchawkach Page'a.

— Proszę mówić.

— Obok obserwatorium widzimy chyba rozbity helikopter. Pali się też wóz transmisyjny telewizyjny.

— Co?!

— Nie wiadomo, co się stało. Mówiłem panu, że zakazany obszar powietrzny zwykle ma związek z bezpieczeństwem narodowym. Myśli pan, że tam jest jakiś specjalny projekt rządowy? Potencjalny cel ataku terrorystów?

— FBI widocznie też się tym martwi — oświadczył szorstko Medrano. — Dali pozwolenie, żeby pan przyjrzał się z bliska. Pozwolili mi też wysłać radiowozy.

— Zrozumiałem. Mam zezwolenie na podejście.

Przechylił samolot w prawo, w stronę kolumn dymu. Białe czasze urosły za szybą kabiny. Tori ciągle patrzyła przez lornetkę.

— Widzisz, żeby ktoś przeżył? — zapytał Page.

— Nie. Czekaj. Tak. Ale nie w helikopterze. W furgonetce. Widzę dwie osoby kuśtykające drogą. Kierują się w naszą stronę. Mężczyzna i kobieta. Kobieta chyba jest ranna.

Page zbliżył się na tyle, że znaleźli się na linii jego wzroku. Po polnej drodze włókł się mężczyzna, podtrzymujący lewą ręką kobietę. W opuszczonej prawej ręce coś niósł.

— Czy to kamera telewizyjna? — zapytała Tori ze zdumieniem. — Mój Boże, to ten reporter telewizyjny, który nas szukał.

Pod kobietą ugięły się kolana. Osunęła się na ziemię, pociągając za sobą mężczyznę. Oboje upadli. Tori poprawiła ostrość.

— Kobieta jest zakrwawiona.

Głos Medrano rozległ się w słuchawkach Page'a:

— FBI cofnęło pańskie zezwolenie! Zawracajcie! Wynoście się stamtąd!

Page spojrział na Tori.

— Co się dzieje?

Chciał już nacisnąć guzik nadawania policyjnego radia, ale Medrano mówił dalej:

— Miał pan rację... to dotyczy bezpieczeństwa narodowego! I ktoś wpływowy jest w to zamieszany! Wysyłają oddział specjalny!

Page dalej leciał w kierunku obserwatorium.

— Czy pan mnie słyszy? — zapytał z naciskiem Medrano. — Pańskie zezwolenie na wejście w zamkniętą przestrzeń jest nieważne! Proszę zawrócić!

— To radio ostatnio coś nawala — zwrócił się Page do Tori. — Słyszę tylko trzaski.

— Tak, ja też nic nie słyszę.

Page wskazał w stronę mężczyzny i kobiety, którzy się przewrócili na drodze. Kobieta leżała rozciągnięta na plecach, a mężczyzna klęczał przy niej.

— Jak myślisz, kiedy przyślą ten oddział specjalny? — zastanawiał się na głos Page. — Najszybciej mogą ich ściągnąć z El Paso. Może skądś jeszcze dalej. Moim zdaniem upłyną co najmniej dwie godziny, zanim się zjawi pomoc. Do tego czasu ta kobieta umrze.

— Czy pan rozumie?! — trzeszczał w słuchawkach prze — sterowany głos Medrano. — Nie ma pan zezwolenia, żeby wejść w ten obszar powietrzny!

Page wyłączył radio.

— I ciągle się przegrzewa.

Za płonąca furgonetką zobaczył trzy wysokie ogrodzenia otaczające radioteleskopy. Obok budynku przypominającego barak stała ciężarówka z naczepą.

Czasze wznosiły się w niebo. Page przeleciał nad nimi na wysokości tysiąca stóp, zawrócił i skierował się do mężczyzny i kobiety na drodze.

Kiedy samolot przelatywał nad obserwatorium, Tori spojrzała prosto w dół.

Ta ciężarówka obok budynku — powiedziała.

— Co z nią?

— Chyba widziałam... — Urwała nagle.

— Masz dziwny głos. Co się stało?

— Trupy z tyłu.

— Trupy?

— Cały stos — oświadczyła Tori.

Page natychmiast skręcił ostro w lewo. Zatoczył koło i nadleciał z powrotem nad anteny, kierując się w stronę ciężarówki. Tym razem ustawił samolot pod takim kątem, żeby mógł spojrzeć z boku.

Na pace ciężarówki leżały ciała zwalone jedno na drugim, z rękami i nogami rozrzuconymi we wszystkie strony. Nawet nie mógł ich policzyć. Niektóre miały na sobie płowe mundury, inne — białe kitle laboratoryjne.

— Jezu — wymamrotał Page.

Kiedy znowu zbliżył się do pary na polnej drodze, mężczyzna podniósł wzrok z rozpaczliwą nadzieją. Page jednak skupił się im samej drodze. Wydawała się płaska, ale mógł trafić na kamienie czy wyboje i przebić dętkę albo urwać koła, wskutek czego samolot przekoziółkuje.

— Tori, masz dobrze zapięte pasy?

— A jest jakiś inny sposób zapinania?

Page zmniejszył obroty silnika i zaczął tracić wysokość. Jednocześnie lekko ściągnął wolant. Nos samolotu uniósł się nieznacznie, szybkość zaczęła spadać. W celu dalszej redukcji prędkości Page maksymalnie opuścił klapy.

Samolot opadł na ziemię. Przy sześćdziesięciu węzłach Page wyrównał lot i poczuł, że maszyna osiadła.

Zazwyczaj podczas lądowania Page chronił przednie koło w ten sposób, że dotykał ziemi najpierw dwoma głównymi kołami. Tym razem jednak musiał wyhamować na możliwie najkrótszym odcinku, więc nie miał czasu, żeby delikatnie osadzić przednie koło na drodze. Zamiast tego wylądował na wszystkich trzech kołach. Gdy tylko poczuł szarpnięcie, wcisnął pedały hamulców i pociągnął wolant do tyłu. Zatrzymał się zaledwie dwieście stóp od miejsca przyziemienia.

Pospiesznie wyłączył silnik samolotu. Usłyszał szcęknięcie sprzączki pasa Tori. Rozpiął własny pas, otworzył drzwi, zeskoczył na ziemię, chwycił apteczkę spod tylnego siedzenia i popędził w stronę dwojga ludzi.

Tori deptała mu po piętach.

Dotarli do pary ludzi i rzeczywiście mężczyzna okazał się reporterem telewizyjnym. Wyglądał jeszcze gorzej, krew leciała mu z ucha, brud oblepiał garnitur i jasne włosy. Page nie miał czasu na więcej szczegółów. Przykucnął obok kobiety i próbował nie myśleć o krwi, którą nasiąkło jej ubranie.

— Schylcie głowy! — zażądał reporter.

— Co jej się stało?

— Postrzelono ją! Schylcie głowy!

— Postrzelono? — Page rozpiął suwak apteczki.

— Strażnik mógł już wrócić. — Szary na twarzy reporter obejrzał się przez ramię w stronę obserwatorium.

— Strażnik ją postrzelił? — zapytała zdumiona Tori. Page oglądał krawat służący za opaskę uciskową.

— Pan to zrobił? — zapytał reportera.

— Nic innego mi nie przyszło do głowy.

— Prawdopodobnie uratował jej pan życie.

Page popatrzył na wielki, brzydki otwór wylotowy rany. Zdawało mu się, że widzi kość. Nie ma czasu na oczyszczenie.

— Tori, otwórz te pakiety.

Wyjął z apteczki małą rolkę taśmy klejącej.

— Przepraszam, że nie mam nic przeciwbólowego — powiedział do kobiety.

Nie odpowiedziała. Oczy miała na wpół przymknięte.

Tori podała mu otwarte pakiety. Wycisnął antyseptyczną maść do rany i przykrył tamponem z wchłaniającego krew materiału.

— Nożyczki — rzucił, przetrząsając apteczkę. — Potrzebuję nożyczek.

— Niech pan użyje noża. — Reporter wyciągnął nóż z kieszeni: czarny, składany, z obustronnym kołkiem na głowni, — To jej nóż.

Page odciął kawałek taśmy klejącej. Owinął ją wokół rumienia kobiety, potem odciął następny kawałek.

— Ja tnę, ty owijasz — zaproponowała Tori i odebrała mu nóż oraz taśmę.

Kiedy nakładał kolejne kawałki taśmy, tworząc opaskę uciskową, kątem oka dostrzegł czerwone światelko. Paliło się na kamerze telewizyjnej, którą reporter skierował w jego stronę; widocznie nagrywał całą scenę.

Page nie mógł sobie pozwolić na rozproszenie uwagi. Dokończył bandażowanie i rozwiązał opaskę, żeby sprawdzić, czy krew wypłyne spod taśmy.

Nagle usłyszał odległy trzask i obsypały go grudki ziemi. Co, do...

Więcej ziemi syknęło mu w twarz. Z drogi wzbijały się obłoczki kurzu przy akompaniamencie kolejnych słabych trzasków.

— Ktoś do nas strzela.

— O cholera, strażnik otworzył bramę. Idzie tu — jęknął reporter.

— Dlaczego on do nas strzela? — zapytała Tori. — Dlaczego w tamtej ciężarówce są trupy?

Page spojrzął obok płonącej furgonetki w stronę wielkich czasz. Bramy we wszystkich trzech ogrodzeniach zostały otwarte. Przed trzecią bramą stał mężczyzna i celował z karabinu, który podskakiwał od odrzutu.

Ziemia eksplodowała na drodze. Trzask wystrzału rozniósł się echem.

— Jesteśmy tuż poza zasięgiem — ocenił Page.

Mężczyzna zrobił krok do przodu i znowu strzelił. Po chwili kula przeorała ziemię w trochę mniejszej odległości.

— Musimy się dostać do cessny! — zawołał Page. — Szybko! Zanim on podejdzie bliżej!

Wsunął ręce pod pachy i pod kolana rannej kobiety, dźwignął ją z ziemi i ruszył biegiem. Zapach krwi wypełnił mu nozdrza. Kobieta, chociaż chuda, wydawała się ciężka, biodra jej obwisały, ręce i nogi dyndały bezwładnie.

Reporter biegł przed nim, niosąc kamerę.

Tori dotarła do drzwi cessny od strony pasażera, otworzyła je szarpnięciem i przechyliła siedzenie do przodu. Page stanął pod skrzydłem i ostrożnie wsunął ranną kobietę na tylne siedzenie.

— Wsiadaj pan! — ponaglił reportera. — Zapnij jej pas! I swój!

Okrażając ogon samolotu, słyszał, jak Tori pomaga wsiąść reporterowi. Gorączkowy rzut oka do tyłu ostrzegł go, że strażnik biegnie w ich stronę.

Strażnik przystanął i strzelił. Ziemia wybuchła niedaleko ogona cessny.

Page wyciągnął pistolet i strzelił nieco wyżej. Gdyby strzelał prosto przed siebie, pociski spadłyby na ziemię, zanim doleciałyby do odległego celu. Jednakże kiedy mierzył wysoko, kule zataczały łuk, co zwiększało ich zasięg. Traciły sporo impetu, zanim wylądowały, lecz Page miał nadzieję, że trafią dostatecznie blisko strażnika, żeby go powstrzymać.

Nacisnął na spust sześć razy, raz po raz. Sześć obłoczków kurzu wykwitło na drodze przed strażnikiem, który odskoczył do tyłu. Page przebiegł wzdłuż lewego boku samolotu, szarpnął drzwi i wgramolił się do środka.

Tori siedziała na swoim miejscu i zapinała pas.

Page dźgnął główny przełącznik, przekreślił kluczyk zapłonu i otworzył przepustnicę. Śmigło zawirowało z hukiem. Zwolnił hamulce i poczuł, jak cessna podskakuje na wyboistej polnej drodze. Dwoje dodatkowych pasażerów oznaczało zwiększone obciążenie dla silnika.

No, dalej! — ponaglał w duchu Page. Ruszaj!

Cessna stopniowo zwiększała szybkość. Page wyobraził sobie, jak strażnik biegnie, żeby mieć samolot w zasięgu strzału. Przygotował się na kule, które rozbiją tylną szybę i trafią go w plecy — albo roztrzaskają tylne skrzydła i uniemożliwią start samolotu.

— Samolot wzbija kurz! — krzyknął reporter z tyłu. — Nie widzę strażnika!

Co znaczy, że strażnik nie widzi samolotu, pomyślał Page. Ale to go nie powstrzyma od strzelania w naszym kierunku.

Osiągnęli szybkość pięćdziesięciu pięciu węzłów. Page przyciągnął wolant i poczuł, że samolot odrywa się od ziemi. Leciał nisko, ponieważ chciał nabrać większej szybkości, zanim się wzbije wyżej. Teraz liczyła się odległość, nie wysokość.

Kiedy uznał, że oddalił się dostatecznie, pchnął wolant dalej i skierował nos samolotu w stronę horyzontu. Nagle poczuł, że koszulę ma mokrą od potu.

— Tori, przejmij stery.

Nałożył słuchawki, które przytłumiły ryk silnika. Włączył system radia.

— Przejmuję z powrotem stery — oznajmił.

Nie mógł się połączyć z kapitanem Medrano przez policyjne radio, skoro wtargnął w zamknięty obszar powietrzny pod pretekstem, że radio nie działa. Zamiast tego skorzystał ze standardowego radia w samolocie. Chociaż lotnisko w Rostovie nie miało wieży kontrolnej, liczył, że ktoś w biurze go usłyszy.

— Kontrola lotów w Rostovie. Cessna trzy cztery alfa ma na pokładzie rannego pasażera. Ofiara postrzału. Potrzebujemy karetki na lotnisku. Przewidywany czas przybycia: pięć minut.

— Słyszę cię, cztery trzy alfa — odpowiedział głos w słuchawkach Page'a. Należał do mężczyzny w wystrzępionym kombinezonie, który wręczył Page'owi dokumenty wynajętego samochodu. — Wezwę karetkę.

Page przechylił głowę do tyłu, w stronę reportera.

— Co z nią?

— Nieprzytomna. Ale taśma chyba zatrzymała krwawienie.

Po prawej stronie pojawiły się zagrody dla bydła na peryferiach Rostova, a potem budynek sądu na głównej ulicy. Wszędzie roiło się od ludzi zwiedzających miasteczko, pieszo i w samochodach, zanim z nastaniem nocy wybiorą się do punktu obserwacyjnego, Page zszedł w kierunku lotniska na północny wschód od miasta, przedtem jednak zmierzył twardym spojrzeniem zawałone, przedzewiałe hangary i popękane, zarośnięte pas startowy w opuszczonej bazie lotniczej po drugiej stronie. Nie dostrzegł ani śladu pojazdów, które widział w bazie poprzedniego wieczoru. Za zrujnowanym lotniskiem zobaczył głazy, przypominające olbrzymie bryły żużlu rozrzucone w nierównym półkolu, wszystko, co pozostało z krateru wulkanu, który przed eonami wypłuł je na powierzchnię.

60

Lockhart leżał na ziemi i mówił do radia:

— Samolot startuje. Mnóstwo kurzu, ale widzę, że strażnik dalej biegnie i strzela.

— Zastrzel tego skurwysyna — rozkazał głos Raleigha.

— Nie jest w zasięgu, panie pułkowniku.

— Podejdź bliżej.

— Tak jest, panie pułkowniku. — Popatrzył na niebo. — Samolot chyba uciekł.

— Jutro już nie da się tego ukryć. Gdybym nie objął tego miejsca kwarantanną, do tej pory zrobiłoby się niebiesko od radiowozów. Nie chcę, żeby ktoś zaczął główkować, co naprawdę robimy w tym obiekcie. Gdy już załatwisz strażnika, zniszcz całe wyposażenie obserwatorium. Niech wygląda tak, jakby on to zrobił.

Tak jest.

Przywierając do ziemi, Lockhart patrzył, jak strażnik strzela do odlatującego samolotu — naciskał spust nawet wtedy, kiedy skończyła mu się amunicja. Zachodzące słońce zabarwiło szkarłatem tumany kurzu. Strażnik spojrział gniewnym wzrokiem w niebo, potem odwrócił się i długimi, zamaszystymi krokami pomaszzerował z powrotem do ogrodzenia.

Lockhart leżał po prawej stronie strażnika, w odległości około dwustu jardów. Kule z M4 doleciałyby tak daleko, ale mogły nie trafić do celu. Żeby powstrzymać strażnika, a nie tylko go spłoszyć, musiał podejść bliżej.

Upewniwszy się, że nie znajduje się na linii wzroku strażnika, wstał, wsadził radio do brezentowego worka na ramieniu, podniósł M4 i puścił się biegiem. Kiedy strażnik minął płonąca furgonetkę, Lockhart przyspieszył. Brezentowa torba objęła mu się o bok, grube podeszwy butów chrzęściły na kamienistej glebie, ale wiatr wiał w jego stronę, więc dźwięki nie nosły się daleko.

Lockhart nie mógł pozwolić, żeby strażnik wszedł do budynku. Wyciągał nogi na całą długość. Pędził przez rzadką trawę, nie zwracając uwagi na pot kapiący mu z czoła.

Strażnik dotarł do pierwszej bramy.

Lockhart się zbliżał.

Strażnik przeszedł przez drugą bramę.

Lockhart dostrzegł trudności, jakie wcześniej napotkał strażnik, kiedy próbował strzelać przez trzy ogrodzenia. Nie zwalniając, skręcił w stronę drogi.

Muszę strzelać przez otwarte bramy, pomyślał.

Sto jardów.

Nagle strażnik przystanął.

Czy on mnie słyszy? — zaniepokoił się Lockhart.

Strażnik odwrócił się, ale zamiast spojrzeć w stronę Lockharta, ruszył z powrotem do pierwszej otwartej bramy. Zaczął ją zamykać i zamarł na widok biegnącego Lockharta.

Lockhart stanął, podniósł M4, spróbował opanować oddech i ustawił celownik na obiekcie. Ramiona mu drżały z wysiłku, ale po latach ćwiczeń bojowych potrafił zapanować nad mięśniami i lufa się nie chwiała.

Strażnik podniósł broń i spróbował wystrzelić pierwszy, lecz bezskutecznie — zużył całą amunicję, kiedy strzelał do samolotu. Odwrócił się i pobiegł do środkowej bramy.

Lockhart pociągnął za spust. Selektor ognia był nastawiony na serie trójstrzałowe. Pierwsza seria chybiła. Lockhart głęboko zaczerpnął powietrza, wstrzymał oddech i znowu strzelił.

Strażnik zatoczył się, ale biegł dalej. Minął drugą bramę i zbliżał się do trzeciej. Z każdym chwiejnym krokiem oddalał się coraz bardziej, stawał się coraz trudniejszym celem.

Lockhart wystrzelił następną serię i znowu strażnik się zatoczył. Zdołał jednak minąć ciężarówkę z naczepą i znikł w ciemnościach za otwartymi drzwiami baraku.

Przeklinając na głos, Lockhart strzelił w otwór drzwi. Amunicja mu się skończyła, więc wyrzucił pusty magazynek, wyciągnął nowy z brezentowego worka, wbił go na miejsce, odciągnął zamek i znowu strzelił w ciemny otwór.

Potem uświadomił sobie, że znajduje się na otwartym terenie i stanowi doskonały cel, odkąd strażnik miał okazję przeładować broń. Przebiegł na lewą stronę drogi, zatrzymał się w miejscu, udzie potrójne ogrodzenie zapewniało jaką taką osłonę, i padł im ziemię.

Niestety, ogrodzenia, chociaż chroniły go, odbijając potencjalne kule, chroniły również strażnika.

Lockhart wpatrzył się w otwarte drzwi.

Trafiłem go dwa razy. Niemal na pewno. Facet pewnie wykrwawia się tam na śmierć.

Pusty otwór szczył z niego.

Jasne. To tylko kwestia czasu. Zaczekam, aż się wykrwawi. Potem bez problemu wejść do środka.

Właśnie. Bez problemu.

Nagle drzwi się zatrzasnęły.

W zmierzchającym świetle Lockhart zagapił się na drzwi. Ostrożnie wstał, wrócił na drogę i przeszedł przez trzy otwarte bramy. Wypatrywał krwi na ziemi, ale nic nie znalazł.

Wcale go nie trafiłem. On tylko się potknął.

Z wycelowaną bronią podszedł do zamkniętych drzwi. Solidne, metalowe. I grube, co zauważył poprzedniego dnia, kiedy tu przyjechał z pułkownikiem. Nie wątpił, że zatrzaskiwały się automatycznie, podobnie jak nie wątpił, że takim samym grubym metalem wyłożono całą betonową konstrukcję. Zamek elektroniczny przy drzwiach wymagał specjalnej sekwencji cyfr i nieważne, czy pułkownik znał kod używany wczoraj — do tej pory strażnik z pewnością go zmienił.

Nawet gdybym miał granaty, nie sforsowałbym tych drzwi, pomyślał Lockhart.

Ponownie popatrzył na ziemię, ale nie dostrzegł ani kropli krwi.

Podszedł do ciężarówki z naczepą i poczuł smród trupów, zanim je zobaczył.

Żeby rozładować frustrację, strzelił do kamery nadzoru nad drzwiami i drugiej kamery na słupie ogrodzenia. Zostało jeszcze dużo innych, rozwalił je po kolei. Teraz strażnik nie zobaczy, co się dzieje na zewnątrz. Niestety, zniszczenie kamer niewiele dało, bo Lockhart nadal nie mógł się dostać do środka.

Pułkownik nie będzie zadowolony.

Lockhart odczekał kilka sekund, zanim się zmusił, żeby sięgnąć po radio do brezentowego worka.

61

Page wylądował jak najłagodniej, dopiero w ostatniej chwili opuszczając przednie koło na ziemię, żeby ranna kobieta nie odczuła wstrząsu. Przekołował z pasa pod biuro lotniska, gdzie już czekał mężczyzna w wystrzępionym kombinezonie.

Wyłączywszy silnik, Page szybko wysiadł, przechylił fotel do przodu i wyciągnął kobietę z tylnego siedzenia. Nadal była nieprzytomna.

Mężczyzna w kombinezonie pospieszył z pomocą.

— Karetka jest w drodze — oznajmił, kiedy ułożyli ostrożnie ranną na chodniku, w cieniu samolotu.

Page usłyszał zbliżające się zawodzenie syren.

— Policja też jedzie — dodał pracownik lotniska.

Page wcale się nie palił do tej rozmowy.

Tori i reporter przyłączyli się do nich. Reporter stanął naprzeciwko, w czerwonym blasku zachodzącego słońca.

— Nie miałem okazji się przedstawić. — Dźwigał na ramieniu kamerę telewizyjną i z trudem przytrzymał ją lewą ręką, kiedy wyciągał prawą do Page'a. Rękaw marynarki miał podarty. — Brent Loft.

— Wiem, kim pan jest — burknął Page. Loft nie zauważył zgryźliwego tonu, wyraźnie zadowolony, że Page go rozpoznał.

— A ja oczywiście wiem, kim wy jesteście.

— Słucham? — zdziwił się Page.

— Ma pani rude włosy — zwrócił się Brent do Tori. — To was szukałem: Daniel i Victoria Page z Santa Fe. Odrobiłem lekcje. To wy powstrzymaliście strzelaninę w czwartek wieczorem.

— Czy kamera ciągle jest włączona? — zapytał Page.

— Inaczej byłaby bezwartościowa.

Po tyłu ciężkich przejściach Page ledwie panował nad sobą. Mało nie wyrwał kamery reporterowi i nie roztrzaskał jej o beton, żeby chronić Tori.

Zbliżające się syreny pomogły mu wziąć się w garść.

Odetchnął głęboko.

— Czy to nie może poczekać? W tej chwili nie chcemy o tym rozmawiać. Uratowaliśmy panu życie. Przy odrobinie szczęścia pana przyjaciółka też przeżyje. Czy to nie jest coś warte? Niech pan nam da spokój.

Loft zerknął w stronę swojej nieprzytomnej towarzyszk i kiwnął głową. W narastającym jęku syren odwrócił się do Tori.

— Mam tylko jedno pytanie.

— Spodziewa się pan, że uwierzę?

— Naprawdę. Tylko jedno pytanie.

— O co chodzi? — rzuciła Tori. — Nie chcę już się ukrywać przed panem. Miejmy to z głowy.

— Rozumiem, jak pani mąż mógł zrobić to, co zrobił. On jest zawodowcem, wyszkolonym do przejmowania inicjatywy w krytycznych sytuacjach. Ale pani jest agentką nieruchomości. Na pani miejscu większość ludzi by spanikowała. Pani jednak znalazła w sobie siłę, żeby wziąć pistolet i powstrzymać zabójcę. Wykazała pani niezwykłą odwagę. Jakim cudem zdobyła się pani na coś takiego?

— Nie miałam wyboru — odparła Tori. — On chciał zabić mojego męża. — Spojrzała prosto na Page'a, potem znowu odwróciła się do reportera. — Jak mogłam nie bronić męża?

— Więc mówi pani, że to miłość dała pani odwagę? — zapytał Loft.

— Tak. — Tori znowu spojrzała na Page'a. — Miłość dała mi odwagę.

Loft opuścił kamerę i popatrzył na nich oboje.

— Dziękuję, że uratowaliście Anitę i mnie.

Syreny wyły teraz przeraźliwie głośno. Pojawił się ambulans i zahamował z poślizgiem obok biura lotniska, wyprzedzając radiowóz drogówki. Z ambulansu wyskoczyli sanitariusze i pospiesznie rozłożyli kółka noszy. Jeden trzymał apteczkę. Podbiegli do kobiety leżącej na betonie.

Medrano wysiadł z radiowozu, nałożył stetsona, wyprostował się na całą wysokość i zamaszystym krokiem podszedł do Page'a.

— Kazałem panu nie wlatywać w tamten obszar — zagrzmiął potężnym głosem.

— To coś nowego — odparł Page. Obok niego sanitariusze założyli kobiecie maskę tlenową i podłączyli kroplówkę. — Mówił pan, że rząd dał mi zezwolenie na ignorowanie ograniczeń.

— A potem je cofnął. Ostrzegałem pana, żeby pan tam nie wlatywał.

— Jeśli pan nam kazał zawracać, nic nie słyszeliśmy — uświadczyła Tori. — Policyjne radio przestało działać.

Loft wysunął się do przodu, balansując na ramieniu kamerą telewizyjną, którą wycelował w Medrana.

— Kapitanie, jestem Brent Loft z „Aktualności dla El Paso”. Tych dwoje dokonało niezwykłego czynu. Ryzykując własne życie, wylądowali na niebezpiecznym terenie obserwatorium, żeby nas uratować przed śmiercią z rąk strażnika, który zdążył postrzelić moją partnerkę. Załadowali nas do samolotu i odlecieli. Przez cały czas się bałem, że ten szalowiec wystrzeli w nas następny granat.

— Granat? — powtórzył zaskoczony Medrano.

— Taki jak ten, którym zestrzelił helikopter. A potem rozwalił naszą furgonetkę.

— Dlaczego on strzelał granatami?

— Nie mam pojęcia, podobnie jak nie wiem, dlaczego zwałił te wszystkie trupy na skrzynię ciężarówki.

— Trupy... na ciężarówce?

— Dużo trupów. Wystarczy, żeby zapełnić skrzynię. Ciągłe bełkotał, że chce słuchać muzyki.

— Loft wciąż celował kamerą w policjanta. — Tam się dzieje coś złego, kapitanie. Musi pan wysłać swoich ludzi do obserwatorium, zanim Bóg wie co jeszcze się stanie.

Medrano otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Pospiesznie wrócił do radiowozu, złapał mikrofon policyjnego radia i zaczął do niego mówić nagłym tonem.

Loft opuścił kamerę i skierował na sanitariuszy, którzy właśnie kładli kobietę na nosze.

— Co z nią? — zapytał Page.

— Straciła mnóstwo krwi — odpowiedział sanitariusz.

— Straciłaby więcej, gdyby nie ten facet z kamerą.

— Wykorzystam ten cytat, kiedy będę to montował — oznajmił Loft.

Podszedł szybko do ambulansu i zaczął coś perswadować sanitariuszom. Gestykułował natarczywie wolną ręką. Po chwili już wsiadał z tyłu.

Page pokręcił głową.

— Przykro mi to mówić, ale chyba będziemy go często widywali w telewizji.

Ambulans odjechał na sygnale.

Podszedł do nich mężczyzna w wystrzępionym kombinezonie,

— Pomogę wam przepchnąć samolot na miejsce postojowe.

— Właściwie — powiedział Page — my znowu startujemy.

Mężczyzna spojrzał chmurnie na ciemniejącego niebo.

— Nigdy nie lubiłem latać w nocy.

— Mamy jeszcze coś do załatwienia. Racja, Tori? Czy może już ci się odechciało?

— Wręcz przeciwnie — odparła Tori. — Skończmy to.

62

Buczenie jeszcze bardziej przybrało na sile, wwierało się juk świder w czaszkę Hollowaya.

Już niedługo, pomyślał. Niedługo przestane je słyszeć. Niedługo będę słyszał tylko muzykę.

Lecz pomimo całej determinacji potrzebował mnóstwo siły woli, żeby się skupić, kiedy kończył montowanie pułapki. Konstrukcja — którą poznał w Iraku — składała się z dwóch drutów. Pierwszy był rozciągnięty nad górną częścią schodów. Jeśli oddział szturmowy zdołał

sforsować drzwi na górze, zgodnie ze szkoleniem szukał pułapek. Żołnierze znajdowali drut, do którego przyczepiono granaty, rozbijali pułapkę i schodzili dalej. Drugi drut — w cieniu, rozciągnięty nad dolnymi stopniami — zabijał.

Od tego buczenia Hollowayowi zaczynały drżeć ręce, ale nie zamierzał dać za wygraną. Z zaciśniętymi zębami przymocował drut do ukrytej wiązki granatów. Zadowolony z prawidłowo wykonanej pracy, ostrożnie zszedł po pozostałych stopniach.

Na dole przyspieszył kroku i wszedł do dyżurki, gdzie zobaczył, że jeszcze więcej ekranów zgasło. Jeden z niewielu działających pokazywał człowieka, który wcześniej strzelał do Hollowaya. Mężczyzna podniósł swój M4 i strzelił.

Kolejny ekran zgasł.

Nie szkodzi, pomyślał Holloway. I tak nie zamierzałem się gapić w monitory.

Podniósł przeładowany M4 i ruszył korytarzem do drzwi oznaczonych ANALIZA DANYCH. W środku na stole leżało już pięć M4, mnóstwo magazynków po sto sztuk amunicji i niewielki zapas granatów. Jeśli oddział szturmowy spróbuje mu przeszkodzić w słuchaniu muzyki, przekonają się, jak potrafi się wściec.

Pokój wciąż cuchnął śmiercią, głównie z powodu zaschniętej krwi pokrywającej podłogę. Ale Holloway nie miał czasu jej zmyć. Zresztą kiedy zacznie się muzyka, zapach cynamonu zagłuszy smród krwi. Ponieważ Holloway nie umiał obsługiwać elektronicznych instrumentów, zostawił wszystkie włączone, ze świecącymi panelami.

Jedyny przełącznik, którego używał bez obaw, włączał słuchawki albo głośniki, a jedyne pokrętko, którym swobodnie manipulował, regulowało głośność. Przygotowując pułapkę, puścił dźwięk na głośniki, dostatecznie głośno, żeby z daleka słyszeć trzaski zakłóceń. Co ważniejsze, wyłapywał małe urywki muzyki przebijające spomiędzy trzasków. Te ledwie słyszalne, wabiące echa pozwalały mu pracować pomimo koszmarnego bólu głowy.

Teraz muzyka stała się czymś więcej niż echem i fragmentami. Narastała, płynęła i falowała. Holloway czuł, jak unoszą go niezemskie tony. Świder przewiercający mózg miłosiernie się wycofał. Buczenie przycichło, zagłuszone przez zmysłową melodię, która ponownie przyniosła smak wódki z sokiem pomarańczowym.

Holloway zamknął oczy. Kobieta, z którą tańczył, szeptała mu do każdego ucha. Całowała je. Wsuwała w nie język.

Zostawiła mu w uszach wilgoć. Podniósł do nich ręce i otworzył oczy na dostatecznie długą chwilę, żeby zobaczyć, co to jest.

Z uszu kapała mu krew.

63

Raleigh zakończył jeszcze jedną rozmowę telefoniczną, kolejny etap uwieńczonych sukcesem wysiłków, żeby nie dopuścić sił porządkowych do obserwatorium. Głosy w tych pilnych rozmowach brzmiały trochę niewyraźnie, ponieważ Raleigh nie mógł zaryzykować wyjęcia zatyczek z uszu teraz, kiedy na zewnątrz zapadał zmrok i zakłócenia w monitorach audio zaczęły się przekształcać w muzykę.

Słowa „bezpieczeństwo narodowe” stanowiły potężną inwokację. Przy współpracy z FBI Raleigh powstrzymał policję drogową przed wejściem na zakazany teren. Załatwił dostarczenie ekwipunku dla oddziału szturmowego, który włamie się do obserwatorium. Po wyeliminowaniu strażnika i wysprzątaniu obiektu, żeby zewnętrzne agencje nie mogły odgadnąć jego

prawdziwego celu, Raleigh dopilnuje, żeby autopsja tego drania wykazała wysoki poziom kokainy we krwi, wyjaśniający jego psychotyczne zachowanie.

Zażegnawszy jeden kryzys, ale przewidując następne, odłożył słuchawkę telefonu, wyszedł z centrum dowodzenia i zlustrował wzrokiem ośmiu mężczyzn tkwiących przed elektronicznymi konsolami. Odblask instrumentów kładł się na ich twarzach. Mężczyźni manipulowali pokrętłami, żeby wygładzić i dopasować odbierane sygnały. Posłuszni jego rozkazom, wyłączyli dźwięk w swoich monitorach. Zatyczki mocno tkwiły w uszach. Raleigh pomyślał o swoim pradziadku, który w 1919 roku poleciał w stronę światła i nigdy nie wrócił. Prababka zabrała dwuletniego syna i przeprowadziła się do Bostonu, lecz chociaż uciekła tak daleko od światła, nigdy nie przestała o nich myśleć. Wspomnienia światła i męża zmieniły się w bajki na dobranoc opowiadane synowi, który dorastał, marząc o nich. Kiedy miał dwadzieścia lat i rak skóry w końcu zabił jego matkę, pojechał autostopem aż do Teksasu. Musiał podróżować autostopem, ponieważ wielki kryzys wciąż dawał się ludziom we znaki. Tylko własne nogi i kciuk pozwoliły mu odbyć tę podróż.

* * *

Nazywał się Edward. Opowieść matki o zniknięciu ojca stanowiła jego obsesję od dzieciństwa, dlatego Rostov przyciągało go tak, jak święte miejsca przyciągają pobożnych pielgrzymów. Podróż zabrała mu trzy miesiące. Kiedy wreszcie dotarł na miejsce, w pasku zabrakło mu dziurek do zaciskania. Buty miał dziurawe. Koszulę w strzępach. Twarz zbrązowiała od słońca.

Sklep pasmanteryjny, o którym opowiadała Edwardowi matka, wciąż egzystował — chociaż ledwie, ledwie, sądząc po skromniutkich próbkach towarów w oknie wystawowym. Dzwonek brzęknął, kiedy Edward otworzył drzwi. Mężczyzna i kobieta o siwych włosach i zmęczonych twarzach spojrzeli na niego pytająco zza kontuaru. Pomimo ich wieku natychmiast dostrzegł podobieństwo.

— Jestem waszym wnukiem — oznajmił.

Wytrzeszczyli oczy. Zanim zdążyli o cokolwiek zapytać, powiedział to, co chciał powiedzieć przez całe życie:

— Dokąd mam pójść, żeby zobaczyć światła?

Jeszcze bardziej wytrzeszczyli oczy.

Edward pomagał w sklepie pasmanteryjnym. Podejmował też dorywcze prace, malował stodoły i naprawiał drewniane chodniki w zamian za nowe buty, ubranie czy dodatkową żywność, którą przygotowywała jego babka. W Bostonie mięso stanowiło luksus, ale nie w krainie bydła. Na babcinych stekach z ziemniakami Edward znowu przytył.

Co wieczór pożyczal poobijaną półciężarówkę chevroleta i jechał oglądać światła — albo próbować oglądać, ponieważ się nie pojawiły.

— Na pewno są prawdziwe? — pytał dziadków. — Widzieliście je kiedyś?

— Tak — odparła babka, a dziadek kiwnął głową. — Chociaż już dawno nie próbowaliśmy.

— Matka przysięgała, że ciągle je widywała.

— Na początku też ich nie mogła zobaczyć — pocieszył go dziadek. — To wymagało czasu.

— Mój ojciec wierzył w nie tak mocno, że zaryzykował życie — oświadczył Edward. Zaczynał się złościć, jakby coś przed nim ukrywano. — Więc gdzie one są? Dlaczego nie mogę ich zobaczyć?

— Niektórzy ludzie po prostu nie mogą — wyjaśniła rzeczowo babka.

— Dlaczego?

— Nikt nie wie.

To go jeszcze bardziej zirytowało.

W te dni, kiedy nie mógł znaleźć pracy, wędrował po okolicy, gdzie podobno pojawiały się światła. Stanął w miejscu, gdzie jego ojciec zbudował lotnisko podczas pierwszej wojny światowej. Trawa i chwasty zarosły niebrukowany pas startowy, teraz ledwie widoczny. Budynki z cegły suszonej na słońcu, które służyły za hangary, zmieniły się w kopce ziemi. Popatrzył na odległy krąg czarnych głazów, przypominających ogromne bryły żużlu. Złe ziemie — stosowna nazwa.

Spojrzał na południe, w stronę Meksyku.

— Nigdy nie znaleziono wraku samolotu? — zapytał dziadków.

— Kilku jego byłych uczniów próbowało. Przelecieli pięćdziesiąt mil... aż do Meksyku. Kilku naprawdę wleciało do Meksyku. Latali tam i z powrotem, w kratkę, jak to nazywali, ale nikt nie znalazł twojego ojca ani jego samolotu.

— Przecież ludzie nie znikają ot tak.

— Skrzydła były pokryte lnem i utwardzone szelakiem. Jeśli samolot się rozbił i spłonął, wiatr mógł rozwiać szczątki.

— A ciało?

— Kojoty. Mogły rozwłóczyć kości Johna, Boże, zmiłuj się nad nim.

— Chcę zobaczyć światła.

— Może za bardzo się starasz.

Następnego dnia Edward wkopywał słupy na ranczu, dopóki nie zarobił na butelkę whiskey — rzecz niełatwą do zdobycia, bo chociaż prohibicja skończyła się cztery lata wcześniej, Rostov na mocy głosowania pozostało „suche”.

O zmroku Edward pojechał na stare lotnisko, usiadł na ziemi, otworzył butelkę i zaczął popijać. Do tej pory nie próbował innego alkoholu niż piwo, ale szansa kupienia piwa w Rostovie była jeszcze mniejsza niż whiskey. Poza tym miał ochotę na coś mocniejszego.

Whiskey paliła go w gardle. Czuł, jak piekąca strużka upływa do żołądka. Zakrztusił się i o mało nie zwymiotował.

Przynajmniej działała szybciej niż piwo. Nie był przyzwyczajony do mocnego alkoholu, więc nie potrzebował dużo, Aby zakręciło mu się w głowie. Wkrótce język zaczął mu się plątać. Powieki zrobiły się ciężkie. Księżyc i gwiazdy się rozmywały.

— No, chodźcie! — krzyknął Edward bełkotliwym glonem. — Pokażcie się! Już się nie staram za bardzo! Jestem odprężony! Bardziej niż odprężony! — Zaśmiał się beztrzesko i pociągnął kolejny łyk. — Cholera, jestem pijany... Pijany jak świnia... Pijana świnia...

Zamknął oczy. Z trudem je otworzył. Znowu zamknął.

I zasnął.

Chłodny nocny wiatr mierzwił włosy Edwarda i pieścił policzki. Edwardowi śniło się, że płynie łodzią. Jego umysł dryfował, wznosił się i opadał.

Zbudził się w blasku wschodzącego słońca. Lecz kiedy zdołał unieść ciężkie powieki, po prawej stronie zobaczył ciemność. Gwiazdy i księżyc także, ale głównie ciemność.

Po prawej.

Po lewej uparcie wschodziło słońce i kiedy Edward podniósł z ziemi obolałą głowę, zobaczył, że słońce to w rzeczywistości unosząca się kula światła.

Półprzymrokiem patrzył, jak kula się dzieli i zabarwia na żółto i czerwono. Dwie sfery rozpadły się na cztery, doszły zieleń i błękit. Podzieliły się na osiem, doszły pomarańczowa, purpurowa, brązowa i oślepiająco srebrna. Pulsowały coraz bliżej, coraz większe, coraz mocniej świecące.

Było coś jeszcze, jakiś dźwięk, którego Edward nie potrafił zidentyfikować, szum albo buczenie, albo może odległa muzyka, jakby ze stacji radiowej, której sygnał niemal zanikał.

Chociaż matka mówiła, że przestraszyła się świateł, kiedy je zobaczyła po raz pierwszy, Edward nie spodziewał się po sobie takiej samej reakcji. Ostatecznie światła sprawiły, że jego matka i ojciec zakochali się w sobie. Gdyby nie światła, Edward nigdy by się nie urodził. Tak zauroczyły jego ojca, że za wszelką cenę usiłował się dowiedzieć, skąd pochodzą.

Lecz kiedy świetliste kolory rozwijały się przed Edwardem i rozpraszały ciemność, poczuł nie strach opisywany przez matkę, tylko coś gorszego.

Zgrozę.

Matka gorliwie uczęszczała do kościoła. Co niedziela zabierała Edwarda ze sobą. Zawsze trzymała się z tyłu, przychodziła późno i wychodziła wcześniej, żeby ludzie nie widzieli jej poranionej twarzy.

Bardzo niewiele zapamiętał z tych niedzielnych poranków oprócz swojej niecierpliwości, żeby pójść się pobawić i pewnego kazania wygłoszonego przez pastora. Tematem było przemienienie Chrystusa, słowo, którego dziesięcioletni wówczas Edward nie rozumiał, ale potem poprosił matkę, żeby je powtórzyła kilka razy, aż je zapamiętał — ponieważ kazanie wywarło na nim piorunujące wrażenie.

Według Ewangelii, oznajmił pastor, Chrystus zaprowadził trzech spośród apostołów na szczyt góry, gdzie przybrał swoją prawdziwą promienną postać. Jego szaty zajaśniały jak słońce. Porażeni oślepiającym blaskiem apostołowie padli na ziemię i spuścili oczy ze strachu. Kiedy wreszcie znowu podnieśli głowy, Chrystus powrócił do ludzkiej postaci.

— Wstańcie — powiedział im. — Nie lękajcie się. Nie mówcie innym o tej wizji.

Pastor posłużył się tym cytatem, żeby wyjaśnić, jak wspaniałe będzie niebo, jak olśniewające i zachwycające. Dla Edwarda jednak to nie miało sensu. Jak coś może być jednocześnie wspaniałe i straszne? Wydawało mu się, że niebo powinno przyciągać ludzi, żeby do niego biegli, a nie padali w strachu im na ziemię.

Opowieść o oślepiającym blasku Chrystusa wywołała u Edwarda koszmary — może dlatego, że kojarzyła się z opowieścią matki o światłach i zniknięciu ojca. W nadchodzących latach Edward często o tym myślał. Po śmierci matki nawet rozmawiał o tym z pastorem, chociaż pastor chyba nie rozumiał, o co mu chodzi, czyli jak trudno czasem rozpoznać różnicę między dobrem a złem. Jeśli apostołów przeraziła wizja dobra, czy to możliwe, że wizja zła by ich przyciągnęła? To logiczne, ponieważ zło jest kuszące. Ale czy w normalnym świecie dobro nie powinno być kuszące, a zło przerażające? Dlaczego wszystko jest na odwrót?

— W ten sposób Bóg wystawia nas na próbę — oświadczył pastor.

— Ale dlaczego musimy przechodzić próbę?

— Ponieważ pierwsi rodzice nie podołali próbie i upadli. Jesteśmy ich upadłymi dziećmi. Musimy udowodnić, że nie powtórzymy ich grzechu.

— Wybór powinien być bardziej oczywisty — upierał się Edward. — Z tej opowieści wynika tylko, że trudno rozpoznać różnicę. Skoro Chrystus ukazał apostołom wizję nieba, to przecież powinna być taka cudowna, że sam nalegałby, żeby to rozgłaszali. Dlaczego kazał im to trzymać w sekrecie?

— Ten ustęp jest niejasny.

— Mam inną teorię, wielbny. A jeśli niebo jest takie promienne, że aż przerażające? Może ludzie nie powinni wiedzieć, jak tam jest naprawdę, dopóki tam nie trafiają, bo wtedy już nie będą mogli się wycofać.

— Będę się modlił za twoją duszę.

Teraz blask światła przeraził Edwarda tak samo, jak apostołów przeraziła boska światłość Chrystusa. Tłumaczył sobie, że reaguje niewłaściwie, że powinien się zachwycać migotliwym pięknem, które wreszcie ujrzął.

Przyjechałem z tak daleka i tak bardzo się starałem was zobaczyć.

Jesteście wspaniałe. Powinienem was podziwiać.

Może strach oznaczał, że światła naprawdę są dobre, pomyślał Edward. Ale przecież czuł coś więcej niż trwożny podziw.

Nagle światła się zmieniły. Wokół nich kłębiły się czarne jak smoła chmury burzowe. Zamigotała błyskawica, grzmot rozdarł uszy Edwarda. Pośród chmur pojawiła się jakaś postać, młody mężczyzna w mundurze, który wyglądał jak ojciec Edwarda na fotografiach. Mężczyzna wyciągnął rękę, jakby wzywał Edwarda, żeby wszedł w chmury i do niego dołączył.

Edward wrzasnął. Odwrócił się i uciekł.

Nie zdawał sobie sprawy, że biegnie po pasie startowym, który jego ojciec zbudował przed laty i z którego startował tyle razy. Potknął się, upadł na kamienie, podrapał się. Wstał i pobiegł szybciej.

Usłyszał jęklivy skowyt i uświadomił sobie, że to on jęczy, to nie może przestać.

Potem wokół niego zaroili się ludzie, trzymali go, próbowali uspokoić. Oszalały ze strachu, przebiegł całą drogę do miasta i nawet tego nie zauważył. Stał na środku głównej ulicy, otoczony przez mieszkańców miasteczka, prawie wszystkich w nocnej bieliźnie, trzymających lampy albo latarki.

— Edwardzie, co ci się stało? — zapytał z niepokojem jego dziadek.

— Chmury. Błyskawice — wyrzucił z siebie Edward.

— Co on wygaduje? — odezwał się ktoś z tłumu. — Popatrzcie na gwiazdy. Na niebie nie ma ani jednej chmurki.

— Światła. Chmury w światłach.

— Czuję whiskey.

— Grzmot. Zobaczyłem człowieka w chmurach...

— Aż cuchnie wódą!

— ...mojego ojca.

— Patrzcie, ma krew na brodzie. Tak się zalał, że upadł.

— Edwardzie, gdzie dostałeś whiskey? — zapytał dziadek.

— Dobro jest przerażające — wybełkotał Edward. — Takie jasne...

— Pijany w trupa, gada od rzeczy.

— Gdzie jest mój pick-up, Edwardzie? Rozbiłeś mój samochód?

— Zło wydaje się przyjazne — ciągnął Edward. Dziadek nim potrząsnął.

— Odpowiedz mi, Edwardzie. Gdzie jest mój samochód?

— No, ja tam nie zamierzam tracić nocy na jakiegoś pijaka — oświadczył ktoś. — Chodź, Sarah. Wracajmy do łóżka.

— Widziałem ojca — upierał się Edward.

— Do diabła. Edwardzie, przyznaj się, jeśli rozbiłeś mój wóz.

Następnego ranka Edward poszedł na miejsce, gdzie zostawił półciężarówkę, w pobliżu starego pasa startowego. Przez długi czas wpatrywał się w południowy horyzont. Czyżby tak się upił, że miał halucynacje?

Nie, nie wierzył w to. Whiskey dawno już zdążyła wyparować, zanim zobaczył światła.

Nie byłem pijany, kiedy to się stało. Wiem! Wiem, co widziałem.

Uruchomił silnik, wrócił do miasta, zostawił pick-up przed pasmanterią i przejechał autostopem dwieście mil do El Paso. gdzie wstąpił do wojska.

W tamtej chwili miał tylko jeden cel — przeczytać raporty o światłach napisane przez jego ojca. Nie wątpił, że trudno będzie je zdobyć, ale nie wątpił w coś jeszcze — że syn odznaczonego asa z pierwszej wojny światowej szybko awansuje w wojskowej hierarchii.

Miał rację. Okazało się, że wielu ważnych oficerów służyło razem z jego ojcem podczas ekspedycji do Meksyku, a później we Francji i w Niemczech. W 1942 roku, po Pearl Harbor, kiedy Ameryka przystąpiła do drugiej wojny światowej, Edward awansował do rangi kapitana w wywiadzie wojskowym wybrał ten rodzaj kariery, ponieważ zapewniała największe szanse odnalezienia raportów ojca.

W deszczowe październikowe popołudnie, po poszukiwaniach w Waszyngtonie oraz w Presidio w San Francisco, Edward odkrył wskazówki, które zaprowadziły go z powrotem do Fort Bliss koło El Paso. Z rozpadającej się skrzyni w zatęchłym baraku z blachy falistej, wypełnionym setkami podobnych, dawno zapomnianych skrzyń, wydobył dokumenty, które jego ojciec spisał dwadzieścia cztery lata wcześniej.

Papier pożółkł ze starości. Słowa wydawały się mozolnie wystukane na maszynie. Atrament w podpisie ojca z niebieskiego zrobił się brązowy.

Edward przeczytał raporty, potem przeczytał je ponownie i jeszcze raz. Wiele mu wyjaśniły, zwłaszcza fragment, w którym ojciec utrzymywał, że światła jakoś nakłoniły jego kadetów, żeby podczas nocnego lotu treningowego atakowali się nawzajem. Ojciec uważał, że światła można wykorzystać jako broń.

64

Anita miała kroplówkę podłączoną do prawego ramienia. W nosie tkwiły rurki, przez które podawano tlen. Popiskujący monitor pokazywał puls, ciśnienie krwi i rytm serca.

— Lekarz mówi, że konieczna jest operacja, ale wydobrzejesz — powiedział Brent, siedzący obok łóżka.

Zdołała kiwnąć głową i z trudem uniosła powieki, żeby go zobaczyć. Jej smagła skóra wydawała się tylko odrobinę mniej blada.

— Kula złamała ci rękę — ciągnął Brent. — Lekarz mówi, że dlatego czujesz ból tak głęboko. Trzeba nastawić kość.

Ponownie Anita zdobyła się na przytaknięcie.

— Teraz zabierają cię na salę operacyjną — oznajmił Brent. — Kiedy się obudzisz, będę przy tobie. Może to nie najbardziej ekscytująca obietnica. Może jestem ostatnią osobą, którą chcesz widzieć. Tak czy owak, chcesz czy nie, będę tutaj, kiedy się obudzisz.

Anita spróbowała unieść zdrową rękę.

— Oszczędzaj siły — ostrzegł Brent.

Niezdarnie sięgnęła po jego dłoń. Wziął ją za rękę.

— Cholernie dobrze się dzisiaj spisałaś — powiedział jej. — Walczyłaś do końca. Nie poddałaś się ani na chwilę. Przyrzekam, że dostaniesz Emmy. Zasługujesz na nią.

Ręka jej opadła. Brent ułożył ją na łóżku. Usłyszał za sobą kroki. Weszły dwie pielęgniarki, żeby przewieźć pacjentkę na salę operacyjną.

Brent wyszedł na pełen ech szpitalny korytarz. Odwiedzający obrzucali go niespokojnymi spojrzeniami, kiedy ich mijał. Garnitur miał powalany ziemią i krwią, włosy zmierzwił i zakurzone. Rozdarty rękaw marynarki zwisał z boku.

Producent czekał na niego.

— Naprawdę chcesz się pokazać na antenie w takim stanie? Wystraszysz na śmierć niektórych widzów.

— To dobrze. Niech się dowiedzą, ile zdrowia kosztuje zrobienie reportażu.

Szybko szli w stronę windy.

— Widziałeś film, który nakręciłem tą kamerą? — zapytał Brent.

— Dynamit. Właśnie go montujemy.

— Ja nagram komentarz. Możemy puścić kawałki dziś wieczorem, a potem pokazać cały materiał w specjalnym jednogodzinnym programie. — Brent nacisnął guzik windy. Inne stacje zostaną daleko za nami w rankingach.

— Jak połączymy światła z tym, co zrobił strażnik?

— Nie musimy. Puścimy reportaż jeden po drugim. Ludzie sami sobie skojarzą. Nikt nas nie oskarży o wypaczanie faktów

— Zawieź mnie na punkt obserwacyjny. Mam przeczucie, że ten reportaż stanie się jeszcze bardziej sensacyjny.

— W tej chwili Sharon prowadzi program. — Producent zebrał się w sobie, oczekując wybuchu.

Brent kiwnął głową.

— Czemu nie? Ja zaanektowałem kamerę. Sharon zasługuje na więcej czasu antenowego.

— Nie spodziewałem się po tobie takiej odpowiedzi.

— Dzięki Anicie zrozumiałem, że czasami dwoje ludzi może zrobić lepszy reportaż.

Brent spojrział w głąb korytarza, gdzie pojawił się wózek z Anitą, popychany przez pielęgniarki.

— Czy ona naprawdę wyzdrowieje? — zapytał producent.

— Kula poważnie uszkodziła jej ramię, roztrzaskała kości — odparł Brent. — Lekarz mnie uprzedził, że może nie da się uratować ręki.

65

W zapadającej ciemności Page i Tori wsiedli do cessny. Za nimi, nad drzwiami biura lotniska, paliła się lampa. Z okien też padało światło. Page pilnował, żeby nie patrzeć w tamtą stronę. Ludzkie oko potrzebuje trzydziestu minut, żeby w pełni się przystosować do ciemności. Jasne światło mogło w jednej chwili zniszczyć zdolność nocnego widzenia i Page musiałby odczekać następne pół godziny.

Tylko czerwone światło nie zagrażało zdolności nocnego widzenia. Dlatego dwie latarki, które Page trzymał w torbie lotniczej, miały wymienne szybki, przezroczyste i czerwone.

Przestawił na tę drugą i zawiesił sobie latarkę na szyi. Tori zrobiła to samo.

W ciemności ludzkie oczy gorzej widzą to, co znajduje się z przodu. Dlatego też Page skupiał się na mrocznych przedmiotach po obu stronach i powoli się rozglądał, żeby sprawdzić, czy można bezpiecznie uruchomić silnik.

— Droga wolna! — krzyknął przez otwarte okno, ostrzegając każdego, kto stał w pobliżu, żeby się odsunął.

Przekreślił kluczyk zapłonu i silnik z rykiem zbudził się do życia. Lewym kciukiem nacisnął guzik radia na tablicy rozdzielczej cessny i przemówił do mikrofonu w słuchawkach, zwracając się do wszystkich aktywnych samolotów w okolicy.

— Kontrola ruchu Rostov, cessna cztery trzy alfa kołuje na jeden pięć.

Sprawdził hamulce, jeszcze raz rozejrzał się dookoła i poprowadził samolot po żółtej linii kołowania.

— Tori, odpowiedziałaś na pytanie tego reportera w taki sposób...

— Powiedziałam ci po południu. Pierwszy raz czuję, że cię rozumiem. Może powinnam poprosić, żebyś mnie zabierał do radiowozu, bo wtedy miałabym jakieś pojęcie, przez co przechodzisz każdego dnia. Te okropne rzeczy, które ludzie robią sobie nawzajem.

— Nie mówiłem o nich, bo nie chciałem, żebyś czuła to co ja.

— Dziękuję, że próbowałeś mnie chronić. — Zamilkła im chwilę, potem znowu się odezwała: — Cokolwiek powiedz; i lekarze po mojej operacji we wtorek, czy pożyję długo, czy krótko, nie wyobrażam sobie, żebym nie dzieliła życia z tobą. I nie chcę, żebyś przestał pracować w policji, Jesteś na to za dobry. A teraz dość gadania, podnieś to pudło w powietrze.

Page przeokołował obok niewyraźnych sylwetek samolotów i dotarł do początku pasa startowego. Ostatnia lista kontrolna pomogła mu opanować emocje i skupić się na bieżącym zadaniu.

Przekazał przez radio swoje zamiary i zwiększył szybkość. Przy pięćdziesięciu pięciu węzłach przyciągnął wolant. Samolot wzniósł się w ciemność.

Spoglądając w dół, Page zauważył strumień przednich świateł samochodów, płynący nieprzerwanie w stronę zablokowanego punktu obserwacyjnego. Pojazdy stały zaparkowane wzdłuż drogi w szeregu znacznie dłuższym niż poprzedniego wieczoru. Na miejscu widokowym betonowe bariery oświetlono reflektorami, prawdopodobnie dla podkreślenia, że teren jest zamknięty. Trzy helikoptery z włączonymi światłami unosiły się w powietrzu, zachowując bezpieczną odległość. Z ich przekazów radiowych Page dowiedział się, że to maszyny stacji telewizyjnych.

— Cudownie czyste niebo — powiedziała Tori. — Popatrz na blask z ulic i domów Rostova. A tam... światła samochodów jadących z Meksyku. Naliczyłam aż sześć par.

Page przechylił cесną powolnym, łagodnym łukiem, biorąc za punkt odniesienia reflektory w miejscu widokowym.

— Jak wysoko zamierzasz wejść? — zapytała Tori.

— Dostatecznie, żeby się wznieść ponad wszystko.

— Niezły sposób na życie.

66

Betonowe bariery były dostatecznie szerokie, żeby Medrano mógł na nich stanąć. Osłaniając lewą ręką oczy przed silnymi reflektorami, patrzył z konsternacją na coraz większy tłum.

— To miejsce jest zamknięte! — krzyknął przez megafon. — Zawracajcie! Jedźcie do miasta!

Poprzez zgiełk przebił się czyjś głos:

— Ta droga to własność publiczna! Płacę za nią podatki! Mam prawo tu zostać tak długo, jak zechcę!

— To niebezpieczne! — odkrzyknął Medrano. — Mówię wam, wracajcie do miasta!

— Sam sobie wracaj! — wrzasnął ktoś inny.

Ludzie chwytały za górne krawędzie barier, żeby się podciągnąć i przeleźć na drugą stronę.

— Czego takiego nie chcecie nam pokazać?! — zawołała jakaś kobieta. — Co tam ukrywacie?

— Zgaście te cholerne reflektory! — jęknął jakiś mężczyzna. — Rażą mnie w oczy!

Jak tylko policja ściągnęła jedną grupę ludzi z bariery, zaraz następni próbowali się wspinać. Trzy hurgoczące helikoptery wisiały nad miejscem widokowym, zachowując dystans między sobą, kierując światła lądowania i zewnętrzne kamery telewizyjne na zamieszanie w dole.

Mam o wiele za mało ludzi, pomyślał Medrano, oceniając wzrokiem tłum.

Ktoś wrzasnął:

— Jeśli nas nie przepuścicie przez bariery, obejdziemy je! Moja żona ma alzheimera! Przyjechaliśmy po cud!

Medrano patrzył bezradnie, jak setki ludzi ruszyły drogą i skręciły na pole po prawej stronie. Niektórzy jednak poszli w przeciwnym kierunku, do opuszczonej bazy lotniczej, a tam Medrano stanowczo nie mógł nikogo dopuścić.

— Nie pozwólcie im wejść do bazy! — rozkazał swoim funkcjonariuszom. — Wylecą w powietrze!

Zeskoczył z barykady i na ugiętych nogach wylądował na żwirowym poboczu drogi z takim impetem, że dech mu zapało. Wyprostował się i pobiegł w stronę bazy. Tam jakiś mężczyzna z, ujadającym wściekle owczarkiem niemieckim ostrzegał ludzi, żeby nie wspinali się na ogrodzenie z drutu kolczastego.

Nagle reflektory zgasły. Ludzie zaczęli krzyczeć ze strachu. Otoczony ciemnością Medrano widział tylko powidoki jaskrawych światel wypalone na siatkówce.

Sabotaż generatora! — pomyślał.

Ale nie tylko generator wysiadł. Silniki samochodowe i przednie światła nagle przestały działać. Zamiast gorączkowego łoskotu helikopterów z góry dochodził tylko świst zwalniających śmigieł.

Medrano wzdrygnął się od potężnego huk. Dopiero po chwili zrozumiał, zaszokowany, że jeden z helikopterów runął na ziemię. Odgłos uderzenia zbudził echo na polu po drugiej stronie drogi, kula ognia wzbijała się w niebo.

Dragi huk dobiegł z tej samej strony. Oślepiiony Medrano skulił się, nie wiedząc, gdzie uderzy trzecia maszyna.

Na drogę. Nastąpiło niejedno, lecz kilka uderzeń, kiedy ostatni helikopter spadł na samochody, zgniatając i rozrywając metal. Śmigła wryły się w asfalt. Eksplozja odrzuciła policjanta do tyłu.

67

Raleigh obserwował ten chaos na monitorach. Zewnętrzne kamery, przestawione na nocny tryb widzenia, zabarwiały surrealistycznym zielonkawym odcieniem spanikowany tłum.

Czy ten gliniarz naprawdę wierzył, że wystarczy postawić betonowe bariery i wszyscy grzecznie się wycofają?

Reflektory zgasły. Silniki i światła samochodów przestały działać. Helikoptery spadły na ziemię. Tylko jedna rzecz mogła to wyjaśnić — potężny impuls elektromagnetyczny, taki jak przy wybuchu atomowym, spowodował gwałtowny skok napięcia we wszystkich urządzeniach elektronicznych w pobliżu punktu obserwacyjnego i zniszczył je.

Dokładnie tak, jak przewidziano, pomyślał Raleigh. Zabezpieczył zewnętrzne kamery i cały podziemny obiekt licznymi warstwami osłon elektromagnetycznych. Gabinet za jego plecami miał osłony trzykrotnie grubsze niż reszta kompleksu.

— Pułkowniku, odczyty stają się silniejsze — oznajmił członek jego zespołu, patrząc na ekran komputera.

Pomimo zatyczek w uszach Raleigh poczuł lekką wibrację. Czy tylko mu się zdawało?

Spojrzał w stronę zabezpieczonych drzwi do centrum dowodzenia.

— Kierujesz ten sygnał przez antenę na górze? — zapytał.

— Tak jest. Sygnał jest przekazywany do obserwatorium, a stamtąd do satelity. Satelita przesyła sygnał na poligon raketowy White Sands. Ale nie wiem, czy obwody wytrzymają taką moc. Nigdy ich nie testowaliśmy na tym poziomie.

68

Dwudziesty trzeci lipca 1942 roku.

— Wie ktoś, co to jest rozszczepienie jądra atomu? — zapytał generał kierujący nadzwyczajnym zebraniem oficerów wywiadu.

Kapitan Edward Raleigh nie wiedział, podobnie jak pozostali oficerowie przy długim metalowym stole.

— Ja też nie bardzo wiem — wyznał generał. — Podobno jeśli zderzymy ze sobą dwie części uranu i jeśli to zrobimy z wystarczającą siłą, stworzymy bombę potężniejszą, niż można sobie wyobrazić. Niektórzy naukowcy twierdzą, że ten wybuch może zapoczątkować reakcję łańcuchową, która zniszczy świat, ale większość uważa, że można ją ograniczyć na przykład do jednego miasta.

— Generale, z całym szacunkiem — odezwał się jakiś pułkownik — czy pan mówi poważnie?

— Trzy lata temu Einstein napisał list do prezydenta z ostrzeżeniem, że testy potwierdziły teorię. Podobno dzięki kontaktom z europejskim środowiskiem naukowym Einstein dowiedział się, że Niemcy gromadzą uran i prowadzą intensywne badania nad rozszczepieniem atomu. Wtedy oczywiście nie prowadziliśmy wojny, ale teraz prowadzimy i prezydent zamierza uruchomić ściśle tajny program stworzenia broni atomowej w możliwie najkrótszym czasie. Naukowcem kierującym programem będzie Robert Oppenheimer. W latach trzydziestych sympatyzował z czerwonymi, więc FBI dokładnie go prześwietla. Naszym zadaniem będzie zapewnienie bezpieczeństwa w miejscu zwanym Los Alamos w Nowym Meksyku. Jest zaznaczone na mapie za moimi plecami.

Major podszedł do mapy i wskazał dokładne miejsce.

— Santa Fe i kilka innych miasteczek leżą w odległości pół dnia drogi. Poza tym w okolicy są tylko rancza.

— Które konfiskujemy — podjął generał. — Los Alamos to obóz dla chłopców w zupełnej głuszy. Oppenheimer jeździł tam, kiedy był dzieckiem. To na szczycie masy, w górę i w dół prowadzi tylko jedna droga, którą łatwo kontrolować. Oppenheimer chciałby wykorzystać tę masę jako główny ośrodek konstrukcji bomby. My mamy dopilnować, żeby nikt nie podsłuchiwał.

— Generale, jest jeszcze inne odległe miejsce, które równie dobrze się nadaje — wtrącił Edward, korzystając z okazji.

Generał nie był zachwycony, że mu przerwano.

— I co to za miejsce? — rzucił niecierpliwie.

— W zachodnim Teksasie. W pobliżu miasteczka Rostov. Tam nic nie ma, tylko miliony akrów pastwisk. Zbudowaliśmy tam lotnisko, zanim przystąpiliśmy do ostatniej wojny. To było

dobre miejsce, żeby ukryć pilotów, których szkoliliśmy, więc Niemcy nie podejrzewali, jak aktywnie się przygotowujemy do pomocy aliantom.

— Oppenheimer zdecydował się na Los Alamos.

— Rostov ma jeszcze inną zaletę — naciskał Edward. — Tam już może zachodzi rozszczepienie atomu.

Generał okazał zainteresowanie.

— Mówcie dalej, kapitanie.

Edward ograniczył swoją relację tak, że dotyczyła wyłącznie rozszczepienia atomu. Streścił raporty ojca i zakończył:

— Nie ulega wątpliwości, że światła mają silne działanie. Moja matka dostała od nich raka skóry, który w końcu ją zabił. Jedna teoria mówi, że wywołują je pierwiastki radioaktywne obecne w glebie. Jeśli te promienie można przesyłać i wykorzystywać jako broń...

Generał podniósł rękę, żeby mu przerwać.

— Przedstawcie to na piśmie. Przedłożę to Oppenheimerowi.

— Tak jest.

Ale Edward wiedział, co się dzieje z raportami.

Po tygodniu, podczas następnego spotkania, generał ogłosił, że Los Alamos wybrano na główny ośrodek konstrukcji bomby atomowej.

Edward ukrył rozczarowanie.

Potem ku jego zdziwieniu generał dodał:

— Niemcy prowadzą badania nad drugim rodzajem broni masowego rażenia.

W pokoju zapadła cisza.

— Może to ma związek z rozszczepieniem atomu, a może upiera się na całkiem innej zasadzie. Wiemy tylko, że odkąd Niemcy dokonali inwazji na Norwegię w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku, wysłali tam nieproporcjonalnie dużo żołnierzy: pół miliona okupantów w kraju zamieszkanym przez dwa miliony ludzi. Wielu z tych żołnierzy stacjonuje na pozycjach, które strategicznie nie mają sensu, otaczających niewielką dolinę w środku kraju. Dolina nazywa się Hessdalen.

Generał spojrział prosto na Edwarda.

— Z raportów wynika, że ci żołnierze zapewniają bezpieczeństwo naukowcom badającym dziwne światła, które tam się pojawiają.

— Światła, generale? — Edward próbował ukryć narastające emocje.

— Skutki podobno wahają się od masowych halucynacji po religijną ekstazę. Niektórzy ludzie ślepną od patrzenia na światła. Inni stają się agresywni... nawet mordują. Jeszcze inni dostają rakowych zmian na skórze. Nie wiadomo, ile z tego jest prawdą, ale Niemcy z zaangażowaniem badają te światła jako ewentualną broń, a skoro oni się czymś zainteresowali, wicie cholernie dobrze, że musimy zrobić to samo. Nawet jeśli światła to humbug, wystarczy, żeby Hitler puścił plotkę, że może je zastosować jako broń i rozmieścić wszędzie, gdzie zechce. Czasami broń psychologiczna wygrywa więcej bitew niż czołgi.

Głos zabrał jakiś pułkownik:

— Generale, czy te światła przypominają to zjawisko w zachodnim Teksasie, o którym wspominał kapitan Raleigh?

— Do takiego wniosku doszedł prezydent. Jeśli Hitler wykorzystuje je jako zasłonę dymną, żeby odciągnąć naszą uwagę od programu rozszczepienia atomu, my możemy zrobić to samo. Kapitanie Raleigh, otrzymał pan rozkaz, żeby zabrać zespół badawczy do tego miasteczka, jak mu tam, w zachodnim Teksasie.

— Nazywa się Rostov, generale.

— Żeby pokazać, jak poważnie to traktujemy, dołączymy do was dwóch naukowców od Oppenheimera. Przyślą sprzęt z uniwersytetu w Chicago. Wojskowy korpus inżynieryjny, który buduje obiekt w Los Alamos, odstąpi wam tuzin ludzi. Dostaniecie też pluton strzelców jako ochronę na pokaz. Jeśli światła okażą się jednak coś warte, tym lepiej, ale założę się, że naszym głównym osiągnięciem będzie zamydlenie oczu Hitlerowi, który dostanie szalu na myśl, że nie tylko angażujemy się w ten projekt, ale też robimy postępy. I w dodatku odwrócić uwagę od Los Alamos,

Pod koniec miesiąca zespół Edwarda przyleciał wojskowym samolotem transportowym C-47 do Fort Bliss. Stamtąd dziesięć ciężarówek przewiozło ludzi i sprzęt do Rostova. Gdy tylko dotarli na stare lotnisko, rozstawili namioty i rozpakowali elektroniczne instrumenty, po czym uruchomili generator, żeby zapewnić sobie niezależne źródło prądu.

Naukowcy od Oppenheimera zbadali grunt licznikami Geigera, ale nie wykryli żadnych śladów radioaktywności.

— Musielibyście zbadać dużo większy teren. — Edward wskazał za złe ziemie. — Światła pochodzą aż stamtąd.

— Mam nadzieję, że nasz przyjazd narobił dostatecznego zamieszania — odezwał się jeden z naukowców. — Niemieccy szpiedzy śledzą Oppenheimera i wszystkie osoby z nim związane. Na pewno przekażą wiadomość do Niemiec, że tu jesteśmy. — Chudy okularnik rozejrzał się po monotonnym horyzoncie. W polu widzenia znajdowały się tylko dwa zające i pięć krów, usiłujących skubać rzadką trawę. — Cholera, nikt by tu nie przyjechał, gdyby nie musiał.

Zachód słońca był wyjątkowo piękny. Kiedy zapadła ciemność, ochłodziło się i wszyscy rozcierali zmarznięte ręce.

— No więc gdzie są te światła? — zapytał jakiś żołnierz.

— Nie zawsze się pokazują. Dajcie im czas — odparł Edward.

— Ma ktoś dymka?

Jeden z inżynierów wszedł do obszernego głównego namiotu i przysunął zegarek do któregoś ze świecących instrumentów.

— Jest dwadzieścia po dziewiątej. To był długi dzień. Jeśli do dziesiątej nic się nie wydarzy, idę spać.

— Może trzeba będzie poczekać dłużej — powiedział Edward. — Światła nie trzymają się żadnego rozkładu.

— No więc obudźcie mnie, jeśli zobaczycie nową tajną koń Hitlera. Choć niełatwo będzie zasnąć przy tym buczeniu generatora.

— I tych trzaskach z kierunkowego radia — dodał jeden z naukowców. — Wszystko jedno, jaką częstotliwość nastawiam. Tylko to odbieram.

— Nie, coś słyhać w tle. Ale ledwie, ledwie.

Ktoś zachichotał.

— Pewnie meksykańska stacja radiowa nadaje muzykę mariachi.

— Patrzcie, co to?

— Spadająca gwiazda. Nie widziałem ich od dzieciństwa. Tak długo mieszkam w mieście. Prawie zapomniałem, jak one wyglądają.

— Tam jest jeszcze jedna.

— Nie, to nie spadająca gwiazda. Jest zbyt nisko nad horyzontem i świeci zbyt długo.

— Cała gromada. Wyglądają jak fajerwerki. Założę się, że oglądamy pokaz fajerwerków zza granicy. Ktoś wie, czy Meksykanie mają jakieś święto?

— Hej, kto tam jest w namiocie? Przestań podkręcać radio. Uszy mnie bołą od tych trzasków.

— Nikogo nie ma w namiocie — odparł jeden z naukowców. — Zakłócenia same robią się głośniejsze.

— A fajerwerki robią się jaśniejsze — powiedział żołnierz. — Patrzcie na te kolory. Przypominają mi zorzę polarną. Widziałem ją raz, kiedy byłem dzieckiem i tato zabrał mnie na biwak nad jezioro Michigan.

— Ale te światła są na południu. I strasznie nisko nad horyzontem — zwrócił mu uwagę inżynier. Obejrzał się nu namiot. — Na pewno nikt nie majstruje przy radiu? Teraz trzeszczy głośniej niż generator.

Nagle trzaski ucichły.

Znikły też spadające gwiazdy, fajerwerki czy zorza polarna — czymkolwiek były. Na horyzoncie zapadła ciemność.

Podobnie w namiocie, gdzie zgasły wszystkie instrumenty. Generator przestał buczeć.

— Co się dzieje, do diabła?

— Panowie — powiedział Edward — witają was światła.

69

Page zmarszczył brwi, bo coś się zmieniło na ziemi pod cessä. Blask reflektorów nagle zgasł.

Tori też to zauważyła.

— Coś się dzieje za nami.

Przechylił samolot na lewo i zawrócił tam, skąd przylecieli. Ale krajobraz już nie wyglądał tak samo.

— Gdzie jest miejsce obserwacyjne? Nie widzę reflektorów.

— Nie tylko to — powiedziała Tori. — Nie widzę żadnych świateł samochodów. Jeszcze przed chwilą był cały sznur. Teraz na drodze jest ciemno. I helikoptery... ich świateł też nie widzę.

— Przestały nadawać przez radio — oznajmił zdumiony Page.

W dole nagle rozbłysła kula ognia. Potem nastąpiły jeszcze dwie eksplozje. Page z zaskoczeniem zobaczył helikopter miażdżący swoim ciężarem samochody na poboczu drogi. Dotarł do niego odległy łoskot zderzenia. Wielkie kawały metalu poleciały na wszystkie strony. W blasku płomieni uciekały maleńkie figurki spanikowanych ludzi.

— Boże im dopomóż — mruknęła Tori.

Fale wstrząsu zakołysały samolotem.

— Może powinniśmy zawrócić — wykrztusił Page.

— Nie, to nie przypadek. To, co tam się dzieje na dole, musi mieć jakiś związek ze światłami. Przylecieliśmy coś zrobić i jeśli teraz tego nie dokończymy, chyba nie dam rady próbować od nowa. — Milczała przez chwilę. — Chcę poznać prawdę.

— Cokolwiek zechcesz — zapewnił ją Page. — Jesteśmy w tym razem.

— Tak. — Tori smakowała to słowo. — Razem.

Omijając prąd wstępujący rozgrzanego powietrza, płomieni i szczątków, Page poleciał na południe, w stronę mrocznego horyzontu.

— Co to za ciemne garby przed nami? — zapytała Tori.

— Badlandy.

Tori pokazała palcem.

— Coś jest za nimi.

— Nic nie widzę.

— Słabe czerwone światełka. Trzy.

Page wyteżył wzrok.

— Ciągłe ich nic widzę.

— Robią się jaśniejsze.

— Gdzie one są? Podaj mi namiar.

Tori spojrzała na wskaźnik.

— Sto czterdzieści stopni.

— Widzę tylko ciemność.

— One się dzielą. Teraz są jeszcze jaśniejsze. Zmieniają kolory z czerwonego na niebieski, żółty i zielony. Jak możesz ich nie widzieć?

— Może gdybym zszedł niżej...

— Znowu się dzielą.

Page zmniejszył obroty silnika. Samolot stopniowo obniżył lot; płynne wrażenie opadania przypomniało Page'owi, co czuł, kiedy zobaczył światła.

Tylko że tym razem ich nie widział.

— Teraz jest ich tak wiele. Jak tęcza falująca nad ziemią — oznajmiła Tori obcym głosem. — Przesuwają się w stronę miejsca obserwacyjnego.

— Jestem tak otwarty, jak tylko to możliwe. Dlaczego ich nie widzę?

Page opadł jeszcze niżej w ciemność i nagle zobaczył światła. Zupełnie jakby uniosła się zasłona. Ale kolory nie falowały tak, jak to opisała Tori.

Skręcały się wściekle.

— Coś jest nie tak. — Page dodał gazu i podniósł nos samolotu.

Świetlista żółta macka wystrzeliła w górę niczym protuberancja podczas burzy słonecznej. Wydłużała się, aż oderwała się i skupiła w drgającą masę, która pomknęła jeszcze wyżej.

Nabierając wysokości, Page skręcił w prawo.

Światło nadlatywało.

Wykonał zwrot w lewo.

Światło zrobiło to samo.

Przezroczyste, pulsujące, opalizujące, nagle wypełniło kokpit. Page nie słyszał już silnika samolotu. Zamiast tego usłyszał szum wiatru. Otoczyły go wirujące odcienie żółci. Zamigotały obrazy.

Zobaczył akwarium z falującymi roślinami i sztucznym wrakiem statku, tylko że zamiast roślin były mątwy, których macki przypominały pędy paproci, a część wraku tworzyły następne mątwy, które sprytnie się zakamuflowały, żeby upodobnić się do otoczenia.

A teraz ojciec pokazywał następne i następne mątwy, a matka, która za rok miała umrzeć na raka piersi, uśmiechała się, ponieważ jej mąż i syn dla odmiany wreszcie się dogadywali.

Page usłyszał jakiś głos w szumie powietrza. Głos ojca.

„Czasami musimy się nauczyć patrzeć w nowy sposób”.

Silnik zgasł.

Żółć zniknęła.

Bez ostrzeżenia Page znalazł się w ciemności, ze wzrokiem osłabionym przez powidoki światła. Rozpaczliwie starał się coś zobaczyć przez szybę. Z ulgą odkrył, że różnica pomiędzy blaskiem księżyca i gwiazd w górze a ciemnością w dole wystarczy, żeby przynajmniej określić położenie horyzontu.

Ziemia z przodu wydawała się ciemniejsza niż dookoła. Nierówna.

Page nagle zrozumiał, że uciekając przed atakującym światłem, stracił orientację i skierował samolot w stronę badlandów. Cisza go przerażała. Zwykle słuchawki wytłumiały hałas silnika do cichego warkotu. Teraz jednak nie słyszał nic.

Pulpit sterowniczy był ciemny. Radio nie działało.

Ojciec powtarzał mu wielokrotnie, co robić w razie awarii silnika. Po pierwsze należało położyć samolot w ślizg. Przy prędkości sześćdziesięciu pięciu węzłów cessna traciłaby tysiąc stóp na każde dziewięć tysięcy stóp lotu ślizgowego. Teoretycznie to dawało dość czasu, żeby wybrać miejsce przymusowego lądowania — najlepiej pole czy nawet drogę. W ciągu dnia mógłby się rozejrzeć, ale w nocy nie wiedział, czy obszar czerni to trawa, skały, czy przepaść.

Przynajmniej księżyc i gwiazdy pozwalały odróżnić ciemne garby badlandów od płaskiego terenu dookoła. Page prowadził cessnę lotem ślizgowym z prędkością, którą mógł tylko oceniać na sześćdziesiąt pięć węzłów. Nie widząc prędkościomierza, musiał polegać na wyczuciu samolotu, które nabył podczas tysięcy godzin latania z różną szybkością.

Opadali dalej.

— Tori, sprawdź, czy masz ciasno zapięte pasy! Przed samym przyziemieniem otwórz swoje drzwi! Impet lądowania może skrócić kadłub i drzwi się zaklinują!

Nie dodał: „I zostaniesz uwięziona w środku”.

Żeby zminimalizować prawdopodobieństwo pożaru, Page przekręcił regulator ciągu silnika w położenie off, odcinając przewody paliwa. Im bardziej zbliżali się do ziemi, tym lepiej funkcjonowały jego oczy i tym wyraźniej widział wypiętrzenia hadlandów. Tori też je zobaczyła.

— Przelecimy nad nimi?! — krzyknęła.

— Taki mam plan.

— Cholernie dobry.

Cessna opadała coraz niżej. Czas się rozciągał. Minuta wlokła się przez wieczność.

— Skóra mnie piecze — powiedziała Tori.

Page zmarszczył brwi, dotknął swojego policzka.

— Mnie też.

— Widziałam ojca — oznajmiła.

— Co?

— Kiedy światło wirowało wokół nas, zobaczyłam ojca. Byłam małą dziewczynką. On ciągnął mnie do samochodu. Uderzyłam go, próbowałam się wyrwać, żeby oglądać światła.

— Ja też widziałem ojca.

Ciemna ziemia szybko się zbliżała.

— Kocham cię — powiedziała Tori.

— Też cię kocham.

Przed nimi wyrosły głązy.

— Trzymaj się.

Prześlizgując się nad badlandami, Page poczuł, że jedno koło o coś zawadziło. Bezkształtna ciemność pierzchła, zastąpiona przez coś, co wyglądało jak preria. Lecz pod cessną mogło być wszystko — skały, o które samolot zaczepi kołami i przekoziółkuje, albo równie niebezpieczny płot.

Szybowali nad starą wojskową bazą lotniczą, jak się zorientował Page. Próbował jak najbardziej opóźnić moment lądowania, nie tylko ze względu na teoretycznie łagodniejszy wstrząs, ale też dlatego, że dopóki utrzymywali się w powietrzu, dopóty żyli. Mimo woli wciąż myślał o niewybuchach spoczywających w ziemi.

Krew kapłała z nosa Hollowaya. Przestał tańczyć na chwilę, żeby otrzeć usta wierzchem prawej dłoni. Widok własnych knykci umazanych czerwienią zaniepokoił go, ale tylko na chwilę. Ta krew nie miała znaczenia, podobnie jak krew płynąca z uszu.

Kobieta w jego ramionach miała znaczenie.

Szklanka wódki z sokiem pomarańczowym, zawsze pełna — też miała znaczenie.

Ale największe znaczenie miała muzyka. Holloway przypomniał sobie młodzięcze marzenia, żeby zostać gwiazdorem rocka, mieć świat u stóp, wydawać rozkazy i robić, co mu kr; podoba. Ćwiczył na gitarze, aż dorobił się odcisków na palcach Pisał jedną piosenkę za drugą. Jeździł za zespołami rockowymi z miasta do miasta, wyłaził ze skóry, żeby im się podlizać, kupował im prochy, naganiał dziewczyny, próbował ich namówić, żeby wysłuchali jego piosenek, może je nagrali i może nawet pozwolili mu zaśpiewać w tle, bo dobry kumpel Earl zasługiwał na nagrodę za wszystko, co dla nich robił.

Wkrótce to za nim ludzie będą jeździć, załatwiać mu prochy i dziewczyny.

Lecz miasta się zmieniały, zmieniały się zespoły i pewnego dnia Holloway zrozumiał, że nikt nigdy nie nagra jego piosenek i z pewnością nie pozwolą mu zaśpiewać. Co z niego był za kretyn, skoro nie rozumiał, że się z niego śmieją i go wykorzystują?

Wrócił do Providence, pracował w restauracji jako pomocnik kelnera, zrobił dziecko swojej dziewczynie i wstąpił do wojska. Zanim się obejrzał, zabijał ludzi, zamiast dla nich śpiewać.

Rozpamiętywał swoje smutne życie, tańcząc do muzyki chwytającej za serce. Oczy zaszyły mu łzami. Otarł je prawą ręką i zauważył na palcach znacznie więcej krwi niż przed chwilą. Marszcząc czoło, tarł oczy lewą ręką. Na widok czerwonego płynu zrozumiał, że krwawił teraz z kanalików łzowych, nie tylko z nosa i uszu, ale to również nie miało znaczenia — ponieważ uświadomił sobie, że zaćmiło mu się w oczach z innego powodu.

Czuł zapach inny niż cynamonowa woń włosów kobiety. Kaszląc, spojrział przez otwarte drzwi na korytarz, ale nie zobaczył korytarza.

Wszystko zakrywał dym.

Lockhart dorzucił naręcze suchej trawy i wędrownych chwastów do ogniska, które rozpałił pod kanałami wentylacyjnymi. Wokół niego potężne reflektory, które zapaliły się automatycznie o zachodzie słońca, rzuciły groteskowy odbłask lin ogromne czasze radioteleskopów. Świeciły tak mocno, że czuł bijące od nich ciepło.

A może żar bił od ogniska, które strzelało teraz na pięć stóp w górę. Rozwaliwszy wszystkie kamery nadzoru, które znalazł, Lockhart zaczął szukać innego wejścia do kompleksu.

Cholera, to miejsce jest hermetyczne, pomyślał.

Natychmiast zrozumiał, że oczywiście obiekt nie może być hermetyczny. Musi mieć przewody wentylacyjne. Inaczej ludzie w środku by się podusili.

W końcu Lockhart zlokalizował trzy zestawy przewodów, ukryte wśród czasz.

Nie miał zapalek. Wystarczył jednak ogień wylotowy z lufy M4. Lockhart najpierw spiętrzył stopy suchej trawy i chwastów na przewodach. Potem strzelił do nich i bez trudu rozpałił ogniska.

Sztuczka polegała na tym, żeby biegać od jednego ogniska do drugiego i ciągle dokładać suszu. Wkrótce już wiedział, które przewody są które. Jedne wsysały dym, a drugie wydmuchiwały go w górę. Chociaż po zmroku panował przyjemny chłód, koszula Lockharta przesiąkła potem, ale nigdy jeszcze żadna gimnastyka nie sprawiła mu tyle satysfakcji.

Myśląc o trupach na ciężarówce i zagrożeniu dla misji, jakie przedstawiał sobą ten drań, Lockhart nucił w duchu: „No, maleńki, spał się”.

Wyobrażał sobie, jak ten zwariowany kutas próbuje oddychać przez mokry ręcznik i wykasłuje płuca. Prędzej czy później zewnętrzne drzwi się otworzą. Lockhart widział je z daleka, kiedy biegał od ogniska do ogniska, dorzucając zeschnięłe chwasty wyłącznie pod otwory wyciągów. Płomienie strzeliły wyżej, pochłaniając deski z rusztowania. Lockhart ciągle spoglądał na drzwi. Gdy tylko Halloway się pokaże, Lockhart go nauczy, że nie warto wchodzić w drogę pułkownikowi.

Płomienie ryczały. Teraz jednak Lockhart usłyszał głośniejszy dźwięk. Spojrzał na zachód i zobaczył światła szybko nadlatującego black hawka. Nareszcie, pomyślał. Pułkownik obiecał, że dostarczy sprzęt, który otworzy te drzwi.

Chwytał M4 i pobiegł. Płyta lądowiska została zniszczona przez wrak straconego helikoptera. Lockhart stanął pod reflektorem i zaczął machać rękami, żeby zwrócić uwagę pilota. Potem pokazał miejsce tuż za otwartą bramą. Wkrótce black hawk usiadł na drodze za bramą, z nosem skierowanym w stronę stalowych drzwi betonowego baraku.

— Czemu tamten helikopter spadł?! — zawołał pilot, kiedy wirnik black hawka zatrzymał się ze świstem.

Twarz mu stężała, gdy usłyszał wyjaśnienia Lockharta. Komandosi z jednostki specjalnej wyskoczyli przez boczny wjazd, z karabinami szturmowymi w rękach.

— Mówicie, że na tej ciężarówce leży stos trupów? — zapytał pilot. Widząc, jak trzy kojoty zeskakują z naczepy z ochłapami dyndającymi w pyskach, pokręcił głową ze wstrętem.

— Pułkownik mówił, że przywieziecie sprzęt, żeby się przebić przez te drzwi — powiedział Lockhart. — Co macie? Claymore'y? Lont?

— Dla tego gościa mam coś lepszego.

Po chwili helikopter wzniósł się w powietrze, zawisł jakieś sto stóp nad drogą i wystrzelił rakieta.

Lockhart patrzył z bezpiecznej odległości, uradowany. Chciał czegoś, żeby się przebić przez drzwi. Ale to było znacznie lepsze. Z satysfakcjonującym grzmotem rakiet rozwalila na kawałki cały ten cholerny betonowy barak.

Brent stał na dachu samochodu kempingowego i opisywał rozszalały tłum w dole. Pamiętając, co się stało poprzedniego wieczoru, prawie się zdecydował wygłaszać komentarz z ziemi albo z mniejszej wysokości.

Ale jak to będzie wyglądało, do cholery? Jestem podobno najtwardszym reporterem w tym fachu i mam robić program ze stołu piknikowego?

Mimo wszystko za każdym razem, kiedy tłum popychał samochód i Brent musiał łapać równowagę, przypominał sobie tamto uczucie spadania. Żaden kamerzysta nie miał determinacji Anity i żaden nie chciał wejść na dach. W końcu producent umieścił tam zdalnie sterowaną kamerę. Razem z kamerami reportażowymi w tłumie oraz kamerą na nosie helikoptera miały

zapewnić dostatecznie obszerną transmisję. Lecz nie ulegało wątpliwości, gdzie skupi się uwaga widzów — na facecie ryzykującym życie na dachu wozu kempingowego, podczas gdy wszyscy inni telewizyjni reporterzy nadający z ziemi wyjdą na mięczaków.

Kiedy zgasły reflektory, Brent zrobił z tego dramatyczną chwilę.

— Czy ktoś zepsuł światła? — zapytał, zanim sobie uświadomił, że zgasły również jego światła, nie wspominając o światłach kamer, samochodów i helikopterów.

Jezu, nie mówcie mi, że zszedłem z anteny.

Oślepiiony przez nagłą ciemność, po omacku sięgnął do drabiny z boku wozu kempingowego. Ludzie obijali się o samochód, krzycząc w panice. Brent zachwiał się, znalazł drabinę, zaczął schodzić i zamarł, kiedy helikoptery runęły na ziemię w eksplozjach płomieni.

Obok niego ze świstem przeleciał kawał metalu. Brent przywarł do drabiny i czekał, aż przejdzie fala uderzeniowa. Oczy miał na poziomie dachu samochodu. Patrzył prosto nad betonową barierą, w stronę pola za miejscem obserwacyjnym.

Pojawił się blask.

W pierwszej chwili Brent pomyślał, że to powidok światła kamery, utrwalony na siatkówce. Potem jednak dotarło do niego, że blask rozciągał się z prawa na lewo na setki jardów. Zbliżał się i potężniał, tak silny, że rozproszył ciemność, przyplływ gniewnych kolorów pędzący ku niemu ponad prerią.

Może mikrofon ciągle działa!

Gorączkowo przemówił do mikrofonu:

— Dzisiejszej nocy wasz reporter ogląda najsilniejszą jak dotąd manifestację świateł Rostova, które wypełniają całe pole widzenia i zbliżają się do zgromadzonego tłumu.

Blask raził w oczy.

— W środku jakby migoczą błyskawice! To wywiera niesamowity efekt na widzach.

Ludzie w tłumie modlili się, jęczeli i szlochali. Lecz ich głosy nie mogły zagłuszyć narastającego buczenia świateł, zbliżających się z olbrzymią prędkością.

— Robi się gorąco! — krzyknął Brent. — Trawa zajmuje się ogniem! Chwileczkę, coś nadlatuje od strony świateł! Mikrofon tak się rozgrzał, że ledwie mogę go utrzymać! Moja twarz...

Wrzasnął.

73

Kiedy black hawk rozwalił betonowy barak, Lockhart i komandosi zagwizdali z aprobatą. Ziejący otwór odsłaniał drogę w dół.

— Teraz usmażymy tego skurwysyna! — oświadczył Lockhart.

Bez ostrzeżenia wszystkie reflektory zgasły i świat pograżył się w ciemności. Lockhart zeszytniał. Powiedział sobie, że to tylko wybuch uszkodził instalację. Lecz zanim helikopter zdążył wylądować, jego światła również zgasły.

Podobnie jak silnik.

Gwałtownie tracąc wysokość, maszyna grzmotnęła o ziemię — pięćdziesiąt stóp niżej ze świstem wirników i trzaskiem pękających płóz.

Tylko ogniska dawały nieco światła. Nie, nieprawda, pomyślał Lockhart. Na południowym wschodzie, od strony opuszczonej bazy wojskowej, wstawał blask. Lockhart widział go wyraźnie, chociaż musiał wyteżać wzrok, nieprzyzwyczajony do ciemności.

- Cholera, co to jest? — zawołał jeden z komandosów.
- Nie wiem, ale robi się jaśniejsze! I zbliża się!
- Na ziemię!

Przez moment Lockhart myślał, że wystrzelono w nich rakietę, ale kiedy wylądował na brzuchu, zrozumiał, że to tylko snop światła. Światło składało się z wirujących kolorów — czerwonego, zielonego, niebieskiego, żółtego. Wystrzeliło zza horyzontu, z sykiem przemknęło nad jego głową i sparzyło go żarem. Poczul swąd spalonych włosów i strzepnął z siebie popiół.

Sypiąc iskrami, światło uderzyło w czaszę przechyloną na bok, w stronę bazy lotniczej. Natychmiast zostało przekierowane i śmignęło do góry z czaszy skierowanej w niebo. Lockhartowi przypomniały się filmy o drugiej wojnie światowej, w których potężne reflektory przeczesywały niebo w poszukiwaniu bombowców wroga prowadzących nocne naloty.

Chociaż widział tylko jeden snop światła, wielobarwny blask raził go w oczy. Wznosił się coraz wyżej, sięgał coraz dalej w niebo, aż trafił na coś i sypnął iskrami, po czym nagle skreślił pod ostrym kątem i runął w dół, celując w jakiś punkt daleko na północnym zachodzie. Pozostawił po sobie smugę pulsującego światła, które nadal trzeszczało nad ziemią i wybiegało w górę z czasz radioteleskopów.

- Pałę się! — ktoś wrzasnął. Koledzy pospiesznie ugasili płonące ubranie komandosa.

Lockhart zakrył uszy rękami. Snop światła syczał i trzeszczał, ule przez te zakłócenia przebiegał inny dźwięk — jakieś buczenie albo brzęczenie, czy raczej przeraźliwa muzyka, grożąca rozerwaniem bębenków.

74

- Szesnasty lipca 1945 roku.

Tuż przed świtem zdetonowano pierwszą bombę atomową w pobliżu Alamogordo w odległym południowym rejonie Nowego Meksyku. Kiedy oślepiająca kula ognia w kształcie grzyba wzniosła się na trzydzieści osiem tysięcy stóp w powietrze i zapłonęła dziesięć tysięcy razy jaśniej niż powłoka Słońca, kierownik projektu, Robert Oppenheimer, wyrecytował ustęp z *Bhagawadgity*, w którym Bóg ukazuje uczniowi swoją prawdziwą, groźną, przerażającą postać.

— Gdyby tysiące słońc zapłonęło jednocześnie na niebie, ich blask podobny byłby światłości tej wspaniałej istoty — zacytował. — Teraz staję się Śmiercią, niszczycielem światów.

W tym samym czasie wojskowa baza lotnicza w pobliżu Rostova w Teksasie, dwieście pięćdziesiąt mil na południowy wschód od Alamogordo, przestała odbierać oraz wysyłać wiadomości radiowe i telefoniczne. Szczególne zaniepokojenie budził status obiektu pod bazą lotniczą, gdzie od 1943 roku prowadzono badania nad alternatywną bronią masowej zagłady.

Po sześciu godzinach daremnych prób nawiązania łączności wojsko wysłało z Fort Bliss samolot myśliwski P-40 Warhawk na rekonesans. Dotarł na miejsce o drugiej po południu. Przelatując nad lotniskiem, pilot zameldował o całkowitym braku aktywności.

— Widzę otwarte hangary. Pojazdy i samoloty na skraju pasa startowego. Na końcu pasa stoi B-dwadzieścia cztery, jakby miał wystartować, ale śmigła się nie poruszają. Właściwie nic się nie rusza. Nie widzę żadnych ludzi.

Otrzymawszy rozkaz lądowania i zbadania sytuacji, pilot zawrócił i rozpoczął podejście. Na wysokości dwustu stóp wreszcie zobaczył jakiś ruch — mężczyznę w mundurze, który człapał chwiejnie po środkowej linii pasa. Pilot wykonał manewr omijania i patrzył, jak mężczyzna w mundurze człapie dalej i wreszcie przewraca się na końcu pasa.

Po wylądowaniu pilot szybko się rozejrzał, wciąż jednak nie widział żadnych ludzi wśród nieruchomych pojazdów i samo lotów. Podbiegł do mężczyzny leżącego na końcu pasa. Mężczyzna był półprzytomny, jęczał. Miał na sobie mundur z dystynkcjami pułkownika, poplamiony krwią. Jego twarz wyglądała jak poparzona. Według identyfikatora na kieszeni nazywał się Edward Raleigh.

Pilot podbiegł do najbliższej ciężarówki, zamierzając przewieźć pułkownika w zacienione miejsce, ale samochód nie chciał zapalić. Podobnie jak wszystkie pozostałe pojazdy. Pilot mógł jedynie udzielić pułkownikowi podstawowej pierwszej pomocy i zataścić go do hangaru. Tam znalazł zwłoki personelu wojskowego, wszystkie zalane krwią ciekącą z nosów, uszu, kanalików łzowych, ust i innych otworów. Niektórzy krwawili tak mocno, że popękała im skóra na twarzach.

Trupy leżały w pozycjach sugerujących rozpaczliwe próby ukrycia się, skulone pod ścianami, pod urządzeniami, pod brzuchami samolotów. Co najmniej dwunastu żołnierzy zginęło w strzelaninie. Jęki zaprowadziły pilota do kilku niedobitków, wszystkich krwawiących, majaczących i półprzytomnych.

Kiedy pilot przekazał meldunek przez radio, kazano mu czekać. Po dziesięciu minutach autorytatywny głos rozkazał:

— Zostańcie na miejscu. Spróbujcie pomóc pułkownikowi Raleighowi. Nie wchodźcie do żadnych innych pomieszczeń w bazie. Wysyłamy dwa C–czterdzieści pięć z ekipą medyczną. Po ich przybyciu wróćcie do Fort Bliss i natychmiast zgłoszcie się do raportu. Z tym wyjątkiem nie wolno wam nikomu mówić, co widzieliście. Powtarzam: nie wchodźcie do żadnych pomieszczeń w bazie.

Podczas gdy pierwszy C–45 rzeczywiście przywiózł personel medyczny, na pokładzie drugiego przyleciała ekipa śledcza, która miała sprawdzić bezpieczeństwo podziemnego kompleksu. Tam również zastali obraz zagłady: większość ludzi zmarła od poparzeń i krwotoków, nieliczni, którzy przeżyli, jęczeli z bólu. Tutaj też znalazło się kilka ofiar strzelaniny. Krew pokrywała ściany.

Po trzech dniach bazę lotniczą zamknięto. Oficjalne wyjaśnienie podawało jako przyczynę zgonów ogromny wyciek paliwa, który wywołał pożar. Samoloty oraz sprzęt przeniesiono do kilku innych baz. Wejście do podziemnego kompleksu zapieczętowano. Tablice ostrzegały intruzów przed niewybuchami.

75

Lockhart i komandosi z jednostki specjalnej uciekli przed snopem światła. Kurczowo ściskając swoje M4, dopadli do dziury po rakiecie, która rozwaliła betonowy barak. Schody prowadziły w dół, płynął stamtąd dym.

— Przywieźliśmy maski przeciwgazowe — poinformował Lockharta dowódca grupy.

Wyciągnęli je z plecaków. Kazali mu zaczekać i zbiegli po schodach.

Lockhart przykucnął, szukając osłony przed żarem wydzielanym przez snop światła.

— Widzę drut pułapkę! — wrzasnął ktoś.

— Przejdź nad nim! Palant powinien go lepiej zamaskować!

Lockhart słyszał łomotanie butów po metalowych stopniach, coraz niżej i niżej. Bez ostrzeżenia impet wybuchu cisnął go do tyłu. Następna pułapka! Wylądował ciężko na stercie

gruzu i jęknął z bólu. Wrzaski u stóp schodów stopniowo ucichły i ciszę mąciło tylko syczenie — trzeszczenie — buczenie wiązki światła.

I nieziemską muzyką, teraz upiornie pulsującą. Przedtem sądził, że muzyka wypływa z promienia światła, teraz jednak, kiedy chwiejnie gramolił się na nogi, słyszał wyraźnie jej echo dobiegające z głębi klatki schodowej.

Podniósł M4, podszedł do ziejącej dziury i ostrożnie zajrzał w głąb. Nikła poświata przebijająca przez dym oświetlała schody zmienione w płataninę poskręcane metalu i ciała.

Rozwścieczony Lockhart zarzucił na ramię karabin szturmowy. Prawa poręcz zwiisała na metalowych wspornikach zakotwiczonych w betonie. Zachybotła się, kiedy oparł się na niej całym ciężarem. Spocony, wstrzymując oddech, opuszczał się po poręczy, przekładając jedną rękę za drugą.

Na dole starał się nie kaszleć od gryzącego dymu. Obejrząwszy poharatane ciała, wiedział, że nie może w niczym pomóc.

Zdjął trupowi maskę przeciwgazową i nałożył. Wywołała lekkie poczucie klaustrofobii, ale przynajmniej stłumiła potrzebę kaszlu. Dym przepływał za szybką.

Muzyka dalej pulsowała.

Kilku martwych komandosów miało granaty. Lockhart wziął parę, potem zdjął M4 z ramienia i ostrożnie ruszył naprzód, gotów strzelać do wszystkiego, co się rusza.

Ze ścian emanowała coraz silniejsza poświata. Cał po cał Lockhart posuwał się korytarzem. Dotarł do otwartych drzwi po prawej stronie, wrzucił do środka granat i szybko się cofnął. Huk eksplozji mieszał się z brzękiem rozbijanego szkła i zgrzytem dartej metalu.

Lockhart szedł dalej przez kłęby dymu i dotarł do otwartych drzwi po lewej stronie — źródła muzyki. Wyciągnął zawleczkę z drugiego granatu i chciał już zwolnić dźwignię spustową, kiedy ze środka dobiegł słaby głos:

— Nie rób tego. Jestem chory. Chcę tylko słuchać muzyki. Pozwól mi umrzeć, słuchając muzyki.

— Ty jesteś Holloway? — zapytał, ukryty za framugą.

— Kiedyś byłem.

— Kiedyś byłeś? To nie ma sensu.

— Lubisz wódkę z sokiem pomarańczowym?

— Ciągłe gadasz bez sensu.

— Nie czujesz smaku wódki z sokiem pomarańczowym?

— Czuję tylko dym.

— Pierwszy raz upiłem się właśnie wódką z sokiem pomarańczowym — powiedział słaby głos, którego właściciel miał chyba kłopoty z oddychaniem.

— No, to będzie twój ostatni raz — rzucił gniewnie Lockhart.

— Proszę... pozwól mi jeszcze trochę posłuchać muzyki. Tylko to mi zostało. — Rozległ się odgłos zasysanego powietrza. — Nawet już nie mogę tańczyć.

— Nie wiem, o czym gadasz, ale mogę ci zagwarantować, że tańce się dla ciebie skończyły.

— Lockhart wciąż ścisnął granat, z palcem na łyżce. — Nie trzeba było rozchrzaniać projektu pułkownika.

— Pułkownik to kutas.

Lockhart się zawahał.

— Tu akurat masz rację.

Nagle podłoga zachwiała mu się pod nogami.

— Chciałeś kiedyś zostać gwiazdorem rocka? — zdołał wykrztusić Holloway.

Lockhart słyszał kiedyś, jak ranny człowiek oddycha przez dziurę w gardle. Taki sam siorbiący, rzeżący dźwięk słyszał teraz,

— Gwiazdorem rocka? Niespecjalnie.

— A kim chciałeś zostać?

— Nigdy o tym nie myślałem. — Mimo woli przypomniał sobie harleya davidsona, którego zostawił kilka mil dalej.

Przygotowując się do rzutu granatem, poczuł nagle, że ściany zadrżały.

— Nie wiedziałem, że można krwawić z tyłu miejsc naraz — wymamrotał Holloway coraz bardziej bulgotliwym głosem. — Ja już jestem trupem. Tylko pozwól mi jeszcze posłuchać muzyki

Zasnuty dymem sufit zadygotał, odpadł od niego kawał betonu. Lockhart miał wrażenie, że to wszystko jakoś się wiąże z muzyką.

Wyobraził sobie, że jedzie na harleyu. Podłoga zatrzęsała się tak mocno, że ledwie utrzymał równowagę.

— Taak — mruknął. — Pułkownik Raleigh to kutas. Warto było to zrobić?

— Pewnie, cholera. — Holloway wykaszlnął coś grubego.

— Skoro tak mówisz. Pożegnaj się z muzyką.

Lockhart wrzucił granat do pokoju, odskoczył i zakrył uszy rękami. Zachwiał się od wstrząsu. Usłyszał grzechotanie spadających w pokoju odłamków. Ale muzyka ucichła.

Korytarz ciągle się trząsał, ze ścian i sufitu spadało coraz więcej kawałków betonu. Lockhart odwrócił się i jak najszybciej ruszył z powrotem przez dym. Przekładając jedną rękę za drugą, wspiał się po chybotałej metalowej poręczy, która mogła pęknąć w każdej chwili.

Na górze usłyszał trzask — syk — szum wiązki światła i ujrzał drgający blask. Kiedy zrzucił maskę przeciwgazową, poczuł, że powietrze cuchnie ozonem jak po wyładowaniu elektrycznym.

Ziemia wibrowała.

Przebiegł przez trzy otwarte bramy i popędził drogą. Myślał tylko o motocyklu, jak bardzo chciałby na nim jechać przez wieczność.

Wyciągał nogi dalej, biegł szybciej.

Kiedy już około mili dzieliło go od obserwatorium, poczuł za plecami żar eksplozji. Fala uderzeniowa o mało nie zbiła go z nóg. Obejrzał się przez ramię i zobaczył, że obserwatorium wybuchło. Czasze rozleciały się na kawałki. Na niebie zajaśniała detonacja, niczym ogromna raca. Ale żadna raca nie doleciałaby tak wysoko.

Jedynе wyjaśnienie, jakie mu przyszło do głowy, to wybuch satelity.

76

Raleigh poczuł wibrację.

— Czy podłoga się kołysze? — zapytał ludzi przed elektronicznymi instrumentami. Zatyczki w uszach sprawiały, że jego głos dochodził jakby z daleka.

— Wszystko zaczyna się trząść — potwierdził jeden z techników. — Słyszę jakieś buczenie.

— Wepchnijcie głębiej zatyczki.

— Głębiej już się nie da.

— Więc nałóżcie słuchawki tłumiące hałas.

Raleigh i reszta zespołu nałożyli słuchawki.

— Ciągłe słyszę buczenie — poskarżył się technik słabym głosem.

Na monitorze wideo Raleigh widział płomienie buchające z rozbitych helikopterów. Poza tym wszędzie panowała ciemność. Spanikowani, oszołomieni ludzie wyglądali groteskowo w zielonkawym blasku nocnych kamer. Kolejny monitor pokazywał owczarka niemieckiego, który całkiem przestał nad sobą panować. Kłapiąc zębami, rzucił się na swojego tresera.

Zastrzel go, ponaglił w myślach Raleigh.

Treser rzeczywiście sięgnął po pistolet schowany pod koszula, ale kiedy chciał uskoczyć przed kłapiącymi szczękami psa, potknął się i upadł na plecy. Strzelił raz w powietrze, a pies przeskoczył nad nim, wyrwał smycz i umknął w noc.

— Buczy coraz gorzej — powiedział ktoś zduszonym głosem,

— Stół się trzęsie.

— Jezu, krew mi leci z nosa.

Sygnal jest za mocny! Osłony nie działają! — pomyślał przerażony Raleigh.

Na innym ekranie świetlna fala płynęła przez prerię, zapalając pod sobą trawę. Wystrzelił z niej snop światła i pomknął w stronę starej bazy lotniczej. Dotarł do ukrytej anteny i odbił się w kierunku obserwatorium.

Nagle wszystkie monitory zgasły, ponieważ osłony kamer nie wytrzymały.

Komuś krew płynęła z oczu.

Raleigh się cofnął.

— Wyłączyć sprzęt! — ktoś wrzasnął.

— Nie! — krzyknął Raleigh, wciąż się cofając. — Trzymajcie wszystko włączone jak najdłużej!

— Moje uszy!

Ktoś zwymiotował krwią.

Raleigh dotarł do drzwi centrum dowodzenia, wszedł do środka, zamknął stalowe drzwi i zaryglował. Ten pokój miał trzykrotnie mocniejsze osłony elektromagnetyczne niż reszta pomieszczeń. Raleigh szybko podszedł do monitorów na biurku i zaczął obserwować ludzi na zewnątrz.

Kilku techników zorientowało się, co zrobił pułkownik. Podbiegli do drzwi i zaczęli w nie walić pięściami. Z gorączkowych ruchów ich warg Raleigh odczytał, że błagają, żeby ich wpuścił. Jakiś człowiek podniósł M4 z zamocowanym granatnikiem i odsunął innych.

Strzelił w drzwi.

Raleigh poczuł wstrząs. Na monitorach zobaczył dym eksplozji i kilku techników ranionych odłamkami. Ale drzwi pozostały nietknięte. Wrzeszcząc bezgłośnie, mężczyzna wystrzelił następny granat, znowu bez rezultatu. Tylko pozostali członkowie zespołu ucierpieli, więc któryś wziął swój karabinek i zastrzelił mężczyznę z granatnikiem.

Człowiek z karabinkiem zastrzelił następnie trzech innych, potwierdzając tezę, że siła związana ze światłami rzeczywiście wywołuje irracjonalną przemoc. Właśnie w celu sprawdzenia tej teorii Raleigh udostępnił im broń palną. Po chwili człowiek upuścił karabin i ścisnął głowę rękami, z twarzą wykrzywioną w męce.

Monitory na biurku Raleigha zgasły, osłony kamer zawiodły.

Raleigh osunął się na fotel za biurkiem. Zaszokowany, próbował sobie wmawiać, że nigdy właściwie nie wierzył, iż kiedyś naprawdę będzie musiał się tutaj schronić. Resztę kompleksu chroniły tak potężne osłony, że nie miał powodu wątpić w ich niezawodność. A jednak istniał tylko jeden sposób, żeby sprawdzić granice ich wytrzymałości.

Spojrzał na zegarek. Dziewięta czterdzieści siedem. Dużo czasu do wschodu słońca. Ale hej, to nic strasznego. Mam jedzenie i wodę, żeby przetrwać noc. Bez problemu doczekam do świtu, zanim wyjdę.

Górne oświetlenie przygasło, generator wysiadł.

Zachowaj spokój. Jeśli generator wysiadzie, to też nie strasznego. Po prostu położę głowę na biurku i zrobię to, co się robi w nocy: zasnę. Czas minie szybko.

Ci biedni ludzie na zewnątrz...

Światło zgasło. Raleigh pograżył się w ciemności tak gęstej, jakiej nigdy dotąd nie doświadczył.

Jestem bezpieczny. Tylko to się liczy. Rano będę miał tyle światła, ile zapagnę.

Spać.

Kiedy położył głowę na biurku i zamknął oczy, zobaczył nieistniejące plamki na wewnętrznej stronie powiek — sztuczka umysłu. Uniósł powieki. Ciemność wydawała się jeszcze głębsza.

Zaniepokoiło go lekkie dzwonięcie w uszach, dopóki sobie nie wytłumaczył, że to normalne zjawisko, kiedy się zablokuje wszystkie dźwięki z otoczenia.

Słyszę to przez cały czas. Zwykle inne dźwięki to maskują.

A jednak...

Czy to możliwe, że słyszę światła?

Nie, nie mógł sobie pozwolić na panikę.

Pomyśl o czym innym.

Na przykład?

Ale odpowiedź nadeszła automatycznie. o dziadku.

77

Edward Raleigh nigdy nic doszedł do siebie po tym, co go spotkało w bazie lotniczej Rostov szesnastego lipca 1945 roku. Oficerowie, którzy sporządzali raporty dla wywiadu wojskowego, przyjęli to z ulgą. Człowiek w stanie ciągłej katatonii raczej nie opowie nikomu o broni masowego rażenia, która mogła się okazać potężniejsza od bomby atomowej.

Po spektakularnym sukcesie Oppenheimera prezydent i armia doszli do wniosku, że nie ma sensu pracować nad projektem rezerwowym, zwłaszcza składającym się z elementów tak mało zrozumiałych i tak niszczyliście nieprzewidywalnych.

I zawodnych. Światła pojawiły się ponownie dopiero po dwóch miesiącach, i to słabe.

Bezwarunkowa kapitulacja Japonii umocniła tę decyzję. Jedna superbroń wystarczała, żeby panować nad światem. Ale potem Sowieci zbudowali własną bombę atomową i kiedy rozpoczął się wyścig atomowy, badania prowadzone w Rostovie tak utajniono, że praktycznie o nich zapomniano.

Edward Raleigh spędził następne dwadzieścia pięć lat w wojskowym szpitalu psychiatrycznym, codziennie odwiedzany przez żonę, którą poślubił w 1939 roku, kiedy stacjonował w Presidio w San Francisco. Ich syn miał na imię Robert. Gorliwa rzymska katoliczka, żona Edwarda, nigdy nie wyszła ponownie za mąż. Wierzyła, że gdyby się rozwiodła, skazałaby swoją duszę na potępienie.

W 1970 roku rosnące koszty wojny w Wietnamie zmusiły armię Stanów Zjednoczonych do ograniczenia pełnej opieki medycznej dla wojskowych, którzy przebywali w zakładzie od czasów pierwszej i drugiej wojny światowej. Żona Edwarda zabrała go ze szpitala do swojego mieszkania, gdzie poświęciła się opiece nad nim, zyskując nowy cel w życiu.

Jej syn miał już wtedy dwadzieścia dziewięć lat i własnego syna imieniem Warren. Dorastając, Warren odwiedzał dziadka i na zmianę fascynował go albo przerażał brodaty starzec,

który siedział bez ruchu w fotelu na biegunach, zawsze ubrany w piżamę i szlafrok, zawsze oglądający telewizję — chociaż nie wiadomo, czy zdawał sobie sprawę, co ogląda.

Warren miał trzynaście lat, kiedy jego babka zmarła na udar. Na pogrzebie wszyscy mówili, że była święta. Nigdy nic zapomniał, jak zaciekle jego rodzice dyskutowali, co zrobić ze „starym”, jak go nazywali.

— Nie mamy miejsca — upierała się matka, podczas gdy ojciec, zawodowy oficer armii, argumentował, że nie mają pieniędzy na umieszczenie staruszka w zakładzie.

W końcu dziadek zamieszkał w ich małym domku w Fort Bragg i na Warrena spadł obowiązek opiekowania się nim po szkole, kiedy matka wychodziła do pracy na pół etatu w sklepie wojskowym. Warrenowi to nie przeszkadzało. Mógł zapraszać kolegów, jeżeli skurczony, pomarszczony, siwowłosy, siwobrody staruszek nie budził w nich zbyt wielkiego obrzydzenia. Po prostu siedział i oglądał każdy program telewizyjny, który wybrali. Nigdy nie poruszał się samodzielnie, ale można go było nakłonić do przejścia paru kroków i do przeżuwania jedzenia, które mu wkładano do ust. Również bardzo grzecznie korzystał z toalety. Warren musiał tylko zaprowadzić go tam co dwie godziny, opuścić mu spodnie od piżamy, posadzić go i wrócić po pięciu minutach. Jeśli musiał mu oczyścić tyłek, używał wilgotnej szczotki. Obrzydliwe, pewnie, ale Warren odkrył, że potrafi wiele wytrzymać w zamian za nowe gry wideo, które ojciec pozwalał mu kupować co tydzień.

Pewnego dnia po szkole Warren siedział sam w salonie — bo tak się czuł, kiedy przebywał w jednym pomieszczeniu z dziadkiem — i grał w grę wideo z mnóstwem latających, dryfujących świetlnych kul. Dziadek wystraszył go śmiertelnie, kiedy się odezwał.

— Światła.

Warren upuścił joystick, odwrócił się do dziadka i wytrzeszczył oczy.

— Widziałem je — oznajmił staruszek.

— Ty mówisz? — zapytał Warren ze zdumieniem.

Dziadek jakby go nie słyszał. Po prostu mówił dalej chrapliwym głosem. Wielu rzeczy Warren nie rozumiał — o Teksasie, bazie lotniczej, światłach i podziemnej stacji badawczej.

— Rostov. — Cokolwiek to znaczyło. — Uszy krwawią. Nos. Kanaliki łzowe. Pali. Czas przyspiesza. Boże, ratuj. Alice. — Tak miała na imię babcia Warrena. Dziadek zaczął płakać.

Warren pobiegł po chusteczki higieniczne i wytarł brodatą twarz dziadka.

— Już dobrze, dziadku. Pomogę ci. Co chcesz powiedzieć?

Wtedy dziadek przestał mówić. Minęło kilka dni, zanim Warren się zorientował, że kiedy wycierał łzy staruszka, stanął pomiędzy nim a kulami światła w grze wideo. Rodzice uważali, że kłamał.

— Nie, mówił przez pięć minut — upierał się Warren.

— O czym?

Warren im powiedział.

— Światła — mruknął ojciec. — Matka mi opowiadała o badaniach, które on prowadził w Teksasie, coś o światłach.

— W Teksasie?

— W pobliżu jakiejś miejsciny o nazwie Rostov. Jego ojciec też miał coś wspólnego ze światłami. Jeszcze podczas pierwszej wojny światowej. Nigdy tego nie rozgryzłem.

— A te listy? — zapytała matka Warrena.

— Listy?

— Od jego ojca do matki. Pamiętam, że Alice je nam pokazywała. Według niej Edward cenił wszystko, co miało związek z jego ojcem, ponieważ był jeszcze malutki, kiedy ojciec zginął.

Niektóre listy wysłano z Francji podczas pierwszej wojny światowej. Były tam jakieś wzmianki o światłach.

— Tak, teraz pamiętam. Gdzie schowaliśmy rzeczy taty?

Po dwudziestu minutach poszukiwań znaleźli listy na dnie pudła w szafie. Zanieśli je do salonu i zebrali się wokół białobrodziej postaci w fotelu na biegunach.

— No tak, popatrzcie — powiedział ojciec Warrena. — „Śnię o światłach. Nie mogę się doczekać, żeby wrócić i je znaleźć”. Dwudziestego stycznia tysiąc dziewięćset osiemnastego roku. Tato, co o tym wiesz?

Ale dziadek Warrena znowu pogrążył się w katatonii. Następnego popołudnia, kiedy Warren grał w grę wideo, dziadek wskazał na pływające, dryfujące światła i zaczął opowiadać historię, którą zamykał w sobie od 1945 roku — o tajemnym obiekcie pod odległą bazą lotniczą w Teksasie i broni o nieznanej potędze.

Oczarowany Warren czuł, że włoski na rękach mu się jeżą jak od elektryczności. Od tamtej pory mówił kolegom, że ojciec ma dla niego robotę po szkole. Pospieszenie wracał do domu i włączał grę wideo. Pojawiały się dryfujące, pływające świetlne kule i dziadek zaczynał opowiadać o światłach.

Lecz pewnego dnia, kiedy Warren przybiegł ze szkoły, matka spotkała go przed domem i kazała być cicho, bo dziadek śpi w sypialni. Warrena ogarnęło rozczarowanie, ponieważ chciał jeszcze posłuchać o światłach i tamtym strasznym poranku w 1945 roku. Pograł w grę wideo, znudził się i postanowił sprawdzić, czy dziadek się nie obudził. Otworzył drzwi i zobaczył, że łóżko jest puste. Okno było otwarte.

Zadzwoił po matkę, która czym prędzej wróciła do domu. Chociaż we dwoje zjeździli wszystkie ulice w Fort Bragg, nie znaleźli staruszka. Żandarmeria wojskowa rozszerzyła zakres poszukiwań. Policja spoza bazy rozszerzyła zakres poszukiwań jeszcze bardziej.

Szpital, schroniska, kościoły, parki. Dziadka Warrena nigdzie nie było.

— Jakim cudem stary mógł zniknąć? — zapytał ojciec Warrena.

— Chyba wiem, dokąd on poszedł — wyznał Warren.

— Może się dowiedział, gdzie jest pochowana Alice, i postanowił ją odwiedzić — zasugerowała matka Warrena.

— Nie. On się wybrał do Rostova — oświadczył Warren.

— Do Rostova? W Teksasie?

— Do tej bazy lotniczej, gdzie został ranny. Ciągle o tym mówił. Myślę, że postanowił tam pojechać.

— Jak ten stary mógł się dostać do Teksasu?

— Nie mówię, że tam się dostał. Mówię tylko, że chciał tam pojechać.

Policja rozesłała biuletyn o zaginięciu do Georgii, Alabamy, Missisipi i Luizjany, do wszystkich stanów pomiędzy Karoliną Północną, gdzie znajduje się Fort Bragg, a zachodnim Teksasem.

Trzy dni później zadzwonił szef policji z Rostova. Tak, dziadek Warrena zdołał tam dotrzeć. Znalezione go na starym lotnisku.

Nieżywego.

Raleigh poczuł, że stół pod jego głową zaczyna wibrować. Wyprostował się w ciemności. Powietrze wydawało się cieplejsze, tak ciepłe, że zaczął się pocić.

Oczywiście, że jest cieplej, pomyślał. Generator wysiadł. Klimatyzacja nie działa.

Ale w takim razie pompa obiegu powietrza też nie działa, pomyślał. Mam tylko tyle tlenu, ile jest w tym pokoju.

Ciemność sprawiała, że pokój wydawał się mniejszy niż w rzeczywistości.

Spokojnie, Oddychaj miarowo i powoli. Jest mnóstwo powietrza.

Dzwonienie w uszach narastało, wzmacniane przez zatyczki. Słuchawki tłumiące hałas ścisnęły boki głowy. Spływały spod nich strumyczki potu. Raleigh otarł pot rękami.

Doskwierało mu pragnienie i żałował, że nie postawił butelek z wodą na stole, zanim światło całkiem zgasło. Wstał; ciemność wzmocniła zgrzyt odsuwanej krzesła. Odwrócił się w lewo, wyciągnął ręce i poczłapał przed siebie, szurając nogami, macając pustą przestrzeń. Szybciej, niż się spodziewał, dotknął palcami gładkiego metalu szafki na akta.

Bez problemu.

Butelki z wodą były w górnej szufladzie. Sięgnął do środka i wsunął trzy butelki pod lewe ramię. Prawą ręką złapał dwa batony odżywcze i poczłapał z powrotem do biurka.

Wpadł na ostry kant. Zaklął, szybko odstawił ładunek i rozmasował bolące biodro.

W powietrzu gromadziła się wilgoć, aż pocięło mu z nosa. Wytrzeł twarz chustką i po omacku odnalazł krzesło, które znowu zazgrzytało. Pociągnął trzy długie łyki z butelki, otarł usta, rozerwał opakowanie na jednym z batoników i nagle zrobiło mu się niedobrze.

Woda, którą wypił, miała dziwny posmak, jakby metaliczny. Czyżby się zepsuła?

Czy teraz zwymiotuję?

Metaliczny posmak się nasilił.

Pot spływał mu po twarzy. Stół ciągle wibrował, ale ciemność już nie wydawała się taka absolutna, może dlatego, że oczy mu się przyzwyczaiły. Niemal widział butelki z wodą.

Oczywiście. Zawsze miałem świetny wzrok.

Czerń wzbogaciła się o odcienie szarości. Zdecydowanie widział kontury butelek. To była dobra wiadomość. Zła wiadomość była taka, że coraz mocniej dzwoniło mu w uszach i niemal krztusił się metalicznym posmakiem.

Pokazały się butelki, ale otoczone jakby mgłą.

Cholerny pot zalewa mi oczy. Przetarł je wierzchem dłoni, ale butelki pozostały rozmazane, chociaż szarość pokoju zbladła na tyle, że dostrzegął zarys biurka.

I batoniki odżywcze.

I własne ręce.

Wyglądało to podobnie jak wtedy, kiedy noc szarzeje tuż przed świtem. Przez mgłę Raleigh widział już szafkę na akta. Widział ściany i metalowe drzwi naprzeciwko, chociaż wciąż niewyraźnie.

Ponownie przetarł oczy, żeby usunąć pot. W pokoju zrobiło się już tak jasno, że rozróżniał kolory, pomarańczowe opakowania batonów odżywczych, błękitne nalepki na butelkach z wodą, czerwone ręce.

Czerwone?

Krople krwi pokrywały blat stołu. Krew zaplamiła koszuli; Raleigh z przerażeniem zrozumiał, że metaliczny posmak nie pochodził od wody, a wilgoć na twarzy to nie pot. To krew płynąca z nosa i kanałków łzowych.

Wrzasnął.

Iluminacja płynęła ze ścian, podłogi i sufitu.

Raleigh dopadł do drzwi, odryglował je i gwałtownie otworzył. Osłonił oczy przed blaskiem.

Członkowie zespołu leżeli zalani krwią. Ci, którzy jeszcze żyli, jęczeli. Jeden zachował tyle sił, żeby wymierzyć w Raleigha M4.

Raleigh schylił się i chwycił karabinek z granatnikiem, ale nie musiał go użyć — mężczyzna z M4 zemdlał, broń upadła hałaśliwie na betonową podłogę.

Raleigh przeskoczył przez ciała, szarpnięciem otworzył następne drzwi i wybiegł do pomieszczenia, gdzie parkowały bezużyteczne teraz suburbany. Światłość jeszcze bardziej pojaśniała, kiedy pędził do schodów prowadzących na powierzchnię.

Jeśli się pospieszę, może zdążę uciec dostatecznie daleko.

Nie byłem naświetlony tak długo jak reszta zespołu. Może się nie wykrwawię.

Dyszząc ciężko, z łomotem wbiegł po schodach. Dotarł do drzwi wyjściowych, przekreślił gałkę, naparł ramieniem, ale drzwi ani drgnęły. Wystukał cyfry na panelu obok drzwi, wprowadził sekwencję otwarcia, ale bez rezultatu.

Oczywiście! — pomyślał. Bez elektryczności zamek szyfrowy nie działa!

Jęcząc nieopanowanie, zbiegł z powrotem po schodach, podniósł karabinek i wystrzelił granat w drzwi. Eksplozja zwała go z nóg. Kiedy dym się rozwiął, drzwi wisiały krzywo. zza nich buchał blask.

Z twarzą zalaną krwią Raleigh wdrapał się po schodach, przemierzył ruiny hangaru i wybiegł na zewnątrz. Za jego plecami światłość spotężniała, lecz przed nim ciągnęła się ciemna droga.

Biegnij dalej!

Zdażył zrobić tylko trzy długie, rozpaczliwe kroki, zanim coś wyskoczyło z ciemności, uderzyło go w pierś i przewróciło na wznak. Szczęki kłapnęły mu przed twarzą. Owczarek niemiecki. Pysk miał zakrwawiony. Jak oszalały sięgał zębami do gardła człowieka. Raleigh chwycił go za szyję i próbował odepchnąć. Pies wyrывał się i drapał. Sierść śliska od krwi wymykała się z rąk.

Zwierzę, gotowe rozszarpać człowiekowi gardło, nagle zamarło i spojrzało ponad jego głowę. W krwi na pysku odbiły się kipiące światła. Owczarek ze skowytem okręcił się i umknął w ciemność.

Raleigh dźwignął się na nogi i chwiejnie ruszył dalej. Przy upadku zgubił słuchawki. Krew płynąca z uszu wypchnęła zatyczki. Bez nich słyszał za plecami syk–trzask–szum.

I coś jeszcze.

Warkot samolotu.

Ze wszystkich historii, które opowiadał mu dziadek, największe wrażenie zrobiła na nim ta o pradziadku, który odleciał w noc dwupłatowcem z pierwszej wojny światowej, żeby zbadać pochodzenie światła. Jako chłopiec Raleigh wyobrażał sobie, że samolot leci dalej i dalej, staje się coraz mniejszy, zmienia się w plamkę, kropkę, punkt.

Znika.

Mój pradziadek.

Odwrócił się i został niemal oślepiiony przez falę światła pędzącą prosto na niego. W oddali trawa płonęła, płomienie podsycaly jasność, odbijały się w dymie. Zagapił się na wirujące kolory, wśród których dominował pomarańczowy odcień kojarzący mu się ze słońcem.

Coś się w nich poruszało.

Z nieba spikował samolot, pomarańczowy dwupłatowiec, początkowo prawie nie do odróżnienia od otaczających go kolorów. Samolot miał dwa miejsca, jedno za drugim. Na tylnym siedzeniu młody mężczyzna obsługiwał stery. Nosił mundur i gogle. Nawet z daleka widać było, że jest przystojny.

Miał wąsy. Za nim furkotał koniec szalika.

Zanim Raleigh zrozumiał, co robi, ruszył po starym pasie startowym. Wiedział, że powinien uciekać drogą, ale od trzynastego roku życia myślał tylko o światłach i ich sekretach.

W wieku osiemnastu lat przyjechał do tej bazy lotniczej, przeszukał ją i znalazł wejście do podziemnego kompleksu. Podobnie jak dziadek, zaciągnął się do wojska, żeby zrobić karierę w wywiadzie wojskowym. W końcu zdobył władzę, której potrzebował, żeby odnaleźć raporty swojego pradziadka o światłach i wskazówki, które doprowadziły go do raportu jego dziadka.

Dwupłatowiec zszedł niżej.

Bez ostrzeżenia silnik zamilkł.

Dwupłatowiec zniknął. Zastąpiła go mała, jednopłatowa cessna z wyłączonym silnikiem, ze śmigłem bezużytecznie turkoczącym. Za osłoną kokpitu Raleigh zobaczył mężczyznę i kobietę o twarzach wykrzywionych strachem.

Samolot miał się rozbić.

79

W jednej chwili Page usiłował skierować cessnę ponad badlandami na ciemną trawę. W następnej wirujące kolory pochłonięły samolot. Jeśli wydawało się, że gdy opadali ślizgiem, czas zwalniał, teraz zwolnił jeszcze bardziej.

Cessna jakby znieruchomiła.

Z kolorów, które pulsowały po prawej stronie samolotu, wystrzelił snop światła. Świecił tak jasno, że Page widział rozwalone hangary na starym lotnisku. Snop światła wpadł do jednego hangaru, zmienił kierunek i pomknął na północny zachód, w stronę obserwatorium.

W oddali promień wleciał w niebo, odbił się od czegoś — od satelity, domyślił się Page — i spadł na ziemię jeszcze dalej na północnym zachodzie.

— Słyszę silnik! — krzyknęła Tori.

— To nie nasz!

Jakiś cień przesunął się przez kolory po lewej stronie.

— Inny samolot! — wrzasnął Page.

Nie tylko inny samolot. Typ dwupłatowca z czasów pierwszej wojny światowej. Na tylnym miejscu za sterami siedział młody, wąsaty mężczyzna w goglach, a za nim trzepotał koniec szaliku.

Inne obrazy wirowały wśród kolorów: mężczyzna zaganiający krowy, kobieta na koniu jadąca po ciemnej drodze...

Przystojny młody mężczyzna — James Deacon — opiera się o płot, spogląda w ciemność.

Nastolatek na motocyklu pędzi przez ciemne pole.

Żołnierze trzymają się za głowy, jakby się bali, że czaszki im pękną.

Edward Mullen strzela do światła, a potem do tłumu.

Tori siedzi na ławce na platformie obserwacyjnej i jak urzeczona wpatruje się w ciemną dal.

79

W jednej chwili wszystkie obrazy zniknęły, włącznie z dwupłatowcem. Już nie słyszeli jego silnika.

Cessna podjęła lot ślizgowy. Światła znalazły się teraz za nimi i Page widział nawet chwasty na starym pasie startowym.

— Zaraz podchodzimy!

Ziemia szybko się zbliżała.

— Ktoś jest przed nami! — wrzasnęła Tori.

— Co?

— Jakiś człowiek kuśtyka po pasie!

Wtedy Page go zobaczył. Mężczyzna wpatrywał się w cessnę i machał rękami. Twarz i ubranie miał zalane czymś ciemnym, chyba krwią.

— Tori, otwórz swoje drzwi!

Page szarpnął do góry dźwignię drzwi po swojej stronie i pchnął. Zobaczył kamienie wśród chwastów przed pasem.

Cessna nie mogła się dłużej utrzymać w powietrzu. Page ociągnął wolant do siebie i podniósł nos samolotu, żeby nie zawadzić przednim kołem o kamienie. Lewe koło uderzyło o grunt i złamało się. Poczul, że samolot przechyla się na tę stronę. Lewe skrzydło przeszorowało po ziemi, wygięło się i pękło. Kadłub skręcił się w lewo.

Śmigło walnęło w ziemię, łopata oderwała się i odpadła. Szarpnięcie wyrwało silnik z obudowy. Kurz wzbił się ponad osłoną kokpitu. Kadłub wciąż przechylał się na lewo tak mocno, że Page dosłownie leżał na boku. Metal zgrzytał trzeszczał, brzuch samolotu sunął z chrzęstem po ziemi. Impet hamowania cisnąłby Page'a na deskę rozdzielczą, gdyby nie ciasno zapięte pasy i uprząż naramienna, ale nawet mimo tych środków bezpieczeństwa poczul szarpnięcie pasów jak cios w klatkę piersiową.

Miał kłopoty z oddychaniem.

— Tori — zdołał wykrztusić — nic ci nie jest?

Nie odpowiedziała.

— Tori?

— Chyba nic.

Dzięki Bogu, pomyślał Page.

— Musimy się stąd wydostać, bo może wybuchnąć pożar.

Jego drzwi zaklinowały się w ziemi. Z bolesnym wysiłkiem uwolnił się z pasa bezpieczeństwa i upręży.

— Wyjdź przez swoje drzwi!

Ponieważ kadłub leżał na boku, Page zdołał stanąć na wpół wyprostowany i pomógł Tori rozpiąć uprząż. Podsadził ją za biodra i wypchnął przez drzwi. Potem podciągnął się, skrzywiony z bólu, wygramolił się przez otwarte drzwi, przeczołgał po boku samolotu i padł na ziemię.

Bołały go żebra, ale zapomniał o bólu, kiedy poczul zapach paliwa lotniczego.

— Biegiem! — krzyknął.

Ale Tori nie potrzebowała zachęty. Pędziła po starym pasie startowym. Page pobiegł za nią, wyętzając siły.

Mężczyzna, którego widzieli z samolotu, leżał na pasie. Bez wahania uklękli obok niego i przewrócili go na wznak. Pomimo mnóstwa krwi Page go rozpoznał. Poprzedniego wieczoru razem z Tori przejeżdżali obok opuszczonej bazy lotniczej. Mężczyzna po czterdziestce, łysy i żyłasty, sztywno wyprostowany i emanujący autorytetem — otwierał kluczem bramę.

— Może pan wstać? — zapytał Page. — Musimy stąd odejść.

Mężczyzna wymamrotał coś, co brzmiało jak „pradziadek”.

Page i Tori podnieśli go i poprowadzili po pasie startowym. Z jednego hangaru wciąż strzelała wiązka światła, skierowana na północny zachód, wzbijała się w niebo, po czym opadała pod

kątem w stronę czegoś na horyzoncie. Powietrze wypełniał syk–trzask–szum i zapach jakby spalonej izolacji elektrycznej. Page czuł, że włosy stają mu dęba.

Taszcząc mężczyznę na drogę, Page obejrzał się przez ramię i zaskoczyło go, że światła zrobiły się takie jasne. W oddali wybuchy rozrywały ziemię: bomby z dawnych czasów. Pożar traw rozprzestrzenił się w stronę pasa startowego. Kiedy płomienie dotarły do cessny, zbiorniki paliwa eksplodowały i w niebo wzniosła się kula ognia.

Syk–trzask–szum narastał, nie do wytrzymania. Żar buchający z wiązki światła groził spalaniem ubrań. Nagle jakby gigantyczna raca rozjaśniła niebo na wysokości, gdzie nie mogły dolecieć żadne fajerwerki. Wystrzeliły z niej długie smugi iskier i rozbiegły się na wszystkie strony.

— Co to jest, do cholery? — zapytała zdumiona Tori.

Iskry świeciły na całym niebie, wysoko i nisko, daleko i blisko. Płomieniste macki mieniły się wszelkimi możliwymi kolorami, feerią barw tak intensywnych, że Page przystanął w oszołomieniu.

Wydawało się, że niebo płonie.

Promień światła nagle zgasł.

Znikł w tej samej chwili, kiedy potężny błysk rozświetlił horyzont od strony obserwatorium. Kolory na niebie zblakły. Iskry spadały, traciły blask. Syk–trzask–szum ucichł i zapadła ciemność, którą rozświetlał tylko pożar prerii.

Kaszłąc od dymu, Page odkrył, że znowu może się poruszać. Razem z Tori pociągnęli mężczyznę w mrok. Dotarli do ogrodzenia, przerzucili przez nie mężczyznę, przeszli pomiędzy zaparkowanymi samochodami i padli na drogę.

Nowy dźwięk wypełnił noc. Płacz setek ludzi.

— Pradziadek — powiedział mężczyzna.

Ludzie mijali ich chwiejnym krokiem. Niektórzy wsiadali do samochodów, ale żaden pojazd nie chciał zapalić. Inni wykrzykiwali imiona ukochanych osób. Błagania o pomoc, adresowane do Boga lub kogokolwiek, mieszały się z jękami. Ludzie wyglądali jak uchodźcy ze strefy wojennej. Na drodze zebrał się tłum i sunął powoli w stronę Rostova. Z miasta dochodziło zawodzenie syren.

W blasku ognia Medrano wspiał się na ciężarówkę.

— Zachowajcie spokój! — krzyknął. — Zajmiemy się wami! Pomoc jest w drodze!

Page spojrzął na obcego, którego położyli na drodze. Twarz miał ciemną od krwi.

— Słyszysz pan te syreny? Niech pan się trzyma, wszystko będzie dobrze — próbował go pocieszać.

Mężczyzna nie odpowiadał. W pierwszej chwili Page się przestraszył, że tamten umarł, ale potem zobaczył otwarte oczy, niemrugające, wpatrzone w coś, co znajdowało się daleko albo tkwiło zamknięte w umyśle mężczyzny.

Page wziął Tori za rękę.

— Na pewno nic ci nie jest?

— Żyjemy — odpowiedziała. — Lepiej być nie może.

Syreny zawyły bliżej, czerwone i niebieskie światła sygnalizacyjne błyskały w ciemności.

Anita budziła się kilkakrotnie w nocy, kiedy stopniowo mijało działanie środków znieczulających. Tym razem, kiedy otworzyła oczy, słońce wlewało się przez szczeliny w żaluzjach i oświetlało szpitalne łóżko, na którym leżała. Lewe ramię miała w gipsie, którego ciężar jeszcze zwiększał ból.

— Kula poważnie uszkodziła kości ramienia — powiedział obok niej z wysiłkiem jakiś głos — ale udało się je uratować

Anita spojrzała w lewo i zobaczyła kogoś na drugim łóżku. Rozpoznała głos — Brenta — ale nie widziała jego twarzy zakrytej bandażami.

— Mówiłem ci, że tu będę, kiedy się obudzisz — powiedział stłumionym głosem. Dotrzymuję słowa.

Anita zmarszczyła brwi.

— Co ci się stało?

— Gonilem za tym czymś, aż mnie dopadło.

— Nie rozumiem — powiedziała Anita, wciąż jeszcze otepiała po narkozie.

— Za bardzo się zbliżyłem. — Brent zniżył głos. — Poparzyło mnie.

— Poparzyło?

— Raczej nie pojedę do Atlanty. I nie będę już prowadził programów razem z Sharon. Ale zważywszy na to, ile ta historia nas kosztowała, mogę ci zagwarantować, że oboje dostaniemy Emmy.

Anita spróbowała usiąść. Rozpaczliwie starała się znaleźć jakiś sens w słowach Brenta.

— Poparzyło cię?

— Lekarze nie mają pewności, jak duże blizny mi zostaną. Mówili o przeszczepach skóry i specjalistach. Przy odrobinie szczęścia będę jeszcze mógł robić reportaże śledcze, pod warunkiem że moja twarz pozostanie w cieniu, kiedy wystąpię przed kamerą.

Anita zaniemówiła na chwilę.

— *Lo siento.*

— Skoro na jakiś czas zostanę w El Paso, chyba powinienem się poduczyć hiszpańskiego. Co takiego powiedziałaś?

— Naprawdę mi przykro.

— Dziękuję. Tworzyliśmy dobry zespół.

— Dalej tworzymy dobry zespół — poprawiła go Anita.

— Tak czy owak, zacznij lepiej szukać innego partnera.

— Lubisz meksykańską kuchnię?

— Nie wiem, co to ma do rzeczy, ale prawdę mówiąc, raz spróbowałem i było paskudne.

— Dlatego że jadłeś w niewłaściwym miejscu. Nie wiesz, co dobre, dopóki nie skosztowałeś enchiladas z kurczakiem mojej matki.

81

— Potężna burza elektryczna? — Costigan odchylił się do tyłu za biurkiem. Chociaż nosił mundur i pas z bronią, ciągle jeszcze miał głowę owiniętą bandażem. Wyglądał jakoś bezbronnie.

— Ogromne ognisko suchej burzy. Tak mówią federalni — poinformował go Medrano. — Mnóstwo agencji rządowych w tym grzebie, na czele z FBI i Krajową Fundacją Nauki, która kieruje tym obserwatorium. Czy raczej kierowała. Wczoraj w nocy obiekt wyleciał w powietrze.

— Od suchej burzy. — Costigan wydawał się zbity z tropu. — Czy to w ogóle możliwe? Czy coś takiego może unieruchomić instalację elektryczną w kilku setkach pojazdów? Nie licząc kilku helikopterów i cesseny?

— Nie o to chodzi, czy to możliwe. Takie jest oficjalne wyjaśnienie, a skoro wczoraj w nocy wysiadły wszystkie kamery telewizyjne, nie mamy zdjęć, żeby udowodnić co innego.

— Co z tym satelitą, który wybuchnął? Połowa południowych stanów to widziała.

— Kosmiczne śmiecie go zniszczyły. To, co wyglądało jak iskry, to były szczątki spalające się po wejściu w atmosferę. Czysty przypadek, że to się stało podczas suchej burzy. Rząd za nic nie przyzna, że eksperymentował z bronią wykorzystującą energię elektromagnetyczną.

Po drugiej stronie ulicy biły dzwony, ogłaszając początek niedzielnego nabożeństwa.

— Broń? — Costigan zmarszczył brwi. — Myślisz, że o to chodziło?

— Byłem tam i zapewniam cię, że to, co widziałem, to nie była żadna sucha burza. Przychodzi mi na myśl tylko jedna rzecz, która wyłącza silniki, generatory i wszystkie urządzenia wykorzystujące elektryczność albo magnetyzm. Znasz się na astronomii?

— Wystarczająco, żeby ją odróżnić od astrologii.

— Zawsze miałem teleskop, odkąd w dzieciństwie zobaczyłem moją pierwszą kometę — oznajmił Medrano. — Prenumeruję magazyn „Astronomia” od niepamiętnych czasów. Czarne dziury, supernowe, galaktyki spiralne. To wszystko jest bardzo fajne. Ale najbardziej lubię burze słoneczne. Oczywiście nie odważę się spojrzeć przez teleskop na Słońce. Muszę polegać na filmach zrobionych przez specjalne kamery w obserwatoriach. Burze słoneczne powodują rozbłyski, które wyglądają jak śmigający koniec ogromnego bicia. Osiągają temperaturę stu milionów stopni. Wypromieniowują energię elektromagnetyczną dziesięciu milionów bomb atomowych.

Costigan słuchał uważnie.

— Cykle słoneczne trwają jedenaście lat — ciągnął Medrano. — Od prawie zerowej aktywności do spektakularnych wybuchów. W szczytowej fazie fale elektromagnetyczne mają Inką moc, że kiedy docierają do Ziemi, mogą wytrącić satelity z orbit, wyłączyć elektrownie i zakłócić odbiór programów telewizyjnych. To one wywołują zorze polarne. To, co widziałem wczoraj w nocy, wyglądało jak połączenie zorzy polarnej z rozbłyskiem słonecznym.

— Rozbłyski słoneczne. Strasznie daleko od Słońca.

— Nie mówię, że to były rozbłyski słoneczne. Mówię tylko, że tak wyglądały. Wybuch elektromagnetyczny gdzieś na powierzchni ziemi wyjaśniałby wiele z tego, co się stało wczoraj w nocy.

— Ale skąd to się wzięło?

— To tylko inny rodzaj pytania, czym są światła. Mam pewną teorię. Jądro Ziemi jest gorętsze niż powierzchnia Słońca. — Medrano wzruszył ramionami. — Może gdzieś tutaj przebiegają linie uskoku, przez który fale elektromagnetyczne wydostają się na powierzchnię.

Costigan zastanowił się nad tym.

— Wyjaśnienie równie dobre jak gaz bagieny, kryształy kwarcu, radioaktywne gazy i inwersja temperatur.

— No, cokolwiek się dzieje, nie pozwolę, żeby zrobiło się gorzej — oświadczył Medrano. — Większość gości miała dosyć i dobrowolnie wraca do domu. Ale na wszelki wypadek od dzisiaj blokujemy drogę. Każdy, kto chce jechać w łamią stronę, musi zrobić spory objazd. Platforma obserwacyjna, przenośne toalety, tablica przydrożna, betonowe bariery, parking... wszystko usuwamy. Kiedy skończymy, to miejsce będzie wyglądało dokładnie jak każdy inny kawałek prerii. Tymczasem federalni sprzątają bałagan w obserwatorium i bazie lotniczej. Chyba nigdy

się nie dowiemy, co tam się stało. Nie wpuszczą nas do środka. I nigdy oficjalnie się nie dowiemy, co się stało zeszłej nocy w White Sands.

— White Sands? — powtórzył Costigan. — Poligon raketowy?

— Taak, wszystkie media o tym trąbią i teoria spiskowa ma swój wielki dzień. Jakiś promień trafił w cel na poligonie... w makietę miasta. Chyba się domyślamy, skąd się wziął ten promień. Podobno zniszczył makietę, rozwalił stację monitorującą i zrównał z ziemią kilka innych budynków w odległości pięciu mil, nie wspominając o wyłączeniu elektryczności w całej bazie, włącznie z pojazdami. Promień był zbyt widoczny, żeby mogli wszystkiemu zaprzeczyć. Zgodnie z raportem zginęło dwudziestu wojskowych techników. Cywile obserwujący niebo w Alamogordo twierdzą, że widzieli oślepiające światło. Armia zwała wszystko na wybuch w składzie amunicji. Twierdzą, że wybuch spowodowała sucha burza.

— Ta sucha burza rzeczywiście daje popalić. — Twarz Costigana nagle ściągnęła się z wyczerpania.

— Dobrze się czujesz? — zapytał Medrano.

Po drugiej stronie ulicy dzwon kościelny wciąż dzwonił.

— Może później się tam przejdę — powiedział Costigan. — Dawno nie byłem.

Dyspozytor policyjny zastukał w otwarte drzwi.

— Pan i pani Page przyszli do pana.

— Wprowadź ich.

Kiedy Page i Tori weszli, Costigan się uśmiechnął.

— Miło was widzieć, chociaż trochę za mocno się opaliliście.

— Podobnie jak kapitan Medrano — zauważyła Tori.

— Widocznie mieszkamy w kraju, gdzie słońce świeci o północy — odparł Medrano. — Rozmawialiśmy o państwa telefonie. Owszem, potrzebujemy was tutaj, żeby wypełnić niektóre luki. Ale chwilowo mamy na głowie mnóstwo innych szczegółów. Więc najlepiej, jeśli wrócicie za dziesięć dni. Pani Page, wspomniała pani, że idzie pani na operację we wtorek rano w San Antonio. Czy dziesięć dni wystarczy, żeby odzyskała pani siły do podróży?

— Zobaczymy — odparła Tori.

— W razie potrzeby zawsze możemy zorganizować wideokonferencję. Mam nadzieję, że to nic poważnego.

Page i Tori milczeli.

82

Odrzutowiec Falcon 2000 wystartował z bazy w Fort Bliss i rozpoczął czterogodzinny lot na lotnisko Glen Burnie w pobliżu Fort Meade w Marylandzie. Piloci należeli do wywiadu wojskowego, powiązanego również z NSA. Pasażerami byli ekipa medyczna i pułkownik Raleigh.

Pułkownik patrzył prosto przed siebie. Czasami mrugał, ale poza tym nie wykonywał żadnych ruchów.

— Jak długo on jest w tym stanie? — zapytał ktoś.

Ponieważ Raleigh miał katatonię i nie mógł odwrócić głowy, nie potrafił zidentyfikować mówiącego.

— Podobno od wczoraj od dwudziestej drugiej — odpowiedział ktoś, również poza polem widzenia Raleigha.

— Co mu jest?

— W tej chwili mogę tylko powiedzieć, że to paraliż wywołany traumą. Nie wiem, czy przyczyna jest fizyczna, psychiczna, czy jedna i druga. Trzeba go zbadać.

— Biorąc pod uwagę, jaki bajzel zastaliśmy w tym pod ziemnym obiekcie, wcale się nie dziwię, że mu odbiło.

— Niezbyt naukowe określenie, ale tak, z grubsza właśnie tak się stało. Odbiło mu.

— Myślisz, że on nas słyszy?

— Nie mam pojęcia. Uszy mu krwawią. Możliwa jest stała utrata słuchu. Albo szok spowodowany tym, co się wydarzyło, wtrącił go w stan dysocjacji psychicznej.

— Tak, ale co się właściwie wydarzyło? Kamery na dole przestały działać. Wszystkie cyfrowe zapisy wykasowano. Ci nieszczęśnicy, których nie zastrzelono, wykrwawili się na śmierć, zanim do nich dotarliśmy.

— Dopóki pułkownik nie zacznie mówić, nigdy się nie dowiemy.

Niezdolny się poruszyć Raleigh wciąż patrzył prosto przed siebie.

Szum silników odrzutowca stopniowo przerodził się w warkot śmigła i silnika tłokowego. Wnętrze falcony rozplynęło się, odsłaniając widok z tylnego siedzenia dwupłatowca, szybującego nad ciemnym polem w blasku gwiazd.

Nosił gogle i szalik, którego jeden koniec trzepotał na wietrze. Trzymał stery i dryfował w stronę horyzontu.

Przed nim błyskały kolory, wzywały.

83

W poczekalni stały plastikowe krzesła połączone ze sobą. W kącie pod sufitem wisiał telewizor, nastawiony na program *Dom i ogród*. Przy wejściu siedziała za biurkiem szpitalna wolontariuszka i zapisywała nazwiska wchodzących ludzi, informując ich, że na stole za nią znajdują kawę, herbatę i wodę.

Page siedział obok matki Tori. Oboje byli zbyt spięci, żeby prowadzić zwykłą rozmowę. Page kartkował egzemplarz „Time’a” sprzed dwóch miesięcy, potem oglądał telewizję, gdzie kobieta w rękawicach i z rydlem w ręku oprowadzała widzów po swoim ogrodzie kwiatowym.

— Myślisz, że jak długo to potrwa? — zapytała blada Margaret.

— To chyba zależy, co znajdują i ile trzeba usunąć.

— Moje biedne dziecko — westchnęła matka Tori.

Do poczekalni weszła kobieta w czepku i fartuchu chirurgicznym. Rozejrzała się, zobaczyła ich dwoje i podeszła. Z jej twarzy nic nie mogli wyczytać.

O wiele za szybko, pomyślał Page. Coś poszło źle.

Kobieta usiadła obok nich.

— Zaszła pomyłka.

— O Boże drogi — jęknęła Margaret.

— Może kartę i zdjęcia Tori zamieniono z czyimiś innymi — ciągnęła lekarka. — Albo może coś się zepsuło w sprzęcie, kiedy przeprowadzano badania.

Page się wyprostował.

— Nie rozumiem. O czym pani mówi?

— Pańska żona nie ma raka.

— Co?

— Ani śladu.

Page'owi zakręciło się w głowie.

— Pomyłka?

— Inaczej nie potrafię tego wyjaśnić. Jej mammografia i tomografia komputerowa pokazują sporą masę, która mogła się rozszerzyć aż do ściany klatki piersiowej.

Tori mi nie powiedziała, że to takie poważne, pomyślał Page.

— Ale tej masy z pewnością teraz nie ma — oświadczyła lekarka. — Czasami guzy ulegają remisji, ale nie znikają bez śladu w ciągu tygodnia. Widocznie sprzęt źle działał albo pańska żona dostała wyniki kogoś innego. Próbujemy ustalić, co się stało.

— Moja żona będzie zdrowa? — zdołał wykrztusić Page.

— Nic jej nie jest i z pewnością nie ma raka sutka.

Matka Tori załkała.

84

Page miał własną teorię.

Sprzęt się nie zepsuł. Karty nie opisano błędnie. Wyników nie zamieniono.

W Rostovie, kiedy kupował nową koszulę i dzinsy w sklepie odzieżowym, słyszał, jak klient pytał sprzedawczynię o światła.

— Moja żona ma cukrzycę — powiedział klient. — Słyszeliśmy, że w tym miejscu zdarzają się cuda, jak w Lourdes. Jeśli ona zobaczy światła, zostanie uzdrowiona.

Page pomyślał wtedy: Uzdrowiona? Byłoby miło. A teraz to się stało. Tori została uzdrowiona.

* * *

Wrócili do Rostova na dalsze przesłuchania i żeby podpisać zeznania. Costigan nie nosił już bandaża. Krótkie siwe włosy nie zasłaniały blizny biegnącej z boku głowy.

— Nie widziałem ani śladu światła, odkąd to się stało — powiedział im. — Kapitan Medrano i ja zawieźliśmy tam Harriett Ward. Na kim jak na kim, ale na niej można polegać w sprawie światła. Powiedziała, że odeszły. Jak ona się wyraziła? „W remisji”.

— Tak — szepnęła Tori. — W remisji.

Page zabrał żonę do Santa Fe, do domu — gdzie już nie czuła się jak w domu. Mówiła, że ciągle myśli o Rostovie, śnią jej się światła. Page teraz też o nich śnił.

Wypłata ubezpieczenia za rozbitą cenną pozwoliła mu kupić trzydziestoletni samolot. Rok później Page i Tori znowu polecili do Rostova. Wynajęli samochód i pojechali do biura Costigana, gdzie szef policji kaszłał z powodu, jak mówił, paskudnej letniej grypy, chociaż Page miał silne podejrzenia co do prawdziwego źródła tego kaszlu ekspalacza.

— Myślimy, żeby się tutaj przeprowadzić — oznajmił Page. — Nie ma pan przypadkiem wolnej posady?

— Zastępca szeryfa nie zarabia dużo.

— Ale tutaj koszty utrzymania też są nieduże, no i mogę dorobić jako mechanik na lotnisku. Costigan odchrząknął.

— Prawdę mówiąc, niedługo będzie wolna moja posada.

— Przykro mi to słyszeć — powiedziała Tori, przyglądając mu się uważnie.

— Niepotrzebnie — odparł z uśmiechem. — Nauczyłem się dawno temu, że nic nie trwa wiecznie. Ale jeszcze nic jestem gotowy do odejścia, więc na razie może pan dostać stanowisko zastępcy, jeśli pan chce.

— Chcę — zapewnił Page.

— I tyłu artystów przenosi się tutaj z Austin, Santa Fe i Sedony, że rynek nieruchomości się ożywił — Costigan zwrócił się do Tori. — Pewnie się pani nie zdziwi, kiedy powiem, że przyciągają ich tutejsze kolory. Może pani zarobić na życie.

— Chciałabym spróbować — odpowiedziała. — Wiem jedno: nie będziemy tutaj samotni. Zdobyliśmy paru dobrych przyjaciół.

— Święta prawda.

* * *

Sześć miesięcy później Page został szefem policji. Po pogrzebie Costigana on i Tori pojechali na miejsce, gdzie dawniej stała platforma obserwacyjna. Medrano dotrzymał słowa — po usunięciu wszystkich śladów to miejsce wyglądało jak każdy inny kawałek pola.

Przyjechali o zachodzie słońca, wysiedli z samochodu i obserwowali horyzont. Kiedy zapadła ciemność, zobaczyli przednie światła samochodów jadących z Meksyku. Potem spadającą gwiazdę. A na końcu ślad migotania za badlandami.

— Myślisz, że to początek powrotu światła? — zapytał Page.

— Możliwe — odparła Tori. — Harriett mówi, że one przechodzą cykle, silne i słabe. Może ma rację. Ale ja chyba już nie muszę ich widzieć. Nawet w mieście je czuję. To wystarczy.

— Bardziej niż wystarczy — zgodził się Page. — One się dopasowują do tego, czego ludzie oczekują. Jeśli chcesz w coś wierzyć, one cię zainspirują, ale jeśli zbudujesz wokół siebie mur, nie zobaczysz ich. Jeśli się złościsz, podsycą twoją złość. Jeśli chcesz z nich zrobić broń, wykorzystają tę broń przeciwko tobie i sprawią, że zrozumiesz, jak straszną rzeczą jest broń.

— I jeśli dostatecznie mocno pragniesz cudu — dodała Tori — uczynią cud.

Nadjechał jakiś samochód. Zatrzymał się obok ich samochodu i kierowca opuścił szybę w oknie.

— Hej, czy to nie tutaj się pokazywały te niesamowite światła?

— Światła? Nic nie wiemy o żadnych światłach — odparł Page. — My tylko podziwiamy gwiazdy.

— Pewnie i tak to kupa bzdur.

— Tak słyszeliśmy — przyznała Tori.

Samochód pojechał dalej, tylne światła rozplynęły się w mroku.

— Chcesz wracać? — zapytał Page.

— Jestem gotowa. Jeśli tamto migotanie to rzeczywiście światła, widzieliśmy chyba dosyć.

W samochodzie Page zawahał się, zanim przekreślił kluczyk zapłonu.

— Co się stało? — zapytała Tori.

— Przypomniałem sobie tylko, jak to miejsce wyglądało, co czułem, kiedy cię zobaczyłem na ławce wpatrującą się w horyzont. Prawie cię straciłem. Ale nie doszło do tego dzięki światłom. Jesteś dla mnie tym, czym one są dla ciebie. Kocham cię. — Page starał się to mówić codziennie.

Wypełniły go emocje.

— Czytałaś kiedyś napis na tej tablicy, która stała na poboczu drogi?

— Nie. Zakładałam, że to coś dla turystów, jakieś slogany reklamowe.

— Nie całkiem — zaprzeczył Page. — O ile pamiętam, tani napisano: „Zapraszamy do obejrzenia światła Rostova. Wiele osób twierdzi, że je widziało, ale nikt nigdy nie wyjaśnił ich

natury. Jeśli będziesz miał szczęście je zobaczyć, sam zdecyduj, czym są”. No więc wiem, czym są dla mnie.

Pocałował ją.

POSŁOWIE: ZJAWY W CIEMNOŚCIACH

Siódmego listopada 2004 roku kartkowałem niedzielne wydanie mojej lokalnej gazety, „Santa Fe New Mexican”. Choć zwykle nie czytam działu podróżniczego, nagłówek jednego z artykułów przyciągnął moją uwagę.

ROZŚWIETL SWOJE ŻYCIE MALEŃKA MARFA W TEKSASIE SZCZYCI SIĘ NIESAMOWITYM NATURALNYM ZJAWISKIEM

Podpis pod upiornym zdjęciem mówił o „tajemniczych światłach”. Nie mogłem się oprzeć.

Przedrukowany z „Washington Post” artykuł opisywał, jak jego autorka, Zofia Smardz, zabrała rodzinę do Marfy, miasteczka w zachodnim Teksasie, w poszukiwaniu dziwnych światła, które można tam oglądać przez wiele nocy w roku. Trudno określić, w jakiej odległości się znajdują te magiczne światła. Wzlatują i opadają, falują i przepływają, migoczą i mrugają, pojawiają się i znikają.

Jak podkreślono w artykule, nikt nie wie, skąd się biorą te światła. Może kryształowy kwarc absorbuje gorąco w ciągu dnia i wyładowuje elektryczność statyczną, kiedy skała się ochładza w nocy. Może radioaktywne gazy świecą w ciemnościach. Albo inwersja temperatur w atmosferze załamuje światła odległych samochodów. W każdym razie światła pojawiają się w zachodnim Teksasie od dawna. Pod koniec dziewiętnastego wieku zauważył je jakiś ranczer i przypuszczał, że to indiańskie ogniska, tylko że kiedy rano przeszukał okolicę, nie znalazł ani śladu żadnych ognisk.

Autorka artykułu opisuje swoją wizytę na stanowisku obserwacyjnym. Razem z mężem i dwoma synami stała na poboczu polnej drogi i patrzyła w stronę ciemnego horyzontu, pokazując z przejęciem na światła, które się pojawiły. Chwilami jednak widziała światła, kiedy pozostali członkowie rodziny nic nie widzieli, albo rodzina widziała światła, których ona nie widziała. Podobne różnice miały miejsce, kiedy dołączyli do nich inni turyści. Jedni ludzie zachwycali się światłami, podczas gdy inni nie rozumieli, o co tyle zamieszania.

Dopiłem kawę, wydarłem stronicę i pojechałem do biura, gdzie dołączyłem artykuł do innych na półce z materiałami do zbadania. Robię to od dziesiątków lat, gromadzę tematy, które mnie intrygują, i czekam, który z nich przemówi do mojej podświadomości.

Światła Marfy nie potrzebowały na to wiele czasu. W ostatnich miesiącach 2004 roku przez wiele nocy tuż przed zaśnięciem nawiedzał mnie uporczywie pewien obraz. Kobieta stoi na platformie widokowej na poboczu drogi i wpatruje się jak urzeczona w wabiące światła na ciemnym horyzoncie. W przeciwieństwie do autorki artykułu o światłach Marfy tej kobiecie nie towarzyszy mąż ani dzieci. Choć mężatka, jest sama. Zatrzymała się, jadąc z wizytą do matki, i tak ją zauroczyły te światła, że wszystko inne straciło dla niej znaczenie, włącznie z mężem, który przyjechał jej szukać.

Tylko tyle miałem, a na początku 2005 roku nie miałem nawet tego — obraz przestał się pojawiać w mojej wyobraźni. Przywykłem do pomysłów, które nie są gotowe, żeby całkowicie się ujawnić, więc pracowałem nad innymi projektami: *Infiltratorzy*, *Łowca* i *Szpieg na Boże Narodzenie*. Co jakiś czas jednak wyjmowałem artykuł ze stosu na półce. Czytając go ponownie,

czułem, że muszę przeprowadzić gruntowne badania, dopóki nie zapełnię notatkami grubego notesu.

Dowiedziałem się, że Marfa nie jest jedynym miejscem, gdzie pojawiają się światła. W trzech innych miejscach — dolina Hessdalen w Norwegii, odległy odcinek rzeki Mekong w Tajlandii oraz pewna dzika okolica w północno-wschodniej Australii — również występuje to zjawisko. W Australii nazywają to światłami Min Min i kiedy australijski fan skontaktował się ze mną przez moją stronę w sieci, zapytałem, czy wie cokolwiek o tych światłach.

Okazało się, że ten fan, policjant Daniel Browning, osobiście zetknął się ze światłami.

Mój tato Robert i ja polowaliśmy na kangury w okolicy miasteczka Muttaborra w środkowym Queenslandzie, jakieś trzydzieści lat temu. Muttaborra to bardzo mała osada (dziesięć domów). Tato był zawodowym łowcą kangurów. Prowadziliśmy odstrzał nocą, przy świetle reflektorów. Byliśmy w zupełnej głuszy... żadnych domów ani dróg w pobliżu.

Zobaczyliśmy światło. Nagle się pojawiło. W ogóle nie widzieliśmy, żeby się zbliżało. Po prostu się pojawiło i śledziło nas. Nie zbliżało się ani nie oddalało. Utrzymywało tę samą odległość i poruszało się razem z nami. Nie znajdowało się na ziemi ani wysoko w powietrzu. Po prostu jakby się unosiło. To trwało jakieś dziesięć minut i zapadło mi w pamięć, bo ojciec bardzo się zdenerwował. Wiedział, że w pobliżu nie ma żadnych domów ani pojazdów. To coś napędziło mu niezłego stracha, a potem znikło.

Ciągle jeszcze rozmyślałem o tej scenie, kiedy wpadło mi w ręce wydanie DVD jednego z moich ulubionych filmów, *Olbrzyma* (1956). George Stevens wyreżyserował epicką opowieść o długoletniej waśni teksaskiego nafcjarza i bogatej rodziny hodowców bydła, z Jamesem Deanem, Elizabeth Taylor i Rockiem Hudsonem w rolach głównych. Ku mojemu zdumieniu z dokumentacji dowiedziałem się, że sporą część filmu nakręcono w Marfie, w tym samym miasteczku, gdzie pojawiają się światła. Co więcej, w Internecie wygrzebałem informację, że James Dean był zafascynowany światłami. Zaciągnął swoich partnerów z planu i reżysera do punktu obserwacyjnego, ale okazało się, że tylko on widział światła.

Moja wyobraźnia pracowała nad tymi elementami, aż wreszcie, prawie trzy lata po tamtym listopadowym poranku, kiedy natrafiłem na artykuł w gazecie, ponownie nawiedził mnie obraz samotnej kobiety, która stoi w ciemnościach na poboczu drogi i patrzy na tajemnicze światła. Teraz jednak miałem następny obraz: mężczyzna pilotujący jednosilnikowy samolot (ostatnio zacząłem pobierać prywatne lekcje pilotażu). Do tego dodałem olbrzymie czasy radioteleskopów (w pobliżu Marfy rzeczywiście jest obserwatorium) i ruiny wojskowej bazy lotniczej z czasów drugiej wojny światowej (opuszczona baza lotnicza naprawdę znajduje się koło Marfy, niedaleko miejsca, gdzie pojawiają się światła).

Nie bardzo wiedziałem, jak połączyć te rzeczy. Nagle jednak nie mogłem dłużej czekać. Sporządziłem listę wszystkich elementów, które chciałem umieścić w książce, stworzyłem własne wersje ludzi, którzy naprawdę widzieli światła: ranczer pod koniec dziewiętnastego wieku, nauczycielka w 1910 roku, James Dean w latach pięćdziesiątych zeszłego stulecia i ludzie, którzy urządzili polowanie na światła duchów w latach siedemdziesiątych. Tak, naprawdę odbyło się polowanie na „światła duchów”. W *Fenomenie* jest zadziwiająco dużo „realiów”.

Oczywiście to rzeczywistość alternatywna w tym samym sensie, w jakim Marfa i Rostov to różne wersje miasteczka w zachodnim Teksasie. Marfa prawdopodobnie otrzymała nazwę od postaci ze *Zbrodni i kary* Dostojewskiego, podczas gdy nazwę Rostov zapożyczyłem od postaci z dzieła Tolstoja *Wojna i pokój*. Pomimo tych wszystkich podobieństw nie należy utożsamiać

żadnego mieszkańca Marfy z bohaterami *Fenomeny*, chociaż mam nadzieję, że ta książka skłoni was do odwiedzenia Marfy, która bardzo się zmieniła od czasów przepędzania bydła i jest teraz malowniczą społecznością artystów, przypominającą Sedonę w Arizonie i Santa Fe.

Pod jednym względem jednak rzeczywistość wymagała poprawki. Słynny dom na ranchu zbudowany do filmu *Olbrzym*, który przemianowałem na *Dziedzictwo*, istotnie stanowił tylko fasadę. Chociaż wyglądał jak kompletny, wspaniały budynek, za ścianą frontową znajdowało się tylko szczerze pole. Z biegiem lat fałszywy fronton rozpadł się, aż zostały tylko belki wspierające, które też długo nie wytrzymały. Ponieważ tak lubię ten film, w *Fenomenie* pozwoliłem, żeby plan filmowy przetrwał. Żeby uzyskać więcej informacji na temat genezy tej książki, poszukajcie w Internecie hasła „światła Marfy”. Znajdziecie ponad pół miliona stron. Im więcej się dowiecie, tym lepiej zrozumiecie to, co napisałem wcześniej że w tej książce jest zadziwiająco dużo „realiów”.

PODZIĘKOWANIA

Wielkie dzięki dla Hank Phillippi Ryan, telewizyjnej reporterki śledczej z bostońskiej filii NBC. Hank, wielokrotna laureatka nagrody Emmy, jest również autorką serii thrillerów, gdzie występuje reporterka śledcza bardzo podobna do niej. Niektóre tytuły to *Air Time*, *Prime Time* i *Face Time*. Hank wykroiła czas ze swojego napiętego planu zajęć, żeby zapoznać mnie z technicznymi szczegółami telewizyjnego reportażu.

Dziękuję również Larry'emu Haightowi i Paulowi Dwyerowi z Sierra Aviation w Santa Fe, Nowy Meksyk. Szczerze doceniałem ich cierpliwość i profesjonalizm, kiedy uczyli mnie pilotować cessnę 172. Doświadczeni piloci zauważają, że dla potrzeb fabuły uprościłem niektóre elementy pilotażu.

Ponadto mam dług wdzięczności u następujących osób:

Roger Cooper, Peter Costanzo, Georgina Levitt, Amanda Ferber oraz cudownie wspierająca grupa z Vanguard Press/Perscus Books;

mój wydawca, Steve Saffel;

mój rzecznik prasowy, Sarie Morreil, i mój przewodnik po Internecie. Nanci Kalanta;

moi agenci: Jane Dystel, Miriam Goderich i reszta dobrych ludzi w Dystel/Goderich Literary Management.

Oświetlają mi drogę.

David Morrell